

Alan Bradley:

Zatrute ciasteczko:

Przełożył Jędrzej Polak

Tytuł oryginału: The Sweetneis at the Bottom of the Pie

Copyright 2009 AlanBradley

All rights reserved

Copyright for the Polish edition 2009 by Vesper, Poznań

Wydawca: Włodzimierz Wiczorek

Przekład: Jędrzej Polak Redakcja: Magdalena Wójcik Korekta:

Barbara Borszewska

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być reprodukowana bez zgody wydawcy, z wyjątkiem zacytowania krótkich fragmentów przez recenzenta.

Dystrybucja:

In Rock

ul. Wieruszowska 1660-166 Poznań

tel.

/fax (061) 8686795 [tonaekinrock.pl](mailto:tonaekinrock.pl)

[miłosnikinrock.pl](mailto:miłosnikinrock.pl)

[www.inrock.pl](http://www.inrock.pl)

Vesper [www.vesper.pl](http://www.vesper.pl)

Wydanie I Poznań, lipiec 2009

ISBN 978-83-61524-38-0 Druk i oprawa: Abedik, Żerniki k/Poznani)

Jeśli ciasteczko nie słodkie u dna, Cóż po tym, że.

kryzy ma?

William King, Sztuka gotowania.



## JEDEN

Ciemności panujące w szafie miały barwę skrzepniętej krwi.  
Wrzuciły mnie do środka i zamknęły drzwi na klucz.  
Oddychałam ciężko przez nos, próbując rozpaczliwie zachować spokój.  
Przy każdym wdechu liczyłam do dziesięciu, a przy wolnym wydechu do ośmiu.

Na szczęście pakując mi knebeldo ust, zostawiły odkryte nozdrza.  
Mogłam swobodnie wciągać do płuc stęchłe, wilgotne powietrze.

Wpychałam paznokcie pod jedwabny szal, którym skępowały mi ręce na plecach.  
Ponieważ jednak zawsze obgryzałam paznokcie do krwi, więc niewiele mi z tego przyszło.  
Chwała Bogu, że kiedy mnie kępowały, splotłam mocno palce!  
Odpychając je u nasady, mogłam rozepchnąć dłonie ściśnięte ciasnym węzłem.

Kręciłam nadgarstkami, przyciskając je do siebie i rozluźniając węzeł.

Kciukami ścigałam jedwab, przepychając węzły między dłonie, a potem ku palcom.

Gdyby były na tylerozumne, żeby związać mi kciuki, nigdy bym się stąd niewydostała!

Co zakretyнки!

Uwolniwszy dłonie, wyjęłam knebel z ust.

Teraz do drzwi!

Ale najpierw trzeba się upewnić, że nie zasadziły się na mnie.

Przykucnęłam i wyjrzałam przez dziurkę od klucza.

Chwała Bogu, wyjęły z niej klucz.

W pobliżu nie było nikogo - oprócz skłębionych cieni, gratów.

i smętnych bibelotów, długi strych stał pusty.  
Miałam czyste przedpole.

Sięgnęłam nad głowę i w głąb szafy.  
Zdjęłam druciany wieszak wiszący na tylnej ścianie.  
Wsunęłam wygięty koniec wieszaka do dziurki od klucza i chwyciłam mocno ramiączka - w ten sposób powstał wytrych w kształcie litery L, który włożyłam w głębiny starodawnego zamka.  
Po chwili wyteżonego grzebania i podważania, usłyszałam zbawienny trzask.

To było za łatwe!  
Drzwi szafy otworzyły się niemal same.  
Byłam wolna!

Zeskakując po dwa stopnie szerokich kamiennych schodów, znalazłam się w holu i zatrzymałam się u drzwi jadalni, by przerzucić warkocze przez ramiona tam, gdzie ich miejsce.

Ojciec nadal upierał się, aby obiad podawano o pełnej godzinie i abyśmy zasiadali do posiłku przy masywnym dębowym stole - tak jak wtedy, kiedy żyła mama.

Ofelia i Dafne jeszcze nie zeszły, Flawio?  
zapytał po irytowanym tonem, podnosząc głowę nad najnowszy numer "Brytyjskiego Filatelisty", który leżał otwarty między ziemniakami a mięsem.

-Nie widziałam ich odwieków - odpowiedziałam.

To prawda.

Nie widziałam ich, odkąd mnie zakneblowały, zawiązały mi oczy i zaniósły związaną jak prosię schodami na strych, gdzie zamknęły mnie w szafie.

Ojciec spiorunował mnie wzrokiem z nad okularów przez przepisowe cztery sekundy, poczym na powrót oddał się rozczulaniu nad pięknem podziwianych przez siebie lepkich z jednej strony skarbów.

Obdarzyłam go szerokim uśmiechem - szerokim na tyle, by ujrzał druciany aparat, który więził moje zęby.

Wyglądałam z nim jak obdarty ze skóry sterowiec, ale ojciec lubił wiedzieć, na co wydaje pieniądze.

Ale tym razem był zbyt zajęty, by podziwiać osiągnięcia współczesnej ortodoncji.

Uniosłam pokrywę porcelanowej salaterki od Spodegoi spośród głębin ręcznie malowanych motyli i malin wyłowiłam pełną łyżkę groszku. Używając noża jako popychacza i widelca jako ościenia, ułożyłam groszki

na talerzu w starannie uformowane rzędy i kolumny - szereg za szeregiem maleńkich zielonych kuleczek, ustawionych w odstępach, których precyzja rozradowała serce najbardziej wymagającego szwajcarskiego zegarmistrza.

A potem, począwszy od dolnej lewej strony, nadziałam pierwszy groszek na widelec i zjadłam go.

Towszystko było winą Ofelii.

Miała już przecież siedemnaście lat i można by się po niej spodziewać przynajmniej drobin dojrzałości, jaka cechuje dorosłych. To, że z mawiała się z trzynastoletnią Dafne, przechodziło wszelkie pojęcie! Razem miały trzydzieści lat.

Trzydzieści lat!

- przeciwko moim jedenastu.

Powiedzieć, że to nie fair, to mało zachowywały się skandalicznie.

Ich zachowanie wołało o pomstę do nieba.

Następnego ranka byłam zajęta kolbami i retortami w laboratorium chemicznym na górnym piętrze wschodniego skrzydła domu, gdy do środka wpadła Ofelia i niezająkawszy się nawet o dniu dobrym, ryknęła:

- Gdzie mój naszyjnik z pereł?

Wzruszyłam ramionami.

- Nie jestem strażniczką twoich błyskotek.

- Wiem, że go zabrałaś!

W szufladzie z bielizną miałam miętówki Imperial Mints, a jak zauważyłam, przedziwnym zbiegiem okoliczności zaginionym w tym domu miętówkami zawsze lądują w tej samej koszmarnej paszczy.

Poprawiłam płomień lampki spirytusowej, nad którą grzewałam zlewkę z czerwoną cieczą.

-Jeśli insynuujesz, że moja higiena osobista nie dorasta do twych niebotycznych standardów, możesz iść pozuć moje kalosze.

- Flawia!

-Właśnie tak.

Mam powyżej uszu obwiniania mnie o wszystko,Felu.

Przerwała moje święte oburzenie, pochylając się krótkowzrocznie nad rubinową zlewką, w której ciecz właśnie zaczynała wrzeć.

- Co to za lepka maź w środku?

- Zastukała w szkodługim, zadbanym paznokciem.

- Przeprowadzam doświadczenie.

Bądź ostrożna,Felu,w środku jest kwas!

Oblicze Ofelii pobieleało.

- Tam są moje perły!

Należały do mamusi!

Ofelia jako jedyna z córek Harriet mówiła na Harriet"mamusia" - jakojedyna z nas byławystarczająco duża,żeby ją pamiętać jako kobietę z krwi i kości, która nosiła nas w brzuchu, o czym Ofelia nieustannie nam przypominała.

Harriet zginęła wwypadku w górach, kiedymiałam za ledwie rok.

Od tamtej pory w Buckshaw nie mówiono o niej zbyt często.

CzyzazdrościłamOfelii jej wspomnień?

Czy czułam się nimi dotknięta?

Niesądzę, sprawa była o wiele poważniejsza.

W dosyć przedziwny sposób gardziłam wspomnieniamiOfelii o naszej mamie.

Podniosłam powoli głowę - tak by okrągłe szkła okularów błysnęły jej oślepiająco w oczy semaforami światła.

Doskonalewiedziałam, że kiedy tak robiłam, Ofeliaprzeżywała katusze, wyobrażając sobie, że nagle znalazła się w towarzystwie szalonego niemieckiego naukowca z czarno-białego filmuwyświetlanego w kinie Gaumonta.

-Potwór!

-Jęcza!

- odparowałam.

Ale dopiero wtedy, gdy Ofe

lia obróciwszy się,całkiem moim zdaniem zgrabnie, napięcie wypadła zlaboratorium.

Należało spodziewać się szybkiej zemsty.

Jak to u Ofelii, która w przeciwieństwie do mnie nie snuła dalekosiężnych planów i nie była w stanie - znów inaczej niż ja - godzinami doprowadzać wywar słodkiej pomsty do stanu wrzącej doskonałości.

Zupełnie niespodziewanie tuż po obiedzie - kiedy ojciec wycofał się w zacisze gabinetu, by napawać się widokiem kolekcji papierowych głów - Ofelia odłożyła bez słowa srebrny nóż do masła, w którym przeglądała się, jak papużka, przez ostatni kwadrans.

Bez zbędnych wstępów oznajmiła:

-Wiesz, nie jestem tak naprawdę twoją siostrą.

Dafne również nie.

Z tej przyczyny jesteśmy tak bardzo różne.

Przypuszczam, że pewnie nigdy nie przyszło ci do głowy, że jesteś adoptowana.

Łyżka wypadła mi z dłoni.

-Łzesz!

Jestem podobna do Harriet jak dwie krople wody.

Wszyscy tak mówią.

- Właśnie dlatego zabrała cię z domu samotnych matek, z powodu uderzającego podobieństwa - oznajmiła Ofelia, wykrzywiając twarz w odstręczającym grymasie.

-Jak mogłam być do niej podobna, gdy ona była dorosłą kobietą, a ja niemowlęciem?

- Byłabym nikim, gdyby nie moje szybkie ojarzenie faktów.

- Byłaś podobna do jej fotografii z dzieciństwa.

Zabrała ją ze sobą przystawiając do twojej główki dla porównania.

Zwróciłam się o pomoc do Dafne, która siedziała ze wzrokiem wbitym w oprawny w skórę tom zamczyska w Otranto.

-To nieprawda, co nie, Dafi?

Niestety, prawda odpowiedziała Dafne, przekładając leniwie cienką jak skórka cebuli stronę książki.

Ojciec zawsze powtarzał, że przeżyjesz wstrząs, kiedy się o tym.

dowiesz.

Kazał nam przysiąc, że nigdy ci nie powiemy.

Toznaczy, że nie powiemy ci, póki nie skończysz jedenastulat.

Kazał nam złożyć uroczyste ślubowanie.

- Zielona torba podróżna Gladstone'a - oznajmiła Ofelia.

-Widziałam ją na własne oczy.

Widziałam, jak mamusia pakowała swoje fotografie dzieciństwa do zielonej torby podróżnej, żeby zabrać je do domu samotnych matek.

Miałam wtedy tylko sześć lat.

prawie siedem.

ale nigdy nie zapomnę widoku jej białych dłoni.

i palców na mosiężnych zatraskach.

Zerwałam się na równe nogi i wybiegłam zapłakana z jadalni.

O truciźnie pomyślałam dopiero następnego dnia przy śniadaniu.

Jak wszystkie wielkie intrygi, i ta była nadzwyczaj prosta.

Buckshaw był siedzibą rodową deLuce'ów od niepamiętnych czasów.

Obecna georgiańska posiadłość zastąpiła elżbietański oryginał, spalony do cna przez wieśniaków, podejrzewających de Luce'ów o sympatie orańskie .

Byliśmy żarliwymi katolikami od czterystulat i pozostaliśmy nimi do dziś, ale to niewiele znaczyło dla rozgorączkowanej trójki Bishop's Lacey. "Stary dom" -jak go nazywano- stanął w płomieniach, a nowy, wzniesiony na jego miejscu, liczył teraz dobrze ponad trzysta lat.

Dwaj późniejsi przodkowie, Antony i William de Luce, spierając się o wojnę krymską, spaprali pierwotne założenie domu.

Dodali do niego skrzydła, dla każdego osobne:

William zajął wschodnie, a Antony zachodnie.

Obaj] zostali pustelnikami w osobnych skrzydłach i obaj

Król Anglii Wilhelm III Orański (1650-1702) przed objęciem tronu, w 1689 roku, był wyznawcą kalwinizmu, co było nie do przyjęcia przez anglikańskie stany, podobnie jak katolicyzm poprzedników Wilhelma, Stuartów.

(Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

zabronili sobie przekraczać czarną linię, która biegła przez sam środek domu: od frontowego westybulu, przez foyer, wprost do ubikacji dla lokajów za schodami, przecinając ją napół.

Dwie żółte flanki z cegły-krostowate wiktoriańskie składały się ku tyłowi domu niczym skrópowane skrzydła cementarnego anioła, nadając - w moich oczach



wysokim oknom i okiennicom georgiańskiego frontonu Buckshaw  
wygląd pruderyjnie przejętej starej panny w przyciasnym czepku.

Jeden z późniejszych de Luce'ów, Tarquin - albo Tar, jak na niego  
mówiono - doznał niezwykłego załamania nerwowego, po którym legła w  
ruinie obiecująca, jeśli nie spektakularna kariera naukowa chemika.  
Latem

- w roku, w którym przypadał srebrny jubileusz królowej Wiktorii -  
odesłano go do domu z Oksfordu.

Pobłażliwy ojciec Tara, zatroskany niepewnym stanem zdrowia syna, nie  
szczędził kosztów, by wyposażyć dlań laboratorium chemiczne  
usytuowane na górnym piętrze wschodniego skrzydła Buckshaw.  
W laboratorium znalazła się obfitość szkła wprost z Niemiec, mikroskopów  
z Niemiec, a także niemiecki spektroskop, mosiężna waga chemiczna z  
Lucerny oraz wielce złożona, ręcznie dmuchana, szklana węzownica  
Niemca Geislera, do której Tar podłączał przewody elektryczne, by badać  
jarzenie się przeróżnych gazów.

Nabiurku przy oknie stał mikroskop Leitza, którego mosiężna  
podstawa lśniła takim samym ciepłym zbytkiem, jak w dniu, w którym  
przywieziono mikroskop na wozie, odebrawszy go z pociągu  
zatrzymującego się na Przystanku Buckshaw.

Zwierciadło mikroskopu chwyciło pod odpowiednim kątem pierwsze  
blade promienie porannego słońca, a w pochmurne dni, albo po zmroku,  
mikroskop współpracował z parafinową lampą wykonaną przez  
londyńską firmę Davidson Co.

W laboratorium znajdował się nawet przegubowy ludz-

ki szkielet, stojący na podstawie na kółkach i podarowany dwunastoletniemu Tarowi przez wielkiego przyrodnika Franka Bucklanda, którego ojciec zjadł zmumifikowane serce Ludwika XIV.

Trzy ściany laboratorium zajmowały szklane, sięgające sufitu gabloty. W dwóch stały rzędy chemikaliów zamkniętych w aptekarskich słojach, z których każdy opisano starannie ozdobną kaligrafią Tarade Luce'a.

On sam ostatecznie zagrał na nosie przeznaczony i przeżył wszystkich, umierając w roku 1928 w wieku sześćdziesięciu lat w samym środku swego chemicznego królestwa, gdzie pewnego ranka znalazła go gospodyni.

Jednym martwym okiem wciąż wpatrywała się niewidzących ukochany mikroskop Leitza.

Mówiło się, że badał pierwszorzędowy rozpad pięciotlenku azotu. Gdyby to była prawda, byłby pierwszym uczonym zajmującym się reakcją, która ostatecznie doprowadziła do stworzenia bomby atomowej.

Po śmierci wuja Tara laboratorium zamknięto na klucz.

Przetrwał w pozbawionej świeżego powietrza ciszy przez wszystkie mroczne lata, do czasu ujawnienia się moich "osobliwych", jak mawiał ojciec, talentów, kiedy to przejęłam je we władanie.

Nadal drzę z podniecenia i radości na myśl o dziedzicznym, jesiennym dniu, w którym w moim życiu pojawiła się chemia. Spadła mi prawie na głowę.

Wspinałam się na półki w bibliotece, udając słynną alpinistkę, gdy w pewnym momencie omsknęła mi się stopa, a z półki zsunęło się opasłe tomiszczko.

Kiedy je podniosłam z podłogi, aby wyprostować pogięte przy upadku stronicę, zauważyłam, że wypełnia ją nie tylko słowa, ale i rysunki. Dziesiątki rysunków.

Na niektórych z nich pozbawione ciała dłonielały ciecze do dziwnych szklanych pojemników, przypominających instrumenty muzyczne z tego świata.

Tom nosił tytuł Podstawowe badania chemiczne i już po kilku chwilach dowiedziałam się, że słowo jodyna pochodzi od słowa oznaczającego "fiolet", a nazwa bromu wzięła się od greckiego terminu oznaczającego "smród".

Właśnie takich rzeczy chciałam się dowiedzieć!

Wsunęłam opasłe czerwone tomiszczko pod sweter i zabrałam je na górę. Dopiero później zauważyłam, że na stronie przedtytułowej widniał podpis

H.

de Luce.

Książka należała do Harriet.

Przeglądałam ją w każdej wolnej chwili.

Wieczorami nie mogłam się doczekać pójścia do łóżka.

Książka Harriet została moją potajemną przyjaciółką.

Przedstawiano w niej wszystkie metale alkaliczne, metale tak bajecznych nazwach jak lit czy rubid; metale ziem alkalicznych, takie jak stront, baryt, rad.

Zaklaskałam z radości, dowiedziawszy się, że odkryła kobietą:

Maria Skłodowska-Curie.

Dalej omawiano trujące gazy: fosforowodór, arsenowodor (którego jeden pachnący czosnkiem bąbelek może zabić konia), nadtlenek azotu, kwas wodorosiarkowy.

lista była długa.

Kiedy przekonałam się, że w książce podano dokładne instrukcje uzyskiwania tych związków, znalazłam się w siódmym niebie.

Gdy nauczyłam się rozpoznawać równania chemiczne (takie jak  $\text{FeC}_2\text{N}_2 + 2\text{K} = 6\text{KCN} + \text{Fe}$ , które opisuje, co się dzieje, kiedy żelazocyjanek potasu ogrzewa się z potasem, otrzymując cyjanek potasu), otworzył się przedemną wszechświat.

Czułam się tak, jakbym odkryła książkę kucharską Baby Jagi.

Najbardziej zaintrygowało mnie to, w jaki sposób wszystko (całe stworzenie - całe!

) trzyma się kupy dzięki niewidzialnym wiązaniom chemicznym.

Myśl o tym, że gdzieś, a raczej wszędzie wokół mnie, są niewidoczne dla nas oazy prawdziwej stabilności, przynosiła mi dziwne, trudne do wyjaśnienia ukojenie.

Początkowo nie dostrzegłam oczywistego związku międzyksiążką a opuszczonym laboratorium, które odkryłam jakodziecko.

Ale kiedyzauważyłam ten związek, mojejście -jeśli tak możnapowiedzieć ożyło i nabrało rumieńców.

W laboratorium wuja Tarastały rzędy książekchemicznych, gromadzonych zlubością przez przodka całymi latami.

Wkrótce przekonałam się, że przy odrobinie wysiłku jestem w stanie pojąć większość z nich.

Potem nadszedł czas pierwszych prostych doświadczeń, podczas którychco do joty wypełniałam podawane w książkach instrukcje.

Nie zmienia to faktu, że zdarzyło mi siękilka zasmrodzeń iwybuchów, aleim mniej się o tym mówi, tymlepiej.

Upływał czas, amoje notesy stawałysięcoraz grubsze.

Praca stała się bardziej wyrafinowana, gdyodkryłam tajemnice chemii organicznej,radując się nowopoznaną wiedząo tym, co z taką łatwością można uzyskać z przyrody.

Moją szczególnąpasją stały się trucizny.

Cięłam listowie bambusową laską skubniętą ze stojakana parasole, zrobionego z nogi słonia izajmującego poczesnemiejsce wefrontowym holu.

Szłamprzez ogródekwarzywny, którego wysokiemury z czerwonej cegły nieprzepuszczały jeszcze promieni słońca.

Wszystko było mokre po deszczu, który padał w nocy.

Przedzierając się przezresztki zeszłorocznej, nieskoszonej trawy, macałam wzdłuż dolnej krawędzi muru, ażznalazłam to,czego szukałam: kępkę jasnych liści, którychszkarłatny połysk sprawiał, że łatwo je było rozpoznać wśródinnych pnączy.

Rosły w kiściachpo trzy.

Włożyłam bawełniane ogrodowe rękawice, któredo tej pory trzymałam zapaskiem, i gwizdząc głośno własnąinterpretację Bibbidi-Bobbidi-Boo, zabrałam się do pracy.

Nieco później, w zaciszu megosanctum sanctorum, megoŚwiętego Świętych zapożyczyłam i przyswoiłam sobie to rozkosznewyrażenie z biografiiThomasajeffersona wepchnęłam kolorowe liście do szklanej retorty, niezdejmując rzecz jasna rękawic, póki nie upchałam ich dośrodku. Teraz zaczynał się mój ulubiony akt.

Zamknąwszy retortę,połączyłam ją zjednej strony dokolby, w której wrzała już woda,a z drugiej doszklanej,kondensującej węzownicy, której

koniec zawieszonybyłnad pustą zlewką.

Woda wrzała wściekle, a ja przyglądałam się parze biegnącej rurkami do retorty i osiadającej na liściach.

Liście zwijały się i miękły, gdy gorąca para otwierała maleńkie kieszonki między komórkami, uwalniając oleje, będące esencją żyjącej rośliny.

W ten sposób praktykowali swą sztukę dawni alchemicy - ogień i para, para i ogień.

Destylacja.

Uwielbiałam tę pracę!

Destylację.

Powtórzyłam głośno:

- De-sty-la-cja!

Spoglądałam z podziwem, jak para chłodziła się i kondensowała w wężownicy, ekstatycznie wyrzuciłam w górę ramiona, kiedy pierwsza bezwładna kropelka cieczy zawisała nad zlewką, a potem opadła ze słyszalnym "plum" do oczekującego na nią naczynia.

Gdy woda się wygotowała, a reakcja dobiegła końca, skrzyłam płomień, oparłam brodę na dłoniach i obserwowałam zafascynowana, jak w cieczy w zlewce wytrącają się dwie oddzielne warstwy - na dole czysta destylowana woda, a nad nią jasnożółty płyn.

Oleista esencja liści.

Nazywana z japońska urusy-oli stosowana między innymi do wytwarzania lakieru.

Sięgnęłam do kieszeni bluzy i wyjęłam z niej lśniącą złociście tutkę. Zdjęłam zakrętkę i uśmiechnęłam się pod.

nosem na widok karminowej końcówki.

Szminka Ofelii, skradzioną z szuflady jej gotowni, wraz z perłami i miętówkami.

A Fela - Panna Zasmarkanna - nawet tego nie zauważyła!

Przypomniawszy sobie o miętówkach, wrzuciłam jedną do buzi i zmiażdżyłam głośno między trzonowcami.

Wkład szminki łatwo się wysuwał.

Zapaliłam raz jeszcze lampę spirytusową.

Wystarczył mały płomień, żeby woskowa substancja zamieniła się w kleistą masę.

Gdyby Fela tylko wiedziała, że szminki robi się z rybich łusek!

Pewnie nie mazałyby się nimi tak ochoczo po całych ustach.

Muszę jej o tym powiedzieć.

Uśmiechnęłam się w duchu.

Zostawię to na później.

Za pomocą pipetki nabrałam kilka milimetrów wydestylowanego olejku z zieleńki, a następnie, kropelka po kropelce, wpuściłam go ostrożnie w rozpaćkaną szminke, poczym wymieszałam wszystko drewnianą lekarską szpatułką.

Zarządki, pomyślałam i sięgnęłam po słoik, z którego wyjęłam kapkę pszczelego wosku i dodałam do szminki, przywracając jej pierwotną gęstość.

Czas włożyć rękawiczki, czas sięgnąć po formę odlewniczą do żelaznych pistoletowych kuł, którą skubnęłam z całkiem przyzwoitej, zamienionej obecnie w muzeum, zbrojowni Buckshaw.

Dziwne, że wkład szminki jest dokładnie wielkości pocisku kaliber .45- Dobrze to wiedzieć, prawda?

Będę musiała rozważyć dalsze implikacje tego faktu, kiedy wieczorem położę się do łóżka.

Teraz byłam za bardzo zajęta.

Wyjęty z formy i schłodzony bieżącą wodą czerwony wkład szminki idealnie pasował do złocistej oprawki.

Zakręciłam ją odkręciłam kilkakrotnie, żeby sprawdzić, czy działa.

Potem zamknęłam szminke.

Fela nie była rannym ptaszkiem i pewnie wciąż marudzi nad śniadaniem.

- Gdzie jest moja szminka, ty prosiaku?

Co z nią zrobiłaś?

- W szufladzie - odparłam.

-Widziałam ją, kiedy kradłamperły.

Wzięta w nawiasprzez dwie siostry, musiałam opanować w moim krótkim życiu podstawy zjadliwości.

-Wcalejej tam nie ma!

Przed chwiląsprawdzałam!

Zniknęła!

- Sprawdzająś w okularach?

- Uśmiechnęłamsię słodko.

Ojciec sprawił każdej z nas okulary, ale Fela nie chciała nosić leczniczych szkieł, a w moich były zwykłe szklazerówki.

Zakładałam jetylko wlaboratorium, żeby chronićoczy, orazwtedy,kiedy chciałam wzbudzić czyjąślitość.

Fela rąbnęła dłońiaw stół i wybiegła z jadalni.

Wróciłam do zgłębiania otchłani drugiej miseczki płatków Weetabix.

Później zapisałam w notesie:

Piątek,2 czerwca 1950 roku, godz. 9 04.

Obiekt wygląda normalnie, choć jest naburmuszony.

(Jak zwykle, zresztą).

Początek działania od 12 do 14 godzin po zastosowaniu.

Miałam czas.

Pani Mullet, osoba niskai siwa, a przy tym okrągła jakkamień młyński przez co wyobrażała sobie, czego jestem pewna, że jestpostacią z wiersza A.

A. Milne'a -stała w kuchni, robiąc kremówki o konsystencji ropy posokowatej.

Jak zwykle walczyła z piecykiem marki Aga,któryzdominowałniewielką, zagraconąkuchnię.

- Och, panna Flawia!

Pomóżmi z piecykiem, mojadroga.

Zanim wymyśliłam stosowną odpowiedź, za moimi plecami stanął ojciec.

- Flawio, proszęna słowo.

- Ciężargatunkowyjego gło.

su był zbliżony wagą do ołowianych obciążników przy butach skafandra nurka głębinowego.

Zerknęłam na panią Mullet, żeby sprawdzić, jakto zniosła.

Zawsze zmykała przy najmniejszych oznakach nadciągających kłopotów, a kiedyś gdy ojciec podniósł głos zawinęła się w dywan i nie chciała się z niego rozwinąć, póki nie posłano po jej męża.

Zamknęła drzwiczki piekarnika tak ostrożnie, jakby wykonano je z kryształu Waterford.

- Muszę pędzić - powiedziała.

- Lunch podgrzewa się w piekarniku.

- Dziękuję, pani Mullet- skwitował to ojciec.

- Damy sobie radę.

Zawsze dawaliśmy sobie radę.

Otworzyła kuchenne drzwi.

i wydała z siebie przeraźliwy pisk dręczonego borsuka.

- Omójboże!

Proszę mi wybaczyć, pułkownik de Luce, ale omójboże!

Podeszliśmy do niej i wyjrzelśmy zza jej pleców.

To był ptak: bekas kszyk, w dodatku martwy.

Leżał rozciągnięty w proguz rozłożonymi sztywno jak u pterodaktyla skrzydłami.

Oczy dosyć nieprzyjemnie zaszły mu mgłą, a długa, czarna, igła dzioba celowała prosto w powietrze.

Miał coś nadziane na dziobie, coś, co obracało się w porannym wietrzemalenki kawałek papieru.

Nie, to nie był kawałek papieru, lecz.

znaczek pocztowy.

Ojciec pochylił się, żeby przyjrzeć się temu zbliska, a potem westchnął cicho.

I nagle chwycił się za szyję, a dłonie zaczęły mu drżeć jak liście osiki jesienią.

Twarz nabrała barwy mokrego popiołu.

DWA

Kręgosłup zamienił mi się w sopel lodu.

Przez chwilę myślałam, że doznał ataku serca, co często zdarza się ojcom prowadzącym siedzący tryb życia.

Zrządzą na ciebie przystole, żebyś żuła każdą wkładaną do ust porcję dwadzieścia dziewięć razy, a zaraz potem czytasz o nich w "Daily



Telegraph":

Calderwoodjabe.

, parafii Frinton.

Nagle, w swojej posiadłości, w sobotę 14 bieżącego miesiąca.

W pięćdziesiątym drugim roku życia.

Najstarszy syn tego i owego.

Osierocił córki Annę, Dianę i Trianne.

CalderwoodJabez i jemupodobni mieli w zwyczajuwskakiwać do nieba, jak diabełki zpudełka, zostawiając napastwęłosu drobne zrozpaczone potomstwo płci żeńskiej.

Aprzecież straciłam już matkę!

Ojciec nie może mizrobić takiego kiepskiego żartu!

Czyżby?

Nie. Wciągał, świszcząc nosem, powietrze do płuc, jakkoń pociągowy.

Pochylił się nad tym, co leżało w progu.

Długimi, drżącymi palcami sięgnął jak pęsetą i zdjął ostrożnie znaczek dzioba martwego ptaka, a potem ukrył go szybko w kieszonce kamizelki.

Drżącym palcem wskazującym wskazał ptasie zwłoki.

- Proszę się tego pozbyć, pani Mullet - powiedział zduszonym głosem, który brzmiał, jakby należał do kogoś innego, najpewniej do obcego.

-Omój.

pułkownika de Luce.

- mówiła pani Mullet.

-Omój.

pułkownika.

ja nie.

myślę, że.

nie.

chcę powiedzieć.

Wracał już do gabinetu, sapiąc przy tym i dysząc jak lokomotywa.

Kiedy pani M.

ruszyła z dłonią na ustach po szufelkę i zmiotkę, uciekłam do sypialni.

Sypialnie w Buckshaw były obszernymi, mrocznymi hangarami dla zeppelinów, a moja - mieszcząca się w południowym skrzydle (skrzydle Tara, jak je nazywaliśmy) - była największa ze wszystkich.

Wczesnowiktoriańska tapeta (musztardowożółta, z rozmazanym wzorkiem, przypominającym krwistoczerwone kłębki sznurka) sprawiała, że wydawała się jeszcze większa - jak niezmierny, chłodny wietrzny ugor.

Codzienna wyprawa przez sypialnię dostojącej pod oknem umywalki była - nawet latem - tak nieznośnym doświadczeniem, że zniechęciłaby nawet odkrywcę bieguna, Scotta, co stanowiło tylko jeden z powodów, dla których nie podejmowałam jej zbyt często, pakując się prosto do wielkiego łóżka z baldachimem, na którym - owinięta wełnianym kocem - siedziałam ze skrzyżowanymi nogami do późna, zastanawiając się nad własnym życiem.

Rozmyślałam, na przykład, o tym, jak pewnego razu za pomocą noża do masła pobrałam próbkę cierpiącego na żółtaczkę pokrycia ścian. Zrobiłam to pod wpływem Dafne, która z szeroko otwartymi oczyma streszczała nam jedną z powieści A.

J. Cronina, jak to pewien nieszczęśnik zmarł podczas snu w pokoju pomalowanym farbą, której podstawowym barwnikiem był arszenik. Pełna nadziei zaniósłam próbkę do analizy do mojego laboratorium.

Nie miałam zamiaru posługiwać się skomplikowaną starą próbą Marsha, wielkie dzięki!

Preferowałam metodę, za pomocą której arszenik zamienia się najpierw w swój trójtlenek, a następnie ogrzewany z octanem sodowym tworzy tlenek

kakodylu, który jest nie tylko jedną z najbardziej trujących substancji na ziemi, ale majeszcze tę zaletę, że cuchnie wprost niewiarygodnie jakzgniły czosnekdo milionowej potęgi!

Odkrywca kakodylu, Bunsen (tenod palnika), zauważył, żeod słabegopowiewu tej substancjiswędzą dłonie i stopy, a język pokrywa się ohydny czarnym nalotem.

O mój Boże, jakniezgłębione są Twe dzieła!

Możecie wyobrazić sobie mojeroczkarowanie, kiedy się przekonałam, że w próbcetapety nie ma arszeniku zabarwiono ją zwykłą organiczną tynkturą, najpewniejze zwyczajnej iwy(Salixcaprea) albo zinnego równie nieszkodliwego i przez to niewypowiedzianie nudnego barwnikaz jarzyn.

Wspomnienia te sprawiły, że przypomniałam sobieojcu.

Co go tak przestraszyło w kuchennych drzwiach?

Iczyto, co ujrzałam najego twarzy, naprawdę było strachem?

Tak, to nieulegało najmniejszej wątpliwości.

Musiąłobyć strach, bo cóż by innego?

Znałam już nazbyt dobrzejego gniew, zniecierpliwienie, zmęczenie, jego nagłe spadki nastroju.

Wszystkie te uczucia malowały się czasem naojcowskim obliczu, przemykając ponim jakcienie chmurpo angielskich wzgórzach.

Nie bał się zdechłychptaków - tyleprzynajmniej wiedziałam.

Nie raz i nie dwa widziałam na własne oczy, jakćwiartował tłustą bożonarodzeniową gęś, wymachującnożem i widelcem, niczym orientalny asasyn.

Niechodziłoprzecież o pióra?

Albo o martwe ptasie oko?

Wykluczyłam znaczek.

Ojciec kochał znaczki bardziej.

od potomstwa.

Jedyną osobą, którą przedkładał nad kolorowe skrawki papieru, była Harriet.

A ona, jak mówiłam, zginęła.

Jak ten kszyk.

Więc moźedlatego takzareagował?

- Nie!

Nie!

Idźcie sobie!

Chrapliwy głos wdarł się przez otwarte okno, najpierw wykołując, a potem rujnując ciąg logicznych skojarzeń.

Zrzuciłam z siebie koc, zeskoczyłam z łóżka, przebiegłam przez sypialnię i wyjrzałam do ogródka.

Głos należał do Doggera.

Który stał rozplaszczony na ogrodowym murze z rozczapierzonymi na wyblakłych czerwonych ceglach palcami.

- Nie zbliżajcie się do mnie!

Odejdźcie!

Dogger był człowiekiem ojca - jego totumfackim.

I był całkiem sam w ogrodzie.

Mówiło się.

- no dobrze, nie maco ukrywać - pani Mullet mówiła, że Dogger przeżył dwa lata w japońskim obozie jenieckim, po czym przetrwał trzynaście miesięcy tortur, głodu i przymusowej pracy przy budowie Kolei Śmierci między Tajlandią i Birma, gdzie podobno jeńcy jedli szczury.

- Bądź wobec niego łagodna, moja droga - prosiła pani Mullet.

Ma nerwy w strzępach.

Wbiłam wzrok w Doggera.

Stał na grządce ogórków, a grzywa przedwcześnie posiwiałych włosów stała mudeba.

Niewidzące oczy ciekały mu w górę, ku słońcu.

- W porządku, Dogger!

- krzyknęłam.

- Mam je wszystkie na muszce!

Wydawało się przez chwilę, że mnie nie usłyszał, ale potem obrócił twarz jak słońce w stronę, z której dobiegał mój głos.

Wstrzymałam oddech.

Nigdy nie wiadomo, do czego jest zdolny człowiek w takim stanie.

- Spokojnie, Dogger!  
zawołałam.

Wszystko w porządku.

Już sobie poszły.

Nagle stał się bezwładny, jak człowiek trzymający drutpod wysokim napięciem, w którym wreszcie wyłączył prąd.

Panna Flawia?

zapytał drżącym głosem.

Czy to panna Flawia?

Już schodzę!

- powiedziała mi.

- Będę na dole za moment.

Zbiegłam tylnymi schodami na łeb na szyję i wpadłam do kuchni.

Pani Mullet poszła do domu, ale kremówki stygły w otwartym oknie.

Nie, pomyślałam, Dogger nie potrzebuje kremówki, musi się czegoś napić.

Ojciec zamykał szklankę w bibliotece w swoim gabinecie, nie mogłam tam wejść.

Na szczęście w spiżarni stał dzbanek chłodnego mleka.

Nalałam pełną szklankę i pobiegłam z nią do ogrodu.

Proszę to wypić!

poleciałam, podając mu mleko.

Dogger ujął szklankę burząc, popatrzył na nią tak, jakby nie wiedział, do czego służy, lecz w końcu uniósł szklankę do ust.

Pił, stukając zębami o krawędź i wypił do dna.

Odał mi puste naczynie.

Na jego twarzy gościł przez chwilę błogi uśmiech, jak u aniołów Rafała, ale zaraz zniknął.

Masz wąsy - powiedziała mi.

Pochyliłam się kugrządcei zerwałam duży, zielony liść ogórka, po czym wytarłam nim usta.

Puste oczodoły Doggera rozjaśniły się.

Mleko i ogórki.

powiedział.

Ogórki i mleko.

Trucizna!

wrzasnęłam i zaczęłam skakać, wymachując rękami jak kurczak skrzydłami, co moim zdaniem miało pokazać, że panujemy nad sytuacją.

- Śmiertelnatrucizna!

-dodałam.

Oboje roześmialiśmy się, choć niezbyt głośno.

Mrugnął.

No tak.

- szepnął, rozglądając się poogrodziejak.

zakłęty książkę, który obudził się ze snu.

- Zapowiada się piękny dzień!

Ojciec nie zszedł na lunch.

Chcąc się upewnić, czy wszystko u niego w porządku, przyłożyłam ucho do drzwi gabinetu i nasłuchiwałam przez chwilę szelestu przekładanych stron klaserów i ojcowskiego pochrząkiwania.

Nerwy pomyślałam.

Dafnesiedziała przy stole z nosem w Walpole'u (Horace), a zapomnianą kanapka z ogórkiem rozmiękała na talerzyku obok. Ofelia zakładała nogę na nogę, zdejmowała nogę z nogi i zakładała jedną nad drugą ponownie, acz w zmienionej kolejności, wzdychając przy tym niestrudzenie i gapiąc się w ścianę jak sroka w gnat, z czego wywnioskowałam, że droczy się w głowie z niejakim Nedem Cropperem, posługaczem z Trzynastu Kaczorów.

Była tak pochłonięta własnymi myślami, że nawet nie zauważyła, iż pochyliłam się lekko w jej stronę, żeby przyjrzeć się zbliskawargom, międzyktóre z roztargnieniem pakowała własnie kostkę trzcinowego cukru, którą zaczęła ssać.

-Aha!

- rzuciłam niezobowiązująco w powietrze.

- Ten pryszcz zakwitnie do rana!

Rzuciła się na mnie, ale moje nogi były szybsze od jej pletw.

Po powrocie do laboratorium zanotowałam:

Piątek, 2 czerwca 1950 roku, godz. 13:01/.

Brak widocznych objawów.

"Cierpliwość jest niezbędnym składnikiem geniuszu" (Disraeli).

Nie mogłam zasnąć.

Najczęściej zasypiam od razu, kiedy przykładam głowę do poduszki, ale dziś było inaczej.

Leżałam na plecach z rękoma założonymi za głowę i wspominałam miniony dzień.

Najpierw historia z ojcem.

No, niezupełnie.

Najpierw był zdechły ptak w kuchennym progu, a potem historia z ojcem. Wydawało mi się, że ujrzałam strach na jego twarzy, ale w jakimś zakamarku mózgu czaiła się myśl, która nie pozwalała mi w to uwierzyć.

W moich oczach - w oczach nas wszystkich - ojciec był nieustraszony. Podczas wojny widział różne rzeczy, rzeczy straszliwe, o których nie

wolnomówić.

Przetrwał jakoś lata po zniknięciu Harrieti uznaniu jazzmarłą.

Zawsze był niezłomny, niezawodny, uparty i niewzruszony.

Niewiarygodnie brytyjski.

Niežnośnie powściągliwy.

Ale teraz.

A potem Dogger Arthur Wellesley Dogger, jak kazali się nazywać w lepszych czasach.

Dogger pojawił się u nas jako służący ojca, ale potem, gdy "dojmująca niestałość tego urzędu" (to są jego słowa, nie moje) dała mu się weznaki, stwierdził, że "o wiele bardziej satysfakcjonująca jest godność" lokaja, szofera, a wreszcie majordomusa Buckshaw (co oznaczało tylko tyle, że był domową złotą rączką) i znów szofera przez pewien czas.

Przez ostatnie miesiące tracił łagodnie wszystkie dawniejsze pozycje, by spaść jak jesienny liść do ogrodu, którym się obecnie zajmował.

Naszego hillmana kombi ojciec podarował kościołowi św.

Tankreda na loterię.

Nieszczęsny Dogger!

Tak właśnie o nim myślałam, choć Dafne zwracała mi uwagę, że nie wolno tak myśleć i mówić o nikim, gdyż - jak stwierdziła: - "Niedość, że brzmi protekcyjnie, to nie uwzględnia przyszłości".

Ale czy mogłam zapomnieć, czykolwiek, jeśli już o tym mowa, mógłby zapomnieć, w jakim stanie ujrzałam go dziś w ogrodzie?

Był najzwyczajniej wrakiem człowieka - wielkim, bezradnym mężczyzną z potarganymi włosami, stojącym nad przewróconą taczka i porzrzuconymi narzędziami z takim wyrazem twarzy, jakby.

jakby.



Usłyszałam jakiś szelest.

Nadstawiłam ucha.

Cisza.

Matka Natura obdarzyła mnie słuchem doskonałym - takim słuchem, który, jak mówił ojciec, sprawia, że pająki chodzące po ścianach brzmią, jakby były podkute.

Harrietteż miała taki słuch i czasami wyobrażam sobie, że jestem parą uszu wędrujących po nawiedzanych przez duchy w labiryntach Buckshaw, nasłuchujących dźwięków, których lepiej nie słyszeć.

Więc słuchajmy!

O, znowu!

Echo jakiegoś głosu - nieustępliwego i przyciszonego, jak szept w puszczy poherbatnikach.

Wyślizgnęłam się z łóżka i podeszłam na paluszkach do okna.

Nie poruszając zasłonami, wyjrzałam do ogródka warzywnego, a w tej samej chwili posłuszny księżyc wyszedł zza chmury i oświetlił scenę, zupełnie jak w pierwszorzędnej produkcji *Snu nocy letniej*.

Ale niczego nie zauważyłam, oprócz jego srebrzystych promieni tańczących wśród górków i róż.

Potem usłyszałam głos - rozgniewany głos, brzmiący jak brzęczenie pszczoły próbującej późnym latem przelecieć przez szybę.

Zarzuciłam na ramiona podomkę Harriet z japońskiego jedwabiu (jedną z dwóch, jakie ocalałam podczas Wielkiej Czystki), wsunęłam stopy w indiańskie mokasyny z paciorkami, zastępujące midomowe pantofle, i prześlizgnęłam się do szczytu schodów.

Głos wydobywał się z głębi domu.

W Buckshaw były dwie Wielkie Klatki Schodowe, a każda z nich kręciła się sinusoidalnie niczym lustrzane odbicie tej drugiej z pierwszego piętra na parter, kończąc się tuż przed czarną linią dzielącą wyłożone szachownicą kafelków foyer na pół.

Moje schody wiodące na dół wschodniego skrzydła - kończyły się w wielkim wymalowanym holu, w którym był świetny pogłos.

Dalej, na

przeciw zachodniego skrzydła, była zbrojownia (obecnie muzeum), a z nią gabinet ojca.

Głos nadbiegał właśnie stamtąd.

Ostrożnie podeszłam bliżej.

Przystawiłam ucho do drzwi.

- Poza tym, Jacko- ciągnął myśl jakiś grubiańsko brzmiący głospo drugiej stronie kasetonowych drzwi -jak wyobrażasz sobie swoje życie, gdyby to wyszło na jaw?

Nie dałbyś rady tego uciągnąć.

Przez chwilę wydawało mi się, że Buckshaw odwiedził znany aktor George Sanders, który robił ojcu wymówkiza zamkniętymi drzwiami.

- Wynoś się - rzucił ojciec.

W jego głosie było złości, a ton wskazywał na kontrolowaną wściekłość. Oczy mi duszy widziałam jego ściągnięte brwi, zaciśnięte pięści i napięte jak łuk szczęki.

- Nie wygłupiaj się, chłopie- odrzekł lizusowski głos.

-Tkwimy w tym obaj po uszy.

Zawsze tkwiliśmy i zawsze będziemy tkwić.

Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

- Twining się nie mylił - syknął ojciec.

-Jesteś odrażającą i nikczemną kreaturą.

- Twining?

Stary Czajnik?

Czajnik nie żyje od trzydziestu lat, Jacko, jak powiedział Jacob Marley.

Choć jego duch, jak mówił Marley, nie odszedł w zaświaty, o czym mogłeś się przekonać.

- Zabiliśmy go.

- wykrztusił ojciec nieswoim głosem.

Czyżbym się przesłyszała?

Jakże to.

Oderwałam ucho od drzwi i przyłożyłam oko do dziurki od klucza, przezco nie usłyszałam dalszego ciągu wypowiedzi ojca.

Stał obok biurka, zwrócony twarzą kudrzwiom.

Nieznajomy stał do mnie tyłem.

Był strasznie wysoki, naoko miał ze dwa metry.

Z rudą grzywą i w rdzawoszarym

Jacob Marley, Esq.

- bohater gry planszowej przypominającej

„iMonopol”.

garniturze przypominał kanadyjskiego żurawia, który stał wypchany w ciemnym kącie zbrojowni.

Przystawiłam ucho do drzwi.

.. .

wstyd się nie przedawnia mówił nieznajomy.

Cóż znaczy dla ciebie kilka tysiączków, Jacko?

Musiałeś odziedziczyć coś nieco po śmierci Harriet.

Samo ubezpieczenie,.

- Stul pysk!

- ryknął ojciec.

-I wynoś się, zanim.

Nagle poczułam, że ktoś obejmuje mnie od tyłu.

Na

moich ustach spoczęła szorstka dłoń.

Serce o mało nie

wyskoczyło mi z piersi!

Obezwładniono mnie tak fachowo, że walka nie by się nie zdała.

Wracaj do łóżka, panienko usłyszałam szept bliskoucha.

: Tym, który szeptał, był Dogger.

- To niepanienki interes - ciągnął cicho dalej.

Wracaj do łóżka.

Rozluźnił uścisk, a ja wyswobodziłam się.

Spiorunowałam go wzrokiem.

Jego oczy łagodniały w półmroku.

- Spływaj- szepnął.

Spłynęłam.

Po powrocie do sypialni rozpoczęłam wędrówkę od ściany do ściany, co zdarza mi się czasem, kiedy ktoś pokrzyżuje mi szyki.

Zastanawiałam się nad tym, co usłyszałam.

Ojciec był mordercą?

To niemożliwe.

Napewno istniało jakieś proste wytłumaczenie tej sprawy.

O, gdybym tylko mogła usłyszeć dalszy ciąg rozmowy ojca z nieznajomym.

gdyby Dogger nie zaszedł mnie w ciemności od tyłu.

Co on sobie wyobraża?

Ja mu pokażę!  
, pomyślałam.

...bezzwłocznie!  
powiedziałam na głos.

Wysunęłam z zielonej papierowej woluty płytę Jose

Iturbiego, nakręciłam przenośny gramofon i rzuciłam natalerz drugą  
stronę Po?

onefla-moJ?

Chopina.

Sama rzuciłam się nałóżko i zawyłam:

- DA-da-da-da, DA-da-da-da, DA-da-da-da, DA-da-da-da.

Muzyka brzmiała tak, jakby skomponowano ją do filmu, w  
którym ktoś, kręcąc korbą, odpalał starego Bentleya, którym strzelał gaźnik.  
W każdym razie była tokołysanka.

Kiedy otworzyłam oczy, za oknem wstawał błądy świt.

Wskazówki mosiężnego budzika pokazywały 3:44- W czasie letnim  
świtało bardzo wcześnie, za mniej niż kwadrans powinno wzejść słońce.

Przeciągnęłam się, ziewnęłam, wygramoliłam z łóżka.

Gramofon przestał grać, igła zamarła w rowku w połowie poloneza.

Zastanawiałam się, czy nie nakręcić gojeszczeraz i urządzić w całym domu  
polską pobudkę, ale zaraz przypomniałam sobie, co zaszło przed kilkoma  
godzinami.

Podeszłam do okna i wyjrzałam do ogrodu.

Wszystko było na swoim miejscu: szklarnia z pokrytymi rosą szybami, a  
obok niej, w cieniu, przewrócona taczka Doggera, zapomniana od wczoraj.

Postanowiłam ją postawić - zadość uczynić jakoś Doggerowi, choć nie  
bardzo wiedziałam za co.

Ubrałam się, zeszłam tylnymi schodami do kuchni.

Przechodząc obok kuchennego okna, zauważyłam, że ktoś odciął  
sobie spory kawałek kremówki upieczonej poprzedniego dnia przez  
panią Mullet.

Dziwne, pomyślałam.

Nikt z de Luce'ów nie mógł tego zrobić, gdyż - choć dzieliliśmy wiele  
zgadzaliśmy się co do tego a była torzec, która jednoczyła całą rodzinę -  
że kremówki pani Mullet są obrzydliwe i nie nadają się do jedzenia.

Kiedy tylko zaczynała robić straszliwy krem - zamiast upiec jak pan Bóg  
przykazał porządny placek z rabarborem albo.

agrestem wszyscy mieszkańcy Buckshaw dostawali jak jeden mąż nieżyty żołądka i odsyłali panią Mullet do domu z jej ulubionym ciastem i instrukcjami, żeby nakarmiła nim za nasze zdrowie swego dobrego męża, Alfa.

Wyszłam na dwór.

Srebrzysty poranek zamienił ogród w zaczarowaną łąkę, na której - za sprawą jasnego pasemka dnia za murami - pogłębiały się cienie. Wszystko pokrywało iskrząca się rosa i wcale bym się nie zdziwiła, gdyby z rozanego krzewu wychynał jednorożec i złożył migłową na podółku.

Zmierzałam pewnym krokiem do taczki, gdy nagle potknęłam się niespodziewanie i upadłam na kolana i dłonie.

Cholera!

zaklęłam, rozglądając się, czy nikt moimieniem słyszy.

Cała byłam oblepiona mokrą czarną ziemią.

- Cholera - powtórzyłam trochę ciszej.

Obejrzałam się, by sprawdzić, co mnie przewróciło, i zaraz to zauważyłam: było to coś białego, co wystawało z ogórków.

Przez króciutką chwilę jakaś część mnie chciała rozpaczliwie uwierzyć, że tym, co podstawił mi nogę, były małe grabki: podstępne dziecięce narzędzie ogrodnicze z białymi, zakrzywionymi ząbkami.

Ale gdy odzyskałam zmysły, nie mogłam nie wierzyć ich świadectwu: potknęłam się o dłoń.

Dłoń połączoną z ramieniem, które zniknęło, wijąc się jak wąż, na grzędce ogórków.

U końca ramienia - zabarwiona od ciemnych, wilgotnych chliści na ohydny zielony, ogórkowy kolor była twarz.

Twarz, która ze wszech miar przypominała Borowego Dziada z baśni.

Kierowana wolą silniejszą od mojej własnej znów opadłam na ręce i kolana obok tej zjawy: po części z szacunku, a po części, by przyjrzeć się jej bliżej.

Kiedy niemal dotknęłam jej nosem, zaczęła otwierać oczy.

Byłam zbyt wstrząśnięta, żeby się poruszyć.

Ciało w ogórkach wzięło drżący oddech.

a potem puszczając nosem bąbelki - wydyszało pojedyncze słowo, powoli i jakby zeskutkiem, prosto w moją twarz.

- Vale - powiedziało.

Odruchowo skurczyły mi się nozdrza, gdy poczułam obliwy zapach, którego nazwę miałam przez chwilę na końcu języka.

Oczy - modre jak ptaki wymalowane na porcelanowymtalerzu -  
spojrzały wgląd moich oczu; spojrzały z jakiejśmrocznej i mglistej  
przeszłości,jakby coś lub kogoś rozpoznawały.

A potem zamknęły się nawieki.

Chciałabym powiedzieć, że pękło miserce, ale nie pękło.  
Chciałabym powiedzieć, że instynkt podpowiadał mi,abym dała  
drapaka,ale nie podpowiadał.

Zamiast biecz krzykiem, dokąd oczyponiosą, wpatrywałamsię ztrwogą w  
umierającego, chłonąc każdy szczegół: drgającepalce, ledwo widoczne  
brązowo-metaliczne tchnienie, jakiepowlekło jego skórę, niczym oddech  
śmierci.

I wreszcie całkowity bezruch.

Chciałabypowiedzieć, że się bałam, ale nie.

Przeciwnie.

Była to ze wszech miar najciekawsza rzecz, jaka mi sięprzydarzyław  
całym dotychczasowym życiu.

## TRZY

Popędziłam na górę zachodnimi schodami.

Chciałam, rzecz jasna, obudzić najpierw ojca, ale coś mnie powstrzymało jak wielki niewidzialny magnes.

Dafi i Fela były kompletnie nieprzydatne w nagłych wypadkach, wzywaniem ich na pomoc nie miało sensu.

Tak szybko i tak cicho jak się dało, pobiegłam na tyły domu do izdebki na szczycie kuchennych schodów i zastukałam lekko do drzwi.

- Dogger!

- szepnęłam - Toja, Flawia.

W środku nikt się nie poruszył, więc zastukałam raz jeszcze.

Minęły dwie wieczności i pół, gdy w końcu usłyszałam szuranie kapci Doggera.

Zamek wydał się głośny chrzęst, zasuwacofnęła się hukiem, a drzwi otwarły na kilka nieufnych cali.

Dogger miało świecicie wymęczoną twarz, jakby w ogóle nie spał.

- W ogrodzie jest trup - poinformowałam go.

- Lepiej będzie, jak zejdziesz.

Przestąpiłam z nogi na nogę i zaczęłam obgryzać paznokcie, a Dogger obdarzył mnie spojrzeniem, które nazwać można jedynie "pełnym wyrzutem".

Potem zniknął w ciemnościach izdebki, żeby się ubrać.

Po pięciu minutach staliśmy ramię w ramię na ogrodowej ścieżce.

Dogger, rzecz oczywista, widział w życiu wiele trupów.

Przyklęknął i dotknął dwoma palcami szyi zmarłego, by

zbadać puls - zrobił to z taką wprawą, jakby nie zajmował się niczym innym przez całe życie.

Powaga, jaka odmalowała się na jego obojętnej twarzy, kazała mi przypuszczać, że puls nie wyczuł.

Podniósł się z wolna i otrzepał dłonie, jakby je czymś zabrudził.

- Powiem pułkownikowi mruknął.

- Nie powinniśmy zadzwonić po policję?

- zapytałam.

Przesunął długimi palcami po nieogolonym podbródku, jakby rozważał kwestię, która wstrząśnie podstawami świata.

Korzystanie z telefonu w Buckshaw obwarowane było kilkoma surowymi restrykcjami.

- Tak.

odezwał się w końcu.

Chyba powinniśmy.

Pocłapaliśmy razem - za wolno!

- do domu.

Dogger podniósł słuchawkę i przyłożył ją do ucha, ale niezwolnił palcami widełek.

Otworzył i zamknął usta, a potem pobleął.

Ręka zaczęła mu drżeć i przez chwilę miałam wrażenie, że zaraz wypuści słuchawkę z dłoni.

Popatrzył na mnie bezradnie.

- Dobrze - powiedziałam, odbierając murek.

- Jato zrobię.

- Bishop's Lacey 221 - powiedziałam do słuchawki.

Czekając na połączenie, pomyślałam, że Sherlock uśmiełby się do ducha z tego zbiegu okoliczności.

- Policja odezwał się urzędowy głos na drugim końcu linii.

- Konstabl Linnet?

- zapytałam.

- Mówi Flawia de Luce z Buckshaw.

Nigdy czegoś takiego nie robiłam i musiałam się posłużyć wzorcami z radia i kina.

- Chciałabym zameldować otrucie - powiedziałam.

- Czy może pan przysłać inspektora?

' Sherlock Holmes mieszkał w Londynie przy Baker Street 22/B.



- Prosi panienska o karetkę, panno Flawio?

- zapytał.

- Nie wysyłamy inspektorów bez potrzeby.

Wysyłamy ich tylko wtedy, gdy zdarzy się coś podejrzanego.

Proszę poczekać, znajdę ołówki.

Nastąpiła doprowadzając mnie do szału przerwa, podczas której konstabl przekładał przybory piśmiennicze, by wreszcie odezwać się ponownie:

- A teraz proszę mi powiedzieć, kim jest zmarły, najpierw nazwisko.

- Nie znam jego nazwiska - odparłam.

- Toobcy.

To była prawda, nie znałam jego nazwiska.

Ale trup w ogrodzie nie był całkiem obcy, o czym wiedziałam aż za dobrze

- rudowłosego trupa w szarym garniturze był ostatniej nocy żywym mężczyzną, którego podejrzałam w gabinecie ojca przez dziurkę od klucza.

Mężczyzną, któremu ojciec.

Ale nie mogłam im tego powiedzieć.

- Nie znam jego nazwiska - powtórzyłam.

- Nigdy go nie widziałam.

Przekroczyłam granicę.

Pani Mullet i policjanci przybyli jednocześnie - onapiechotę z wioski, oni w granatowym wauxhallu saloon.

Samochód zatrzymał się z chrzęstem na żwirowym podjeździe, otworzyły się przednie drzwi i wysiadł mężczyzna.

- Panna de Luce.

- Wypowiedział moje nazwisko jak zaklęcie, po którym znalazłam się w jego mocy.

- Czy mogą nazywać cię Flawią?

Kiwnęłam głową.

- Inspektor Hewitt - przedstawił się.

- Czy twój ojciec jest w domu?

Inspektor Hewitt był dosyć przystojnym mężczyzną o falujących włosach, szarych oczach i posturze buldoga

przypominającej nieco sylwetkę asa lotnictwa myśliwskiego

Douglasa Badera, którego zdjęcie widziałam w starych numerach "The War Illustrated" walających się w białych zaspach w salonie.

- Owszem odpowiedziałam.

Ale jest raczej niedysponowany.

- Słowo "niedysponowany" zapożyczyłam z zasobów leksykalnych Ofelii.

- Sama pokażę panu trupa.

Pani Mullet opadłszy, a oczy wyszły jej z orbit.

- Och, dobry Boże!

Proszę mi wybaczyć, panno Flawio, ale

o dobry Boże!

Gdyby miała na sobie fartuch, ściągnęłaby go przez głowę, rzuciła w kąt i czym prędzej uciekła, ale nie miała.

Zamiast tego wpadła do domu przez otwarte drzwi.

Dwaj mężczyźni w granatowych garniturach, którzy - jakby w oczekiwaniu na instrukcje siedzieli do tej pory z tyłu policyjnego auta, wygramolili się na zewnątrz.

- Detektyw sierżant Woolmer i detektyw sierżant Graves przedstawił ich inspektor Hewitt.

Sierżant Woolmer był zwalsty i nabity, o zmiażdżonym na płask nosie zawodowego boksera, natomiast sierżant Graves przypominał rozszczębiotanego, jasnowłosego wróbelka z dołeczkami w policzkach, gdy się śmiechał, potrząsając moją ręką.

- A teraz, jeśli byłabyś tak uprzejma.

- zwrócił się do mnie inspektor Hewitt.

Obaj detektywi sierżanci wyładowali walizki z bagażnika vauxhalla, a ja poprowadziłam ich w żałobnej procesji przez dom do ogrodu.

Wskazawszy im ciało, przyglądałam się zafascynowana, jak sierżant Woolmer rozpakowuje sprzęt fotograficzny i montuje aparat na drewnianym statywie.

Jego grube jak parówki paluchy bardzo zręcznie i biegle ustawiały małe srebrne pokrętła aparatu.

Gdy obfotografował ogród, poświęcając szczególną uwagę grządcz ogórkami,

sierżant Graves otworzył podniszczoną skórzaną teczkę.

kę, w której stały schludnymi rzędami buteleczki i flakoniki i w której dostrzegłam paczuszkę błyszczących kopert z glazurowanego papieru.

Postąpiłam ochoczo krok, śliniąc się niemal na widok przenośnego laboratorium, któremu chciałam przyjrzeć się z bliska.

- Zastanawiam się, Flawio.

zwrócił się do mnie inspektor Hewitt, stąpając ostrożnie wśród orórków .  
czy mogłabyś poprosić kogoś o zorganizowanie dla nas herbaty?

Na pewno dostrzegł wyraz malujący się na mojej twarzy.

- Dostaliśmy już herbatę.

Czy mogłabyś się wokół tego zakrzętnąć?

I towszystko.

I zawsze tak samo, od narodzin po śmierć!

Bez mrugnięcia powieką, bez choćby jękania odsyła się jedyną kobietę na miejscu zbrodni do kuchni, żeby przypilnowała wrzátku.

Żeby się zakrzętnęła!

Zorganizowała!

Za kogo on mnie bierze?

Za pastucha?

- Zobaczą, co da się.

zorganizować, inspektorze - odrzekłam.

Oschle, mam nadzieję.

- Dziękuję - powiedział Hewitt.

A kiedy ruszyłam ku

kuchennym drzwiom, zawołał niespodziewanie: Aha, Flawio.

Odwróciłam się z napięciem.

- Napijemy się herbaty w domu.

Nie musisz jej tu przynosić.

Co za tupet!

Co za cholerny tupet!

Ofelia i Dafne siedziały przy śniadaniu.

Pani Mulletz dążyła przekazać im hiobowe wieści, a one zdążyły udrapować się przy stole w pozach udawanej obojętności.

Usta Ofelii nie nosiły jeszcze śladów mojego preparatu i odnotowałam w pamięci, żeby zapisać później godzinę postrzeżenia i jego rezultaty.

- Znalazłam trupę w ogórkach - poinformowałam je.

- Jakże to do ciebie podobne - rzuciła Ofelia, nie przerywając skubania brwi.

Dafne skończyła czytać Zamczysko w Otranto i zajął się Nicholasem Nickleby.

Zauważyłam, że czytając, przygryzadolną wargę, co było widomą oznaką podekscytowania.

Zapadła dramatyczna cisza.

- Czy było dużo krwi?

zapytała w końcu Ofelia.

- Ani trochę- odpowiedziałam.

- Ani kropelki.

- Czyj to trup?

- Nie wiem- odrzekłam, ukrywając prawdę.

- Śmierć anonimowej ofiary - oznajmiła Dafne głosem spikerki radia BBC, odrywając się od Dickensa i posługując się palcem jako zakładką.

- Skąd wiesz, że ofiara jest anonimowa?

- zapytałam.

- Dzięki podstawom logicznego myślenia odpowiedziała.

- Nie jesteś nią ty ani ja, ani Fela.

Pani Mullet jest w kuchni, a Dogger z gliniarzami w ogrodzie.

Z kolei tata przed kilkoma minutami brał kąpiel na górze.

Miałam zamiar powiedzieć, że to ja brałam kąpiel na górze przed kilkoma minutami, ale nie zdecydowałam się, gdyż wywołałoby to serię komentarzy na temat mojej czystości.

Ale istotnie wzięłam kąpiel- po porannych wydarzeniach w ogrodzie, ogarnęła mnie nagle potrzeba wymoczenia się w wannie.

- Chyba został otruty mruknięłam.

Ten trup, znaczy się.

- Zawsze mamy do czynienia z trucizną, czyż nie?

spytała retorycznie Fela, odrzucając włosy z oczu.

- Przynajmniej w tych tanich powieściach detektywistycznych.

Obawiam się, że nasza anonimowa ofiara popełniła fatalny błąd i posiliła się wypiekiem pani Mullet.

Odsunęła od siebie niedojedzone resztki jajka po wiedeńsku, a mnie zaświtała w głowie pewna myśl zaświta.

łajak iskra w kominku ale zanim zdołałam ją rozwinąć,przerwano mi.

- Posłuchajcie tego -rzuciła Dafne, otwierając książkę.

Fanny Squeersnapisała w liście: Nasze zdenerwowanieprzechodzi wszystko, a ojczulek wygląda jak jedna maska niebieskichi zielonych sińców a oprócz tego dwie ławki są zbroczone jego krwią.

Musieliśmy kazać zanieśćgo do kóchni na parter, gdzie jeszcze leży.

Jakwienc może pan z.

tego osondziędoprowadzono go do opłakanegostanu.

Najprzód pański bratanek, polecony przez pana na nauczyciela zrobił to wszystko mojemu ojczulkowi i skoczył nogami na jego leżance ciało i przeklinał słowami,które nie splamią megopiuraa potem ze straszną gwałtownością napadł na moją mamę, rzucił ją na ziemię i wbiłjejpare cali grzebienia w głowę, który miała wpientywe włosy.

Jeszcze trochę, a utkwilby w czaszce.

Posiadamy certyfikatlekarSKI że gdyby tak się stało, szylkret naruszyłby muzg.

- I jeszcze tego; Ja i muj brat staliśmy sie puźniej ofiarami jego szału, od kturiego ucierpieliśmy znacznie, co prowadzi nas do okropnych przypuszczeń iszodnieślimy jakieś wewnenczne obrarzenia,tym bardziej że zewnącznych śladów gwałtu nie widać zupełnie.

Kiedy pisze ten list całyczas płacze nagłos.

Wyglądało tona klasyczny przypadek otrucia cyjankiem, ale nie miałam zamiaru dzielić się moimi intuicjami ztymi dwoma nudziarami.

- Kiedy pisze ten list cały czas płacze na głos.

- powtórzyłaDafi.

Wyobraźcie sobie!

- Znam to uczucie - mruknełam, odsuwając talerz z nietkniętymśniadaniem.

Odeszłamod stołui wspięłam sięwschodnimi schodami do laboratorium.

Życie i przygody NicholasaNickleby, tłum.

Tadeusz J.

Dehnel i AnnaPrzedpeńska, Warszawa 1953.

Zawsze kiedy miałam jakieśmartwienia, ukrywałam sięwmoim sanctumsanctorum.

Tu, pośród flakonów i probówek,otaczał mnie, jak sądziłam, Duch Chemii.

Tu powtarzałamczasamikrok po kroku odkrycia wielkich chemików.

Albozdejmowałam z czułością z półki jakiś tom z bezcennej biblioteki

Tara de Luce'a, naprzykład angielskie tłumaczenie Elementarnych zagadnień chemii Antoine'a Lavoisiera wydrukowane w roku 1790-Mimo upływu stu sześćdziesięciu lat od wydania tej książki, jej stronicie szeleściły świeżo jak papier u rzeźnika.

Rozkoszowałam się starodawnymi nazwami związków chemicznych, rozkwitającymi niemal na każdej stronie: masło antymonowe.

kwiat arszeniku.

Lavoisier nazwał te związki "cuchnącymi truciznami", ale ja używałam sobie, wymawiając ich nazwy jak proszęw uzdrowisku.

Królewska żółć!

powiedziałam głośno, obracając tę nazwę w ustach, delektując się nią, mimo jej trującej natury.

-Kryształy Wenus!

Dymiący likier Boyle'a!

Olej mrówkowy!

Ale tym razem to nie podziało wracałam myślami do ojca, rozważając w tę i z powrotem to, co widziałam i usłyszałam.

Kim był ten Twining- "Stary Czajnik" - którego, jak twierdził ojciec, zabili?

I dlaczego ojciec nie zszedł na śniadanie?

To bardzo mnie zaniepokoiło.

Ojciec zawsze twierdził, że śniadanie to "uczta dla ciela" i o ile wiem, nie było takiej siły na ziemi, która mogłaby go odwieść od spożycia pierwszego w ciągu dnia posiłku.

Potem przypominałam sobie fragment z Dickensa odczytany przez Dafne: niebieskie i zielone sińce.

Czy ojciec toczył bójkę z nieznajomym i odniósł rany, których nie mógł pokazać przy stole?

A może odniósł "obrażenia wewnętrzne" opisywane przez Fanny Squeers - obrażenia, które nie zostawiają zewnętrznych śladów przemocy.

A może właśnie to przydarzyło się rudemu mężczyźnie?

Co wyjaśniałoby, dlaczego nie widziałam krwi.

Czy ojciec może być mordercą?

Ponownie!

Kręciło mi się w głowie.

Postanowiłam się uspokoić za pomocą oksfordzkiego słownika języka angielskiego.

Zdjęłam z półki tom z literą "V".

Jak brzmiało słowo, które umierający wydyszał mi prosto w twarz?

"Vale" \ Tak, to było to.

' Przerzucałam stronicie: "vagabondical".

"vagrant".

"vain".

Jest!

"Vale": żegnaj, do widzenia, bądź zdrow!

Wymawia się je "wale" i jest to druga osoba liczby pojedynczej od łacińskiego bezokolicznika czasownika "valere": być zdrowym.

"Bądź zdrowa"?

Czy tak żegnał się ze mną umierający, który wcale mnie nie znał?

Moje rozmyślanie przerwało nagłe dudnienie dobiegające z holu.

Ktoś walił w obiadowy gong.

Ów olbrzymi dysk - tylko troszeczkę mniejszy od tegoż czołówki wytwórni filmowej J.

Arthura Ranka - nie był używany odlat, co tłumaczy, dlaczego tak się wzdrygnęłam, słysząc jego ogłuszający ton.

Wybiegłam z laboratorium i zbiegłam schodami na dół.

Przy gongu stał jakiś przerosnięty osobnik, który nadal dzierżył pałkę w dłoni.

Koroner powiedział.

Zrozumiałam, że miał siebie na myśli.

Choć nie podał nazwiska, rozpoznałam go natychmiast jako doktora Darby'ego - jednego z dwóch partnerów jedynej praktyki medycznej w Bishop's Lacey.

Doktor Darby wyglądał jak brat bliźniak Johna Bulla - ta sama czerwona, nalana twarz ztrzęsiona podbródkami

John Bull - postać stereotypowego porywczego i grubiańskiego Anglika.

Stworzył ją szkocki pisarz John Arbuthnot w roku 1712.

Dawniej i dziś chętnie przedstawiana w karykaturze jako

ucieleśnienie Anglii/Wielkiej Brytanii.

i ten sambrzuch przypominający wydęty wiatrem żagiel. Miał na sobie brązowy garnitur uzupełniony kamizelką żółte szachownice, a w ręku trzymał tradycyjną lekarską torbę w kolorze czarnym.

Jeśli pamiętał mnie jako dziewczynkę, której przed rokiem szywał rękę skaleczoną o niesforny kawałek laboratoryjnego szkła, nie dał tego posobie poznać i stał wyczekująco jak pies, który złapał trop.

Ojciec gdzieś przepadł, podobnie jak Dogger.

Ofelia i Dafne nigdy by się niezniżyły do zareagowania na dźwięk gongu ("Nie jestem psem Pawłowa", mawiała Fela), a pani Mullet nigdy nie wychodziła z kuchni.

- Policjanci są w ogrodzie - poinformowałam przybysza.

- Zaprowadzę pana.

Kiedy wyszliśmy na słońce, inspektor Hewitt przyglądał się właśnie sznurówkom czarnych półbutów wyrastających dosyć niepokojąco spośród ogórków.

- Dzień dobry, Fred powiedział.

Dobrze, że jesteś.

Chciałbym, żebyś rzucił na to okiem.

- Hm odpowiedział doktor Darby.

Otworzył torbę, poszperał w niej przez chwilę, po czym wyjął ze środka białe papierowe opakowanie.

Sięgnął doń dwoma palcami i wydobył miętówkę, którą wrzucił do ust i zassał z lubością.

Chwilę później zatopił się w ogórkach, klękając obok trupa.

- Ktoś, kogo znamy?

- zapytał bełkotliwie z powodumiętówki.

- Nie sądzę - odpowiedział inspektor Hewitt.

- Pustekieszenie.

żadnych dokumentów.

Ale mam powody, by przypuszczać, że przypląnął niedawno z Norwegii.

Przypląnął niedawno z Norwegii?

Ta dedukcja była godna wielkiego Sherlocka Holmesa!

A ja usłyszałam ją na własne uszy!

Byłam gotowa wybaczyć inspektorowi jego wcześniejsze grubiaństwa. no, prawie.

Zasięgamy informacji.

porty docelowe i tak dalej.





Cholerni Norwedzy!

- zaklął doktor Darby, podnoszący zamykając torbę.

- Zlatują tu jak mewy do latarni morskiej, rozbijają sobie głowy, a my musimy po nich sprzątać.

To nie fair, prawda?

Potrzebny mi jest czas zgonu do raportu powiedział Hewitt.

Trudno powiedzieć.

Zawszetak jest.

No, nie zawsze, ale często.

Mniej więcej?

Przy sinicy różnie bywa: trzeba poczekać, żeby ustalić, czy się nasila, czy zmniejsza, sam wiesz.

Według mnie osiem do dwunastu godzin.

Powiemci więcej, kiedy wrzucimy go na stół.

Osiem do dwunastu godzin, czyli.

Doktor Darby odsunął mankiet i spojrzął na zegarek.

Policzmy.

mamy 8:22, więc nie wcześniej niż o tej samej godzinie zeszłego wieczoru nie później niż, powiedzmy.

.. o północy.

O północy!

Musiałam głośno syknąć, bo inspektor Hewitt i doktor Darby odwrócili ku mnie głowy.

Jak mam impowiedzieć, że zaledwie parę godzin temu nieznamy Norwegii wydał ostatnie tchnienie prosto w moją twarz?

Byłoby tylko jedno rozwiązanie - dałam drapak!

Odnalazłam Doggera, który przycinał różę na grządce pod oknem biblioteki.

W powietrzu unosił się ciężki zapach kwiatów - cudowny powiew orientalnej herbaty.

Ojciec jeszcze nie zszedł?

zapytałam.

Lady Hillingdon jest w tym roku wyjątkowo urocza, panno Flawio - odrzekł, pokazując mi różę.

Powiedziało bez mrugnięcia powieką, jakby w nocy nic się nie stało, jakbyśmy wcale się nie widzieli pod drzwiami ojcowskiego gabinetu.

Świetnie, pomyślałam, bawm się dalej.

- Wyjątkowo urocza - zgodziłam się.

- A wracając doojca.

- Chyba nie spał zbyt dobrze.

Obawiam się, że zostanie dziś dłużej w łóżku.

Zostanie dłużej w łóżku?

Jak może się wylegiwać, kiedy dom rośnie od stróżówprawa?

- Jak zareagował, kiedy powiedziałeś mu o.

no wiesz.

ogrodzie?

Dogger spojrzała na mnie uważnie.

- Nie powiedziałem mu, panienko.

Wyciągnął rękę uzbrojoną w sekatori ściał niezbyt udaną różę.

Upadła na ziemię i znieruchomiała z nadąsaną miną, przyglądając się nam z dołu.

Wpatrywaliśmy się w zdekapitowany kwiat, zastanawiając się nad następnym pociągnięciem, gdy zza rogu wyłonił się inspektor Hewitt.

- Flawio - zwróciłeś do mnie.

- Chciałbym zamienić tobą słowo.

W domu - dodał po chwili.

## CZTERY

- Ten, z kim rozmawiałaś w ogrodzie, to.

- zapytał.

- Dogger - odpowiedziałam.

-Imię?

- Flawia- odrzekłam.

Wolałam udawać idiotkę.

Siedzieliśmy nasofach z epoki regencji, stojących w Pokoju Różanym.

Trzasnął długopisem Biro w notatnik i odwrócił się moją stronę.

- Panno de Luce, jeśli nie zdążyła się jeszcze pani zorientować, a podejrzewam, że zdążyła, prowadzimy śledztwo w sprawie o morderstwo! Dostyc żartów!

W ogrodzie leży martwyciel, a moim obowiązkiem jest dowiedzieć się dlaczego.

Kiedy?

Jak?

A nade wszystko, kto?

Agdy już się tego wszystkiego dowiem, będę musiał wyjaśnić to Koronie.

Mam na myśli miłostwie nam panującego króla Jerzego VI.

A król Jerzy VI nie toleruje żartów z królewskiego majestatu.

Czy wyrażam się jasno?

- Tak, proszę pana odpowiedziałam.

Na chrzcie dali mi imię Arthur.

Arthur Dogger.

- Czy człowiek ten jest ogrodnikiem w Buckshaw?

-Obecnie tak.

Inspektor ponownie otworzył czarny notes i zapisał go mikroskopijnym pismem.

-A kiedyś?

- Zna się na wszystkim - odparłam.

- Był naszym szoferem, dopóki nie puściły mu nerwy.

Choć nie patrzyłam na Hewitta, czułam na sobie jego widrujący wzrok detektywa.

-To przez wojnę.

- dodałam tytułem wyjaśnienia.

Był w niewoli.

Ojciec uważał.

próbował.

- Rozumiem - zamknął sprawę inspektor nieco łagodniejszym tonem.  
Dogger jest najszcześliwszym w ogrodzie.

- Jest najszcześliwszy w ogrodzie powtórzyłam jak echo.

- Jesteś wyjątkową dziewczynką zmienił nagle temat.

- Zazwyczaj rozmawiamy z dziećmi tylko w obecności rodziców, ale ponieważ twój ojciec jest niedysponowany.

Niedysponowany?

Ach, no tak!

Zapomniałam niemal tym niewinnym kłamstewku.

Mimo mojej niewyraźnej miny Hewitt ciągnął dalej:

- Wspomniałaś, że Dogger był waszym szoferem.

Czy twój ojciec nadal ma samochód?

Miał, owszem, starego rolls-royce'a Phantom II, który teraz garażował w powozowni.

To auto należało do Harriet i nie było używane od dnia, w którym dotarła do nas wiadomość o jej zaginięciu.

Ojciec, który sam nie prowadził, nie pozwalał nikomu go dotknąć.

W rezultacie poszycie tego wspaniałego wozu pełnej krwi angielskiej, z długą czarną maską i wysoką, niklowaną, neoklasycystyczną chłodnicą z dwoma splecionymi R, dawno padło łupem myszy polnych, które przegryzły się przez drewnianą podłogę i wiły sobie gniazdka w mahoniowych schowkach.

Mimo opłakanego stanu maszyny nadal mówiono o niej "royce" - tak przynajmniej mówili o niej ludzie z klasą.

- Tylko ciemni chłopcy nazywają tego rodzaju wozy "rollsami" - zwróciła mi uwagę Ofelia, kiedy zdarzyło mi się żyć w jej obecności niestosownego miana.

Kiedy chciałam być sama w miejscu, w którym nikt niemógł mnie znaleźć, wspinałam się na pokryte kurzem fotele rollera Harriet i przesiadywałam całymi godzinami w aucie, jak w rozgrzanym inkubatorze, otoczona wiotczającą tapicerką z popękanej, nadgryzionej skóry.

Gdy usłyszałam niespodziewane pytanie inspektora, przypomniałam sobie pewien ponury, burzliwy dzień ostatniej jesieni, dzień zacinającego deszczu i oszalałego huraganowego wiatru.

Spacer w lesie za Buckshaw był niemożliwy z drzew odrywał się gałęzie ale i tak wymknęłam się z domu i walcząc z wichurą, dotarłam do powozowni, żeby dobrze się nad czymś zastanowić.

W środku phantoma służył służbiście, wyłaniając się z cienia.

Na dworze szalała wyla burza, tłukąc w okna jak stado wygłodniałych jędz.

Położyłam już dłoń na klamce, kiedy zdałam sobie sprawę, że ktoś siedzi w wozie.

O mało nie wyskoczyłam ze skóry!

Tobyl ojciec.

Siedział z pochyloną głową, a z jego oczu kapowały.

Niczego nie słyszał, zatopiony w własnych ponurych myślach.

Stałam całkiem nieruchomo przez kilka dobrych minut.

Bałamsię poruszyć, bałamsię nawet odetchnąć!

Kiedy ojciec wyciągnął rękę do klamki, opadłam bezgłośnie na brzuch i przetoczyłam się pod podwoziem jak gimnastyczka na drugą stronę auta.

Kątem oka dostrzegłam jego lśniące półwellingtony zstępujące ze schodka, a gdy odchodził, usłyszałam jeszcze stłumiony szloch, który wyrwał mi się z piersi.

Długo leżałam pod podwoziem i gapiłam się w deskę podłogi royce'a Harriet.

- Owszem - odpowiedziałam inspektorowi.

- W powozowni stoi stary phantom.

- Twój ojciec nie prowadzi?

- Nie.

- Rozumiem.

Inspektor odłożył długopis Biro i czarny notatnik tak ostrożnie, jakby oba te przedmioty zostały wykonane z weneckiego szkła.

- Flawio.

- zaczął (nie byłam już "panną de Luce") -.

zadam ci bardzo ważne pytanie.

Sposób, w jaki na nie odpowiesz, ma kardynalne znaczenie dla sprawy.

Rozumiesz, o czym mówię?

Kiwnęłam głową.

Wiem, że ty zameldowałaś o

tym zdarzeniu.

Ale kto odkrył ciało?

Zakręciło mi się w głowie od nadmiaru pytań.

Czy jeśli powiem mu prawdę, narażę jakoś ojca?

A może policja już wie, że to ja przyprowadziłam Doggera na grządkę z ogórkami?

Nie, oczywiście, że nie!

Przecież inspektor pytał mnie o imię Doggera, mogłam więc bezpiecznie przyjąć, że jeszcze go nie przesłuchiwał.

Ale co mąpowie Dogger, kiedy go w końcu przesłucha?

Kogo znas będzie osłaniał: ojca czy mnie?

Czy wymyślono już jakiś test, który pozwoliłby im stwierdzić, że ofiara jeszcze żyła, kiedy ją odkryłam?

-Ja..

-wymamrotałam.

-Ja je odkryłam.

- Czuliśmy się, jakbym sama padła trupem.

- Tak myślałem - zauważył przytomnie inspektor.

Zapadła niezręczna cisza.

Przerwało ją przybycie sierżanta Woolmera, który za pomocą masywnego brzucha

wepchnął do pokoju.

ojca!

Znaleźliśmy go w powozowni, panie inspektorze rzucił Woolmer.

Ukrył się w starym gracie.

Kim pan jest?

zapytał ojciec.

Był wściekły i przez chwilę ujrzałam w nim mężczyznę, jakim musiał być dawniej.

- Kim pan jest i co pan robi w moim domu?

- Inspektor Hewitt przedstawił się policjant.

Dziękuję wam, sierżancie.

Woolmer wycofał się tyłem i zniknął za drzwiami.

Słucham.

zaczął ojciec.

W czym rzecz, inspektorze?



- Rzecz w tym, proszę pana, że w pańskim ogrodzie znaleziono ciało.

-Jak to "ciało"?

Ma pan na myśli zwłoki?

Inspektor Hewittkiwnął głową.

- Owszem, proszę pana.

-Czyje?

To znaczy, czyje zwłoki?

W tej samej chwili dotarło do mnie, że ojciec nie miał nigdzie żadnych śladów walki najmniejszych zadrapań, przecięć, siniaków.

nic nie było widać - przynajmniej w odkrytych miejscach.

Zauważyłam również, że pobladła twarz - z wyjątkiem uszu, które zrobiły się czerwone jak z plasteliny.

Inspektor także to zauważył.

Nie odpowiedział od razu na pytanie ojca, pozwolił, by zawisło w powietrzu.

Ojciec odwrócił się i pomaszzerował szerokim łukiem dobarku, muskając po drodze opuszkami palców powierzchnię każdego mijanego mebla.

Nalał sobie wermutu Votrix z dzinemi wypił to jednym haustem, a wszystko tak płynnie, jakbyćwyczył ten gest od bardzo, bardzo dawna.

- Nie zidentyfikowaliśmy jeszcze ciała, pułkownika deLuce.

W istocie, miałem nadzieję, że pan nam w tym pomoże.

W tym momencie twarz ojca pobieleła jeszcze bardziej - jeśli to było w ogóle możliwe - a uszy stały się jeszcze czerwieniejsze.

- Proszę mi tego oszczędzić, inspektorze odezwał się niemal szeptem.

- Proszę mi to darować.

Źle znoszę.

pojmuję pan.

widok.

zmarłych.

Źle znosi widok zmarłych!

Ojciec był żołnierzem, a żołnierze codziennie ocierają się o śmierć.

Żyją śmiercią i ze śmierci!

Dla zawodowego żołnierza śmierć co może zabrzmieć paradoksalnie - to życie!

Nawet ja to wiedziałam!

Domyśliłam się, że ojciec skłamał, i nagle bez ostrzeżenia pękła we mnie jakaś nić.

Nagle i bezostrzeżenia postarzałam się o kilka lat i coś we mnie runęło.

- Rozumiem, proszę pana - odparł inspektor Hewitt.

- Ale jeśli nie będziemy mieli innego wyjścia.

Ojciec wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł czoło, a potem kark.

- To wstrząs, pojmuje pan.

- rzucił.

- To wszystko.

Wskazał drżącą ręką otoczenie, a inspektor wyjął notes, otworzył go i zaczął pisać.

Ojciec podszedł powoli do okna, udając, że chce podziwiać rozciągający się za nim widok, który - podobnie jak on - znałam na pamięć: sztuczny staw, wyspa z rozpadającą się altaną, zepsute fontanny nieczynne od wybuchu wojny, wzgórza za nimi.

- Czy był pan w domu przez cały ranek?

- zapytał nieoczekiwanie inspektor.

- Że co?

- Ojciec odwrócił się napięcie.

- Czy wychodził pan z domu od wczorajszego wieczoru?

Minęła długa chwila, zanim ojciec zdecydował się udzielić odpowiedzi.

- Owszem - przyznał w końcu.

- Wyszedłem rano z domu.

Byłem w powozowni.

Musiałam się opanować, żeby nie zachichotać.

Sherlock Holmes, mówiąc o swoim bracie, Mycroftie, stwierdził kiedyś, że natknięcie się na niego poza Klubem Diogenesa jest tak mało prawdopodobne, jak spotkanie tramwaju na wiejskim gościńcu.

Ojciec, jak Mycroft, miał swoje przyzwyczajenia i rzadko z nich rezygnował.

Z wyjątkiem wyjścia do kościoła i krótkiego spaceru na stację, z której jechał pociągiem na wystawy filatelistyczne, rzadko - jeśli w ogóle - wystawiał nos za drzwi.

- Która mogła być wtedy godzina, panie pułkowniku?

- Może czwarta.

A nawet wcześniej.

- Spędził pan w powozowni.

- Hewitt spojrzał na ze

garek - .

pięć i pół godziny?

Od czwartej rano aż do tejchwili?

- Owszem, aż do tej chwili - odpowiedział ojciec.

Nie był przyzwyczajony, by ktoś podawał w wątpliwość jego słowa, i choć inspektor mógł tego nie zauważyć, widziałam, że ojciec jest coraz bardziej poirytowany.

- Rozumiem.

Czy często wychodzi pan tak wcześnie z domu?

Pytanie Hewitta zabrzmiało niezobowiązująco, niemaltowarzystwo, ale wiedziałam, że wcale tak nie było.

- Nie, niezupełnie, nie, raczej nie odparł ojciec.

Do czego pan zmierza?

Inspektor Hewitt postukał się długopisem w koniec nosa, jakby obmyślał wymijającą odpowiedź dla komisji parlamentarnej .

- Czy widział pan kogoś w ogrodzie?

- zaatakował.

- Nie odpowiedział ojciec.

Oczywiście, że nie.

Ani żywego ducha.

Inspektor przestał stukać się długopisem po nosie, żeby coś zanotować.

- Nikogo?

- Nikogo.

Hewitt pokiwał ze smutkiem głową, jakby wiedział o tym od dawna. Wydawał się rozczarowany, westchnął i schował notes do kieszeni na piersi.

- Ostatnie pytanie, panie pułkowniku, jeśli nie ma pańnic przeciwko temu.

- rzucił nagle, jakby coś przyszło mu do głowy.

Co pan robił w powozowni?

Spojrzenie ojca powędrowało za okno, szczęki się zacisnęły.

Potem odwrócił się nagle i spojrzał Hewittowi prosto w oczy.

- Nie mogę odpowiedzieć panu na to pytanie - odrzekł.

- Doskonale - mruknął Hewitt.

- Jak sądzę.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi pchnięte obfitą dolną częścią ciała pani Mullet, która wtoczyła się do pokoju z zastawioną tacą.

- Przyniosłam pyszniutki anyżki -oznajmiła.

- Anyżki, herbatę i pyszniutkiemleko dla pannyFlawii.

Anyżki i mleko!

Nienawidziłam anyżków pani Mullet, tak jak święty Pawełnienawidził grzechu!

Byłam gotowa wskoczyćna stół i wymachując parówkąnadzianą nawidelec jak berłem, zawołać naj donośniej szym głosemLaurence'a Otwiera: "Czy nikt nie wyzwoli mnie od tejniężnośnej kucharki?"

".

Ale nie zrobiłam tego.

Zachowałam zimną krew.

Pani Mulletdygnęła i postawiła tacę przed inspektoremHewittem i dopiero wtedy zauważyła ojca, który wciąż stałpod oknem.

- Och, pułkowniku deLuce!

Tak się cieszę, że panawidzę.

Chciałam panu powiedzieć, że pozbyłam się tegozdechłego ptaszyska, które znaleźliśmy na wczorajszychschodach.

Pani Mullet musiała gdzieśwyczytać, że stworzenie związkówfrazologicznych w rodzaju "wczorajszych schodów"jest nietylko wielce oryginalne, ale ipoetyckie.

Ojciec nie zdążył zbyć tej sprawy milczeniem, gdyż stery już dawno przejąłinspektor Hewitt.

- Zdechły ptak naschodach?

Proszę nam o tym opowiedzieć, pani Mullet.

- Tak, proszępana.

No, cóż, pan pułkownik, pannaFlawia i ja przebywaliśmy wczoraj w kuchni.

Właśnie wyjęłam z piekarnika pyszniutką kremówkę i odstawiłam jąnaparapet, żeby wystygła.

O tej porze dnia zaczynam przemyśliwać o powrocie do domu, doAlfa.

Alf to mój mąż,proszę pana.

Nielubi, kiedy bawię poza domem w porzeherbaty.

Twierdzi, że kołuje mu się w głowie, jeśli coś wytrąca z równowagi jego układ trawienny.

A kiedy coś wytrąciz równowagi jego układ trawienny, to,powiadam,.

nie chciałby pan tego widzieć.

Wszędzie wiadra ścierki i w ogóle.

- Godzina, pani Mullet?

-Godzina?

Aha, godzina była jedenasta, albo kwadrans po.

Przychodzę na cztery godziny rano, od ósmej do dwunastej, i trzy godziny po południu, od pierwszej do czwartej, bynajmniej - oznajmiła, piorunując wzrokiem - niewiedzieć czemu-oj ca, który wyglądał przez okno tak uparcie, że nie mógł tego zauważyć.

Zazwyczaj zostaję dłużej, bo zawsze jest coś do zrobienia.

-A ptak?

- Ptak leżał na schodach, zdechły jak osiołek Dorotki.

Kszyk to był, taki bekas, proszę pana.

Bóg jedyny wie, ile porządziłam tych bekasów!

Więc umiem odróżnić jednego od drugiego.

Ale przestraszyłam się, jakgo zobaczyłam leżącego na plecach z piórkami trzęsącymi się na wietrze, jakby jeszcze żył!

Choć serduszko już mu nie biło.

Tak powiedziałam Alfowi: "Alf, ten ptak leżał tam, jakby jeszcze żył, choć serduszko już mu nie biło.

".

-Jest pani bardzo postrzegawcza, pani Mullet -pochwalił ją inspektor Hewitt, a ona cała się nadęła jak gardłacz z rozdętym różowawym wolem.

- Czy zauważyła pani coś jeszcze?

- Owszem tak, proszę pana.

Kszyk ten miał na dzióbku znaczek, jakby z nim przyleciał, zupełnie jak bocian z dzieciątkiem w pieluszcze, jeśli pan wie, co mam na myśli.

Chociaż nie, nie wyglądał jak bocian, wyglądał całkiem inaczej.

- Znaczek, pani Mullet?

Znaczek jakiego rodzaju?

-Pocztowy, proszę pana, ale nie z tych dzisiejszych, o nie!

Zupełnie inny.

Była na nim podobizna.

Ale nienaszej miłościwie nam panującej Królewskiej Wysokości, niech go Bóg ochrania, ale starej królowej.

jakiej było.

Królowej.

Wiktorii!

To znaczy, tapodobizna po

winna być na znaczku, tyle że przebił ją dziób kszyka, który wystawał, gdzie się zazwyczaj znajduje oblicze JejMajestatu.

Jest panipewna co do tego znaczka?

- Klnę się na Boga, proszę pana!

Alf zbierał znaczki zakawalera i majeszczce parę klasterów.

tych, co munie podwędzili i nie zastawili jego bracia.

Trzyma je w metalowym pudełku poherbatnikach Huntley i Palmer pod  
łóżkiemna górze.

Tyle że niewyjmuje ich już tak często jak wtedy, kiedy byliśmy młodszy.

Mówi, że jak na nie patrzy, robimy się przykro.

Ale ion, i ja umiemy rozpoznać Czarną Wiktorię za pensa, nawet przebitą  
ptasim dziobem!

Dziękuję, pani Mullet powiedział inspektor Hewitt, częstując się  
anyżkiem.

- Bardzo mi pani pomogła.

Pani Mullet dygnęła przed nim razjeszczce i podeszła do drzwi.

- Powiedziałam jeszcze Alfowi: "Wiesz, Alf, to zabawne, ale kszyki  
widuje się w Anglii dopiero we wrześniu".

Niejednego takiego kszyka obróciłam narożnie i podałam upieczzonego na  
toście.

Panna Harriet, niechaj Bógmają w swojej opiece, za niczym tak nie  
przepadała, jak za pysznym.

Za moimi plecami rozległ się jęk, a kiedy się odwróciłam, ojciec zgiął  
się wpół jak ogrodowe krzesło i osunął się na podłogę.

Muszę przyznać, że inspektor Hewitt znał się na udzielaniu pierwszej  
pomocy.

Rzucił się ku ojcu i przystawił mu ucho do piersi, rozluźnił krawat i  
sprawdził długi;,, palcem ułożenie języka w ustach.

Musiałbyć pilnym uczniem na przysposobieniu obronnym.

Po chwili otworzyła na oścież okno, ułożył na dolnej wardze palec  
wskazujący

"" Ang.

-Penny Block.

i mały, po czym gwizdnął tak przeraźliwie, że dałabym całą gwineę, żeby się tego nauczyć.

-Doktorze Darby!

- ryknął.

-proszę pana na górę, złaski swojej.

Szybko!

Niech pan weźmie torbę.

Kiedy doktor Darby wbiegł do pokoju i ukląkł przy oj -cu, ciągle stałam jak wryta, zakrywając usta palcami.

Lekarz zbadał pospiesznie puls, zajrzał w oczy, a

potem wyjął z torby małą niebieską ampułkę.

- Omdlenie - oznajmił wszystkim obecnym.

- Chwilowa utrata przytomności.

Nic wielkiego.

Uff!

Otworzył ampułkę i zanim przystawił ją ojcu do nosa, wyczułam w powietrzu dobrze znany zapach starego znajomego Ammon.

Garb.

-Ammonium carbomcum, inaczej mówiąc, węglanu amonu, albo Sa; Vo;ati;e, jak nazywałam go w laboratorium.

Drugi człon nazwy tej soli trzeźwiącej pochodził od pierwiastka amonu, odkrytego w pobliżu świątyni egipskiego boga Amona, ale nie w ziemi, tylko w

moczu wielbłąda.

Później w Londynie pewien człowiek bliskiej mi profesji opatentował sposób wydobywania tej soli z patagońskiego guana.

Chemia!

Chemia!

Jakże ją kochałam!

Kiedy doktor Darby przystawił ojcu ampułkę pod nos, ten zacharzał niczym byk na

pastwisku i uniósł powiekę jak na wołanie.

Ale nie wyrzekł ani słowa.

- Ha!

Wstaliśmy z martwych, jak widzę!

- ucieszył się doktor, gdy mocno skonfundowany ojciec próbował oprzeć się na łokciu i rozejrzeć po pokoju.

Mimo żartobliwego tonu doktor Darby podtrzymywał ojca za głowę jak

niemowlę.

- Niech się pan nie spieszy, pułkowniku.

Proszę sobie poleżeć na starym aksminsterze jeszcze przez minutę.

Inspektor Hewitt stał w pogotowiu z zatroskaną miną.

Potem pomógł ojcu wstać.

Wezwano Doggera i ojciec, wsparłszy się na nim, poszedł do siebie na górę.

Dafne i Fela pojawiły się na krótką chwilę: nic wielkiego dwie pobiegały twarzą po balustradach schodów.

Pani Mullet, wracając już na dobre do kuchni, zdążyła jeszcze położyć mi dłoń na ramieniu i zapytać:

Smakowała ci kremówka, skarbeczku?

Na śmierć o niej zapomniałam!

Aha mruknęłam.

Kiedy wspinałam się powoli schodami do laboratorium, inspektor Hewitt i doktor Darby wrócili do ogrodu.

Wyjrzałam przez okno.

Ze smutkiem i dziwnym poczuciem straty przyglądałam się dwóm sanitariuszom, którzy wyszli zza rogu domu i ułożyli zwłoki nieznanego na płóciennych noszach.

Widziałam też Doggera, który pracował przy fontannie na wschodnim trawniku, dekapituując kolejne krzewy Lady Hillingdon.

Wszyscy byli zajęci; przy odrobinie szczęścia uda mi się zrobić to, co zamierzałam, i wrócić, zanim ktokolwiek zauważy moją nieobecność.

Przekradłam się na dół i wybiegłam na dwór frontowymi drzwiami.

Kilka kroków od nich, oparta o kamienną amforę, stała moja wierna Gladys - starożytna damka marki B SA.

Wskoczyłam na nią i po kilku minutach pedałowałam wściekle do Bishop's Lacey.

Jak brzmiało to nazwisko wspomniane przez ojca?

Twining.

Właśnie tak!

"Stary Czajnik"!

Wiedziałam, gdzie je odnajdę.



## PIĘĆ

Biblioteka Publiczna w Bishop's Lacey mieściła się obecnie przy Cow Lane - wąskiej, cienistej, wysadzonej drzewami uliczce, biegnącej od High Street do rzeki.

Natomiast pierwotny budynek biblioteki był skromnym domem z czarnej cegły w stylu georgiańskim.

Jego zdjęcie pojawiło się kiedyś w kolorze na okładce "Country Life".

Mieszkańcy Bishop's Lacey dostali ten dom od lorda Margate'a, miejscowego chłopaka, który (jako Adrian Chipping) dorobił się fortuny i sławy, będąc jedynym dostawcą Beefchipsów wymyślonych przez siebie konserw z wołowiną w plasterkach - dla rządu Jej Królewskiej Wysokości podczas wojny burskiej.

Biblioteka była oazą spokoju do roku 1939.

Potem, podczas remontu, zapaliła się od zostawionych przez malarza szmat. Paliała się, kiedy premier Chamberlain wygłaszał do narodu słynne przemówienie, którego podstawowa teza brzmiała: "Dopóki nie wybuchnie wojna, zawsze istnieje nadzieja, że można jej zapobiec".

Ponieważ cała dorosła populacja Bishop's Lacey tłoczyła się przy sąsiedzkich radiodbiornikach, nikt - w tym sześciu strażaków z ochotniczej straży pożarnej nie zauważył płomieni.

Potem było już za późno.

Kiedy w końcu straż zjechała do pożaru z jednoręczną pompą, z budynku zostały tylko gorące i dymiące zgliszcza.

Na szczęście ocalał księgozbiór, przeniesiony na czas remontu na Cow Lane.

Podczas wojny nikt nie myślał o odbudowie biblioteki, nie odbudowano jej również w ciężkich latach odpoczynku po wojennym wysiłku.

Teraz miejsce po bibliotece przy Cater Street - nieopodal Trzynastu Kaczorów - było zwykłym, porośniętym chwastami placem, który oddany w wieczystą własność mieszkańców Bishop's Lacey, nie mógł być sprzedany ani wykorzystany w innym celu.

Czasowa siedziba księgozbioru przy Cow Lane zmieniła się w siedzibę stałą.

Skręcając z High Street, ujrzałam przed sobą bibliotekę: niski pudełkowaty budynek ze szkła i cegły przykryty dachówką.

Wzniesionego w roku 1920 jako salon samochodowy.

Na jednej ze ścian, tuż pod dachem za wysoko, by zwrócić uwagę złodziei

czy wandali- wisały jeszcze emaliowane tablice z dawno zapomnianymi markami samochodów Wolseley i Sherfield-Simplex.

Ćwierć wieku po wyjeździe z salonu ostatniej lagony budynek - niczym zapomniany sługa- popadł w uwiąd starczy.

Za biblioteką i wokół niej ciągnęła się królikarnia rozpadających się szop, które otoczyły salon samochodowy jak płyty nagrobne kościół. Szopy te chyliły się ku upadkowi w wysokiej trawie między salonem a nadrzeczną ścieżką dla koni holujących barki.

W kilku norach, gdzie podłogą były klepiska, zgromadzone pochodzą z dawnej biblioteki książki, które nie zmieściły się w samochodowym salonie.

Kiedyś we wznoszonych naprędce szopach znajdowały się warsztaty i magazyny części, teraz w ich mrocznych wnętrzach piętrzyły się rzędy niechcianych książek, oznaczonych u góry tematami: historia.

geografia.

filozofia.

nauki ścisłe.

Cuchnące starożytnymi smarami, zdane na prymitywnymi ubikacjami drewniane warsztaty na.

zywano "stogami" - dobrze wiedziałam dlaczego!  
Można się było w nich ukryć i przepaść na cały dzień, co często mi się zdarzało, kiedy znalazłam pasjonującą lekturę.  
Oprócz laboratorium w Buckshaw "stogi" były moim ulubionym miejscem na ziemi.

Rozmyślając o nich.

, dojechałam do drzwi biblioteki i przekreśliłam gałkę.

-A niech to diabli!

-zaklełam.

Drzwi były zamknięte.

Podeszłam do okna, by zerknąć do środka, i zauważyłam wypisaną ręcznie czarną kredką tabliczkę: ZAMKNIĘTE.

Zamknięte?

Przecież była sobota, a w sobotę biblioteka jest czynna od 10:00 do 14:30. Godziny te wypisano czarną na białym na porządnej tabliczce obok drzwi. Czy coś się przytrafiło panie Pickery?

Szarpnęłam gałką u drzwi, a potem załomotałam w nie.

Przystawiłam dłoń do szyby i zajrzałam do środka, ale dostrzegłam tylko pyłki kurzu tańczące w promieniach słońca i opadające na książki na półkach.

- Panno Pickery!

- zawołałam.

Na próżno.

- A niech to wszyscy diabli!

-powtórzyłam.

Będę musiała przełożyć poszukiwania na inny dzień.

Stałam przed starym salonem samochodowym i przyszło mi do głowy, że w niebibliotekisą czynne przez dwadzieścia cztery godziny nadobę przez siedem dni w tygodniu.

Nie..

osiem dni w tygodniu.

Wiedziałam, że panna Pickery mieszka przy Shoe Street.

Jeśli zostawię tutaj rower i pójde skrótami obok bibliotecznych stogów, minę Trzynaście Kaczorów i wyjdę obok domu panny Pickery.

Ruszyłam ostrożnie przez wysoką, moką trawę, wypatrując w niej zdradzieckich kawałków porzeczonych części samochodowych, które tu i ówdzie wystawały z ziemi jak kości dinozaurów na pustyni Gobi.

Dafne opisała kiedyś szczegółowo skutki tężca: małe zadrapanie zardze

wiała samochodową osiã, a z ust popłynęła miewiana, będąszczekać jakpies i padnęła na ziemię w konwulsjach na widok szklanki wody. Chciałam splunąć na ziemię obrzydzenia, ale usłyszałam głosy.

-Ale jak mogłaś mu na to pozwolić, Mary!

- oburzałam się młody mężczyzną na dziedzińcu gospody.

Ukryłam się za drzewem i wystawiłam zza pnia czubek nosa.

Głos należał do Neda Croppera, chłopaka od wszystkiego z Trzynastu Kaczorów.

Ned! Ofelia na samą myśl o nim zachowywała się jak pozastrzyku nowokainy.

Wbiła sobie do głowy, że chłopak jest osobowością Dirka Bogarde'a, choć podobieństwo między nimi ograniczało się do tego, że obaj mieli ręce i nogi oraz grzywę wybrylantynowanych włosów.

Ned siedział na beczce z piwem przed tylnymi drzwiami gospody.

Obok, na innej beczce, siedziała niejaka Mary Stoker.

Nie patrzyli na siebie Ned rysował obcasem na ziemi skomplikowany labirynt, a Mary z rękoma złożonymi na podolku gapiła się w przestrzeń.

Choć Ned mówił przyciszonym głosem, słyszałam każde słowo.

Gipsowa ściana Trzynastu Kaczorów doskonale odbijała dźwięk.

- Mówiłam ci, Nedzie Cropper - odezwała się Mary - że nic na to niemożna poradzić, prawda?

Stał za mną, kiedy ścieliłam łóżko.

- Dlaczego nie krzyczałaś!

Umiesz tak krzyzczeć, że włosy stają dęba.

kiedy chcesz.

- Nieznasz mojego taty, prawda?

Gdyby dowiedział się, co mi zrobił ten facet, skroiłby mi tyłek jak się patrzy.

Splunęła na ziemię.

- Mary!

- ktoś zagrzmiał z gospody.

Grom kibas należał do ojca Mary i właściciela gospody,

Tully'ego Stokera, obdarzonego niezwykle donośnym głosem, który częściej był przedmiotem skandalicznych plotek.

Mary!

Mary skoczyła na równe nogi.

-Już idę!

- odkrzyknęła.

-Już idę!

Ale nie pobiegła od razu, wahała się przez sekundę.

A potem rzuciła się na Neda jak żmij i złożyła na jego ustach pospieszny pocałunek.

Na końcu machnęła fartuchem jak prestidigitator magiczną peleryną i zniknęła w mrocznej, otwartej na oścież sieni.

Ned siedział przez chwilę nieruchomo, po czym otarł usta wierzchem dłoni i zajął się przetaczaniem beczek w odległy kąt dziedzińca.

Cześć, Ned!

krzyknęłam.

Odwrócił się, lekko zaambarasowany.

Zastanawiał się pewnie, czy słyszałam jego rozmowę z Mary i widziałam pocałunek.

Postanowiłam niczego niewyjaśniać.

- Ładny dzień - powiedziałam z niewinnym uśmiechem.

Ned zapytał mnie o zdrowie, a następnie w stosownej kolejności o zdrowie ojca i Dafne.

Mają się nieźle poinformowałam go.

A panna Ofelia?

- spytał, trafiając wreszcie w sedno.

Panna Ofelia?

powtórzyłam.

No cóż, mówiąc szczerze, Ned, bardzo się nią niepokojemy.

Ned wyprężył się gwałtownie, jakby osa wpadła mu do ucha.

Naprawdę?

A co jej dolega?

Mam nadzieję, że to nic poważnego.

Cała pozieleniała mruknęłam.

To chyba chloroza, nazywana inaczej blednicą.

Doktor Darby też tak uważa.

W wydanym w roku 1811 Słowniku wujka wulgarnego Francis Grose nazwał chlorozę "zieloną chorobą", "miłosną gorączką" albo "przypadłością dziewczic".

Wiedziałam, że Ned nie ma dostępu do leksykonu kapitana Grose'a, i

uściskałam się wgłębi ducha za pomysłowość.

- Ned!

- rozległ się ryk z gospody.

To znów TullyStoker.

Ned zrobił krok ku sieni.

- Przekaż jej, że onią pytałem - poprosił.

Pokazałam mu palcami literkę V-zupełnie jak WinstonChurchill.

Tyle mogłam dla niego zrobić.

Shoe Street, podobnie jak Cow Lane, biegła od HighStreet ku rzece. Tudorowski domek panny Pickery stał w połowie ulicy i wyglądał jak ilustracja z pudełka z puzzlami.

Miał krytą dach i pobielone ściany, witrażowe okna podzielone na romby i czerwone holenderskie drzwi.

Mógłby sprawić rozkosz każdemu artyście, a zasprawą pruskiego muru przypominał stary żaglowiec prujący fale wśród morza kwiatów: zawilców, malw, lewkonii i dzwonków oraz innych, których nazw nie znam.

Roger, rudy kocur panny Pickery, powitał mnie na schodach i wystawił brzuch do podrapania.

Ulegałam tej prośbie.

- Grzeczna kicia pochwaliłam go.

Agdzie twoja pani?

Odszedł bez słowa, szukając czegoś godnego uwagi.

Zapukałam do drzwi.

Cisza.

Obeszłam dom i zajrzałam do ogrodu.

Nikogo tam nie było.

Wróciłam na High Street, zatrzymałam się, żeby zerknąć naciągłe tasma, popstrzone przez muchy aptekarskie słoje na aptecznej wystawie i przecięłam Cow Lane, spozierając w lewo.

Kątem oka dostrzegłam jakąś postać przy bibliotece.

Skręciłam gwałtownie pod kątem dziewięćdziesięciu stopni.

Ale gdy dojechałam do drzwi, tajemnicza postać zniknęła już w bibliotece.

Przekręciłam gałkę.

Tym razem było otwarte!

Jakaś kobieta wkładała torebkę do szuflady i sadowiła się zabiurkiem.

Nigdy w życiu jej niewidziałam!

Mia

ła twarz pomarszczoną jak jabłko zapomniane przez zimę  
w kieszeni wiatrówki.

-Słucham -powitała mnie, zerkając znad okularów.

Uczą ich tego w Królewskiej Akademii Nauk Bibliotecz\nych.

Okulary, jak zauważyłam, miały zielonkawy odcień, jakby moczo no je  
nocą w occie.

- Spodziewałam się spotkać tu pannę Pickery - powiedziałam .

-Panna Pickery musiała wyjechać w pilnych sprawach rodzinnych.

- Aha mruknęłam.

-Tak, to bardzo smutne.

Jej siostra, Hetty, która mieszka w Nether-Wolsey, miała tragiczny  
wypadek z maszyną do szycia.

Przez kilka dni wydawało się, że wszystko będzie dobrze, ale potem  
sprawy przybrały fatalny obrót i wygląda na to, że może stracić palec.  
Byłaby to niepowetowana strata, tym bardziej że siostra panny Pickery  
wychowuje bliźniaki.

Panna Pickery, rzecz jasna.

- Oczywiście przerwałam jej.

-Jestem panna Mountjoy i z przyjemnością pomogę ci niejako w  
zastępstwie.

Panna Mountjoy!

Emerytowana panna Mountjoy!

Słyszałam mroźną krewę?

w żyłach powieści o "Pannie Mountjoy i rządach terroru".

Była naczelną bibliotekarką Biblioteki Publicznej w Bishop's Lacey, kiedy  
Noe żeglował po morzach.

Na zewnątrz zachowywała się nienagannie, ale w jej wnętrzu kryło  
się kłębowisko zmij.

Tak mi mówiono.

(Mówiła mi to oczywiście pani Mullet, która czytuje powieści  
detektywistyczne).

Mieszkańcy miasteczka odmawiali nam, żeby panna Mountjoy pozostała  
na emeryturze.

- Czym mogę służyć, kochanie.

Jeśli jest jakieś słowo, którym się brzydzę, to jest nim z całą pewnością  
wyraz "kochanie".

Kiedy pisząc moje opus

magnum Traktato wszelkich truciznach, dojadę do "cyjanku", w

"zastosowaniach" umieszczę następujące zdanie: "Wyjątkowo skuteczny jako lekarstwo na tych, którzy nadużywają słowa kochanie".

Ale jedna z moich Życiowych Zasad brzmi następująco:  
kiedy o coś prosisz, trzymaj język za zębami.

Uśmiechnęłam się lekko i powiedziałam:

- Muszę zajrzeć do zbiorów prasowych.

-Do zbiorów prasowych!

- zagruchała.

-'Ojej, znamy się na terminologii, prawda, kochanie?

- Owszem- odpowiedziałam, skromnieopuszczającoczy.

Znamy się.

- Prasa ułożona jest w porządku chronologicznym w Sali Drummonda na tyłach po stronie zachodniej, w lewoi schodami nagóre - wyrecytowała, machając ręką.

-Dziękuję pani - mruknięłam, skręcając ku schodom.

- Chyba że chodzi ci o prasę starszą niżtegoroczna.

Wtym przypadku zbiory znajdują się wktórejsz z przybudówek.

Czyszukasz czegoś konkretnego?

- Sama nie wiem - odpowiedziałam.

Ale, ale.

przecież wiedziałam!

Co powiedział ten nieznajomy w gabinecie ojca?

"Twining?

Stary Czajnik?

Nie żyje od.

". Od.

Słyszałamjego głosw głowie;

"Czajnik nie żyje od.

trzydziestulat!

".

- Chodzi mi o prasę z lat dwudziestych - oznajmiłamspokojnie.

- Chciałabymprzeładnać archiwa prasowe z roku 1920.

- Gazety z tej dekady sąprawdopodobnie nadal wszopie z kanałem, o ile nie zjadły ich szczury.

- Mówiącoszczurach, zerknęła na mnie pobłażliwie znadokularów,spodziewając się zapewne, że ucieknę z piskiem na samowspomnienie gryzoni.

- Znajdę je - powiedziałam.

- Poproszęklucz.





Panna Mountjoy poszperała w szufladzie biurka i wyjęła z niej pęk żelaznych kluczy - zupełnie takich jak te, którymi zamykano celę Edmunda Dantesa w Hrabim Monte Christo.

Potrząsnęłam nimi radośnie i wyszłam.

Szopa z kanałem była "stogiem" najbardziej oddalonym od głównego budynku, zawieszonym chybotliwie nad brzegiem rzeki.

Zbito ją z nieheblowanych desek i porzewiałej blachy falistej, a teraz porastał ją mech i pnącza.

W dniach świetności salonu samochodowego, zmieniano w niej oleje opony, smarowano przednie i tylne mosty i ogólnie zaglądano auto pod podwozie.

Odtamtąd pory miejsce to zamieniło się w zapomnianą pustelnię w głębi lasu.

Przekręciłam klucz i drzwi otwarły się z chrzęstem.

Weszłam do środka.

Stawiałam ostrożnie kroki w półmroku, żeby nie wpaść do głębokiego kanału, który - choć przykryty ciężkimi deskami - stanowił potencjalne niebezpieczeństwo, gdyż zajmował znaczną część długości pomieszczenia.

Cuchnęło tu nieprzyjemnie piżmem z dodatkiem amoniaku, jakby pod podłogą roilo się od małych zwierzątek.

Połowę ściany wychodzącej na Cow Lane zajmowała składana brama - teraz okratowana - przez którą kiedyś jeździły samochody, by stanąć okratkiem nad kanałem.

Wszystkie cztery okna zamalowano z trudnej do wyjaśnienia przyczyny czerwoną farbą.

Wpadające do środka promienie słońca miały przez to krwawy, niepokojący kolor.

Wzdłuż pozostałych trzech ścian stały drewniane półki z stosami pożółkłych gazet: "The Hinley Chronicle", "The West Counties Advertiser", "The Morning Post-Horn", ułożonych rocznikami i oznaczonych wyblakłymi, ręcznie wypisanymi tabliczkami.

Bez problemu znalazłam rocznik z 1920.

Uniosłam stertę gazet i zakasłałam, dusząc się pyłem, który wionął mi prosto w twarz jak powybuchu w młynie.

Na podłogę posypały się jak śnieg nacięte zębami gryzoni skrawki gazet.

Dziś - czy mi się to podoba, czy nie - czeka mnie wanna i szorstka gąbka.

Pod pomazanym czerwoną farbą oknem stały stoliczek.

Było tam dosyć światła i dosyć miejsca, żeby rozłożyć gazetę.  
Ale tylko jedną.

Moją uwagę zwrócił "The Morning Post-Horn" - brukowiec, którego pierwszą stronę wypełniały jak w "Times of London" reklamy, urywki wiadomości, porady i ogłoszenia:

Zgubiono brązową papierową paczkę przewiazaną sznurkiem, o wielkiej wartości sentymentalnej dla zrozpaczonego właściciela.  
Duża nagroda.

Prosić "Smitha" w The White Hart w Wolverston.

Albo:

Najdroższy, służyć nas!

O tej samej porze w przyszły czwartek.

Przynieś statyt.

Bruno.

Czytając ogłoszenia, przypomniałam sobie o czymś.

Ojciec chodził do szkoły w Greyminsterze.

a Greyminster, jeśli dobrze pamiętam, leży nieopodal Hinley.

Rzuciłam "The Morning Post-Horn" z powrotem na mary i ściągnęłam z półki cztery pierwsze sterty "The Hinley Chronicle".

Gazeta owa była tygodnikiem i ukazywała się w piątki.

W roku 1920 pierwszy piątek był dniem Nowego Roku, więc pierwszy numer gazety był datowany na 8 stycznia 1920.

Przeglądałam strony świątecznych wiadomości: na święta przyjechali goście z kontynentu, przełożone spotkanie kółka różańcowego pań, "pokaźny wieprz" na sprzedaż, kolędowanie w drugie święto w The Grange, zgubione koło z lory z browaru.

W marcu sesje wyjazdowe sądów miały wypełnioną wokandę: kradzieże, kłusownictwo, napady.

Przeglądałam kolejne wydania, czerniąc dłonie farbą drukarską, która powinna była wyschnąć dwadzieścia lat przed moim przyjściem na świat.

Latem pojawili się kolejni goście z kontynentu, odbywały się jarmarki, poszukiwano pracowników, organizowano obozy skautów, odbyły się dwie fety i zapowiadano roboty drogowe.

Po upływie godziny zaczęłam wpadać w rozpacz. Ludzie, którzy czytali te gazety, musieli być obdarzeni nadludzkim wzrokiem, bo druk był wprost niewiarygodnie mały. Jeszcze trochę, a rozboli mnie głowa.

I wtedy znalazłam to, czego szukałam:

Uwielbiany wychowawca rzuca się z wieży

W poniedziałkowy ranek doszło do tragicznego zdarzenia.

Śmierć poniósł absolwent Oksfordu magister filologii klasycznej Grenville Twining, powszechnie szanowany wychowawca Szkoły Greyminster nieopodal Hinley, który rzucił się z wieży zegarowej Anson House w Greyminster.

Świadkowie tego wydarzenia opisują je jako "najzwyczajniej niewytłumaczalne".

"Wspiąłem się na szczyt", mówi Timothy Green z klasy szóstej, "podkasał to i powiedział nam jak Rzymianin.

Vale!

, krzyknął do chłopców stojących nad dziedzińcem.  
i zeskoczył".

Vale!

- serce skoczyło mi do gardła.

To samostwo wydyszał mi prosto w twarz umierający w ogrodzie.

"Bądźcie zdrowi.

". To nie mógł być przypadek, prawda?

A jeśli, to zupełnie niesłychany.

Musi być jakiś związek między tymi dwoma zgonami.

ale jaki?

Cholera!

Miałam w głowie kłębowisko myśli, ale rozum mnie zawodził.

Szopa z kanałem była najlepszym miejscem do rozważań i wyciągania wniosków.

Zrobię to później.

Czytałam dalej:

"Kiedy leciał i podmuch wiatru rozwiał mu toę, przypominałupadłegoanioła", powiedział z kolei Toby Lonsdale, chłopiec o rumianych policzkach, który był bliski łez. i rozplakał się odprowadzany nabok przez przyjaciół.

Pan Twining był niedawno przesłuchiwany przez policje w sprawie utraconego znaczka pocztowego: unikatowego i bardzo cennego okazu Czarnej Wiktorii.

"Jedno z drugim nie ma żadnego związku", mówi doktor Isaac Kissing, dyrektor szkoły od roku 1915- "Absolutnie żadnego związku", podkreśla.

"Pan Twining był powszechnie szanowanym nauczycielem, a ci, którzy go znali, uwielbiali go".

Jak dowiaduje się nasza gazeta, policja prowadzi śledztwo w obu sprawach.

Gazeta ukazała się z datą 24 września 1920 roku.

Odłożyłam rocznik na półkę, wyszłam z szopy i zamknęłam drzwi.

Panna Mountjoy nudziła się za biurkiem, kiedy oddawałam jej klucz.

Znalazłaś to, czego szukałaś, kochanie?

- zapytała.

Owszem odpowiedziałam i wymownie otrzepałam ręce.

Mogłabym ci pomóc?

zapytała podstępnie.

Wskazałabym ci powiązane materiały.

Przekład: "Umieram z ciekawości".

Nie, dziękuję, panno Mountjoy.

Czułam się tak, jakby ktoś wymienił mi serce na ołowiane.

Nic ci nie jest, kochanie?

zapytała panna Mountjoy.

- Wyglądasz na podekscytowaną.

Podekscytowaną?

Zrobiło mi się niedobrze.

Być może były tonerwy, być może nieświadoma próba powstrzymania mdłości, ale ku swemu przerażeniu wydusiłam z siebie:

Czy słyszała pani kiedyś o panu Twiningu ze Szkoły Greyminster?

Wciągnęła gwałtownie powietrze.

Jej oblicze poczerwieniało, a następnie poszarzało, jakby ogarnął je spopielający płomień.

Wyjęła z rękawa koronkową chusteczkę, ścisnęła ją, a potem przyłożyła do ust.

Siedziała tak.

przez, długą chwilę, kołysząc się na krześle, gryząc koronki, jak osiemnastowieczny marynarz, któremu amputowaną poniżej kolana.

W końcu podniosła płonące oczy i odpowiedziała drżącym głosem:

-Pan Twining był bratem mojej mamy.

SZEŚĆ

Piłyśmy herbatę.

Panna Mountjoy znalazła gdzieś poobijany blaszany czajnik, a z torebki wyjęła wymiętą paczuszkę herbatników Peek Freans.

Siedziałam na bibliotecznej drabinie i częstowałam się ciasteczkami.

- To była tragedia - zaczęła panna Mountjoy.

-Wuj był wychowawcą w Anson House od zawsze, a przynajmniej takmi się wydawało.

Był dumny z internatu i mieszkających w nim chłopców.

Bardzo się starał, aby przekonać ich, że warto dawać z siebie wszystko.

Przygotowywał ich do życia.

- Lubił żartować - ciągnęła - że mówi po łacinie lepiej od samego Juliusza Cezara.

Jego podręcznik gramatyki, Twinings Lingua Ładna, wydany, nawiasem mówiąc, kiedy wuj miał ledwie dwadzieścia cztery lata, był wykorzystywany w szkołach na całym świecie.

Do tej pory mam egzemplarz tej książki przy łóżku i choć nie czytam jej już teraz, uwielbiam brać ją do rąk i przypominać sobie te wszystkie gui, guae, guo.

Słowa, które brzmią tak pocieszająco.

-Wuj zawsze coś organizował: zachęcał chłopców do zakładania kółek dyskusyjnych, klubu łyżwiarskiego, klubu kolarskiego, klubu cribbage.

Był zapalonym prestidigitatorem-amatorem, choć niezbyt dobrym: zawsze był widać asa karo, którego chował pod mankietem.

Był także.

entuzjastycznym filatelistą: uczył chłopców historii i geografii na przykładzie państw, z których pochodziły znaczki. Uczył ich także porządnego prowadzenia klaserów. I to stało się przyczyną jego zguby.

Przestałam żuć herbatniki i spojrzałam wyczekująco napannę Mountjoy, która popadła w zadumę. Musiałam ją niej wyrwać.

Co nie było łatwe, gdyż znalazłam się pod jej urokiem. Rozmawiała ze mną jak kobieta z kobietą. Było mi jej żal. naprawdę.

- Zguby?

- zapytałam.

- Popełnił wielki błąd, obdarzając nadmiernym zaufaniem kilku niegodnych tego uczniów, którzy podstępnie zaskarbili sobie jego łaski. Udawali ogromne zainteresowanie jego skromną kolekcją znaczków, a jeszcze większe zbiorami dyrektora szkoły, doktora Kissinga.

W tamtych czasach doktor Kissing był światowym autorytetem filatelistycznym, szczególnie jeśli idzie o pierwszy znaczek pocztowy: Czarną Wiktorie w jej wielu odmianach.

Cały świat zazdrościł używam tego słowa celowo doktorowi Kissingowi jego zbiorów.

Ci niegodziwcy wykorzystali wujka, który zgodził się uprosić dyrektora szkoły o prywatny pokaz kolekcji znaczków.

- Podczas oglądania klejnotu tych zbiorów: Czarnej Wiktorii z pewnymi osobliwościami.

zapomniałam już, na czym one polegały. znaczek został zniszczony.

- Zniszczony?

- zapytałam z niedowierzaniem.

- Podpalony.

Podpalony przez jednego z uczniów!

Który uznał, że to świetny żart.

Panna Mountjoy podniosła filiżankę z herbatą i podплыnęła jak smuga pary do okna, przez które wyglądała dłuższą chwilę.

Już myślałam, że o mnie zapomniała, ale naszcześnie odezwała się pominucie:

- Masię rozumieć, że zawnego tej katastrofy uznano mego wuja.

Spojrzała mi prosto w oczy.

- Resztę tej historii wyczytałaś w gazecie.

- Popęłnił samobójstwo oznajmiłam.

- To bzdura!

- krzyknęła.

Filizanka i podstawek wypadły jej z rąk, rozbijając się opodłogę.

Nie popełnił samobójstwa!

Został zamordowany!

- Przekogo.

zapytałam, próbując wziąć się w garść.

Panna Mountjoy znów działała mina nerwy.

- Przez te potwory!

wyrzuciłaz siebie.

Przez te wstrętne potwory!

- Potwory?

- Uczniowie.

zabili go uczniowie.

Równie dobrze mogli mu wbić sztylet prosto w serce!

- Kim byli ci uczniowie.

to znaczy te potwory?

Czy pamięta pani ich nazwiska?

- A dlaczego pytasz, moja panno?

Jakim prawem stajesz przede mną i przywołujesz duchy?

- Interesuję się historią.

Przesunęła dłonią po czole, jakby wydobywając się z transu, i odezwała się spowolnionym głosem osoby pod działaniem narkotyków:

- To było tak dawno.

- powiedziała.

- Tak dawno temu.

Wolałabym nie pamiętać.

Wuj Grenville wspomniął ich imionaprzed.

- Zamordowaniem?

podpowiedziałam.

- Owszem, przed zamordowaniem.

Dziwne, „prawda?

Zapamiętałam jedno z nich, utkwilo mi w pamięci przezte wszystkie lata, boprzypominało imię małpki.

małpki na łańcuchu, takiej, wiesz, z katarynką, w czerwonym kaszkiecie i blaszanym kubkiem nadrobne.



Zachichotała nerwowo.

-Jacko - rzuciłam.

Panna Mountjoy usiadła ciężko, jakby ktoś ogłuszył jątoporem. Spojrzała na mnie wytrzeszczonymi oczyma, jakbym właśnie zmaterializowała się z innego wymiaru.

- Kim jesteś, dziewczynko?

- wyszeptała.

- Dlaczego tu przysłaś?

Jak się nazywasz?

- Flawia- odpowiedziałam już spod drzwi.

- Flawia Sabina Dolores de Luce.

"Sabina" była prawdziwa, a "Dolores" wymyśliłam na poczekaniu.

Zanim uratowałam ją przed rdzą i zapomnieniem, moja wierna, stara damka BSA "Bądź w formie" z trzema przekładkami, marniała całymi latami wśród potłuczonych doniczek i drewnianych taczek.

Jak wiele innych rzeczy z Buckshaw, należała niegdyś do Harriet, która nazwała ją l'Hirondelle- jaskółką.

Ja zmieniłam jej imię na "Gladys".

Opony Gladys były bezpowietrza, przekładnie- suche jak kość płakały o smar, ale mając pompkę przy ramieniu torebkę z narzędziami za siodełkiem, Gladys była samowystarczalna.

Z pomocą Doggera przywróciłam ją do stanu używalności.

W torbie z narzędziami znalazłam broszurę zatytułowaną Kolarstwo dla pań w każdym wieku, napisaną przez niejaką Prunellę Stack, która stała na czele Kobiecej Ligi Zdrowia i Urody.

Na okładce widniał sporządzony czarnym atramentem i przepięknym, pochyłym charakterem pisma podpis: Harriet de Luce, Buckshaw.

Były czasy, w których Harriet była wszędzie, wszędzie dokoła.

Pędziłam do domu mimo pochyłych, pokrytych mchem.

, wchodzących jeden nad drugi kamieni nagrobnych cmentarza św.

Tankreda, pędziłam wąskimi, osłoniętymi liśćmi zaułkami i przez białą jak kreda High Street, pędziłam przez otwarte pola.

Pozwoliłam Gladys prowadzić się samej, śmigałam w dół stoków obok uciekających do tyłu

żywo płotów, wyobrażając sobie przez cały czas, że jestem pilotką spitfi-

re'a jednego z tych, które za ledwie przed pięć laty ocierały się jak jaskółki o te same żywo płoty, lądując na lotnisku w Leathcote.

Z broszury Prunelli Stack dowiedziałam się, że jeśli będę pedałowac

wyprężona jak struna jak panna Gulchz kinowej wersji Czarodzieja ZOa.  
-jeśli będę wybierać zróżnicowany teren i oddychać głęboko  
podczas pedałowania, wówczas zacznę promieniować zdrowiem jak  
latarnia morska Eddystone światłem i nigdy nie będę miała pryszczki.  
Tą przydatną informacją nie omieszkałam podzielić się z Ofelią.

Zastanawiałam się, czy mąż Prunelli Stacknapisał broszurę dla  
mężczyzn Kolarstwa dla panów w każdym wieku?  
I czy stał na czele Męskiej Ligi Zdrowia i Elegancji?

Udawałam, że jestem chłopcem- synem, którego musiał pragnąć  
ojciec, którego chciał zabierać do Szkocji, byłowić z nim łososie i polować  
naciętrzewiana wrzosowiskach, i którego mógłby wysłać do Kanady, żeby  
nauczył się grać w hokeja.

Nie znaczy to wcale, że ojciec łowił łososie, polował naciętrzewie i grał w  
hokeja!

Alegdyby miał syna, mógłby to robić.

Na drugim miałabym Laurence, tak jak ojciec, a kiedybylibyśmy sami,  
mówiłby namnie Larry.

Jakże musiał być oczarowany, kiedy Bóg obdarzył go samymi córkami!

Czy nie byłam zbyt okrutna wobec panny Mountjoy?

Zbyt wobec niej krnąbrna?

Przecież panna Mountjoy była tylko nieszkodliwą, samotną starą panną.

Czy Larry deLuce miałby dla niej więcej serca?

- Cholera, nie!

- wrzasnęłam na całe gardło i pędząc na złamanie karku, zaintonowałam  
pieśń:

Umba-cyika!

Ilmba-cwka Umba-caka!

Bum!

Ale nie poczułam się przez to skautem lorda Baden Powella ani księciem Fata-Lach z Ali-Kazaamatu.

Byłam sobą!

Byłam Flawią!

I kochałam siebie, bo nikt inny nie chciał tego robić.

- Niech żyje Flawia!

Flawia po wsze czasy!

- krzyczałam, cwałując na Gładys bez hamowania przez Bramę Mulfordów i wjeżdżając w wysadzaną kasztanami aleję, będąc podjazdem do Buckshaw.

Wspaniała Brama Mulfordów, zwieńczona stojącymi gryfonami wykonanymi z kutego żelaza, witała niegdyś gości w sąsiedniej posiadłości Batchley - gnieździe rodowym "Przebrzydłych Mulfordów". Brama wpadła w ręce de Luce'ów w siódmym dziesięcioleciu XVIII wieku, kiedy to jeden z Mulfordów zbiegł z żoną niejakiego Brandwyn de Luce'a, który ze złości kazał rozmontować bramę i zabrał ją do domu.

Barterzona zabramę ("Najpiękniejszą po tej stronie Edenu", pisał Brandwyn w swoim pamiętniku) zamknął sprawę, gdyż od tamtej pory Mulfordowie i de Luce'owie pozostawali w najlepszych sąsiedzkich stosunkach, co trwało do czasu sprzedaży przez ostatniego z Mulfordów, Tobiasa, rodzinnej posiadłości i jego wyjazdu do Ameryki, gdzie walczył w wojnie secesyjnej po stronie konfederatów.

- Mogę prosić na słowo, Flawio?

zawołał spod drzwi inspektor Hewitt.

Czekał na mnie?

- Oczywiście - odrzekłam z wdziękiem.

- Gdzie się podziewałaś?

- Czy jestem aresztowana, panie inspektorze?

- To był żart, miałam nadzieję, że się na nim pozna.

- Pytam z ciekawości.

Wyjął fajkę z kieszonki marynarki, napełnił ją i zapalił zapalniczką.

Przyglądałam się płomieniowi wędrującemu kującego kanciastym paznokciom.

- Byłam w bibliotece.

Zapalił fajkę i wskazał cybuchem Gładys.

- Nie widzę książek.

Byłam zamknięta.

-Aha.

Jego spokój wyprowadzał mnie z równowagi.

Zajmował się morderstwem, zachowywał tak, jak podczas przechadzki w parku.

;

- Rozmawiałem z Doggerem - oznajmił, nie spuszczając mnie wzroku, żeby się przekonać, jak nato zareaguję.

Naprawdę?

zapytałam głupkowato, a w mojej głowie rozdzwoniły się alarmowe dzwonki, jak na łodzi podwodnej przed zanurzeniem.

Uwaga!

, pomyślałam.

Bądź czujna!

Co powiedział mu Dogger?

Czy wspomniało obcym mężczyźni w gabinecie ojca?

O kłótni?

Groźbach?

Problem z kimś takim jak Dogger polegał na tym, że nie było wiadomo, kiedy się załamie i czy w ogóle się załamecałkiem bez powodu. Nie miałam pewności, czy nie wypaplał Hewittowi o odwiedzinach obcego.

Szlag by go trafił.

Dogger powiedział mi, że obudziłaś go około czwartej nad ranem, mówiąc, że w ogrodzie jest trup.

Czy tak?

Musiałam mocno się powstrzymać, by nie odetchnąć ulgą, przez co o mało się nie udusiłam.

Dzięki, Dogger!

Niech cię Bóg błogosławi i wynagrodzi licznym potomstwem.

Wierny, stary Dogger!

Zawsze wiedziałam, że mogę na niego liczyć!

Tak, to prawda.

- I co się potem stało?

Zeszliśmy na dół i wyszliśmy do ogrodu kuchennymi drzwiami.

Pokazałam Doggerowi ciało.

Uklęknął obok niego i zaczął badać puls.

-Jak to zrobił?

- Przyłożył dłoń do szyi.  
pod uchem.

- Hm- zadumał się inspektor.

- I co?

To znaczy, czy wyczuł puls?

..- Nie.

- Hm- powtórzył.

- Czy ty również klęczałaś obok?

- Być może.

Chyba nie.

Nie pamiętam.

Inspektor zapisał coś w notesie.

Oczyrna duszy widziałam tę notatkę: Pytanie: Cgi D.

(1) powiedział F.

ze nie wycwtpulsu ?

(2) Widniał F.

klęczącą OC(Obok Ciała) ?

- To całkiem zrozumiałe - powiedział.

- Musiałaś przeżyć wstrząs.

Przywołałam w pamięci obraz obcego mężczyzny leżącego w ogórkach w pierwszym świetle dnia - lekki zarost na brodzie, pasemka rudych włosów targane porannym wiatrem, bladość, wyciągnięta noga, drżące palce, ostatnie tchnienie.

I to słowo, które wydyszałam prosto w twarz.

Vale.

Dygotałam ze strachu!

- Tak - odpowiedziałam.

- Byłam przerażona.

Musiałam bez wątpienia zdać egzamin.

Inspektor Hewitt wrócił do kuchni, gdzie sierżanci Woolmer i

Graves przeprowadzali czynności śledcze pod ostrzałem plotki kanapek z sałatą od pani Mullet.

Kiedy Ofelia i Dafne zeszły na lunch, dostrzegłam z rozczarowaniem blask bijący od cery najstarszej z moich sióstr.

Czy moja mikstura zawiodła?

Czy na skutek jakiegoś chemicznego cudu wyprodukowałam przypadkowo bajecznie skuteczny krem do twarzy?

Do jadalni wpadła pani Mullet i narzekając pod nosem, postawiła na stole zupę i kanapki.

- To niesprawiedliwie skarżyła się, nie wiadomo komu.

- Już jestem spóźniona przez tę awanturę, a Alfczekana mnie w domu i w ogóle.

I jeszcze mają czelność pro

sić mnie, żeby mim wygrzebała ze śmieci tego zdechłego kszyka!

Mówiąc o zdechłym ptaku, pani Mullet zadrżała.

- Żeby gomogli rozciągnąć zrobić mu podobiznę.

Toniesprawiedliwe!

Pokazałam im, gdzie są śmieci, i powiedziałam, że jeśli tak im jest potrzebna ta padlina, to mogą ją sobiesami wykopać i oporządzić, bo jamam lunch do zrobienia.

Jedzcie kanapki, dziewczynki.

W czerwcu nie ma nic lepszego niż zimny sztuka mięs!

Zupełnie jak na pikniku.

- Zdechły kszyk?

- zdziwiła się Dafne, marszcząc górną wargę.

- Ano ten sam, a nie inny, którego wczoraj na moich schodach znalazła panna Flawia i tatuś pańienek, pan pułkownik.

Jeszcze dostaję gęziej skórki, jak o nim pomyślę wciąż go widzę tym zamglonym okiem i dziobem wbitym w niebo z nadzianym papierkiem.

- Ned!

- krzyknęła Ofelia, uderzając dłonią w stół.

- Miałaś rację, Dafi.

To symbol miłości!

Tuż przed Wielkanocą Dafne czytała /Qotqgałqzi powiedziała Ofelii, że do naszych oświeconych czasów zachowały się wśród ludów znad Mórza Południowych niektóre prymitywne zwyczaje - w tym te związane z zalotami.

"Musisz być cierpliwa", radziła Dafne siostrze.

Popatrzyłam obojętnie na jedną i na drugą.

Od moich sióstr dzieliły mnie lata świetlne.

- Zdechły ptak, sztywny jak pał, z dziobem wbitym w niebo?

- rzuciłam z powątpiewaniem.

- Też mi symbol!

Dafne ukryła się za książką, a Ofelia się zaczerwieniła.

Odeszłam od stołu, zostawiwszy chichoczące do zupy.

- Pani Mullet - zwróciłam się do naszej gospodyni.

-Czy nie wspomniała pani inspektorowi Hewittowi, że w Anglii nie widuje się bekasów kszyców aż do września?

- Bekasy, bekasy, bekasy!

O niczym innym tu się teraz nie mówi!

Odsuń się, jeśli łaska, muszę tu przetrzeć.



- Dlaczego?

- drażylałam.

-Dlaczego nie widzimy bekasów przed wrześniami?

Pani Mullet wyprostowała się, odstawiła zmywak do wiadra i wytarła mokre ręce w fartuch.

- Bosą gdzie indziej - odrzekła triumfalnie.

-Gdzie?

; - Och, no wiesz.

sajak te inne ptaki, co odlatują.

Gdzieśna północy.

Z tego,co wiem, mogąbyćna herbacie u ŚwiętegoMikołaja.

- "Gdzieś na północy" to daleko?

W Szkocji?

-WSzkocji!

- rzuciła drwiąco.

-Omójboże, nie!

DoSzkocji jeździ na wakacje nawet Margaret, średnia siostraAlfa, a ona nie jest kszukiem!

Choć ma męża, coczestokszyczy - dodała po chwili.

Poczułamszum wuszach, a potem coś zaskoczyło miw głowie.

- W Norwegii?

- zapytałam.

-Czy bekasy kszuki spędzają latow Norwegii?

- Pewnie tak, moja droga.

Musisz to sprawdzić.

Tak! Inspektor Hewitt powiedział przecież doktorowi Darnby, że sąpowody, aby przypuszczać, że mężczyznabędący w ogrodzie przyjechał z Norwegii!

Aleskad o tymwiedział?

Czy powiedziałby mi, gdybym go o to zapytała.

Pewnie nie.

W takim razie będę musiała sama siędowiedzieć.

- Biegnij już poleciała paniMullet.

Nie pójdę dodomu, póki nie skończę tej podłogi, a już jestpierwsza.

Biednego Alfa już pewnie skreca z głodu.

Wysłałam przeztylne drzwi.

Policjanci i koroner zniknęli,zabierając ze sobą ciało.

Ogród wydawał się dziwniepusty.

Doggera też nigdzie nie było widać, więcusiadłamna niskim w tym miejscumurku, żeby się zastanowić.

Czy Ned mógłzostawićtu zdechłego kszyka jako symbolmiłościdoOfelii?

Moja siostra była o tym przekonana.

Ale jeśli winowajcą miałbyć Ned, skąd ulichawytrzasnąłptaka, którego teraz niema?

Dwie i pół sekundy później chwyciłam Gladys, przerzuciłam nogę ponadsiodełkiem i poraz drugi tego dniapognałam jak wiatrdo wsi.

Liczyła się szybkość.

W Bishop'sLacey nikt jeszcze niewiedział o śmierci obcego.

Policjanci nie powiedzą o tymnikomu, a ja tym bardziej.

Plotki zaczną się, gdy pani Mullet skończysprzątanie i wróci do domu.

A gdydo niego wróci, wiadomośco morderstwie w Buckshaw zaczniesię rozprzestrzeniaćjakdzuma.

Miałam tylko chwilę, żeby dowiedzieć się tego,co wiedzieć chciałam.

## SIEDEM

Gdy zahamowałam z poślizgiem i oparłam Gladys o stertę wyschniętych bierwion, Ned ciągle pracował na dziedzińcu gospody. Skończył już zbeczkami po piwie i teraz dawał światu do zrozumienia, jak ciężkiesą wielkie jak młyńskie koła sery, które rozładowywał z lory.

-Ahoj, Flawio- powitał mnie, korzystając z okazji doprzzerwania pracy.

- Chcesz trochę sera?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, wyjął z kieszeni groźnie wyglądający scyzoryki z przerażającą łatwością odkroił mispory kawałek stiltona. Sobie odkroił kawałek nieco większy i wsadził go w otwór gębowy, wydając przy tym odgłosy, które Dafne nazwałaby "jedzeniem ze smakiem". Dafne zostanie powieściopisarką, dlatego przepisuje dostarej księgi rachunkowej wyrażenia, które wpadną jej w oko podczas codziennych lektur.

"Jedzenie ze smakiem" było jednym z ostatnich wpisów, jaki widziałam podczas kartkowania księgi bez wiedzy siostry.

- Byłaś w domu?

- zapytał Ned, zerkając na mnie nieśmiało.

Wiedziałam, o co mu chodzi, i kiwnęłam głową.

-Jak się miewa panna Ofelia?

Była niej doktor?

- Owszem - odpowiedziałam.

- Sądzę, że przyjrzał się jej dziś rano.

Ned przełknął moją półprawdę w całości.

- Inała zielenieje, co?

- Teraz jest bardziej żółta niż poprzednio - mruknęłam.

- Ma odcień bardziej siarkowy niż miedziowy.

Wiedziałam już, że kłamstwo nafaszerowane szczegółami, jak prosie jabłkiem, jest stokroć łatwiejsze do przełknięcia.

Ale tym razem musiałam przesadzić, bo Ned pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Ej, Flawio.

- zaczął.

- Nabierasz mnie.

Obdarzyłam go najśłodszymsmiejchem wiejskiego przygłupa.

- Złapałeś mnie, Ned - pokiwałam głową.

- Przyznaję się do winy.

Teraz Ned obdarzył mnie lustrzanym odbiciem  
mojegowcześniejszego uśmiechu.

Przez ułamek sekundy myślałam, że mnie przedrzeźnia, i poczułam  
wzbierającą złość.

Ale potem zdałam sobie sprawę, że jestrzeczywiście zachwycony tym, że  
zdołał mnie rozszyfrować.

Nie mogłam przegapić takiej okazji.

- Ned.

- zaczęłam.

-Gdybym zadała ci bardzo osobiste pytanie.

odpowiedziałbyś na nie?

Czekałam, aż zrozumie, codo niego mówię.

Porozumiewanie się z Nedem przypominało wymianę depezz  
dyslektykiem w Mongolii.

- Oczywiście, że bym ci odpowiedział!

rzucił z zapalem, choćobuzerski błyskw jego oku powinien  
mnieprzygotować na to,co chciał dodać: Choć mógłbym niemówić  
prawdy.

Oboje pokładaliśm się ze śmiechu przez pół minuty,po czym szybko  
przeszłamdo sedna,wytaczając najcięższe działa.

- Bardzo lubisz Ofelię, prawda?

Ned cmoknął z zachwytu i poluzował kołnierzyk koszuli.

- To przemiładziewczyna,muszę przyznać.

-A co byś powiedział na zamieszkanie z nią pod jedną słomianą strzechą i wychowywanie gromadki dziatkiw prześlicznym wiejskim domku?

Szyja Nedabyła teraz kolumną wznoszącą się ku uszom czerwieni- zupełnie jak w grubym alkoholowym termometrze.

Nie minęła sekunda, a przypominał indykagotowego iść w godowytan. Postanowiłam mu pomóc.

- Przypuśćmy, że Ofelia chciałaby się z tobą zobaczyć, tylko ojciec jej nie pozwala.

Przypuśćmy, że jedna z najmłodszych sióstr mogłaby wam w tym pomóc.

Teraz dla odmiany pobrał i wyglądał tak, jakby miał się za chwilę rozpłakać.

- Zrobiłabyś to, Flawio?

- Niech mnie drzwi ścisną!

Ned wyciągnął rękę z pokrytą odciskami dłonią i uściśnął mnie zadziwiająco delikatnie.

Czułam się tak, jakbym witała się z ananasek.

- Przyjajna grabarzuć, cokolwiek to znaczyło.

Przyjajna graba?

Czyżbyk właśnie została przyjeta do jakiegoś rustykalnego tajnego stowarzyszenia, które spotyka się w świetle księżycy na wiejskich cmentarzach i w gęstych zagajnikach?

Czy stałam się członkiem "Przyjajnej Graby" i będę musiała uczestniczyć w niewypowiedzianych rytuałach, odbywających się o północy pośród wopłotów?

Wydało mi się to dosyć pociągające.

Ned szczyrzył do mnie zębami jak trupia czaszka na pirackiej banderze. Przejęłam kontrolę.

- Posłuchaj - zwróciłam się do niego poważnym tonem.

Lekcja numer jeden: nie zostawia się dechłych ptaków na progu ukochanej. Takie rzeczy robią tylko koty wrui.

Ned był wstrząśnięty.

- Ale ja.

ja zostawiłam tylko raz czy dwa kwiaty.

Miałem nadzieję, że zauważy.

To było coś nowego; zanim ktokolwiek w domu zdążył się zorientować, Ofelia sprzątała bukiety i zanosila je do swego buduaru w wiadomych celach.

- Ale.

zdechłe ptaki!

- ciągnął oburzony.

-Nigdy!

Przenigdy!

Znasz mnie, Flawio, nie zrobiłbym takiej rzeczy.

Mówił prawdę, wiedziałamo tym od samego początku.

Znałam go: Ned nie byłby zdolny do czegoś takiego.

Mojenastępne pytanie było trochę strzałem na oślep.

- Czy panna Mary Stoker wie, że robisz słodkie oczy do Ofelii?

- Pytanie to zapożyczyłam z jakiegoś amerykańskiego filmu: Spotkamy się w St Louis albo z Małych kobietek.

Wykorzystałam je po raz pierwszy.

Zapamiętywałam frazy, jak Dafne, choć nie zapisywałam ich w księgach rachunkowych.

-A co ma do tego Mary?

Jest córka Tully'ego i to zamyka sprawę.

- Nie wygłupiaj się, Ned -parsknęłam protekcjonalnie.

Widziałam dzisiaj rano ten pocałunek.

przechodząc w pobliżu.

- Musiałem ją pocieszyć.

To wszystko.

- Z powodu tego kogoś, kto się do niej dobierał?

Ned zerwał się na równe nogi.

-A niech cię!

-wykrzyknął.

- Mary nie chce, żeby się rozniosło!

- Ścieliła łóżko?

-Jesteś diabolicą, Flawio deLuce!

- ryknął.

-Odczep się ode mnie!

Wracaj do domu!

- Powiedz jej wszystko, Ned.

Usłyszałam za sobą cichy głos.

Odwróciłam się- w drzwiach stała Mary.

Stała, opierając się jedną ręką o framugę, a drugą ściskając bluzkę napiersiach, jak Tess d'Urbervilles.

Z bliska widziałam jej czerwone, jakby przemarzniete dłonie wyraźnego zęza.

- Powiedz jej wszystko -powtórzyła.

- Teraz to już cibeżróżnicy, prawda?

Natychmiastwyczułam, że mnie nie lubi.  
Jest życiową.

prawdą, że dziewczyny od razu wyczuwają nastroje innych dziewczyn. Fela twierdzi, że między mężczyznami akobietami przerwało się połączenie telefoniczne, tylko nie wiadomo, kto pierwszy odłożył słuchawkę.

Kiedy się patrzy na chłopaka, trudno dociec, czy właśnie krztusi się z oburzenia, czy jest po prostu oczarowany, po dziewczynach można to poznać podczas trzech pierwszych sekund znajomości.

Między dziewczętami odbywa się nieustanna wymiana niewidocznych sygnałów, jak krótkofalowy przekaz radiowy między statkami a portem.

Mary nadawała alfabetem Morse'a, że mnie nie lubi.

- No dalej, powiedz jej!

- krzyknęła.

Ned przełknął z trudem ślinę i otworzył usta, ale nic nie powiedział.

- Ty jesteś Flawia de Luce, nie?

- zapytała.

- Jedna z tych fe Buckshaw!

- Rzuciła mi towarz jak tort.

Kiwnęłam szeptem głową, niczym jakaś uboga krewna szukająca przytułku. Lepiej nie zaogniać tej sytuacji, pomyślałam.

- Chodź ze mną - rzuciła niespodziewanie Mary.

- Tylko szybko.

ibądź cicho!

Weszłam za nią do ciemnej, kamiennej spiżarni, a potem pokrętych, stromych, drewnianych schodach poszłam z nią na górę.

Kiedyś mi się tu chyba magiel, poktórym został wysoki, pękaty kredens wypełniony chemikaliami, kostkami mydła i pastą.

W rogu wały się zmywaki szczotki, a nad wszystkim unosił się smród karbolowego środka do dezynfekcji.

- Ciii!

- powiedziała, ściskając mnie boleśnie za ramię.

Usłyszałam ciężkie kroki na schodach, którymi właśnie przyszliśmy.

Wcisnęliśmy się w kąt, uważając, by nie przewrócić szczotek.

- Niech mnie jasna cholera, powiadam, jeśli kobyła z Cotswald zdobędzie choćby worek owsa!

Na twoim miej

scuprzyjrzałbym się Morskiej Gwiazdce i pierwiej by mnie szlag trafił, niżbym obstawiał za radą jakiegoś krogulca z Londynu, co nie



rozdzieli kopyta od pęciny!

Perorował Tully, który wymieniał z kimś poufne informacje z torów wyścigowych.

Jego głos słyhać było zapewne w Epsom Downs.

Osoba, z którą rozmawiał, wymamrotała coś nieśmiało, kończąc gromkim "ho, ho!

". Kroki rozmówców ucichły w jakimś korytarzu.

- Chodź, tędy.

- syknęła Mary, ciągnąc mnie za ramię.

Skręciłyśmy za róg i znalazłyśmy się w wąskim korytarzu.

Mary wyjął z kieszeni pęk kluczy i otworzyłyśmy ostatnie drzwi po lewej stronie.

Weszłyśmy do środka.

Znalazłam się w izbie, która nie zmieniła się zapewne od czasów popasu królowej Elżbiety I w Bishop's Lacey w roku 1592 - Nad głową miałam niski, przecięty belkami stropowymi sufit, ściany pokrywała drewniana boazeria, a w małym, otwartym na oścież dla świeżego powietrza okienku szybki wprawiono w ołów.

Szerokie deski podłogowe unosiły się i opadały jak fale oceanu.

Pod ścianą ujrzałam poobijany drewniany stolik z Rozkładem jazdy Królewskich Kolei / (ela/jych z października 1946 roku wsuniętym pod ułamaną nogę.

Nastoliczku stał porcelanowy dzbanek i miska ze Starfordshire - zupełnie do siebie niepasowane, gdyż dzbanek był różowy, a miska kremowa.

Obok leżał grzebień, szczotka do włosów i mała, skórzana, czarna saszetka.

W rogu pod oknem zauważyłam bagaż: dość tandetny kufer okrętowy z wulkanizowanego włókna, obklejony kolorowymi naklejkami.

Nieopodal stało krzesło z wyłamanym z oparcia kołkiem.

Po drugiej stronie izby znajdowała się drewniana szafa kupiona na wyprzedaży, a obok niej łóżko.

- Tak to wygląda - stwierdziła Mary, zamykając pokój

Tor wyścigów konnych w Surrey w Anglii.

od wewnątrz.

Przyjrzałam się jej dokładnie.

Wszarymjakmydliny światło, wpadającym przez pokryte wiekową sadzą szybki, wydawała się starsza i twardsza od dziewczyny czerwonych dłoniach, którą widziałam przed chwilą napodwórku gospody.

- Chyba nigdy nie byłaś w takiej małej izbie, nie?

rzuciła z przyganą w głosie.

- Wy z Buckshaw lubicie przychodzić do wsijak do domu wariatów w Bedlam, co nie?

Lubicie popatrzeć sobie na głupków pozamykanych w klaustrach, lubicie rzucać im herbatniki.

- Nie wiem, o czym mówisz - mruknęłam.

Mary stanęła ze mną twarzą w twarz, żeby móc piorunować mnie wzrokiem.

- Ta twoja siostra.

ta Ofelia.

przysłała cię z wiadomością dla Neda.

I nie mów mi, że to nieprawda!

Wyobraża sobie, że jestem jakimś kocmołuchem, a nie jestem!

Natychmiast poczułam, że lubię Mary, nawet jeśli i ona nie lubi mnie.

Każdy, kto zna słowo "kocmołuch", wart jest naszej przyjaźni.

- Posłuchaj - zaczęłam.

- Nie było żadnej wiadomości od Ofelii.

Okłamałam Neda, bo muszę się czegoś dowiedzieć.

Pomóż mi, Mary, wiem, że mi pomożesz.

W Buckshaw doszło do morderstwa.

Kamień z serca!

W końcu to powiedziałam.

- ...

nikt o tym jeszcze nie wie, oprócz ciebie i mnie.

no i mordercy.

Przyglądała mi się nie dłużej niż trzy sekundy, a potem zapytała:

- Kogo zabito?

- Nie wiem.

Dlatego tu jestem.

Policjateż tego nie wie.

Ale przyszło mi do głowy, że jeśli na naszej grządce ogórkami pojawia się trup, to trup ten za życia musiał się gdzieś zatrzymać w okolicy, jeśli nie

przybył wprost daleka.

Więc jeśli się gdzieś tu zatrzymał, to z pewnością w Trzynastu Kaczorach.

Mary, czy mogłabym zerknąć do księgi gości?

- Nie musisz - odpowiedziała Mary.

- Mamy tylko jednego gościa, niejakiego pana Sandersa.

Im dłużej rozmawiałam z Mary, tym bardziej ją lubiłam.

- Jesteśmy w jego pokoju - dodała dla pewności.

- Skąd on przyjechał?

- zapytałam.

Twarz Mary spochmurniała.

- Nie wiem, przysięgam.

- Był tu już kiedyś?

- O ile wiem, to nie.

- Więc muszę to sprawdzić w księdze gości.

Proszę, Mary!

Proszę!

To bardzo ważne!

Policja zaraz tu przyjedzie, a wtedy będzie za późno.

- Spróbuję.

powiedziała i otworzywszy drzwi, wymknęła się z pokoju.

Kiedy zniknęła, otworzyłam drzwiczki szafy.

Wisiały w niej tylko drewniane wieszaki, więc zająłem się pokrytym naklejkami kufrem.

Naklejki miały na szczęście jakieś nazwy:

Paryż, Rzym, Sztokholm, Amsterdam, Kopenhaga, Stavanger i mnóstwo innych.

Nacisnęłam zamek, który ku mojemu zdumieniu odskoczył.

Kufer nie był zamknięty!

Składał się z dwóch części połączonych ze sobą zawiasami i łatwo się otwierał.

Miałam przed sobą garderobę pana Sandersa: granatowy garnitur z serży, dwie koszule, brązowe oksfordy (do granatowej serży?)

Nawet ja wiedziałam, że brązowe półbuty nie pasują do granatowego garnituru) i kapelusz z opadającym teatralnie rondem, który przypominał mi nakrycie głowy G.

K. Chestertona na zdjęciu w "Radio Times".

Wyciągnęłam szuflady kufra, starając się nie dotykać zawartości: dwie szczotki do włosów (z tworzywa udającego szylkret), brzytwa (Valet Auto-

Strop), tubka kremu.

do golenia (Poranka Duma, nie wymaga pędzla), szczoteczka do zębów, pasta do zębów (Thymol: zalecana dolikwidowania zarazków powodujących próchnicę), цаўki do paznokci, prosty grzebień (z celuloïdu), dwie kwadratowe spinki (z gagatu z Whitby, z dwoma srebrnymi inicjalami: HB).

HB? Przecież to byłkufer i pokój pana Sandersa?

Więcцо znaczy HB?

Nagle otwarłysię drzwi i usłyszałam zaplecami syk:

- Co ty robisz!

Omało nie wyskoczyłam ze skóry.

Ale na szczęście to byłatylko Mary.

- Nie mogłam podwędzić księgi- powiedziała.

- Tata był na dole.

Flawia!

Nie wolno szperać w bagażach gości!

Zamkną nas obie!

Przestań!

- Już się robi - mruknęłam, przetrząsając kieszenie garnituru.

Nic w nich nie było.

- Kiedy po raz ostatni widziałaś pana Sandersa?

- Wczoraj.

Tutaj.

W południe.

- Tu, w tym pokoju?

Przełknęła ślinę, kiwnęła głową i odwróciła wzrok.

- Zmieniałam mu pościel, stanęła mną od tyłu i zaczęła do mnie dobierać.

Położył mi rękę na ustach, żeby mnie mogła krzyczeć- Dobrze, że tata zawołał mnie wtedy podwórka.

To nim trochę wstrząsnęło.

A jeszcze zarobiłode mnie obcasem raz czydwa.

Powiedziałam mu, gdzie może sobie wsadzić te lepkie łapska.

Wydrapałabym mu ślepie, jakbym tylko mogła.

Spojrzała na mnie tak, jakby powiedziała za dużo, jakby ni z tego, ni z owego otwarła się między nami klasowa przepaść.

- A ja wydrapałabym mu ślepie i wysłała oczołody - rzuciłam.

Oczy Mary zrobiły się wielkie przerażenia.

John Marston poinformowała ją.

Niderlandbjackurtyzana, tysiąc sześćset cztery.

Zapadła trwająca dwa stulecia cisza, po której Mary za; chichotała.  
Ale jesteś mądra!

pisnęła.

Przepaść klasowa została zasypiana.

Akt drugi dodałam.

Dwiesekundypóźniej skakałyśmy po izbie zgięte wpół i zasłaniając sobie usta, parskaliśmy unisono śmiechem jak tresowane foki.

Fela czytała nam kiedyś tę sztukę pod kołdrą przy latarce -  
powiedziałam w końcu.

Z jakiegoś powodu informacja ta wydała nam się jeszcze zabawniejsza i niemal tarzałyśmy się popodłódze sparaliżowane śmiechem.

Wreszcie Mary objęła mnie i ścisnęła takmocno, żeuszło ze mnie powietrze.

Ale z tobą ubaw, Flawia powiedziała.

Można pęknać ześmiechu.

Oj, wystarczy, spójrzmy lepiej na to.

Podeszła do stoliczka i podniosła z niego czarną skórzanąsaszetkę.

Rozpięła ją i otworzyła.

Naszym oczom ukazały się dwie przegródkiz sześcioma szklanymi  
ampułkami:

w sumiebyło ich dwanaście.

Jedenaściewypełniał żółtawypłyn, dwunastabyła opróżniona w trzech  
czwartych.

Między ampułkami widać było półokrągłe wgłębienie, w którym  
spoczywał brakujący rurkowatyprzedmiot.

Co o tym myślisz?

szepnęła Mary.

Gdzieś w głębidomu grzmiał głos Tully'ego.

-Według mnie to trucizna,anasz pan Sanders to prawdziwy doktor  
Crippen!

Odkorkowałam opróżnioną w trzech czwartych ampułkę  
przystawiłam ją do nosa: ciecz pachniała jak kropla octu

Poeta i dramatopisarz elżbietański.

Amerykański lekarz skazany w Wielkiej Brytanii w roku 1910  
na śmierć zaotrucieżony.

parująca na leczniczym plastrze był to gryzący białkowy zapach, jakby nadpalonych włosów.

- Insulina - oznajmiłam.

- Jest diabetykiem.

Mary wpatrywała się we mnie nierozumiejącym wzrokiem, a ja poczułam się nagle jak Archimedes w wannie, -krzyczący "Eureka!"

". Chwyciłam ją za ramię.

Czy pan Sanders jest rudy?  
zapytałam.

- Jak marchewka!

Skąd wiesz?

Gapiała się na mnie, jakbym nazywała się Madame Zolanda, miała na głowie turban, a w dłoniach kryształową kulę.

Czary-mary mruknełam.

OSIEM

- A niech mnie!

- pisnęła Mary, wyciągając spod stolica okrągły metalowy kosz na śmieci. Prawie o tym zapomniałam.

Tata skroiłby mi tyłek, jakby zobaczył, że niewyrzuciłam śmieci.

Tata jest przewrażliwiony na punkcie zarazków, choć może tego po nim nie widać.

Dobrze, żetu zajrzałam.

Boziu!

Popatrz, co za bałagan!

Wykrzywiła się z niesmakiem i wyciągnąwszy rękę nacała długość, podsunęła mi kosz.

Zajrzałam ostrożnie do środka.

Nigdy nie wiadomo, na co się trafi, nurkując w cudzych odpadkach.

Dno kosza pokrywały kawałki i okruchy ciasta luzem, bez pojemnika, jakby osoba jedząca ciasto miała już dosyć i strzepnęła je do środka.

Włożyłam rękę do kosza, sięgając po okruch.

Mary wydała taki odgłos, jakby miała zwymiotować, i odwróciła głowę.

Spójrz - powiedziałam zachęcająco.

To kawałek kruszonki, widzisz?

Złocisto-brązowy od góry, od piekarnika, z odrobiną ciasta z boku, jakby od dekoracji.

Pozostałe okruchy pochodzą z dołu ciasta: są bielsze i cieńsze.

I nie kruszą się w palcach.

Umieram z głodu dodałam po chwili.

- Nie jadłam przez cały dzień, a to wygląda zachęcająco.

Uniosłam kilka okruchów w palcach otworzyłam usta, udając, że mam zamiar je połknąć.



- Flawia!

Zatrzymałam rękę w połowie drogi do ust.

-He?

- Nie wygłupiaj się!

- napomniała mnie Mary.

-Od dawaj to, wyrzucę je.

Coś podpowiedziało mi, że nie było dobry pomysł.

Coś innego dało mi do zrozumienia, że pokruszone ciasto było dowodem, który należało zostawić inspektorowi Hewittowi i jego dwóm sierżantom.

Zastanawiałam się nad tym przez chwilę.

- Masz jakiś papier?

- zapytałam.

Mary pokręciła głową.

Otworzyłam szafę i stając na palcach, pomacałamna górnej półce.

Tak jak się spodziewałam, wyłożono ją gazetą, zamiast lnianą serwetką.

Niechcie Bóg błogosławi, gospodarzu Tully Stoker!

Starając się nie kruszyć większych kawałków, wysypałam powoli ciasto na egzemplarz "Daily Mail" i zawinęłamokruchy małą, schludną paczuszkę.

Mary przyglądała mi się nerwowo, ale niczego nie komentowała.

- Przeprowadzę testy laboratoryjne - poinformowałam ją grobowym tonem.

Mówiąc szczerze, nie miałam pojęcia, co zrobię z tym

obrzydlistwem, ale zależało mi, żeby pokazać Mary, kto tu rządzi.

Kiedy odstawiałam kosza podłogę, dostrzegłam jakiś ruch na dnie.

Muszę przyznać, że zrobiło mi się niedobrze.

Coś tam jeszcze było.

Robaki?

Szczur?

Nie możliwe .

Zauważyłabym szczura.

Zajrzałam ostrożnie w głąb kosza i faktycznie coś poruszało się na samym dnie.

Piórko!

Kołysało się niemal niezauważalnie to w jedną, to w drugą stronę, jak żółty liść na drzewie albo jak rude włosy nieznanego trupa poruszane poranną bryzą.

Czy to możliwe, że znalazłam go martwego tegoranka?

Wydawało mi się, że od nieprzyjemności w ogrodzie  
upłynęła wieczność.

Nieprzyjemności?

Jesteś kłamczuchą, Flawio!

Mary wyglądała na przerażoną, kiedy włożyłam rękę dokosza i  
wyjęłam piórko z kawałkiem ciasta nadzianym nadutką.

-Widzisz?

- Podsunęłam jej piórko pod nos, a Mary skurczyła się jak Drakula na  
widok krzyża.

-Gdyby piórko wpadło do kosza, nie wbiłoby się samow ciasto.

Znasz taką rymowanąkę: Dwadzieścia cztery kosy w cieście zapieczone?

Pojmujesz?

- Myślisz?

- zapytała Mary z oczami jak spodki.

- Masz rację, Sherlocku pochwaliłam ją.

-Nadzieniem tego ciasta był ptak izdajesię, żewiem, jakiego gatunku.

Znów podsunęłam jej piórko pod nos.

- Król najadł się do syta i wziął sobie żonę - wyrecytowałam.

Tym razem Mary uśmiechnęła się lekko.

Zrobię to samo z inspektorem Hewitem.

Tak zrobię!

Rozwiążę tę zagadkę i podsunę mu ją pod nos zapakowaną w kolorowy  
papier iprzewiązaną wstążką!

"Napijemy się herbaty w domu.

Nie musisz jej tu przynosić", powiedział do mnie w ogrodzie ten.  
czajnik!

Co za tupet!

Co za cholerny tupet!

Pokażemy mu jeszcze, gdzie raki zimują!

Wewnętrzny głos podpowiadał mi, że kluczem do wszystkiego  
była Norwegia.

Ned nigdy nie był w Norwegii, a po zatym przysięgał, że nie zostawił  
zdechłego kszyka na naszych schodach.

Wierzyłam mu, więc należało go wyeliminować-przynajmniej chwilowo.

Z Norwegii przyplłynął nieznajomy.

Powiedział to sam, by tak rzec, naczelnik stada!

Ergo ("zatem" dla tych, co nie znają łaciny) przywiózł z sobą kszyka.

W cieście!

Tak, to miało sens.

Niema lepszego sposobu na szmug

lowanie zdechłych ptaków przez szczelne komory celne Jego Królewskiej Wysokości.

Jeszcze tylko jeden krok i będziemy w domu niemożna zapytać inspektora, skąd wiedział o Norwegii, nie może na zapytać o to samo nieznajomego (z oczywistych powodów, gdyż jest martwy), zatem kogo można?

Nagle ujrzałam wszystko jasno i wyraźnie, jak widok rozpościerając się u moich stóp z górskiego szczytu. Widok, jaki widywała Harriet.

Widziałam wszystko jak orzeł kołujący nad zdobyczą.

Uściskałam się w myślach z radości.

Jeśli nieznajomy przypląnął z Norwegii, podrzucił przed śniadaniem zdechłego ptaka na naszych schodach i pojawił się w gabinecie ojca po północy, musiał zatrzymać się niedaleko.

Takaby mógł dojść piechotą do Buckshaw.

Na przykład w tym pokoju w gospodzie Trzynastu Kaczorów.

Teraz wiedziałam już napewno, że ciało, jakie znalazłam w ogórkach, należało do pana Sandersa.

Nie było codo tego najmniejszych wątpliwości.

- Mary!

To znów Tully, ryczący jak młody byczek, tyle że tym razem tuż za drzwiami.

- Już idę, tato!

- odkrzyknęła Mary, chwytając metalowy kosz.

- Wymkniesz się stąd - szepnęła mi na ucho.

- Odczekaj pięć minut, a potem zjedź na dół tylnymi schodami, którymi tu przyszliśmy.

Zniknęła zadrzwiami, a pochwili usłyszałam, jak tłumaczy Tully'emu, że musi wymyć kosz, bo gość zostawił w nim straszny bałagan.

- Nie chcemy, żeby ktoś zmarł od zarazków podłapanych w Trzynastu Kaczorach, prawda tato?

- lgała jak z nut.

Szybko się uczyła.

Czekając na wolną drogę, po raz drugi przyjrzałam się kufrowi.

Przesunęłam palcami po kolorowych naklejkach, próbując wyobrazić sobie dalekie podróże i to, co pan Sanders robił w każdym z miast: w Paryżu, Rzymie, Sztokholmie, Amsterdamie, Kopenhadze, Stavanger.

Naklejka z Paryża była czerwono-biało-niebieska.

Podobnie jak ta ze Stavanger.

Czy Stavanger leży we Francji?

, zastanawiałam się.

Nazwa nie brzmi z francuska, chyba że wymawia się ją "sta-wan-żej" tak jak nazwisko Laurence'a Oliviera.

Dotknęłam naklejki, która zmarszczyła się pod moimi palcami jak fale wokół dziobu statku.

Dotknęłam pozostałych.

Każda trzymała się mocno jak gładkie naklejki na butelce z cyjankali.

Wróciłam do Stavanger.

Naklejka była lekko wybrzuszona, jakby coś pod nią ukryto.

Krew szumiała mi w uszach jak woda w wodogrzmotach.

Otworzyłam kufer i wyjęłam z szufladki brzytwę.

Otwierając ostrze, pomyślałam sobie, że kobiety - z wyjątkiem takich przypadków jak panna Pickery z biblioteki - są bardzo szczęśliwe, nie muszą się golić.

Życie kobiet tak jest wystarczająco ciężkie bez codziennego pokrywania się włosiem.

Trzymając ostrożnie ostrze między kciukiem a palcem wskazującym (po incydencie z laboratoryjnym szkiełkiem musiałam wysłuchać wykładu na temat bezpieczeństwa i higieny pracy z ostrymi przedmiotami), wykonałam lekkie nacięcie u końca naklejki, starając się przesunąć ostrze wzdłuż dekoracyjnej błękitno-czerwonej krawędzi biegnącej przez całą długość papierka.

Uniosłam lekko nacięcie tępym końcem brzytwy i coś wysunęło się ze środka, po czym upadło na podłogę.

Była to mała koperta z glazurowanego papieru, podobna dotychczas, jakiej widziałam w teczce sierżanta Gravesa.

Koperta była półprzezroczysta, dostrzegłam w niej coś, coś kwa.

dratowego i nieprzejrzystego.  
Otworłam ją i postukałam w krawędź palcem.  
Coś wysunęło się na moją dłoń.  
w zasadzie dwa cosie.

Dwa znaczki pocztowe.

Dwa jasnopomarańczowe pocztowe znaczki, każdy z nich w przejrzystej pochewce.

Pomijając kolor, były takie same jak Czarna Wiktorja nadzianana dziób bekasa kszycyka.

Znowu ta Wiktorja.

Cóż za roz

czarowanie!

Nie wątpiłam ani przez chwilę, że ojciec rozpląwałby się nad doskonałością obu obrazków, nad czarującą ryciną, idealnie wykonaną perforacją i chwalebnie lepki klejem, ale dla mnie znaczki te były zwykłymi kawałkami papieru, jakie naklejało się po poślinieniu na liście z podziękowaniami dla straszliwej ciotki Felicjty z Hampshire, która przysłała nam na święta wypchaną wiewiórkę.

W takim razie czy powinnam umieścić oba znaczki na powrót pod naklejką ze Stavanger i udawać, że nic się nie stało?

Hm..

Jeśli pan Sanders i trup z ogrodu byli jednymi tym samym - a wszystko na to wskazywało - znaczki pocztowe nie są już mu potrzebne.

Zatrzymam je, postanowiłam.

Przydadzą mi się pewnego dnia, gdy będę musiała się wykupić z kary nałożonej przez ojca, który nie jest w stanie myśleć jednocześnie o znaczkach i dyscyplinie.

Schowałam kopertę do kieszeni, polizałam palec wskazujący i zwiżyłam nim wewnętrzną krawędź nacięcia na naklejkę.

Potem, za pomocą kciuka, przystemplowałam Stavanger na dobre.

Nikt, nawet sam inspektor Fabian ze Scotland Yardu, nie domyśli się, co się tutaj stało.

Nie miałam już więcej czasu.

Poraz ostatni rozejrzałam się po izbie i wymknęłam się ostrożnie na ciemny korytarz, a potem zgodnie z instrukcjami Mary przeszłam na paluszkach ku tylnym schodom.

- Mary!

- ryknął z dołu Tully.

-Z ciebie jest taki po

żytek jak ze skarpetna byku!

Jak mam, do ciężkiej cholery, prowadzić ten interes, kiedy wszystkim gnije w siatkę zakupy!

Tully nadchodził z dołu.

Jeszcze jeden zakręt i stanie z zemną twarzą w twarz!

Pobiegłam na paluszkach w przeciwną stronę przez labirynt korytarzy, dwoma schodkami w dół i trzema do góry.

Po chwili, dysząc ciężko, znalazłam się u szczytu klatki schodowej w kształcie litery L, prowadzącej do drzwi wejściowych.

Rozejrzałam się - w pobliżu nikogo nie było.

Zeszłam ostrożnie na dół.

Długi mroczny korytarz z żółtymi od wilgoci plakatami sportowymi służył jako lobby tej gospody.

Wędzone dusze ledzi przylgnęły przez stulecia do tapet, z których unosił się zapach ich całopalnej ofiary.

Półmrok rozświetlał jedynie plama słońca wpadająca przez uchylone frontowe drzwi.

Z lewej strony zauważyłam biurczko z telefonem, książką telefoniczną, szklanym wazonikiem z różowymi fiołkami i rejestrem gości.

Księga meldunkowa!

Niewątpliwie gospoda Trzynaście Kaczorów nie była rojną jak ul. W otwartej księdze meldunkowej widziałam nazwiska podróżnych goszczących tu przez ostatni tydzień dłużej.

Nie musiałam jej nawet dotykać.

A oto i on:

Sczerwca, 10:25-F.

X. Sanders, Londyn

Nikt nie gościł w gospodzie dzień wcześniej, nikt inny nie zameldował się po F.

X. Sandersie.

Ale Londyn?

Inspektor Hewitt powiedział, że zamordowany przypląnął niedawno z Norwegii, a miałam wszelkie powody, by sądzić, że inspektor Hewitt, podobnie jak król Jerzy VI, nie toleruje żartów.

Chwileczkę.

Inspektor powiedział, że przyplłynął niedawno - a to jedno słowo całkowicie zmienia postać rzeczy!

Jednak zanim zdołałam to przemyśleć, nagórze rozległo się dudnienie.

Niezastąpiony, wszędobylski Tully!

- Z tonu, jakim ryczał, domyśliłam się, że Mary nadal dostaje za swoje.

- Nie patrz tak na mnie, dziewczyno, bo pożałujesz!

Schody jęknęły podciężkim człapaniem.

Zaraz mnie zobaczy!

Już miałam wypaść przez uchylone drzwi, kiedy pod gospodę zajechała poobijana czarna taksówka z ciężkim bagażem na dachu i fotograficznym statywem wystającym przez boczne okno.

Przyjazd taksówki odwrócił uwagę Tully'ego, który zadarłszy głowę, odezwał się górę schodów scenicznym szeptem, brzmiącym jak aria Borysa Godunowa:

To pan Pemberton!

Przyjechał wcześniej.

Mówiłem, że tak będzie, co nie?

Więc rusz się, dziewczyno, zmień tę brudną pościel, a ja poszukam Neda.

Biegłam, ile sił w nogach.

Minęłam sportowe plakaty i dobiegłam do końca korytarza, gdzie znajdował się wyjście na podwórko.

Ned!

Chodź tu zaraz i zajmij się bagażem pana Pembertona!

Tully deptał mi po piętach, zmierzając na tyły gospody.

Na chwilę oślepiło mnie jaskrawe słońce, ale widziałam, że Neda nie było w pobliżu.

Musiał skończyć rozładunek sera i zajął się czymś innym.

Nie zastanawiając się wiele, wskoczyłam na łóżko i rozpląszczyłam się za kilkoma pozostałymi serami.

Wyglądając przez szpary między serowymi kołami, widziałam, jak Tully wyszedł na podwórko, rozejrzał się i wytarł czerwoną gębę w fartuch.

Był ubrany do pracy zabarem, który musiał już być otwarty, pomyślałam.

- Ned!

- ryknął.

Wiedziałam, że stojąc w słońcu, nie zauważy mnie naskrzyni ciężarówka.



Wystarczy, że przywaruję i będęcicho.

Układałam to sobie w głowie, kiedy obok ryków Tully'ego usłyszałam dwa inne głosy.

Się ma, Tully mówił jeden.

Dziękiza piwko.

Się ma, brachu dodał drugi.

Dozobaczenia w przyszłą sobotę.

Powiedzcie George'owi, że może dać se rękę uciąć za Morską Gwiazdkę.

Tylko nie mówcie mu którą!

Mężczyźni mówią do siebie takie rzeczy tylko po to, żeby mieć ostatnie słowo.

Wypowiedź Tully'ego wcale nie była śmieszna, mimo to wszyscy zarechotali jak jeden mąż i walili się zapewne po udach na tęmądrość.

Po chwili poczułam, że amortyzatory ciężarówki ugięły się z jękiem, a do kabiny wsiadło dwóch mężczyzn.

Silnik zaskoczył z pierwszym razem i potoczyliśmy się - tyłem!

Tully zginał i prostował palce, pokazując kierowcy, jak daleko może się cofnąć, by nie uderzyć skrzynią w ścianę gospody.

Nie mogłam teraz zeskoczyć, wpadłabym prostow jego objęcia.

Musiałam poczekać, aż przejedziemy przez bramę i znajdziemy się na prostej drodze.

Uniosłam głowę.

Tully wracał do drzwi, a Gladys stałam, gdzie ją zostawiłam przy sterze bierwion.

Ciężarówka skręciła ostro i przyspieszyła, na głowę spadło mi koło wensleydale'a i potoczyło się po nieheblowanych deskach skrzyni.

Zanim doszłam do siebie, pędziliśmy wzdłuż żywopłotów powiejskiej drogi, a Bishop's Lacey zostało daleko z tyłu.

Masz za swoje, Flawio!

, pomyślałam.

Już nigdy nie zobaczysz najbliższych!

Początkowo myślta wydała mi się całkiem dorzeczną, ale po chwili zdałam sobie sprawę, że będę tęskniła za ojcem - przynajmniej trochę.

Bez Ofelii i Dafne mogę żyć.

Inspektor Hewitt dojdzie, ma się rozumieć, do wniosku.

sku, że to ja popełniłam morderstwo, zbiegłam z miejsczabrodni i płynę zdezelowanym parowcem do BrytyjskiejGujany.

Zawiadomiwszystkie porty docelowe, żeby miały się na baczności przed jedenastoletnią morderczynią-'w bluzie i z kucykami na głowie.

Kiedy policja doda w końcu dwa do dwóch,wyśle psytropiące za zbiegłą,która cuchnie jak najstarszy serowarJego KrólewskiejWysokości. Z tego wniosek, że będę musiała się wykąpać - może w jakimśstrumieniu, w którymdasię również wyprać moje rzeczy.

Później wysuszeje nakrzakach jeżyn.

Przesłuchają, rzecz jasna, Tully'ego, wezmana tortury Neda i Mary, żeby dowiedzieć się, jak uciekłam z Trzynastu Kaczorów.

Trzynaście Kaczorów.

Dlaczego -zastanawiałam się- ludzie, którzy wymyślają nazwy naszych gospod i pubów, niemają za grosz wyobraźni?

Pani Mullet powiedziała mi kiedyś, że nazwa naszej gospody pochodzi z XVIII wiekui została wymyślona przez pewnego ziemianina, który w okolicznych wioskach doliczył się dwunastu gospod z "kaczorem" w nazwie i dodał do nich kolejną.

Nie rozumiem, dlaczego nie mógł wymyśleć czegoś bardziej praktycznego, jak na przykład Trzynaście Atomów Węgla?

Nazwa ta byłaby bardzo pouczająca, gdyż trzynaście atomów węgla zawiera trójdecyl, którego wodorkiem jest gaz błotny, czyli metan.

Jakżedydaktyczna nazwa dla pubu!

Nie to co jakieś Trzynaście Kaczorów!

Wyobraźnia mężczyzn kręci się wokół ptaków!

Przeciwstawiałam pożytki trójdecylu nudnym nazwom drobiu, gdy za klapnięciem żarówki mignął mi okrągły, pomalowany na biało kamień.

Znałam go doskonale, gdyż kamień ten oznaczał skręt na Doddingsley.

Za półmili kilometrówca będzie się musiał zatrzymać - choćby na krótką

chwilę - żeby skrócić w prawo do St Elrrieda's lub w lewo do Nether Lacey.

Podczołgałam się na sam koniec lory, gdy zapiszczały hamulce, a ciężarówka zaczęła zwalniać.

Chwilę później, niczym komandos wyssany przez otwarty luk bombowca Whitley, zeskoczyłam ze skrzyni i opadłam na ziemię.

Kierowca, nie oglądając się za siebie, skrzył w lewo, a ciężka załadowana serami ciężarówka zniknęła w chmurze pyłu.

Ruszyłam w drogę powrotną do domu.

Od Buckshaw dzielił mnie spory kawałek polami.

## DZIEWIĘĆ

Spodziewam się, że po śmierci siostry mej, Ofelii, wspomnieniem o niej, które będzie mi towarzyszyć zawsze, stanie się jej subtelna gra na fortepianie.

Siadając w salonie przed klawiaturą naszego starego broadwooda, Fela przechodzi metamorfozę.

Lata wprawek - w pogodę i niepogodę - sprawiły, że lewą ręką gra jak Joe Luis, a prawą jak Beau Brummel (tak przynajmniej twierdzi Dafi).

A ponieważ gratak ślicznie, zawsze uważałam za swój obowiązek być wobec niej niemiła.

Na przykład, kiedy zaczyna wykonywać jakiś wczesny utwór Beethovena, brzmiący jakby został zerżnięty z Mozarta, natychmiast przerywam wykonywane czynności i wchodzę niezobowiązująco do salonu.

- Pierwszoklasie walisz płetwami - oznajmiam, przekrzykując muzykę, po czym wydaję siebie odgłos tresowanej foki: - Arf!

Arf!

Arf!

Ofelia ma mlecznobłękitne oczy - takie, jakiemógł mieć, moim zdaniem, ślepy Homer.

Choć zawiększość repertuaru na pamięć, czasem przesuwa się na stołku, pochylając automat i wpatruje się w partyturę.

Joe Luis - bokser amerykański; Beau Brummel - angielski dandy z przełomu XVIII i XIX w.

Kiedyś, gdy zauważyłam od niechcienia, że przypominam dezorientowanego jamraja, zerwała się ze stołka i o mało nie zabiła zrolowaną sonatą Schuberta.

Ofelia niema poczucia humoru.

Kiedy pokonałam ostatni przełaz i moim oczom ukazało się górujące nad polami Buckshaw, oniemiałam z zachwytu.

Z takiej odległości i o takiej porze dnia nasz dom.

wyglądał najpiękniej.

Nadchodziłam do Buckshaw od zachodu, a w późnym popołudniowym słońcu stare, omszałe kamienie lśniły jak szafran.

Harmonizująca z krajobrazem budowla przypominała troskliwą, wysiadującą jajka kwokę z powiewającą nad głową flagą Zjednoczonego Królestwa.

Dom wydawał się nie zwracać na mnie uwagi, czułam się trochę jak podkradając się bezwiedzy gospodarzy intruz.

Z odległości ćwierćmili do mych uszu dobiegły dźwięki Toccaty Pietra Domenica Paradisiego z jego Sonaty a-moll.

Toccatą była moją ulubioną kompozycją największym osiągnięciem w całej historii muzyki.

Gdyby Ofelia się tym dowiedziała, już nigdy nie zagrałaby tego dzieła.

Zawsze kiedy słyszę ten utwór, przypominam sobie zbieganie po stromym wschodnim zboczu Goodger Hill zbieganie tak szybkie, że niemal nie nadążam ze stawianiem kroków i kołyszę się na boki dla równowagi i wrzeszczę nacałe gardło jak euforyczna mewa.

Podeszłam bliżej domui przystanąłam na polu, żeby posłuchać idealnie płynących nut- nie za bardzo presto, dokładnie tak, jak lubiłam.

Przypominałam sobie Eileen Joyce grającą Toccatę w Radiu BBC.

To ojciec włączył radio, choć nie zwracał uwagi na muzykę, zajęty swoimi znaczkami.

Ale nuty Toccaty wędrowały po korytarzach i galeriach Buckshaw,

wspięły się spiralną klatką schodową i odnalazły mnie w sypialni.

Zanim zorientowałam się, co słyszę,

Torbacz australijski przypominający szczura.

zanim zbiegłam na dół i wpadłam do gabinetu ojca, Toccata dobiegła końca.

Na tym właśnie polega jedyna wada Toccaty - jest zakrótka.

Obeszłam płot i weszłam na taras.

Przez okno zobaczyłam ojca, siedzącego w gabinecie przy biurku, bardzo czymś zajętego.

Różokrzyżowcy twierdzą w broszurach, że można zmusić człowieka do odwrócenia głowy - nawet w zatłoczonym kinie jeśli z odpowiednim natężeniem woli wbijemy wzrok w jego kark.

Spróbowałam tej sztuczki na ojcu.

Podniósł głowę, ale nie zauważył mnie.

Błądziłam myślami w odległych rejonach.

Nie poruszyłam się.

Głowa ojca opadła, jakby była z ołowiu; tata wrócił do pracy.

W salonie Fela zaczęła grać Schumanna.

Fela zawsze grywa Schumanna, kiedy myśli o Nedzie.

Chyba dlatego nazywają Schumanna kompozytorem romantycznym.

Kiedyś, gdy grała sonatę Schumanna z przesadnie rozmarzonym wyrazem twarzy, rzuciłam głosnow stronę Dafi, że uwielbiam pasjami, jak Fela graboogie-woogie.

Fela też wpadła w pasję, kto wie, czynię dlatego, że wybiegłam z salonu i wróciłam doń ze znalezioną na strychu bakelitową trąbką dla głuchych, blaszanym kubkiem tekturką z napisem: "Grosik dla niedosłyszącej ofiary wybuchu fortepianu".

Ofelia zapomniała już pewnie o tym incydencie, ale janie.

Podeszłam do niej bardzo blisko, udając, że chcę wyjść - rzeć przez okno.

Psiakrew!

Ani śladu działania trucizny!

Będziesz miała najprawdopodobniej mnóstwo kłopotów, najmiła, zatraskując pokrywę fortepianu.

Gdziebyłaś przez cały dzień?

- Nie twój zakichany interes - odparowałam.

- Nie jestem twoją służącą.

- Wszyscy cię szukali.

Powiedziałam im z Dafi, że uciekłaś z domu, ale okazuje się, cholera, żenie.

- Nie wolno ci mówić "cholera", Felu, bo wyrośnie ci pępek na języku. I nie nadymaj się tak, bo wyglądasz jak nadgryziona gruszka.

Gdzieojciec?

Przecież wiedziałam!

- Nie wyściubił nosa zgabinetu przez cały dzień - odpowiedziała posłusznie Fela.

- Myślisz, że tak mocno przeżywa to, co stało się rano?

- Odkrycie trupa wogórkach?

Nie sądzę.

Przecież tonie ma nic wspólnego z nami, prawda?

- Tak mi się wydaje.

- odrzekła i podniosła pokrywęklawiatury.

Odrzuciła artystycznie włosy i rozpoczęła pierwsząz Wariacji Goldbergowskich Bacha.

Grała dosyć wolno, alei tak ładnie, choć moim skromnym zdaniem Bach nie dorastał do pięć Pietro DomeniIcowi Paradisiemu.

I wtedy przypomniałam sobieo Gladys!

Zostawiłam jąprzecież pod Trzynastoma Kaczorami, gdzie łatwo ją było zauważyć.

Jeśli policja jeszczenie odwiedziła gospody, zaraz to uczyni.

Zastanawiałamsię, czy zmusili już Nedai Mary do opowiedzenia imo mojej wizycie.

Chyba nie,bo gdyby było inaczej, inspektor Hewitt czekałby na mniew Buckshaw, żebyodczytać mi moje prawa.

Po upływie pięciu minut wyruszyłam po raz trzeci tegodnia tymrazem pieszo doBishop's Lacey.

Trzymając się żywopłotów i ukrywając się za drzewami na odgłos zbliżającegosię pojazdu, dotarłam okrężnądrogą do końca High Street, która o tejporze dnia byłajakzwykle wyludniona i senna.

Przebiegałam starannie utrzymany ogródpany Bewdley(liliewodne, kamienne bociany, złote rybki i pomalowa.

ny na czerwono mostek) i znalazłam się przy murku z cegieł, który zamykał podwórko Trzynastu Kaczorów.

Przykucnęłam i nadstawiłam ucha.

Gladys, jeśli nikt jej sobienie przywłaszczył, powinna znajdować się dokładnie pod drugiej stronie muru.

Jedynym odgłosem, jaki do mnie dotarł, był odległy warkot traktora. Już miałam wystawić głowę nad murek, kiedy usłyszałam głosy, a w zasadzie jeden, należący oczywiście do Tully'ego.

Usłyszałam go nawet w Buckshaw z atyczkami w uszach.

-W życiu nie widziałem tego gościa, inspektorze.

Moim zdaniem zjechał po raz pierwszy do Bishop's Lacey.

Zapamiętałbym go, gdyby się zatrzymywał umnie wcześniej.

Sanders było z domu mojej świętej pamięci małżonce, niech ją Bóg błogosławi, i bym zwrócił uwagę, gdyby ktoś o tym nazwisku wpisał się do księgi gości.

Głowę panudaję.

A też Sanders na pewno nie wychodził na podwórko, wszedł frontowymi drzwiami zaraz poszedł na górę.

Jeśli szuka pan jakichś wskazówek, to tuje pan znajdzie:

w barze naszej gospody.

Bo siedział tu trochę, wypił duszkiem duże półciemne i nie zostawił napiwku.

A więc policja już wiedziała!

Poczułam podniecenie wzbierające jak pianka imbirowego piwa -nie dlatego, że odkryłam tożsamość ofiary, ale że zrobiłam to pierwszy i pobijałam Hewitta o pół dnia z ręką zawiązaną na plecach.

Pozwoliłam sobie na protekcyjalny uśmiezek.

Kiedy głosy ucichły, zasłoniłam się jakimś pnączem i wyjrzałam ponad murkiem.

Na podwórku nie było żywego ducha.

Przeskoczyłam przez murek, złapałam Gladys, wskoczyłam na siodółko i popedałowałam wściekle ku pustej High Street.

Skręciłam w Cow Lane i cofając się po własnych śladach, okrążyłam tyły biblioteki między Trzynastoma Kaczorami a nadrzeczną ścieżką dla koni holujących

barki.

Potem pomknęłam Shoe Street, minęłam kościół i wyjechałam na pola.



Patataj-patataj jechałyśmy po polach: Gladys i ja.  
Byłam z dojrzałymi towarzyszami.

Och, a księżyc oświetlał panią Kurkę

I jej córkę,

Któregoś dzień

Myła nogi w mineralnej wodzie.

Piosenki tej nauczyła mnie Dafi, uzyskawszy ode mnie pierwszą obietnicę, że nigdy nie zaśpiewam jej w Buckinghamu.  
W sumie to bez różnicy, bo piosenka nadawała się raczej do śpiewania na dworze - zupełnie tak jak teraz.

W drzwiach napatoczył się Dogger.

- Musimy porozmawiać, panno Flawio.

W jego oczach kryło się napięcie.

- Dobrze - odpowiedziałam.

- Gdzie?

- W szklarni - odrzekł, wskazując kciukiem kierunek.

Obejdnęliśmy dom od wschodniej strony i przeszliśmy przez furtkę w murze okalającym ogródek warzywny.

Kiedy już znaleźliśmy się w szklarni, równie dobrze można było przyjąć, że wyjechaliśmy do Afryki, gdyż nikt poza Doggerem nie ośmielał się tutaj wchodzić.

Otwarte szyby wentylacyjne chwyciły ostatnie promienie słońca i odbijały je ku miejscu, w którym staliśmy wśród stołów z doniczkami i węży z gutaperki.

- Co jest, Dogger?

zapytałam z uśmiechem, starając się nadać pytaniu - z dość marnym efektem - brzmienie firmowej kwestii Królika Buggsa.

- Policja.

- zaczął.

- Muszę wiedzieć, ile im powiedziałaś o.

- To samo chodziło mi po głowie przerwałam mu.

Ty pierwszy.

- No tak.

Teninspektor.

Hewitt.

zadawał mi pytania o dzisiejszy ranek.

- Mnie też - dodałam.

- I co mupowiedziałeś?

- Przepraszam, Flawio, ale musiałem mu powiedzieć, że obudziłaś mnie rano, kiedy znalazłaś ciało, i że poszedłem z tobą do ogrodu.

-Już o tym wiedział.

BrwiDoggera pofrunęły kuniebu jak dwie mewy.

- Wiedział?

-Oczywiście.

Sama mu powiedziałaś.

Dogger gwizdnął przeciągle.

- Ale nie powiedziałaś mu o.

tej kłótni.

w gabinecie?

-Jasne, że nie, Dogger!

Za kogo mnie bierzesz?

- Nie wolno ci o tym pisać nikomu ani słówka, Flawio, nigdy!

Wpakowaliśmy się właśnie w niezły pasztet.

Dogger prosił mnie, żebym zawiązała z nim spisek i nie przekazywała ważnych informacji policji.

Kogo chciał chronić?

Siebie?

Ojca?

A może mnie?

Nie mogłam zapytać go o towprost.

Pomyślałam, że lepiej będzie zastosować inną taktykę.

- Wiem i będę trzymać buzię na kłódkę - powiedziałam.

Ale dlaczego?

Dogger podniósł z ziemi gracę i zaczął upychać nią ziemiew doniczce.

Nie patrzył namnie, ale jegonapięte szczęki wskazywały jasno, że właśnie podejmował jakąś decyzję.

- Sarszczy -odezwał się w końcu - o których trzebawiedzieć.

Ale są też inne, októrych wiedziećnie trzeba.

- Naprzykład?

- odpowiedziałam.

- Odczep się rzucił.

Znalazłszy się w laboratorium, wyjęłam z kieszeni zawiniętą w gazetę paczuszkę i rozwinęłam ją ostrożnie.

Natychmiast jęknęłam z rozczarowania - tarzanie się po ciężarówkach, wspinanie się po murach i jazda na rowerze zamieniły moje dowody w drobne okruszynki ciasta.

O kurchy!

zakląłam nie bez przyjemności z odkrytego właśnie i pasującego do sytuacji neologizmu.

- I co ja teraz pocznę?

Włożyłam piórkodo koperty, a kopertę ukryłam w szufladzie wśród listów należących do Tara de Luce'a, pisanych w czasie, gdy Harriet była w moim wieku.

Nikomunie przyjdzie do głowy, żeby tutaj zaglądać, a poza tym jak mówiła Dafi - najlepszym sposobem na krycie grobowej miny jest wystąpienie z nią na operowej scenie.

Pokruszone ciasto przypomniało mi, że nic nie jadłam przez cały dzień.

Kolacja w Buckshaw na mocy jakiegoś archaicznego statutu - była zawsze przygotowywana w południe przez panią Mullet, a następnie odgrzewana dla naso dwudziestej pierwszej.

Umierałam z głodu, ba, byłam tak głodna, że zjadłabym nawet wstrętne kremówkę pani Mullet.

Dziwne, prawda?

Pytała mnie - tuż po tym, jak ojciec zemdlął - czy smakowałam kremówką.

a ja jej przecież nie jadłam!

Kiedy przechodziłam przez kuchnię o czwartej nad ranem chwilę przed potknięciem się o rękę trupa w ogórkach - ciasto stało na parapecie: tam, gdzie odstawiła je do schłodzenia nasza gospodyni.

I brakowało jednego kawałka!

W rzeczy samej, brakowało kawałka układanki!

Kto mógł go zjeść?

Zastanawiałam się nad tym nad ranem.

Na pewno nie zjadł go ojciec, ani Dafi, ani Fela - woleliby raczej zjeść skremowaną robaki na toście niż przekłętą kremówkę pani Mullet.

Dogger też gonie zjadł.

Nie należał do ludzi, którzy bez pozwolenia częstują się deserem.  
A gdyby pani Mullet poczęstowała ciastem Doggera, nie pytałaby mnie  
przecież, czy mi smakowało!

Zesłam do kuchni.

Kremówka zniknęła.

Okno było nadal uniesione, tak jak zostawiła je pani Mullet.

Czy zabrała kremówkę do domu, żeby nakarmić nią Alfa?

Mogłabym doniej zadzwonić i zapytać, ale ojciec nałożył na nas surowe restrykcje w korzystaniu z telefonu.

Należał do pokolenia, które gardziło "tyminstrumentem"-jak nazywał telefon.

Telefon swoją obecnością sprawiał mi niewypowiedzianą przykrość i korzystał z niego jedynie, kiedy nie miał wyboru.

Ofelia powiedziała mi, że nawet wiadomość o śmierci Harriet musiano przesłać mu telegraficznie, gdyż nie wierzył słowom, których nie ujrzał na piśmie.

Z telefonu w Buckshaw można było korzystać tylko w przypadku pożaru lub choroby.

Każdy inny powód do posłużenia się "instrumentem" wymagał ojcowskiej zgody, zasadę tę wpajano nam od kołyski.

Nie, będę musiał poczekać do jutra, żeby zapytać panią Mullet o kremówkę.

Przyniosłam ze spiżarni bochenek chleba i odkroiłam sobie pajdę. Posmarowałam ją masłem, a następnie pokryłam kołdrą trzcinowego cukru.

Złożyłam chleb na pół, dwukrotnie, za każdym razem mocno prasując kromkę dłonią.

Potem włożyłam ją do grzejącego się piekarnika i odśpiewałam trzy strofy. Dałabym ciciasteczko, gdybym była wiedziała.

Nie była to cytrynowa bułeczka z Chelsea, ale musiała mi wystarczyć.

## DZIESIĘĆ

Choć my, deLuce'owie, jesteśmy katolikami od czasów, gdy modne były wyścigi rydwanów, nie przeszkadza nam to w nawiedzaniu św. Tankreda, jedynej kościoła w Bishop's Lacey prawdziwej historii anglikanizmu.

Istnieje kilka powodów dla takiego stanu rzeczy.

Pierwszym z nich jest dogodne położenie świątyni, drugim to, że ojciec i proboszcz od Tankreda uczęszczali do szkoły w Greyminsterze, choć w tym samym czasie.

Poza tym, jak udowodnił nam ojciec, konsekracja świątyni ważna jest powszechnie, nie można jej zmyć podobnie jak tatuażu.

A przed reformacją Tankred był katolickim kościołem i pozostanie nim -

przynajmniej w jego oczach nazawsze.

W rezultacie, w każdy niedzielny poranek bez wyjątku wędrowaliśmy gęsiego przez pola dokońcioleta pierwszyszedł ojciec, ścinający co jakiś czas roślinom czubki wzrostu za pomocą laski z Malakki, za nim Fela, Dafi i ja (w takiej kolejności), a na końcu Dogger w odświętym garniturze.

Nikt w Świętym Tankredzie nie zwracał na nas najmniejszej uwagi. Przedlaty, owszem, miejscowi anglikanie podnieśli lokalny bunt, który na szczęście został zażegnany bezkrwawo przez drobną, złożoną w samą porę ofiarę na Fundusz Restauracji Organów.

- Proszę impowiedzieć - zwrócił się wówczas ojciec do

proboszcza - że choć nie modlimy się z nimi, nie robimy tego również przeciw nim.

Kiedyś, gdy owładnięta uniesieniem religijnym Ofelia ustawiła się przed balaskami i przyjęła anglikańską ko, munię, ojciec nie rozmawiał z nią przez cały tydzień.

Odtamtęj pory wystarczyło, że Ofelia szurnęła nogą w kościele, by z ust ojca dobiegł groźnysyk:

- Nie ruszaj się, moja panno!

Ojciec nie musiał nawet na nią patrzeć, już sam jego profil - przypominający zarystwarzy surowego centuriona jakiegoś szczególnie ascetycznego rzymskiego legionu - wystarczał, by nas okiełznać.

Przynajmniej w miejscach publicznych.

Teraz, zerkając na rozmodloną Fełę, klęczącą z zamkniętymi oczyma, ze złożonymi rękopaluszkaami skierowanymi ku niebu, szepczącą żarliwe modlitwy, musiałam się napominać szczypaniem, że mam obok siebie nie anioła, lecz kacerską wypluwkę diabła!

Kongregacja Świętego Tankreda przywykła z czasem donaszych uników idziwactw i mogliśmy bez przeszkód napawać się jej chrześcijańskim miłosierdziem, z wyjątkiem drobnych nieporozumień, jak na przykład wtedy, gdy Dafne zwierzyła się pani organizacji, niejakiemu panu Denningowi, że Harriet wpoila nam głębokie przekonanie, iż historia potopu z Księgi Rodzaju ma wiele wspólnego z gatunkową pamięcią rodziny kotów, topionych bezlitośnie w stawach i rzeczulkach.

Zwierzanie to wywołało niemałe oburzenie, które znów zostało zażegnane przez ojca całkiem okazałą ofiarą na Fundusz Restauracji Dachy Świętych.

Kwota ta została odjęta od posagu Dafi.

- Ponieważ i tak nie mam żadnego posagu - oznajmiła moja średnia siostra nikt na tym nie stracił.

Wszystkie kary powinny być wymierzone w taki właśnie sposób.

Teraz, kiedy słuchałam nieporuszona słów Aktu Pokuty: "Zanieśliśmy uczynków, których nie powinniśmy zaniechać, a uczyniliśmy to, czego czynić nie powinniśmy", przypomniałam sobie słowa Doggera: "Są rzeczy, o których trzeba wiedzieć.

Ale są też inne, o których wiedzieć nie trzeba".

Odwróciłam się i spojrzałam na niego.

Miał zamknięte oczy i poruszał wargami.

Podobnie jak ojciec.

Ponieważ przypadała niedziela Trójcy Świętej, potraktowano nas stosunkowo rzadkimi podczas liturgii swawolami z Apokalipsy, zobowiązkowym jaspisem i krwawnikiem, tęczą wokół tronu, szklanym morzem podobnym do kryształu oraz ze zwierzętami zoczyrna z przodu i comusi być dosyć niewygodne - z tyłu.

Miałam własne zdanie na temat prawdziwego znaczenia tych niewątpliwie alchemicznych symboli, ale ponieważ chciałam napisać o nich rozprawę doktorską, trzymałam buzię na kłódkę. I choć my, de Luce'owie, gramy jakby w innej drużynie, zazdrościłam anglikanom ich chwalebne modlitewnika: Księgi wspólnej modlitwy.

Chwalebne były również witraże.

Poranne słońce wlewało się do świątyni przez trzy witrażowe okna, odlanew średniowieczu przez na pół dzikich, bo wędrownych szklarzy, którzy przemierzali las Ovenhouse, którego mizerne resztki graniczyły z Buckshaw od zachodu.

W lewym oknie widać było Jonasza, który wyskakiwał z paszczy wielkiej ryby, przyglądając się przez ramię stworzeniu z wyrazem oburzenia natwarzy.

Z broszury, którą rozdawano kiedyś na schodach kościoła, dowiedziałam się, że białe rybie łuski na witrażu powstały podczas wypalania szkła z cyną, a jonasz zawdzięcza swą opaleniznę solom żelaza, które - ciekawe (przynajmniej dla mnie) - są również antidotum na zatrucie arsenikiem.

Okno prawe ukazywało Jezusa wyłaniającego się z grobu.



bu, obok którego stoi Maria Magdalena w czerwonej sukni (również żelazo lub być może sproszkowane złoto), podająca Zmartwychwstałemu purpurową szatę (dwutlenekmanganu) i bochenek żółtego chleba (chlorek srebra).

Wiedziałam, że sole te mieszano z piaskiem oraz popiołem rosnącej na słonych bagnach rośliny z rodziny komosowatych, noszącej nazwę soliród zielny, następnie wypalano w piecu tak gorącym, że nawet Szadrak, Mészaki Abed-Nego musieliby się w nim spocić, po czym chłodzono je do uzyskania odpowiedniej barwy.

Środkowe okno zdominował nasz własny święty Tankred, którego ciało leżało w tej chwili w krypcie gdzieś pod naszymi stopami.

Na witrażu Tankred stoi w otwartych drzwiach naszego kościoła (który wyglądał nieco inaczej przed wprowadzeniem wiktoriańskich ulepszeń) i wita rozpostartymi ramionami swą liczną trzódkę.

Mamiał twarz: wygląda jak ktoś, kogo bez obaw można zaprosić na niedzielne popołudnie do domu i przeglądać z nim stare numery "Illustrated London News", a nawet "Country Lire".

Ponieważ święty Tankred był katolikiem, wyobrażam sobie, że choć chrapie przez wieczność pod posadzką kościoła, ma dużo sympatii dla nas wszystkich z Buckshaw.

Wróciłam myśląc do teraźniejszości, usłyszawszy, że proboszcz modli się za mężczyznę, który dokonał żywota w naszym ogrodzie.

- Był obcym pośród nas.

- mówił proboszcz.

- Leczenie musimy znać jego imienia.

(Ciekawe, czy inspektor Hewitt byłby podobnego zdania?

).

- ...

by prosić Boga o zmiłowanie dla jego duszy i pokój wieczny.

Zob.

Księga Daniela 3, 1-95.

A więc już się rozniosło!

Pani Mullet - jak się domyślałam nie próżnowała wczorajszego wieczoru i pobiegła na drugą stronę ulicy, by podzielić się wiadomościami z proboszczem.

Nie mogłam uwierzyć, że proboszcz poinformowała policja.

W kościele rozległo się głucho dudnienie składającego się klęcznika. Podniosłam głowę i zobaczyłam pannę Mountjoy wycofującą się jak krab pomiędzy ławek i czmychającą boczną nawą ku drzwiom transeptu.

- Niedobrze mi - mruknęłam do Ofelii, która bez mrugnięcia powieką wypuściła mnie z ławki.

Fela bardzo nie lubi, kiedy rzyga się na jej trzewiki, a ta z jej licznych idiosynkrazji była akurat pożyteczna od czasu do czasu.

Na dworze zerwał się wiatr, który targał gałęziami cmentarnych cisów i kołysał falami nieskosszonej trawy.

Kątem oka dostrzegłam pannę Mountjoy znikającą wśród porośniętych mchemkami nagrobnych i zmierzającą kurozpadającej się, spowitej pnączami bramie cmentarnej.

Co mogło wyprowadzić ją z równowagi?

Przez chwilę zastanawiałam się, czy za nią nie pobiec.

Ale potem puknęłam się w głowę.

Kościół Świętego Tankreda okalała rzeczulka i robiła to tak wytrwale, że świątynia znalazła się niemal na wysepce.

Przez wieki wijąca się rzeczulka odcięła alejkę prowadzącą do cmentarnej bramy.

Jeśli panna Mountjoy nie miała zamiaru wrócić do głównego wejścia, za chwilę zdejmie pantofle i przeprawi się przez rzeczulkę, skacząc po zanurzonych w wodzie kamieniach łączących oba brzegi.

A to oznaczało, że chce być sama.

Wróciłam do ojca, który wymieniał uścisk dłoni z kanonikiem Richardsonem.

Mając trupa w ogrodzie, my, deLuce'owie, byliśmy na ustach wszystkich wieśniaków w odświętnych garniturach, tłoczących się teraz, by zamienić z nimi dwa słowa albo po prostu nas dotknąć niczym jakiś.

talizman!

Każdy chciał z nami rozmawiać, lecz najczęściej miał nic ważnego do powiedzenia.

-To straszna historia.

to, co się wydarzyło w Buckshaw mówili do ojca, do Feli albo do mnie.

- Okropna!

- odpowiadaliśmy, wymieniając uściski iczekając na kolejnego petenta szurającego niecierpliwie nogami.

Dopiero po obsłużeniu całej trzódki świętego Tankreda mogliśmy wrócić do domu nalunch.

Kiedy przechodziliśmy przez park, otworzyły się drzwiznanego już nam granatowego auta, z którego wysiadł inspektor Hewitt.

Ruszył w naszą stronę po zwirowym podejździe.

Sądziłam, że policja nieprowadzi śledztw w niedziele, dlatego widząc go, byłam nieco zaskoczona.

Hewittskinałojcu głową i dotknąłronda kapelusza, witając sięFela, Dafi i mną.

- Pułkownik de Luce, chciałbym zamienić z panemdwa słowa. na osobności, jeśli można.

Przypatrywałamsię uważnie ojcu,obawiającsię, czy znównie zemdleje, ale pominąwszy pobielełe dłonie, które zacisnąłna gałce laski, nie wyglądał na poirytowanego.

Byćmoże, przypuszczałam,przygotowywał się na tęchwilę.

TymczasemDogger powędrował spokojnie do domu -może chciał zamienićwykrochmalony staromodny kołnierzyk i mankiety na wygodny ogrodowy kombinezon.

Ojciec spojrziałna nas jak na stado niesfornych gęsi.

- Przejdźmy do mojegogabinetu - zwrócił się doinspektora i odszedł.

Dafi i Felagapiły się w pustkę jak sroki w gnat, co zdarzaim się wtedy, kiedy nie wiedzą, jak się zachować.

Przechwilę chciałamcoś powiedzieć, alezmieniłam zdaniepo zastanowieniu i odeszłam niedbałymkrokiem, gwizdząc pod nosem motyw Harry'ego Lime'a zTrzeciego człowieka.

Przyszło mi do głowy, żeprzy niedzieli będzie niezwykle stosowne pójść do ogrodu i rzucić okiem na miejsce, w którym leżało ciało.

Scena ta powinna przypominaćwiktoriański obraz, na którym zawołowanewdowy stawiają z godnością przywiedle bratki zazwyczaj w szklance na grobach zmarłych mężów bądź krewnych.

Wyobrażenie to napełniło mnie smutkiem i postanowiłam odpuścić sobie wygłupy.

Grządka ogórków bez trupa wydawała się dziwnie niIjaka. Znów stała się zwykłym skrawkiem ziemi porośniętym połamanymi teraz roślinami i poznaczonym śladami, butów, w tym takim, który niepokojąco przypominał ślad ciągniętego po ziemi obcasa. W trawie dostrzegłam dołki po trzech ostro zakończonych nóżkach ciężkiego statywusierżanta Woolmera.

Z audycji radiowych prywatnego detektywa Philipa Odella dowiedziałam się, że w przypadkach nagłej i niespodziewanej śmierci przeprowadza się sekcję zwłok, i byłam ciekawa, czy doktor Darby zdołał już by użyć jego słówii "wrzucić zwłoki na stół".

Ale znów nie mogłam o toni kogo zapytać przynajmniej nie teraz. Zadarłam głowę i popatrzyłam na okno mojej sypialni. Odbijały się w nim białe, kłębiaste chmury płynące po błękitnym morzu nieba.

Wydawały się tak blisko, że mogłabym ich dotknąć.

Blisko.

No tak!

Grządka z ogórkami była tuż pod moim oknem!

Dlaczego zatem niczego nie słyszałam?

Każdy wie, że zabicie istoty ludzkiej wymaga pewnych nakładów energii mechanicznej.

Nie pamiętam dokładnego wzoru, ale wiem, że jest takie równanie.

Siła zastosowana w krótkim przedziale czasowym (na przykład, wystrzał kuli) robi wiele hałasu, natomiast siła zastosowana wolniej może być w ogóle niesłyszalna.

Co z tego wynikało?

Otóż to, że jeśli nieznajomy został gwałtownie zaatakowany, musiało dojść do tego gdzieś tam - poza zasięgiem moich uszu.

A jeśli zaatakowanego tam, gdzie go znalazłam, morderca użył cichej metody: cichej i powolnej, gdyż - kiedy go znalazłam - nieznajomy żył jeszcze, choć niestety ledwo.

Powiedział do mnie:

"Vale".

Ale dlaczego miałby się zemną żegnać?

To samo słowo wykrzyknął pan Twining przedrzuceniem się wieży.

Czy coś ich łączyło?

Czy nieznajomy w ogórkach chciał połączyć swoją śmierć z samobójstwem pana Twininga?

Czy był w szkole, kiedy pan Twining skoczył?

Czy przyczynił się do tego?

Musiałam się nad tym zastanowić i to w zupełnym spokoju.

Powozownia nie wchodziła w grę, gdyż wiedziałam już, że w tak trudnych czasach jak te mogłam natknąć się na ojca siedzącego w phantomie Harriet. Została mitylko Świątynia Dumania.

W południowej części naszej posiadłości znajdowała się sztuczna wyspa usypana na sztucznym stawie, na tej wyspie wzniesiono sztuczne ruiny, a w ich cieniu małą grecką świątynię z pokrytego lizajem marmuru. Zaniedbana i obrosnięta pokrzywami, świątynia ta była niegdyś dumą Anglii.

Przykryta kopułką, wspartą na czterech nadzwyczaj delikatnych kolumnkach, wyglądała jak muszla koncertowa na Parnasie.

Niezliczeni XVIII-wieczni deLuce'owie transportowali do Świątyni Dumania gości naozdobionych girlandami tratwach.

W świątyni i jej okolicach odbywały się pikniki, podczas których jedzono zimną dziczyznę i ciasta, przyglądano się łabędziom

sunącym majestatycznie po szklanej tafli wody, a przez lorgnon

wynajmowanemu specjalnie na takie okazje pustelnikowi, który gapił się i ziewał u wejścia do swego obrosniętego bluszczem eremu w jaskini.

Wyspa, jezioro i Świątynia Dumania zostały zapro

jektowane przez Capability Browna (choć fakt ten kwestionowano niejednokrotnie na łamach wydawanego w Oksfordzie periodyku "Notes and Queries", którego działy filatelistyczny był czytany namiętnie przez ojca) a w bibliotece Buckshaw do dziś znajdowało się duże, oprawne w czerwoną

skóreportfolio, zawierające oryginalne, podpisane rysunki artysty.  
Fakt ten zainspirował kiedyś ojca do wygłoszenia następującej mądrości:  
"Dumanie o Świątyni mędrców z Oksfordu nadaje się tylko do lamusa".

Według rodzinnej tradycji to właśnie w naszej Świątyni Dumania John Montague, 4- Earl of Sandwich, wynalazł nazwaną na jego cześć kanapkę.

Pierwszy sandwicz składał się z zimnej pardwy wciśniętej między dwie kromki chleba.

John Montague nie miał czasu na delektowanie się jedzeniem, bo grał w cribbage z Corneliusem de Luce.

"Niech szlag trafi historię", mawiał ojciec.

Przeprawiłam się na wyspę brodem, woda w jeziorze sięgała mi teraz za ledwie do kolan.

Usiadłam na schodkach małej świątyni, podciągając mokre kolana pod brodę.

Przede wszystkim: co się stało z kremówką pani Mullet?

Wróciłam pamięć do wczesnych godzin sobotniego poranka:  
wyobraziłam sobie, jak idę po schodach, przechodzę przez holdo kuchni i  
no tak!

widzę kremówkę na parapecie okna.

Brakowało w niej jednego kawałka.

Później pani Mullet pytała mnie, czy smakowało mi ciasto.

Dlaczego akurat mnie?

, zastanawiałam się.

Dlaczego nie zapytała o to Felia albo Dafi?

I wtedy mnie oświeciło!

Było to jak grom z jasnego nieba.

Kremówką poczęstował się późniejszy denat!

Tak!

Wszystko nabierało sensu.

Lancelot "Capability" Brown był XVIII-wiecznym angielskim architektem, projektującym ogrody krajobrazowe.

Mieliśmy oto do czynienia z diabetykiem, który odbyłdaleką podróż z Norwegii, przywożąc ze sobą bekasa zapieczzonego w cieście.

Znalazłam resztki tego ciasta - razem zwielenie mówiącym piórkiem -w Trzynastu Kaczorach,a sam bekas trafił na nasze schody.

Nic nie zjadłszy-choć wypiwszy wedługTully'ego Stokera duszkiem piwow barzenieznajomy wyprawia się do Buckshaw w piątkowy wieczór, kłóci się z ojcem, a wychodząc z domu, przechodzi przez kuchnię i częstuje się kremówką pani Mullet.

Nie zdążył przejść obok ogórków, gdy kremówka położyła go trupem!

Jaka trucizna działa tak szybko?

Szukałam w pamięciodpowiednich związków.

Cyjanek działa po kilku minutach - ofiara sinieje na twarzy i dusi się niemal natychmiast.

Cyjanekzostawia zapach gorzkich migdałów.

Aleprzeciw cyjankowi przemawiałfakt, że ofiara jeszcze żyła, kiedyją znalazłam.

(Muszę przyznać, że jestem gorączazolenniczką cyjanku -jeślichodzi oszybkość działania,niewiele innych truciznmoże się z nim równać.

Gdybytrucizny były końmi wyścigowymi, postawiłabym wszystkie pieniądze na cyjanek).

Ale czy rzeczywiście ostatnie tchnienie umierającegozalaatywało gorzkimimigdałami?

Nie mogłam sobie przypomnieć.

Idźmy dalej.

Kurara.

Ona też działa niemal natychmiast, a ofiara umiera po kilku minutach z uduszenia.

Z tym, że kurary się nie połyka: aby zabić, trzeba ją wstrzyknąć.

A poza tym, któż nawsi angielskiej - poza mną rzeczjasna nosiłby kurarę w kieszeni?

A co z tytoniem?

Przypomniałam sobie, że garść liścitytoniu namoczona w słoiku z wodą i zostawiona w słońcuna kilka dnitworzy po odparowaniu gęsty, czarny, przypominający melasę koncentrat, który wywołuje śmierćpokilku sekundach.

Ale Nicoteanarośnie w Ameryce, a świe

że liście tytoniu sanie do zdobycia w Anglii i z pewnością w Norwegii.

Pytanie:

Czy sprostowane niedopałki papierosów, cygar lub tytoń fajkowy dają równie silną truciznę ?

Ponieważ nikt w Buckshaw nie używał tytoniu, będę musiała zebrać próbki gdzie indziej.

Pytanie: Kiedy (i gdzie) opróżnia się popielnicę w Trzynastu Kaczorach ?

Ale podstawowe pytanie brzmiało: Kto zatrul ciasto?

I jeśli denat zjadł je przez przypadek, dla kogo przeznaczona była trucizna? Zadrzałam.

Nad wyspą przesunął się cień.

Podniosłam głowę - ciemniejąca chmura przesłoniła słońce.

Będzie padać i to niedługo.

Rozpadało się, zanim zdążyłam wstać.

Deszcz lał strugami była to jedna z owych nagłych, krótkich, lecz bardzo gwałtownych burz, jakie zdarzają się na początku czerwca, łamiąc kwiaty i zatykając wszystkie odpływy.

Stałam w jedynym suchym i osłoniętym miejscu na środku świątyni pod kopułką, ale i tu zaczął deszcz gnany zimnym wiatrem, który zerwał się nagle i zniknął.

Objęłam się ramionami, od czego wcale nie zrobiłam się cieplej.

Muszę przeczekać ulewę, pomyślałam.

Halo!

Nic ci nie jest?

Na brzegu jeziora stał jakiś mężczyzna i patrzył wprost na mnie.

Przez strugi deszczu widziałam tylko jego rozmazaną postać, jak na obrazie impresjonistów.

Zanim zdążyłam mu odpowiedzieć, mężczyzna podwinął nogawki spodni, zdjął buty i ruszył ku mnie przez wodę.

Szedł, podpierając się długim kijem, przez co przypominał świętego Krzyszta.



tofa przenoszącego Dzieciątka Jezus na ramionach przezrzekę, ale kiedy się zbliżył, zauważyłam, że to, co miał naplecach, nie było naszym Zbawicielem w młodym wieku, ale płóciennym plecakiem.

Miała sobie luźny spacerowy garnitur, a na głowie kapelusz z szerokim, opadającym rondem.

Wyglądał trochę jak gwiazdor filmowy Leslie Howard.

Miał około pięćdziesiątki, domyśliłam się.

Mniej więcej w wieku ojca, ale mimo to był bardziej elegancki.

Trzymał pod pachą wodoodporny szkicownik artysty, co nadawało mu wygląd wędrownego ilustratora w starsoangielskim stylu.

W każdym razie kogoś podobnego.

- Nic ci nie jest?

powtórzył pytanie, na które jak zdałam sobie sprawę - nie odpowiedziałam.

- Miewam się świetnie, dziękuję - odpowiedziałam szczebiotliwie, co miało zamaskować moją wcześniejszą nieuprzejmość.

- Złapał mnie deszcz.

- Właśnie widzę zucił.

Chyba się rozpuszczasz.

- Nie, przemokłam tylko do nitki - poprawiłam go.

Jeśli chodzi o terminy chemiczne, byłam pedantyczna.

Otworzył plecak i wyjął wodoodporną pelerynę.

Z rodzaju tych, jakie noszą spacerowicze na Hebrydach.

Otulił nią mnie i zaraz zrobiło mi się ciepło.

- Nie musiał pan.

ale dziękuję bardzo.

Staliśmy razem w zacinającym deszczu, nie odzywając się do siebie, wpatrując się tylko w drugi brzeg jeziora

i wsłuchując się w szum ulewy.

Po długiej chwili powiedział:

- Ponieważ trafiliśmy oboje na bezludną wyspę, nie zaszkodzi, jeśli się sobie przedstawimy.

Usiłowałam umieścić na mapie kraju jego akcent Oksford z dodatkiem czegoś innego.

Może skandynawskiego.

?

- Mamna imię Flawia - przedstawiłam się.

Flawiade Luce.

- A ja nazywam się Pemberton, Frank Pemberton.

Miłomi cię poznać, Flawio.

Pemberton?

Czy to nie on zjechał do gospody pod Trzynastoma Kaczorami, kiedy uciekałam przed Tullym Stokerem?

Byłam tam incognito, więc nie skomentowałam' tego faktu.

Uścisnęliśmy sobie mokre dłonie, a potem odsunęliśmy się od siebie, jak czynią nieznajomi po pierwszym fizycznym kontakcie.

Deszcz nie ustawał.

Po długiej chwili milczenia powiedział:

- W zasadzie wiedziałem, kim jesteś.

-Doprawdy?

Aha.

Każdemu, kto poważnie interesuje się historią angielskich posiadłości wiejskich, nazwisko de Luce'ów niei jest obce.

Twoja rodzina figuruje poza tym w Kto jest kim.

- Czy pan poważnie interesuje się historią angielskich posiadłości wiejskich, panie Pemberton?

Roześmiał się.

- Obawiam się, że interesuję się nimi nawet profesjo' nalnie.

W istocie piszę o nich książkę.

Jej roboczy tytuł;, brzmi Dwory Pembertona.

Wędrowka przez cws.

Brzmi impo( nująco, nie sądzisz?

- Zależy od tego, nakim chce pan zrobić wrażenie odpowiedziałam.

-Ale, owszem, brzmi dosyć.

imponująco.

- Mieszkam w Londynie ciągnął niezrażony ale odpewnego czasu przemierzam tę część kraju i prowadzę notatki.

Miałem nadzieję, że uda mi się rozejrzećpo waszej posiadłości i porozmawiać ztwoim tatą.

W zasadzie po totu przyszedłem.

- To chyba niebędzie możliwe, panie Pemberton - powiedziałam.

- WBuckshaw doszło do.

śmiertelnego wypadku i ojciec.

pomaga policji w prowadzeniu śledztwa.

Całkiembez zastanowienia użyłam wyrażeń zapamięta.

nych z jakichś detektywistycznych słuchowisk w radiu.  
Ich znaczenie dotarło do mnie, kiedy już je wypowiedziałam.

Dobry Boże!

- wykrzyknął pan Pemberton.

- Doszło do śmiertelnego wypadku!

Mam nadzieję, że nie spotkało to nikogo z rodziny?

Nie uspokoiłam go.

Ofiarą jest nieznajomy, ktoś zupełnie obcy.

Ale znaleziono go w ogrodzie w Buckshaw.

Dlatego ojciec.

W tej chwili przestało padać tak samo nagle, jak zaczęło.

Zza chmury wyszło słońce, a w trawie pojawiły się tęcze.

Gdzieś na wyspie zakukała kukułka - zupełnie jak ta, która oznajmia koniec burzy w Symfonii pastoralnej Beethovena.

Przysięgam!

Doskonale rozumiem oznajmił pan Pemberton.

Nie ośmieliłbym się narzucać w tej sytuacji.

Gdyby jednak pułkownik de Luce zechciał skontaktować się ze mną nieco później, mieszkam w gospodzie pod Trzynastoma Kaczorami w Bishop's Lacey.

Pan Stoker z pewnością przekaze mi wiadomość.

Zdjęłam pelerynę i podałam ją panu Pembertonowi.

Dziękuję - powiedziałam.

- Muszę już wracać.

Brodziliśmy ramię w ramię przez staw, niczym para na wakacjach nad morzem.

Było mi bardzo miło, że mogłam cię poznać, Flawio - poinformował mnie pan Pemberton.

- Ufam, że z czasem zostaniemy przyjaciółmi.

Spoglądałam za nim, gdy szedł trawnikiem ku kasztanowej alei, w której zniknął.

JEDENAŚCIE

Znalazłam Dafi w bibliotece.

Przycupnęła nasamym szczybie przesuwanej na kółkach drabiny.

- Gdzie ojciec?

- zapytałam.

Przełożyła stronę i czytała dalej, jakbym w ogóle się nieurodziła.

- Dafi?

Czułam, że wszystko zaczyna się we mnie gotować - wrzał we mnie starożytny czarodziejski kocioł, z którego wywar przekształcał niewinną Flawię we Flawię pałającą świętym oburzeniem.

Chwyliłam szczebeli, potrząsnęłam mocno drabiną, a potem pchnęłam ją, by sunęła na kółkach wzdłuż półek.

'Wprawiona w ruch drabina nie zatrzymywała się tak łatwo, mimo sparaliżowanej strachem Dafi ściskającej kurczowo jej koniec.

Biblioteka i stojące wzdłuż ścian półki ciągnęły się w nieskończoność.

- Zatrzymaj mnie, Flawia!

Zatrzymaj mnie natychmiast!

Ponieważ drabina zbliżała się do drzwi, więc zahamowałam ją, a potem pobiegłam na drugą stronę i pchnęłam ją w przeciwnym kierunku.

Zawieszona na szczycie Dafi wyglądała jak wielorybnik wypatrujący na północnym Atlantyku Moby Dicka.

- Gdzie jest ojciec?

krzyknęłam.

- Jest u siebie z inspektorem.

Zatrzymaj to!

Natychmiast!

Dafi pozieleniała w zarysach, więc zatrzymałam, drabinę.  
Zeszła roztrzęsiona po szczeblach i stanęła ostrożnie na podłodze.  
Przez chwilę myślałam, że się namnie rzuci, ale odzyskiwanie równowagi przychodziło jej niezwykle długo.

- Czasem mnie przerażasz - oznajmiła.

Chciałam jej powiedzieć, że czasem przerażam sam siebie, ale ugryzłam się w język, przypomniawszy sobie, że milczenie bywa niekiedy wymowniejsze od słów.

Oczy Dafi - które wyszły z orbit, jak u poganianego białego konia pociągowego - nie powróciły jeszcze na swoje miejsce.

Postanowiłam wykorzystać ten fakt.

- Gdzie mieszka panna Mountjoy?

Wpatrywała się we mnie, jakby niczego nie rozumiała.

- Panna bibliotekarka Mountjoy - dodałam dla wyjaśnienia.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała.

- Nie korzystam z biblioteki w wiosce od dzieciństwa.

Wpatrywała się we mnie z okularów ciągle wielkimi oczyma.

- Rozważam karierę bibliotekarki - mruknęłam.

- Chciałam zasięgnąć jej rady.

Gładko przełknęła kłamstwo i spojrzała na mnie nie bez podziwu.

- Nie wiem, gdzie mieszka panna Mountjoy - powiedziała.

- Zapytaj pannę Cool w sklepie z słodyczami.

Ona wie wszystko o wszystkich.

- Dzięki, Dafi - rzuciłam, gdy Dafi opadła na głęboki wyściełany fotel.

- Jesteś nieoceniona.

Jednym z podstawowych udogodnień mieszkania w pobliżu jest to, że jeśli się chce, można w niej znaleźć w mgnieniu oka.

Frunęłam na Gładys, a po drodze przyszło mi do głowy, że powinnam prowadzić się lotów, tak jak piloci samolotów.

Z pewnością mam już za

sobą setki godzin lotów na Gładys, choćco prawda większość to loty na krótkich dystansach do i z Bishop's Lacey.

Tylko czasami zdarza nam się pofrunąć dalej z piknikowym koszem przypiętym paskami do tylnej czarnej spódnicy mojej damki.

Kiedyś pofrunęliśmy obie bardzo daleko - zajęłam tocałe przedpołudnie, a celem była pewna gospoda, w której jak głosi wieść - zatrzymał się na jedną noc w roku 1747 Richard Mead.

Richard (albo Dick, jak mówią w naszym myślach) napisał wiekopomne

dzieło Mechaniczne oddziaływanie trucizn w kilku rozprawach, wydane w roku 1703.

Była to pierwsza książka poświęcona tej tematyce w języku angielskim, a jej pierwsze wydanie było chlubą mojej biblioteki chemicznej.

W galerii portretów znajdującej się w mojej sypialni podobizna Dicka wisi na lustrze obok wizerunków Henry'ego Cavendisha, Roberta Bunsena i Carla Wilhelma Sheelega, natomiast w galeriach portretowych moich sióstr wisieć odpowiednio: Karol Dickens u Dafi i Mario Lanza u Feli.

Sklep ze słodyczami przy High Street w Bishop's Lacey był wciśnięty między dom pogrzebowy z jednej strony, a sklep rybny z drugiej.

Oparłam Gladys o szybę i chwyciłam zagałkę u drzwi.

Zakląłam pod nosem. Sklep był zamknięty i cztery spusty.

Dlaczego w świecie uparł się, żeby robić mi na złość?

Najpierw zamknięto mnie wszędzie na strychu, potem nie mogłam dostać się do biblioteki, a teraz znowu ten sklep!

Moje życie staje się pasmem pozamykanych drzwi.

Przyłożyłam dłoń do okna i zajrzałam do środka.

XVIII-wieczny lekarz angielski, autor m.

in. pierwszego traktatu o chorobach zakaźnych

Amerykański tenor i gwiazdor filmowy.

Panna Cool musiała wyjść albo może jak większość panien w Bishop's Lacey przeżywała rodzinną tragedię.

Ujęłam gałkę oburącz i potrząsnęłam drzwiami, wiedząc, że to na nic.

Przypomniałam sobie, że panna Cool zajmuje pokój za sklepem. Może zapomniała otworzyć drzwi do przybytku, co zdarza się ludziom starszym, którzy zaczynają cierpieć na demencję.

A jeśli umarła we śnie?

Albo co gorsza, została.

Rozejrzałam się.

Na ulicy nie było żywego ducha.

Notak.

Nagle mnie oświeciło i przypomniałam sobie o Bolt Alley - mrocznym, cuchnącym zaułku, przypominającym wybrukowany tunel, który prowadził na podwórka za sklepami.

Ruszyłam tam bezzwłocznie.

W zaułku cuchnęło przeszłością, która obejmowała - jak mówiono - niesławną knajpę.

Zadrzałam mimowolnie, usłyszawszy echo własnych kroków odbijających się od omszałych ceglanych murów i przeciekających dachów.

Próbowałam nie ocierać się o pozieleniałe cegły po obustronach zaułka ani nie wdychać kwaśnego powietrza.

W końcu wydostałam się jakoś na słońce na drugim końcu pasażu.

Małe podwórko panny Cool taczał niski murek z kruszącymi się cegiel.

Drewniana furtka była zamknięta na zasuwkę od środka.

Przełamalam przez mur, pomaszerowałam prosto do drzwi i załomotałam w nie rozpostartą dłoń.

Przyłożyłam ucho, ale z drugiej strony nie dobiegał żaden szelest.

Zeszłam z chodniczka i zanurzyłam się w niestrzyżonej trawie.

Przystawiłam nos do brudnej od sadzy szyby.

Widok zasłaniał mi tył gotowalni.

W rogach podwórka stała zmurszała psia buda - jedy na pamiątkę po Geordiem, owczarku collie panny Cool, przejechanym na High Street przezpedzający samochód.

Podeszłam do budy i pchnęłam ją - nie była ciężka, więc przesunęłam ją przez podwórko prosto pod okno.

A potem wdrapałam się na nią.

Z szczytu psiej budy tylko krok dzielił mnie od parapetu, postawiłam

na nim stopę i zachwiałam się, roz; kładając dla równowagi ramiona, przez co przez chwilę wyglądałam jak człowiek witrwiański Leonarda da Vinci.

W końcu oparłam się jedną ręką o okiennicę, a drugą oczyściłam kawałek brudnej szyby.

W małej sypialence panowały egipskie ciemności, alei tak dostrzegłam postać leżącą na łóżku - białą jak kreda twarz patrzyła wprost na mnie, a otwarte szeroko usta układały się w kształt potwornego "O".

-Flawia!

- wykrzyknęła panna Cool, zrywając się narównenogi z -jak sądziłam - łoża śmierci.

Jej słowa tłumila szyba.

- Co do licha.

Porwała sztuczną szczękę ze szklanki i wepchnęła ją w usta, po czym zniknęła.

Zeskakując na ziemię z psiej budy, usłyszałam szczęk zamka w drzwiach. Drzwi otwarły się do wewnątrz i ujrzałam pannę Cool, przypominającą ubranego w podomkę borsuka w pułapce, trzymającego się jedną ręką za spazmujące gardło.

- Co do licha.

- powtórzyła spazmatycznie.

- O co chodzi?

- Frontowe drzwi są zamknięte - wyjaśniłam.

- Nie mogłam się do pani dostać.

- Oczywiście, że są zamknięte!

- wykrzyknęła z oburzeniem.

- Zawsze są zamknięte w niedzielę!

Przerwałaś midrzemkę.

Na potwierdzenie tych słów przetarła małe czarne oczka, zmrużone od światła.



W końcu dotarło do mnie, co narobiłam.

Rzeczywiście byłam niedziela.

Przecież to dziś siedziałam obok ojca sióstr u Świętego Tankreda, choć wydawało mi się, że to wieki temu.

;, Musiałam wyglądać na zdruzgotaną.

- Co się stało, moja droga?

- zapytała spokojnie panna Cool.

-Czy to jakiś związek z tymi okropieństwami, jakie rozegrały się w Buckshaw?

A więc już wszystko wiedziała!

-Mam nadzieję, że miałaś dosyć rozumu, żeby trzymać się z dala od miejsca zbrodni.

- Oczywiście, panno Cool- oznajmiłam z uśmiechem wyrażającym żal.

Co więcej, zakazano mi rozmawiać tym z kimkolwiek.

Mam nadzieję, że mi pani wybaczy.

I znów kłamstwo, i znów pierwszorzędne.

-Dobrze cię dziewczynko - mruknęła, zerkając na zasłonięte okna w sąsiednich domach.

To nie miejsce dorozmów.

Wejść, proszę, do środka.

Poprowadziła mnie wąskim korytarzykiem, z którego jednej strony znajdowała się maleńka sypialenka, a z drugiej mikroskopijny salonik. Niespodziewanie znalazłyśmy się w sklepie, za ladą Królewskiej Poczty. Bo jedyny sklep ze słodyczami w Bishop's Lacey był również jedyną tutaj pocztą, a panna Cool oprócz sprzedaży słodczy piastowała godny urząd królewskiej poczmistrzyni i jako taka wiedziała wszystko, co trzeba wiedzieć o wszystkim, pominąwszy rzecz jasna chemię.

Przyglądała mi się uważnie, gdy rozglądałam się nie bez zainteresowania porządach półek, na których stały słoje z lukrecją, karmelkami i czekoladową posypką.

- Przepraszam, ale nie wolno misprzedawać słodczywniedziele.

Postawiliby mnie przed sądem, bo to wbrew prawu.

Pokiwałam smętnie głową.

To ja panią przepraszam powiedziałam.

Zapomniałam, jaki dzisiaj jest dzień, i nie chciałam pani przestraszyć.

Nic się w zasadzie stało stwierdziła, odzyskując zwykłą urzędową moc i krzątając się bez celu po słodkiej poczcie.

Przekaż, proszę, tacie, że niedługo otrzymam nowy katalog znaczków, choć na mój rozum nie ma się nim co zachwycać.

Wciąż te same stare profile króla Jerzego, niechgo Bóg błogosławi, ale nowych kolorach.

Dziękuję, panno Cool powiedziała.

Na pewno przekażę ojcu tę wiadomość.

Mam wrażenie, że panów z zarządu poczty w Londynie stać na więcej - ciągnęła.

- Z drugiej strony słyszałam, że szykują coś wyjątkowego dla uczczenia przyszłorocznej Wystawy Krajowej.

Przepraszam.

wyjąkałam .

ale czy mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie mieszka panna Mountjoy?

Tilda Mountjoy?

zmrużyła oczka.

A czegoż ty od niej chcesz?

Panna Mountjoy bardzo pomogła mi niedawno w bibliotece i pomyślałam sobie, że powinnam się jej zrewanżować jakimiś słodyczkami.

Uśmiechnęłam się słodko.

Rzecz jasna znów bezwstydnie skłamałam.

I to bez zastanowienia, choć natychmiast zdałam sobie sprawę, że mogę upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

Notak.

- zastanowiła się panna Cool.

- Margaret Pickery zajmuje się siostrą w Nether-Wolsey.

maszyna Singera, igła, palec, bliźnięta, nieobliczalny mąż, butelka, rachunki do zapłacenia.

chwila niespodziewanego, a jakże chwalebne powroty do pracy dla Tildy Mountjoy.

Kwasowe dropsy powiedziała pochwili.

Pal diabli niedzielę!

Tilda zasłużyła sobie na dropsy!

Poproszę za sześć pensów - najmiłam.

I..

lukre.

cji za szylinga - dodałam pospiesznie.

Lukrecję wprost uwielbiałam.

Panna Cool podreptała do sklepowej witryny i opuściła żaluzje.

- Niech tozostanie między nami i bramą - szepnęła konspiracyjnie.

Nasypała dropsów do fioletowej papierowej torby, której pogrzebowa barwa wołała wprost o użycie torebki do transportu trutek: arszeniku albo nuxvomica.

- Półtora szylinga - powiedziała, zawijając lukrecję w papier.

Dałam jej dwa szylingi, a kiedy szukała pokieszeniach reszty, mruknęłam:

- Nie trzeba, panno Cool, naprawdę nie trzeba.

- Jesteś słodką dziewczynką - rozpromieniła się, dorzucając mi do pakunku dodatkową łaskę lukrecji.

- Gdybym miała dzieci, chciałabym, żeby dorastając, były choćby w połowie tak mądre i hojne jak ty.

Obdarzyłam ją półuśmiechem, zatrzymując drugą połowę dla siebie, a panna Cool podała mi adres panny Mountjoy:

- Willa Wierzba - powiedziała.

- Łatwo trafić: jest pomarańczowa.

Willa Wierzba rzeczywiście była pomarańczowa - tak pomarańczowa, jak kapelusz muchomora, na którym podwinie się szkarłatna skórka.

Dom krył się w cieniu powiewających, zielonych spódnic monstrealnej płaczącej wierzby, której gałęzie unosiły się niespokojnie na wietrze i zamiatały ziemię, jak dziesiątki należących do czarownic mioteł. Wierzba przypomniała mi pewną zagraniczną pieśń wykonywaną niekiedy przez Felę - z dużym

Strychnos nux-vomica L.

: kulczybawronie oko - gatunek wiecznie zielonego drzewa lub krzewu, którego nasiona zawierają strychninę.

wdziękiem, muszę przyznać - gdy przyszło jej rozmarzyć się o Nedzie:

Rozsumiały się wierzby płaczące, Rozpłakała się dziewczyna w głos, Od łez oczy podniosła błyszczące, Na żołnierski, na twardego życia los .

Piosenka ta mówiła niby o miłości, choć miłość była ostatnią rzeczą, jaka przychodziła mi do głowy, kiedy widziałam wierzbę płaczącą, bo jeśli pominąć "twardego życia los", drzewo to przywodziło mi myśl Ofelię (Szekspira, nie moją), która dokonała żywota, topiąc się pod wierzbą.

Wierzba panny Mountjoy zajmowała cały ogrodzony ogródek, z wyjątkiem skrawka trawnika wielkości chusteczki do nosa.

Już naschodkach czułam, jak wilgotne jest to miejsce: omdlewające wierzbowe witki otaczały dom zielonym kloszem, przez który przenikało niewiele słońca.

Odniosłam przedziwne wrażenie, że pływam zanurzona pod wodą. Zielone mchy uczyniły z kamiennych schodków gąbkę, a plamy wilgoci rozczapierały czarne paluchyna pomarańczowym tynku.

Na drzwiach wisiała oksydowana mosiężna kołatkaw kształcie głowy diablika z katedry w Lincoln.

Uniosłam ją i zastukałam kilkakrotnie, bardzo delikatnie.

Czekając, rozglądałam się niedbale wokół, gdyby ktoś obserwował mnie zza firanek.

Ale zakurzone koronki w oknach nawet się nie poruszyły.

Miałam wrażenie, że w całym domu brakuje powietrza.

Z lewej strony zaczynał się chodniczek wyłożony wytartymi cegłami i okalający dom.

Odczekałam przy drzwiach dwie minuty, a potem ruszyłam chodniczką.

Słowa: R.

Ślęzak.

Wierzbowe witki przesłaniały niemal całkowicie tylną część, kołysząc się lekko na wietrze z wyczekującym poszumem, niczym zielona teatralna kurtyna, która zaraz miała się podnieść.

Przyłożyłam dłonie do szybkiw jednym z maleńkich okienek.

Gdybym stanęła napalcach.

Co ty tu robisz?

Odwrociłam się na pięcie.

Panna Mountjoy stała za kręgiem wierzbowych gałęzi i wpatrywała się wemnie.

Przez liście widziałam tylną część cienia na jej twarzy i coś, co bardzo mnie zaniepokoiło.

To ja, panno Mountjoy.

Flawia powiedziała nieśmiało.

- Chciałam pani podziękować za pomoc w bibliotece.

Wierzbowe gałęzie zaszeleściły, gdy panna Mountjoy weszła z zieloną kurtyną.

Niepokoił mnie widok ogrodowego sekatora w jej dłoni oraz jej milczenie.

Nie spuszczałam mnie wzroku, a jej oczy przypominały dwie wściekłe rodzyńki osadzone w pomarszczonej twarzy.

Cofnęłam się, gdy weszła na chodniczek, blokując mi drogę ucieczki.

Doskonale wiem, kim jesteś powiedziała w końcu.

Nazywasz się Flawia Sabina Dolores de Lucei jesteś najmłodszą córką Jacko.

Zna pani mojego ojca!

Aż się zachłysnęłam.

Oczywiście, że znam, dziewczyno.

Osoba w moim wieku zna wielu ludzi.

Nagle coś się we mnie odkorkowało, jak butelka szampana, i poczułam, że muszę sprostować parę rzeczy.

Nie mam na imię Dolores - powiedziałam.

- Wymyśliłam to.

Czasem zdarza mi się zmyślać różne rzeczy.

Zbliżyła się.

Po co tu przyszłaś?

zapytała surowym szeptem.

Wsadziłam szybko rękę do kieszeni i wyjęłam z niej tutkę z cukierkami.

- Przyniosłam pani kwaskowe dropsy - powiedziałam żeby przeprosić

za moje wcześniejsze zachowanie.

Mam nadzieję, że przyjmie ją pani ode mnie.

Z jej gardła wydobył się świszczący syk, który musiał być śmiechem.

I- Poleciała ci je bez wątpienia panna Cool.

Kiwnęłam kilkakroć głową jak wiejski głupek wpantomimie.

- Przykro mi z powodu śmierci pani wuja.

pana Twininga- wymamrotałam całkiem szczerze.

- Kiedy opowiedziała mi pani tę historię, zrobiło mi się bardzo smutno.

Tobyło takie niesprawiedliwe.

- Owszem, tobyło bardzo niesprawiedliwe - przytaknęła.

-A zarazem niesłuszne i niegodziwe.

Ale żadne słowa nie oddadzą sensu tego, co się stało.

Wiesz, cozaszło?

Wiedziałam.

Już to słyszałam z jej ust, ale nie przysłałam tu to, żeby się z nią spierać.

-Tak?

- To było morderstwo oznajmiła.

Najzwyczajniej niej szekinajzwyklejsze morderstwo.

- A kto był sprawcą?

- zapytałam bez namysłu.

Czasem mój własny język płał mi figle.

Przez oblicze panny Mountjoy przemknął cień, jak chmura przesłaniająca księżyc.

Miałam wrażenie, że zachowuje się jak wielka aktorka, która przez całe życie przygotowuje się do odegrania ostatniej roli i nagle, stanąwszy na środku sceny w świetle reflektorów, zapomina tekstu.

- Te chłopaczyska- powiedziała w końcu.

- Tę nędzne, zasługujące na pogardę szczury.

Nigdy ich nie zapomnę, nigdy nie zapomnę tych bestii różowiotkich policzkami niewinnych oczekach.

-Jedna z tych bestii jest moim ojcem -wydusiłam z siebie.

Jej oczy błędziły gdzieś daleko.

Powrót na ziemię zajął mi dużo czasu.

- Owszem powiedziała.

Laurencede Luce, zwany Jacko.

Tak na niego mówili.

To było szkolne przezwisko, ale nawet koroner go używał.

Jacko.

Wypowiadał je z takim namaszczeniem, niemal pieszczotliwie, podczas dochodzenia.

.. jak gdyby wszyscy, nawet sąd, drżeli na samobrzmienie prawdziwego imienia i nazwiska.

- Mój ojciec zeznawał podczas śledztwa?

-Ma się rozumieć, podobnie jak inni chłopcy.

W tamtych czasach robił takie rzeczy.

Rzecz jasna, wszystkiego się wyparł.

całej odpowiedzialności.

Z kolekcji dyrektora szkoły zginął cenny znaczek pocztowy, a oni wszyscy powtarzali: "Och, nie, proszę pana!

To nie ja, proszę pana!

".Aprzecież znaczek nie dostał nóg nie uciekł!

Chciałam zaprzeczyć, chciałam rzucić jej w twarz: "Mój ojciec nie jest złodziejem ani kłamcą!

", ale zdałam sobie sprawę, że nie jest w stanie zmienić jej ugruntowanego z dawien dawna sposobu myślenia.

Mimo to postanowiłam przejść do ofensywy.

- Dlaczego wybiegła pani dzisiaj z kościoła?

- zapytałam.

Panna Mountjoy cofnęła się, jakbym chlusnęła jej szklanką wody w twarz.

- Nieprzebierasz w słowach, moja panno!

-Nie - przyznałam.

- Domyślałam się, że wyszła pani, usłyszawszy, jak proboszcz modli się za duszę nieznajomego, czy tak?

Mężczyzny, którego ciało znalazłam w ogrodzie w Buckshaw.

Zasyczała groźnie przez zęby.

- Ty znalazłaś ciało?

Ty!

- Tak - odpowiedziałam.

-Powiedz mi.

Czy on był rudy?

Przymknęła oczy, czekając na moją odpowiedź.

-Tak, panno Mountjoy.

Denat miał rude włosy.

- Dzięki ci, Boże, za te hojne dary.

wydyszała i stworzyła oczy.

Dziękczynienie to wydało mi się nie tylko wielce osobliwe, ale i bardzo niechrześcijańskie.

- Nie rozumiem - mruknęłam.

Rzeczywiście, niczego nie rozumiałam.

- Poznałam go od razu!

- rzuciła.

-Mimo upływu tylu lat, wiedziałam, kim jest, kiedy ujrzałam tę rudą grzywę przed Trzynastoma Kaczorami.

W ogóle się nie zmienił, zachował ten sam wyniosły krok, tę samą pyszałkowatą zachowawczość i te same lodowate ślepie.

Poznałabym go nakońcu świata!

Od razu wiedziałam, że do Bishop's Lacey zjechał sam Horace Bonepenny!

Odniosłam wrażenie, że rzucono mnieną bardzo, bardzo głęboką wodę.

- Teraz rozumiesz, dlaczego nie mogłam uczestniczyć w modlitwie za spójność niegodziwej duszy tego chłopca.  
tego mężczyzny.

Wyciągnęła rękę i wyjęła z mojej dłoni torebkę z dropsami.

Wrzuciła do ust jeden cukierek, a resztę schowała.

- Inaczej niż wszyscy - ciągnęła - modlę się, żeby szczyt piekła na wieki.

Wypowiedziawszy te słowa, weszła do domu i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Kim, do licha, był Horace Bonepenny?

I co sprowadzało go do Bishop's Lacey?

Odpowiedzi na te pytania mogła mi udzielić tylko jedna osoba.



Jadąc kasztanową aleją do Buckshaw, zauważyłam, że granatowy vauxhall zniknął spod frontowych drzwi.

Inspektor Hewitt i jego ludzie odjechali.

Kiedy prowadziłam Gladys za dom, usłyszałam metaliczny stukot dobiegający ze szklarni.

Podeszłam do drzwi i zajrzałam do środka.

Ujrzałam Doggera.

-: Siedział na odwróconym wiadrze i walił w nie gracą.

Brzdęk.

brzdęk.

brzdęk.

brzdęk.

tak dzwonił dzwon św.

Tankreda, gdy w Bishop's Lacey chowano zmarłego.

Dogger nie przestawał walić w wiadro, jakby zależało od tego jego życie.

Brzdęk.

brzdęk.

brzdęk.

brzdęk.

Siedział odwrócony tyłem do wejścia i na pewno mnie widział.

Wycofałam się ku kuchennym drzwiom i narobiłam hałasu, rzucając Gladys na kamienne schodki.

Wybacz, Gladys szepnęłam, a potem krzyknęłam nacałe gardło: - A niechto nagły szlag!

Z udawanym zdziwieniem spojrzałam na Doggera zaszyba szklarni.

Cześć, Dogger - rzuciłam radośnie.

-? Właśnie cię szukałam.

Nie odwrócił się do mnie od razu, a ja udawałam dalej, że jestem zajęta zeskrobywaniem błota z obuwi.

Czekałam, aż dojdzie do siebie.

Panna Flawia.

wydusił wreszcie.

Wszyscy cię szukają.

Właśnie się znalazłam odpowiedziałam.

Postanowiłam, że najlepiej będzie, jeśli porozmawiam z Doggerem, zanim w pełni odzyska siły.

Przed chwilą rozmawiałam z pewną osobą z wsi, która powiedziała mi o kimś, kogo ty prawdopodobnie znasz znacznie lepiej.

Doggeruśmiechnął się nijako.

-Wiem, że wyrażam się dosyć niejasno, ale.

- Nic nie szkodzi - odrzekł.

-Horace Bonepenny rzuciłam.

Kim jest Horace Bonepenny?

Na te słowa Dogger zaczął się trząść jak laboratoryjna żaba, do której podłączono prąd.

Oblizwał wargi, a potem wytarł ustawiętą z kieszeni chusteczką.

Oczy mu pociemniały i zaczął nimi przeraźliwie mrugać.

Widać było, że bardzo chce się opanować, ale nie dawał rady.

- Nieważne, Dogger - zbagatelizowałam poprzednie pytanie.

To nieistotne.

Zapomnij o tym.

Usiłował się podnieść, ale nie mógł oderwać siedzenia od odwróconego wiadra.

- Panno Flawio - wycharczał.

- Są pytania, które trzeba zadawać, i takie, których zadawać nie trzeba.

Znów to samo!

Słowa mądrości padały z ust Doggera jak moźeszowe prawo i kryła się w nich taka nieodwołalność, jakby wypowiadał je sam Izajasz.

Wypowiedziane zdanie musiało go wyczerpać, bo z głośnym westchnieniem ukrył twarz w dłoniach.

Niczego tak bardzo nie pragnęłam, jak objąć go i przytulić, ale wiedziałam, że nie zniósłby tego.

Więc niejako w zamian położyłam mu dłoń na ramieniu.

Gestten był większą pociechą dla mnie niż dla niego.

- Pójdę po ojca - powiedziałam.

- Zaprowadzimy cię do pokoju.

Dogger obrócił ku mnie powoli twarz - kredowobiałą maskę tragedii. Jego słowa zabrzmiały jak zgrzyt kamienia o kamień:

- Zabrali go, panno Flawio.

Policja go zabrała.

## DWANAŚCIE

Fela i Dafi siedziały w salonie na dywanie w kwiecistewzory. Tuliły się w ramionach i wyły jak strażackiesyreny. Byłam w połowie drogidonieszczęsnych i naprawdę chciałam się do nich przyłączyć, kiedy Ofelia - zauważywszy mnie wreszcie rzuciła:

- Gdzie byłaś, ty prosiaku!

Zerwałam się z dywanu i ruszyła na mnie jak dzika bestia z czerwonymi, podpuchniętymi ślepiami.

-Wszyscy cię szukali- zasyczała.

- Myśleliśmy, że się utopiłaś.

Och, Bóg nie wysłuchał mych modlitw!

Witaj w domu, Flaw!

, pomyślałam.

-Tata został aresztowany - oznajmiła rzeczowo Dafi.

-Zabrali go.

- Dokąd?

- zapytałam.

- Skąd mamy wiedzieć?

- wypluła pogardliwie Ofelia.

-Tam, gdzie się zabiera aresztantów, jak sądzę.

Co się z tobą działo?

- Bishop's Lacey czy Hinley?

-Jak to "Bishop's Lacey czy Hinley"?

Bredzisz jak idiotka!

- Bishop's Lacey czy Hinley?

- powtórzyłam.

-WBishop'sLacey posterunek policji matylko jeden pokój, więc tu go chyba nie będą trzymać.

Komisariat konstabla hrabstwa mieści się wHinley, sądzę więc, że zawieźligo do Hinley.

- Oskarżą go o morderstwo!

- ryknęła Ofelia.

-I powieszają!

Wybuchła przeraźliwym płaczem i odwróciła się do mnie tyłem.

Przez chwilę było mi jej nawet żal.

Wyszłam z salonu.

Z korytarza dostrzegłam Doggera wspinającego się ociężale, krok po kroku, po schodach.

Wyglądał jak skazaniec idący na szafot.

Teraz albo nigdy!

Odczekałam, aż Doggerzniknie na szczycie zachodniej klatki schodowej, a potem weszłam po cichutku do gabinetu ojca i ostrożnie zamknęłam za sobą drzwi.

Po raz pierwszy w życiu byłam sama w tym pokoju.

Całą jedną ścianę zajmowały ojcowskie klasery - opasłe skórzane albumy, których kolory odpowiadały panowaniu kolejnych brytyjskich monarchów: czarny królowej Wiktorii, czerwony Edwarda VII, zielony Jerzego V i niebieski dla obecnie panującego nam miłościwie Jerzego VI. Wiedziałam, że wąski szkarłatny klaser, wciśnięty między zielony a niebieski, zawierał tylko kilka znaczków: każde z znanych dziewięciu odmian czterech znaczków z podobizną Edwarda VIII, wydanych, zanim ten abdykował, by ożenić się z tą Amerykanką.

Wiedziałam, że ojciec czerpał niewypowiedzianą przyjemność ze studiowania niezliczonych i najdrobniejszych różnic między tymi swoimi płatkami confetti, ale nie miałam pojęcia, na czym one polegają.

O jego szczęśnej, odizolowanej od świata krainie dowiadywałyśmy się tylko wtedy, kiedy rozprawiał z podnieceniem przyśniadaniu o jakimś szczególe, który wzbudził jego zainteresowanie w najnowszym numerze "Londyńskiego Filatelisty".

Pominąwszy te rzadkie zdarzenia, byłyśmy wszystkie - moje siostry i ja - ciemne jak tabaka w rogu, jeśli chodzi o znaczki pocztowe.

A ojciec krzątał się po swoim królestwie, oprawia -

jąc w klasery z zadziwiającym uwielbieniem - z jakim inni mężczyźni oprawiają w ramy głowy jeleni lub tygrysów kawałki kolorowego papieru.

Naprzeciw ściany z klaserami stał jakobiński bufet.

Na Jego blacie i w szufladach wałały się filatelistyczne paraferalia: podlepkido znaczków, ząbkomierze, emaliowane kuwety do namaczania, buteleczki z płynem ukazującym znaki wodne, przyrządy do usuwania gumy arabskiej, całostki pocztowe, hawidy, pesety i przesłonięta kloszem lampa ultrafioletowa.

Na końcu pokoju, przed wychodzącymi na taras przesuwanymi drzwiami, stało ojcowskie biurko - biurko dyrektorskie wielkości boiska piłkarskiego, które kiedyś mogło stać w kantorze Scrooge'a Marleya. Od razu domyśliłam się, że szuflady są zamknięte, i nie pomyliłam się niestety.

Gdzie - zastanawiałam się - ojciec mógł ukryć znaczek w pokoju pełnym znaczków?

Nie miałam wątpliwości co do tego, że go ukrył - na jego miejscu zrobiłabym to samo.

Odziedziczyłam po nim zamiłowanie do skrytości i wiedziałam, że nie byłam tyle naiwny, by afiszować się tym znaczkiem.

Zamiast wpatrywać się w powierzchnię mebli lub zaglądać do środka, położyłam się na podłodze, jak mechanik samochodowy oglądający podwozie auta, i przeczesałam się na plecach po gabinecie, badając rzeczy od podszewki.

Przyjrzałam się dolnej części biurka, stołu, kosza na papiery i windsorskiego krzesła ojca.

Zajrzałam pod turecką dywanizę zasłony.

Obejrzałam tył zegara i odwróciłam ryciny wiszące na ścianach.

Na półkach stało za dużo książek, bym mogła je przeszukać, zastanowiłam się więc, do której z nich najrzadziej się zagląda.

Do Biblii, rzecz jasna!

Szybko przekartkowałam egzemplarz Biblii Króla Ja

kuba, ale znalazłam w nim tylko starą kościelną broszurę nekrolog jakiegoś Luce'azmarłego w czasach Wielkiej Wystawy Światowej.

I wtedy przypomniałam sobie, że ojciec zdjął Czarną Wiktorię z dzioba zdechłego kszycy i schował znaczek w kieszone kamizelki.

Może znaczek tam został, bo ojciec chciał się pozbyć go później?

Tak! Na pewno tak było!

Znaczek nie mógł znajdować się w gabinecie.

Ależ zemnie idiotka, że przyszłomi to dogłowy!  
Gabinet znajdował się przecież naczelnie listy miejsc do przeszukania.  
Poczułam pewność - coś, co Fela i Dafinazywają niesłusznie "kobiecą intuicją" - że znaczek ukryto gdzie indziej.

Zachowując się najciszej, jak umiałam, przekręciłam klucz i wyszłam na korytarz.

Złe Siostry wciąż łkały w salonie, ich pochlipywanie unosiło się i opadało między wyrazami oburzenia i rozpacz.

Mogłabym podsłuchać poddrzwiami, co jednak bulwersowało, ale miałam ważniejszą rzecz na głowie.

Wspięłam się jak duch zachodnimi schodami do południowego skrzydła domu.

Tak jak się spodziewałam, w pokoju ojca panowały niemal egipskie ciemności.

Często patrywałam się z trawnika w jego okna, w których zawsze wisiały ciężkie, zaciągnięte zasłony.

Pokój widziany od środka przypominał muzeum pogodzinach zwiedzania.

Mocny zapach ojcowskiej wody kolońskiej i kremu do golenia przywoływał atmosferę otwartych sarkofagów i alabastrowych egipskich słoików wypełnionych starożytnymi wonnościami.

Delikatnie wygięte nóżki umywalki królowej Anny wydawały się niemal

Wielka Wystawa Światowa odbyła się w pawilonie Crystal Palace w Londynie w roku 1851.

nieprzyzwoite w porównaniu z gotyckim łóżem stojącym w rogu pokoju, które wyglądało jak stary, cierpiący naniestrawność szambelan, wpatrujący się z niesmakiem w kochankę oblekającą jedwabne pończochy na długie, młodzięcze nogi.

Nawet dwa stojące w pokoju zegary były niedzisiejsze. Na kominku stało złoczone szkaradzieństwo, którego mosiężne wahadło odliczało czas niczym wygięte ostrze z opowiadania Studnia i wahadło i migotało blado u końca swej drogi w słabym świetle sączącym się z dworu. Z kolei na nocnym stoliku stał niewielki, wspaniale wykonany zegar georgiański, który milcząco polemizował z zegarem kominkowym, wskazując godzinę 3:15 wobec 3:12 tegoż kominka.

Przeszłam na koniec długiego pokoju i zatrzymałam się.

Buduar Harriet, do którego wchodziło się tylko przez sypialnię ojca, był miejscem zakazanym.

Ojciec wychował nas w poszanowaniu dla świątyni, w jaką zamienił buduar w dniu, w którym dowiedział się o śmierci żony.

Uczyli nas, dając nam do zrozumienia, bo przecieżnie mówię o tym wprost!

- że jeśli naruszymy spokój tego miejsca, odprowadzi się nas na koniec ogrodu, postawi pod ścianą z cegieł i rozstrzela bez odwołania.

Drzwi do pokoju Harriet pokrywał zielony ryp, przez który przypominał stół bilardowy ustawiony pionowo.

Pchnęłam je, otworzyły się nieśmiało i cicho.

Pokój był zalany światłem.

Przez trzy wysokie okna, umieszczone na frontowej i każdej z bocznych ścian, wpadało słońce załamywane przez długie firanki z włoskiej koronki. Słoneczne promienie oświetlały pokój, który przypominał sceniczną dekorację do sztuki o diuku i diuszesie Windsor.

Na toaletce leżały szczotki i grzebienie Faber. Opowiadanie *The Pit and the Pendulum* Edgara Allana Poe'go.

Były król Anglii Edward VIII i pani Simpson.

gł, jakby Harriet właśnie wyszła wziąć kąpiel w sąsiedniej łazience.

Na kunsztownych kryształowych flakonach Lalique'a z zapachami wisiały bransoletki z bakelitu i bursztynu, obok stała płytka do gotowania i srebrny czajniczek na poranną herbatę.

W wysmukłym szklanym wazoniku wędła herbaciana róża.

Na owalnej tacce stał mały kryształowy flakonik, zawierający nie więcej niż dwie krople perfum.

Podniosłamgo, wyjęłam zatyczkę i z namaszczeniem przesunęłam flakonikiem pod nosem.

Perfumy pachniały drobnymi błękitnymi kwiatkami, górskimi halami i lodem.

Poczułam się dziwnie, a raczej ogarnęło mnie dziwne uczucie, jakbym była parasolem, który sobie przypomniał, co znaczy być otwartym na deszczu.

Spojrzałam na naklejkę na kryształowym flaconie.

Znajdowałam się na jedno słowo: Miratrix.

Obok ręcznego zwierciadła, na którego rewersie widniała podobizna Flory z obrazu Primavera Sandro Botticellego, leżała srebrna papierośnica z inicjałami H.

deL.

Nigdy nie dostrzegłam tego na reprodukcjach, ale

Flora Botticellego wyglądała na kobietę w zaawansowanej ciąży, w dodatku całkiem z tej przyczyny szczęśliwą.

Czy to możliwe, że zwierciadło było prezentem odojca, gdy Harriet była w ciąży z jedną z nas?

A jeśli tak, toz którą - z Felą, z Dafi czy z zemną?

Ze mną raczej nie; trzeci dziwczynkę z pewnością trudno byłoby uznać za dar niebios - przynajmniej z punktu widzenia ojca.

Nie, zapewne Harriet nosiła wtedy pierworodną Ofelię - tę, którą przysłała nam świat ze zwierciadłem wdłoni.

może nawet z tym samym.

Wiklinowy fotel pod oknem idealnie nadawał się do czytania, tuż obok - na wyciągnięcie ręki - stała nieduża biblioteczka Harriet.

Były w niej książki z czasów szkol.



nych w Kanadzie i wakacji spędzanych u ciotki w Bostonie:

Ania z Zielonego Wzgórza i Jane ZiLanternHill stały obok Penrodai Merton ofThe Movies, a na samym końcu półki zauważyłam The Awful Disclosures of Maria Monkz zagiętymi rogami.

Nie czytałam żadnej z tych książek, ale z tego, co wiedziałam oHarriet, musiały one mówićo renegatachiludziach'wolnych duchem.

: Niedaleko na małym okrągłym stoliczku leżał album zezdjęciami. Uniosłam okładkę i przekonałam się, żestronice albumu wykonano z czarnego kartonu, a podpisypod każdym czarno-białym zdjęciem sporządzono białąkredką: Harriet (2 lata) wMorris House; Harriet (lat 15)na pensji dla panien panny Bodycote (1930 - Toronto,Kanada); Harriet z "Beztroskim Duchem" samolotem de Havilland klasy Gypsy Moth (1938); Harriet w Tybecie (1939).

Zdjęcia ukazywałydorastanie Harriet,która z tłuściutkiego cherubinka z grzywą jasnychwłosów stawała sięwysoką, szczupłą, roześmianą dziewczyną (bez widocznego biustu) ubraną w sportowystroj, by w końcu zamienił sięwjasnowłosą gwiazdę filmową, opierającą się niedbale jakAmelia Earharto kokpit"BeztroskiegoDucha".

W albumie nie było fotografii ojca.

Ani żadnej z nas.

Na każdym zdjęciu twarz Harriet przypominała oblicze kobiety, w którejplanachbyło urodzeniedzieci: Feli,Dafi imnie, wyrzucenie ich z siebie przed powrotem dowłaściwego, pełnego radości, pewności, ale i obaw życia,będącego przygodą.

Gdy wpatrywałam się w jej twarz, próbując przeniknąćw głąb jej duszy, rozległo się ciche pukanie do drzwi.

Potem cisza i znów pukanie.

Drzwi zaczęły się otwierać.

To był Dogger.

Wsunął powoli głowę w szparę w drzwiach.

- Pułkownika de Luce?

- zapytał.

-Jest pan tu?

Zamarłam, bojąc się nawet odetchnąć.

Dogger się nie

poruszył, tylko patrzył prosto przed siebie, wyczekująco,jak dobrze ułożony służący, który zna swoje miejscei polega na słuchu, który podpowiada mu, czy przeszkadza.

W co on grał?

Czyż nie powiedział mi przed chwilą, że policja zabrała ojca?

Skąd, u licha, przyszło mu do głowy, że ojciec może być u siebie w gabinecie?

Czy już doreszty pomieszało mu się w głowie?

A może najzwyczajniej mnie śledził?

Rozchyliłam lekko usta i wciągnęłam powoli powietrze, żeby nie zdradził mnie nieposłuszny świst przez nos.

Jednocześnie modliłam się w duchu, żeby nie kichnąć.

Dogger stał w drzwiach przez dłuższą chwilę, niczym tableau vivant".

W starych książkach w bibliotece widziałam ryciny tych

zapomnianych chryzmyk, podczas których wymalowani i upudrowani aktorzy ustawiali się w nieruchomych pozach często podniecającej natury przedstawiających pono sceny z życia bogów.

Pojakimś czasie poczułam się jak zając, który "zamiera" na miedzy.

W końcu jednak Dogger cofnął głowę i zamknął bezszelestnie drzwi.

Widział mnie?

A jeśli tak, to dlaczego udawał, że niewidzi?

Czekałam, nasłuchując, ale z sąsiedniego pokoju nie dobiegał żaden szmer.

Wiedziałam, że Dogger nie będzie tu stał wiecznie, i kiedy doszłam do wniosku, że upłynęło dosyć czasu, otwarłam drzwi i wyjrzałam.

Pokój ojca wyglądał tak jak przedtem: oba zegary tykały, choć terazze względu na mój strach wydawały się dudnić głośniejsze niż poprzednio.

Zdając sobie sprawę, że mam przed sobą szansę, która już nigdy się nie powtórzy, rozpoczęłam poszukiwania, stosując tę samą metodę, jaką wykorzystałam w gabinecie.

Sypialnia była urządzona

Tabletu vivant (franc.

) "żywy obraz".

tak spartańsko, jak namiot Leonidasa, więc rewizja nietrwała długo.

Jedyną książką w sypialni był katalog firmy aukcyjnej Stanley Gibbons, która za trzy miesiące urządzała licytację znaczków. Odwróciłam katalog do góry nogami i potrząsnęłam mocno, ale nic z niego niewypadło.

W garderobie ojca znajdowało się zdumiewająco małoubrań - kilka starych tweedowych marynarek ze skórzanymi łatami na łokciach (kieszenie były puste), dwa weł--;

niane swetry i parę koszul.

Przeszukałam buty i parę pułkownikowych oficerek, ale niczego nie znalazłam.

Z bólem zdałam sobie sprawę, że jedynym pozostałym ubraniem ojca był jego niedzielny garnitur, który miała sobie, gdy został zatrzymany przez inspektora Hewitta. (Nie potrafiłam zdobyć się na słowo "aresztowany").

Może ukrył przedziurawioną Czarną Wiktorię w innym miejscu na przykład w skrytce rolls-royce'a Harriet.

Równie dobrze mógł też zniszczyć lub wyrzucić znaczek.

Kiedy się nad tym zastanowiłam, rozwiązanie to wydało mi się najsensowniejsze.

Znaczek był uszkodzony, więc nie przedstawiał żadnej wartości.

Mimo to był w nim coś, co zaniepokoiło ojca, więc może gdy znalazł się w piątku siebie, przyłożył do niego zapalną.

To, rzecz jasna, zostawiłoby pewne ślady: popiół w popielniczce, wypaloną zapalną w koszu na śmieci.

Mogłam to łatwo sprawdzić, bo zarówno popielniczka, jak i kosz stały tuż przede mną i były niestety puste.

A może spłukał wodę w toalecie?

Wiedziałam, że poruszam się po omacku.

Daj sobie spokój, pomyślałam.

Zostaw to policji.

Wracaj do przytulnego laboratorium i zajmij się tym, co cię należy.

Przypomniałam sobie - ale bez specjalnego podniecenia - jakież to śmiertelnie groźne krople można wydestylować

z roślinek zgłaszanych na Wiosenny Pokaz Kwiatów; jakież to przezabawne trucizny da się uzyskać z żonkili i jakież zabójcze napary ze zwykłych narcyzów.

Nawet zwyczajnym mentarńcis, uwielbiany przez poetów i

zakochanych, zawiera w nasionkach i listkach dosyć toksyn, by utulić  
dowiecznego snu połowę mieszkańców Anglii.

Ale te przyjemności będą musiały poczekać.

Miałam zobowiązania wobec ojca na moich barkach spoczęło wydobyć  
go z opresji, z jakiej nie mógł wydobyć się sam.

Wiedziałam, że powinnam do niego pójść - gdziekolwiek  
go przetrzymywano i złożyć u jego stóp mój miecz,  
niczym średniowieczny giermek ślubujący wierność rycerzowi.

Nawet jeśli nie udało mi się pomóc, mogę przy nim posiedzieć, tym bardziej  
że brakowało mi go ogromnie i tęskniłam za nim wprost niewiarygodnie.

Nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł: jak daleko jest  
do Hinley?

Czy zdołałabym dojechać tam przed zmrokiem?

A jeśli tak, to czy pozwolono by mi zobaczyć się z ojcem?

Serce zaczęło mi łomotać jak po filiżance naparu z napastrzycy.

Czas na mnie.

Byłam tu wystarczająco długo.

Zerknęłam na zegar przy łóżku - pokazywał teraz 3:40 - Zegar z kominka  
upierał się, że jest dopiero 3:37. Ojciec pewnie przez te ostatnie  
wydarzenia nie zwrócił na to uwagi, gdyż najogólniej rzecz biorąc, jeśli  
chodziło o czas, był pedantem.

Wielokrotnie słyszałam, jak wydawał rozkazy Doggerowi (nam na szczęście  
nie):

- Zawieź gladiole proboszczowi punktualnie o trzynastej zero zero  
mówił.

Będzie na ciebie czekał.

Wróć się kwadrans na drugą i wówczas zastanowimy się, co zrobisz rzesą na  
stawie.

Wpatrywałam się w oba zegary, mając nadzieję, że coś przyjdzie mi do  
głowy.

Pewnego razu, gdy ojciec był aku.

rat w bardziej wylewnym nastroju, zwierzył się nam, że zakochał się w Harriet tylko dlatego, że potrafiła widzieć dalej niż czubek własnego nosa. "Co jest rzadkością wśród kobiet", dodał.

I nagle pojęłam!

Jeden z zegarów został zatrzymany!

Dokładnie na trzy minuty.

Był to zegar kominka.

Podeszłam doń powoli, jak do ptaka na łące.

Ciemna pogrzebowa szafka nadawała mu wygląd wiktoriańskiego karawanuska. Składał się z samych gałek, szkła i czarnego szelaku.

Ujrzałam własną dłoń wyciągającą sięku zegarowi - drobną i białą w panującym w pokoju półmroku.

Poczułam, jak moje palce dotykają chłodnej tarczy, a kciukotwiera srebrną zasuwkę.

Mosiężne wahadło musnęło opuszkipalców, kołysząc się w tę i z powrotem z upiornym tykaniem.

Bałam sięgo dotknąć!

W końcu wzięłam głęboki oddech i zatrzymałam pulsacyjny ruch.

Siła bezwładu sprawiła, że z początku wahadło wydało mi się czymś żywym niczym złoty rybka schwytna przypadkowo w akwarium, niczym wyrwane zczyjejś piersi najprawdziwsze bijące serce, które w końcu zamiera.

Pomacałam z tyłu wahadła.

Coś tam było!

Coś było do niego przylepione!

Mała paczuszka.

Odkleiliśmy ostrożnie, poczułam, jak spada mi w rozpostartą dłoń.

Wyjmując rękę z wewnętrznych organów zegara, wiedziałam, co znalazłam. i nie myliłam się.

Trzymałam w dłoni małą kopertę z glazurowanego papieru, a w niej dobrze widoczną Czarną Wiktorie.

Znaczek pocztowy z dziurą w samym środku - w samą tak, w jakiej mieścił się zdechłego bekasa ksyka.

Lecz cóż w tym dziurawym znaczku tak bardzo przeraziło ojca?

Wyjęłam znaczek z koperty, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

Nic wielkiego, miałam przed oczyma królową Wiktorie z dziurą w głowie.

Cobyło najprawdopodobniej oznaką

braku patriotyzmu, ale nie to wstrząsnęło dorosłym mężczyzną do głębi.

Nie, chodziło o coś innego.

Co takiego wyróżniało ten znaczek od innych, jego podobnych? Czyż nie wydrukowano ich w dziesiątkach milionów egzemplarzy, w dodatku takich samych?

A może nie?

Przypomniałam sobie, jak pewnego razu ojciec oznajmił niespodziewanie, że w celu pogłębienia naszych zaprzywrotnionych środowisk wieczory będą od tej pory poświęcane serii obowiązkowych wykładów (wygłaszanych przez niego samego) o najrozmaitszych aspektach brytyjskiego rządu.

Cykl wykładów o kryptonimie "A" miał dotyczyć oczywiście do przewidzenia "Historii poczty za pensja".

Dafi, Fela i ja przyniosłyśmy notesy do salonu i udawałyśmy, że sporządzamy notatki, choć w istocie zapisywałyśmy na karteczkach własne przemyślenia na temat tego, w czym uczestniczyłyśmy przemyślenia, które przekazywałyśmy sobie, gdy tylko ojciec odwrócił głowę.

Brzmiały one mniej więcej tak: "Precz z wykładami!

", "Niech żyje nuda!

".

Znaczki pocztowe, tłumaczył ojciec, drukowano w arkuszach liczących dwieście czterdzieści egzemplarzy.

Arkusze składały się z dwudziestu rzędów po dwanaście znaczków, co było akurat dla mnie łatwe do zapamiętania, bo 20 to liczba atomowa wapnia, a 12 magnezu.

Jedyne, co musiałam zrobić, to wbić sobie do głowy, że arkusz znaczków to nic innego jak CaMg.

Każdy znaczek na arkuszu miał własny, unikatowy, dwuliterowy identyfikator, począwszy od "AA" na górnym lewym znaczku, a skończywszy na "TL" na dolnym prawym w dwudziestym, najniższym rzędzie.

Oznaczenia te, mówił ojciec, stosowano, by zapobiec fałszerstwom, choć w jakiś sposób Królewska Poczta chciała im zapobiec, nie było dla mnie jasne.

Ojciec tłumaczył to szerzącą się w epokę paranoję, która zakładała, że

od Land's End po John o'Groats wystarczy rzucić kamieniem, by trafić w jaskinię fałszerzy, trudniących się dniami i nocami produkcją falsyfikatów znaczków pocztowych, pozbawiających Jej Wiktorjański Majestat jednego pensza każdym wydrukowanym egzemplarzem.

Spojrzałam raz jeszcze na znaczek.

Na dole, pod głową królowej Wiktorii, widniała wartość znaczka:

JEDENPENS.

Z lewej strony tych dwu wyrazów zobaczyłam literę B, a z prawej strony literę H.

Dokładnie wyglądał to tak: B ONEPENNY.

H

"BH".

Oznaczało to, że znaczek pochodził z drugiego rzędu wydrukowanego arkusza, z ósmej kolumny z prawej strony. Dwa-osiem.

Czy miało to jakieś znaczenie?

Pomijając fakt, że 28 jest liczbą atomową niklu, nic nie przychodziło mi do głowy.

I nagle pojęłam!

Nie chodziło o liczbę!

Miałam przed sobą słowo!

Bonepenny!

I to nie tylko "Bonepenny", ale Bonepenny H.

Horace Bonepenny!

Na dziobie bekasa kszycyka nadziana była skierowana do "Jacko" (szkolne przezwisko ojca) wiadomość, będąca niczym innym jak groźbą śmierci.

Groźbą, którą ojciec zrozumiał i pojął w mgnieniu oka.

Dziób ptaka przebił głowę królowej, a lenie uszkodził nazwiska nadawcy groźby.

Mógł je zobaczyć każdy, kto miał ochotę do patrzenia.

Horace Bonepenny.

Nieżyjący już Horace Bonepenny.

Na szczycie wzgórza stał przegniły drewniany słup - wszystko, co pozostało z XVIII-wiecznej szubienicy - wskazujący drogę w dwóch przeciwnych kierunkach.

Mogłam dojechać do Hinley - o czym doskonale wiedziałam - ja z ang. "jack snipe".

dać przez Doddingsley, lub nieco dłuższą i mniej uczęszczaną trasą przez wioskę St Elfrieda's.

Pierwsza droga była krótsza, druga - jako mniej uczęszczana - dawała mi większą szansę na przemknienie się niezauważenie, gdyby komuś przyszło do głowy zgłosić na policji moje zaginięcie.

- Cha, cha, cha!

- zaśmiałam się głośno i nie bez ironii.

Kogo mogło obchodzić zaginięcie Flawii de Luce!

Mimo to skręciłam w prawo i skierowałam Gladys ku St Elfrida's. Droga do wsi prowadziła w dół, dzięki czemu mogłam rozwinąć niezłą szybkość.

Kiedy kręciłam pedałami dotyłu, trzybiegowa przerzutka Sturmey-Archer, umieszczona w tylnej piaście Gladys, wydawała taki odgłos jak siedliskowściekłych, ociekających jadem grzechotników.

Wyobrażałam sobie, że mam je tuż za plecami, ba!

że grzechotniki rzucają mi się do pięt.

To było wspaniałe!

Nie czułam się tak doskonale od dnia, w którym po raz pierwszy wyprodukowałam przez ekstrakcję i odparowywanie syntetyczną kurarę z czermieni błotnej rosnącej w stawie z liliami proboszcza.

Oparłam stopy okierownicę i dałam Gladysie wieść.

Kiedy mknęłyśmy w dół zapyłonego wzgórza, wzniosłam ku niebu pieśń:

Mówią o niej dziewczeczka co ma słodkie usteczka.



## TRZYNAŚCIE

Na dole wzgórza Oakshott przypomniałam sobie nagle o ojcu i natychmiast poczułam smutek.

Czy oni naprawdę uważali, że mógł zamordować Horace'a Bonepenny'ego?

A jeśli tak, to w jaki sposób tego dokonał?

Gdyby ojciec dopuścił się zbrodni pod oknem mojej sypialni, byłaby to zbrodnia kompletnie bezgłówna.

A ojciec z pewnością nie zabiłby człowieka, nie podnosząc głosu.

Przed dalszymi spekulacjami uchronił mnie zakręt do Cottesmore i Doddingsley Magna.

W cieniu starego dębu ustawiono przystanek autobusowy, a przynim ławkę, na której siedziała znana mi postać przypominająca wiekowego gнома w grubych okularach.

Człowiek ten był podobny do George'a Bernarda Shawa, który skurczył się w praniu.

Siedział sobie na ławeczce najspokojniej na świecie, wymachując nóżkami oddalonymi o dobre dziesięć centymetrów od ziemi, siedział na ławeczce tak, jakby się na niej urodził i spędził tu całe życie.

Był to Maximilian Brock, jeden z naszych sąsiadów.

Modliłam się w duchu, żeby mniemnie zauważył.

Jak głośno plotki rozpowszechniane w Bishop's Lacey, Max wycofał się ze świata muzyki, a obecnie zarabiał potajemnie na życie, pisząc pod kobiecymi pseudonimami (takimi jak Lala Dupree) dla amerykańskich czasopism skandalizujące opowiadania o wymownych tytułach Pofne wygnania czy Gorące romanse.

Max uwielbiał wsadzać nos w cudze sprawy, a następnie wykorzystywać usłyszane w zaufaniu historię swoich opłacanych ciężkimi pieniędzmi historyjkach, dlatego nazywano go za plecami "wiejską pompą".

Mimo to nie mogłam udąć, że go niewidzę - był kiedyś nauczycielem muzyki Feli.

Zatrzymałam się przy płytkim rowie, ignorując jego obecność, i zajęłam się łańcuchem Gladys.

Jeśli mi się poszczęści, będzie patrzył w drugą stronę, a wtedy ukryję się za żywo płotem, dopóki nie zniknie.

- Flawia!

Harooo, mon vieux.

Jasna cholera!

Zauważył mnie.

Ignorowanie Maximilianowego "haroo" równało się ignorowaniu jedenastego przykazania.

Udałam, że właśnie go zauważyłam, uśmiechnęłam się nieszczercze i pchnęłam Gladys przezchwasty ku ławeczce.

Maximilian przez wiele lat mieszkał na wyspach na kanale La Manche, gdzie był pianistą w orkiestrze Alderney Symphony, zajmując stanowisko, które - jak mówił - wymagało wielkiej cierpliwości i okazałej biblioteki powieści detektywistycznych.

By wyegzekwować w pełni prawo na wyspie Alderney, wystarczyło (tak mi przynajmniej mówił, kiedy gawędziliśmy o przestępczości podczas dorocznego Pokazu Kwiatów) stanąć na środku miejskiego placu i krzyknąć na całego: Haroo, haroo, mon Prince.

On me fait tort!

Nazywało się to "wywoływaniem ogólnej wrzawy" i oznaczało z grubsza:

"Na pomoc, mój księżu, ktoś mi wyrządza krzywdę!

". Inaczej mówiąc, popełnia przestępstwo.

- I jak się miewasz, mój pelikaniku - zapytał Max, przekrzywiając głowę jak sroka wpatrująca się w potencjalny skarb.

- Dziękuję, świetnie - odpowiedziałam ostrożnie, pamiętając słowa Dafi, która powiedziała mi kiedyś, że Mas jest jak pająk, który paraliżuje ukąszeniem i nie popuści,.

dopóki nie wysie ostatniej kropli najżywotniejszych soków cudzego jestestwa, nawet zbiorowego, bo należącego do rodziny.

- A twój tato, nasz dobry pułkownik?

-Zajmujesz tym i owym - odrzekłam, choć serce podskoczyło mi do gardła.

- A ta wasza panna Ofelia.

- ciągnął.

-Czy nadal malujesz jak Izebel i przegląda wserwisie do herbaty?

To pytanie było zbyt osobiste, nawet jak na mój gust.

Takie czynne wady Ofelii powinny go guzikobchodzić, alez drugiej strony wiedziałam, że Maximilian potrafi wpaśćw szal z najbłahszego powodu. Fela nazywała go zaplecami "Rumpelstiltskin", a Dafi "Aleksandrem Popem lubkimś znacznie gorszym".

Mimo to Maximilian wbrew swoim odpychającymnawykomi być może naskutekrównego mojemu wzrostu był w moich oczach interesującym niekiedy pouczającym rozmówcą, o ile ktoś nie pomylił jego mizernej postury ze słabością.

- Ofelia miewa siędoskonale, dziękuję, że pan pyta -odpowiedziałam.

- Dziś rano jej cera wprostjaśniała.

Nie dodałam:"irytująco".

- Panie Maximilianie - zaczęłam, zanimzadał kolejne pytanie.

- Czy sądzi pan, żebyłabym w stanie nauczyćsię grać tę krótką toccatę Paradisięgo?

- Nie - odpowiedział bez choćby chwili wahania.

- Niemasz dłoni pianistki.

Masz natomiast dłonie trucicielki.

Uśmiechnęłam się.

To był naszmały wspólny żart.

Wszystko wskazywało na to, że Max nie słyszał jeszcze omorderstwie w Buckshaw.

Karzeł z baśni braci Grimni.

Mierzący137 cmwzrostu XVIII-wieczny poeta i satyryk angielski, znany ze swej ironiii kąśliwości.

-A średnia ztwoich sióstr?

-zapytał.

- Dafne.

taopieszła.

Słowo "opieszła" odnosiło się w tymkontekście do biegłości, czy

raczej jej braku, w grze na fortepianie, cowprzypadku Dafne miało postać nieustannych prób uderzania opornymi palcami w klawisze, które zdawały się uciekać przed kontaktem z jej opuszkami.

Boje Dafi z instrumentem przypominały walkę kury z lisem i zawsze kończyły się zrami.

Jednak ponieważ ojciec się uparł, wojna trwała nadal.

Któregoś dnia, gdy zastałam ją łkającą nastolku z głową opartą o zamkniętą pokrywę klawiatury, szepnęłam jej na ucho:

- Daj sobie z tym spokój, Dafi.

Rzuciła się namnie jak bojowy kogut.

Postanowiłam więc spróbować innej metody i zachęcając ją do gry. Kiedy siadała do Broadwooda, wchodziłam do salonu, opierałam się o fortepian i wbijałam rozmarzony wzrok w ścianę, jakby jej gra mnie oczarowała.

Zazwyczajnie zwracała na mnie uwagi, ale kiedy pewnego razu zapytałam: "Jaki się nazywa ten cudowny utwór?"

" - o małego zabiła mnie pokrywą fortepianu.

- Togama G-dur!

- wrzasnęła i wybiegła z pokoju.

Bywały dni, kiedy życie w Buckshaw stawało się naprawdę trudne.

- Miewa się źle - odpowiedziałam na pytanie Maximiliana.

- Właśnie pochłania Dickensa.

Trudno wydobyć z niej choćby słowo.

- Aha.

- Maximilian pokiwał głową.

- Kochany, stary Dickens.

Zdaje się, że nie miał nic więcej do powiedzenia na ten temat, a ja skorzystałam z okazji i umilkłam.

- Panie Maximilianie - odezwał się po pewnym czasie.

Jest pan człowiekiem światowym.

Na to słowa napuszył się jak paw, a ja musiałam wyciągać szyję, żeby dorównać mu wzrostem.

-Jestem nie tylko człowiekiem światowym, ale prawdziwym boulevardier -  
oznajmił.

- No właśnie.

- stwierdziłam, nie mając pojęcia, o comu chodzi.

-Czy był pan kiedyś w Stavanger?

Chciałam oszczędzić czas, który musiałabym poświęcić na  
przeglądanie atlasów.

- Że co?

W jakim Stavanger?

W Stavanger w Norwegii?

"BINGO!

", o mało nie wrzasnęłam.

Horace Bonapenny przyplął z Norwegii!

Wzięłam głęboki oddech, żeby dojść do siebie.

Miałam nadzieję, że w oczach Maksa będzie to tylko oznaka  
zniecierpliwienia.

- Oczywiście, że w Norwegii rzuciłam protekcyjnie.

- Czy są jakieś inne Stavanger?

Przez chwilę wydawało mi się, że zaraz mnie zbeszta.

Zmrużył oczy, a ja poczułam chłód, gdy na jego czole zaczęły gromadzić  
się burzowe chmury.

Ale ni z tego, nizowego zachichotał cichutko, co brzmiało tak, jakby  
ktoś wlewał wodę mineralną do szklanki.

- Stavanger to pierwszy etap w drodze do Heli.

które jest stacją kolejową - poinformowałam mnie.

- Przejeżdżałam tamtędy, jadąc do Trondheim, a następnie do Heli, które  
możesz mi wierzyć albo nie jest małą wioską Norwegii, do której  
zjeżdżają turyści, żeby wysłać znajomym pocztówkę treści: "Szkoda, że  
cię tu nie ma".

W Heli wykonywałam Koncert fortepianowy a-moll Griega, który nawiasem  
mówiąc, był tak samo Szkotem, jak Norwegiem.

Jego dziad pochodził z Aberdeen i zniesmaczony wyjechał z kraju po  
bitwie pod Culloden, choć potem musiał zdać sobie sprawę, co znaczy  
przysłowie "zamienił stryjeksie Bitwa pod Culloden (16 kwietnia 1746) na  
błotnistym stoku w pobliżu Inverness w Szkocji pomiędzy jakobitami,  
wspieranymi przez wojska francuskie, a wojskami Jerzego II, panującego  
króla z dynastii hanowerskiej.

kierkę na kijek", bo w Norwegii jest tyle samo fiordów, co w Szkocji

niedostępnych zatok.

-W Trondheim, muszę dodać, odniosłem wielki sukces.

.krytycy byli uprzejmi, a publiczność miła.

Inną rzeczą jest to, że ci ludzie nigdy nie rozumieją własnej muzyki, pojmujesz?

Zagrałem im również Scarlattiego, żeby wpuścić trochę włoskiego słońca w te północne ciemności.

W przerwie usłyszałem, jak pewien komiwojażer z Dublina szepcze przyjacielowi na ucho: "Wiesz, Thor, dla mnie to wszystko brzmi jak Grieg".

Uśmiechnęłam się posłusznie, choć słyszałam tę negdotę już ze czterdzieści pięć razy.

- To wszystko, rzecz jasna, działo się w dawnych, przedwojennych czasach.

Stavanger!

Oczywiście, że tam byłem.

Ale dlaczego pytasz?

-Jak się pan tam dostał?

Statkiem?

Horace Bonepenny miał się całkiem nieźle w Stavanger, natomiast w Anglii był trupem.

Chciałam się dowiedzieć, co działo się z nim pomiędzy tymi dwoma wydarzeniami.

- Oczywiście, że statkiem!

Chyba nie zamierzasz uciec do domu, Flawio?

- Wczoraj przy kolacji prowadziliśmy pewien spór, w zasadzie kłótnię.

To się nazywało optymalizacja kłamstwa - dwie szuflepiachu na szczerą prawdę.

- Ofelia upierała się, że płynie się tam z Londynu, ojciec twierdził, że z Hull.

Z kolei Dafne opowiadała się za Scarborough, ale tylko dlatego, że pochowano tam Annę Bronte.

- Newcastle-upon-Tyne - stwierdził ze znanstwem Maximilian.

- Płynie się z Newcastle-upon-Tyne.

Donaszychus zudobiegło z daleka dudnienie.

Nadjeżdżał autobus do Cottessmore.

Nadjeżdżało za dużo po.

wiedziane - zataczał się na wąskim gościńcu między żywopłotami jak kura chodząca po linie.

Zatrzymał się przedławeczką, dysząc ciężkood wysiłku wspinania się na wzgórze.

Drzwi otwarły się z żeliwnym jękiem.

- Ernie, mon viewc-przywitałkierowcę Maximilian.

-Jak dziś miewa się przemysł transportowy?

-Wsiadaj rzuciłErnie, patrząc prosto przed siebieprzez przednią szybę.

Jeśli pojął żart, postanowił go zignorować.

- Nie dzisiaj, Ernie.

Korzystam z twojej ławeczki,żebydać odpocząć nerkom.

- Ławki sąwyłączniedla pasażerów czekających na autobus.

Takie są przepisy, Max, i wieszo tym równiedobrze jak ja.

- Ma się rozumieć, Ernie.

Dziękuję, że mi przypomniałeś.

Max zsunął się ławki i opadł na ziemię.

-Wszystkiego dobrego, Ernie - powiedział, uchylającapelusza, poczym ruszył poboczem jak Charlie Chaplin.

Drzwi autobusu zapisały,Ernie nie bez wysiłku wrzucił bieg, a autobus z jękiem i niechęcią pojechał dalej.

Każdy ruszył w swoją stronę - Erniei jego autobus do Cottesmore, Max dowłasnego wiejskiego domku, a ja i Gladysdo Hinley.

Posterunek policji w Hinley mieścił się w budynku,w którym kiedyśznajdowała się gospoda dladyliżansów.

Byłwcisnięty międzyniewielki skwera kino, fronton z pruskiego muru wystawał u góry nadulicę i wisiała nanimniebieska latarnia.

Pomalowana na nijaki brunatny kolordobudówka z pustaków trzymała się boku budowli jakkrowi placek kolejowego wagonu.

To tutaj, jakpodejrzewałam, znajdowały się cele.

ZostawiłamGladys na popas w zapełnionymdo połowy służbowymi raleighami stojaku na rowery iwspiełam siępo wysłużonych schodkach do frontowychdrzwi.

Za biurkiem siedział umundurowany sierżant, któryprzekładał jakieś papiery i drapał się po resztcewłosówostrozatemperowanym ołówkiem.

Uśmiechnęłam się doniego i poszłam dalej.

- Chwila, chwila - zagrzmiął.

- Dokąd to się wybierasz,panienko?

Zdaje się, że wspólną cechą wszystkich policjantów jest prowadzenie rozmowy przez zadawanie pytań.

Uśmiechnęłam się po raz drugi, jakbym go nie zrozumiała, i poszłam dalej ku otwartym drzwiom, za którymi dostrzegłam mroczny korytarz.

Sierżant zerwał się na równe nogi znacznie szybciej, niż można się było spodziewać, i złapał mnie za rękę.

Przydybał mnie.

Nie pozostało mi nic innego, jak tylko się rozplakać.

To było okropne, ale nie dysponowałam innym narzędziem.

Dziesięć minut później konstabl Glossop i ja piliśmy herbatę w kawiarni przy posterunku.

Powiedział mi, że ma w domu taką samą córkę jak ja (w co jakoś wątpiłam), a córka owa nosi imię Elizabeth.

- Nasza Lizzie to wielka pomoc dla matki - mówił.

- Pani Glossop, znaczy się moja żona, spadła dwa tygodnie temu od tej soboty z drabiny w sadzie i połamała sobie obie nogi.

Odniosłam wrażenie, że konstabl Glossop musiał rozczytywać się w komiksach, takich jak "Beano" albo "Dandy", i korzysta z przedstawianych tam fabuł, żeby mnie rozzerwać.

Ale jego szczerą twarz i zmarszczone czoło podpowiedziały mi, że nie zmyśla.

Miałam do czynienia z prawdziwym konstabłem Glossopem, z którym musiałam się uporać według jego własnych zasad.

Zgodnie z nimi, załkałam po raz wtóry i powiedziałam



mu, że jestem pólsierotą, gdyż moja mama zginęła w dalekim Tybecie podczas górskiej wspinaczki.

Dodałam, że straszliwie mi jej brakuje.

- No, no, panienko - odezwał się dobrodusznie.

- Nakomisariacie się nie płacze, bo płacz, by tak rzec, nie przystoi w urzędowym miejscu.

Przestań się mazać, bo będę musiał cię przymknąć.

Zdobyłam się na słaby uśmiech, który chętnie odwzajemnił.

Podczas mojego przedstawienia do policyjnej stołówki wpadło na herbatę i bułkę kilku detektywów.

Każdy z nich uśmiechał się domnie i w milczeniu unosił w górę ciuk.

Przynajmniej nie zadawali mi żadnych pytań.

- Czy mogłabym zobaczyć się z ojcem?

- zapytałam.

- Topułkownik de Luce isłyszałam, że przebywa w tutejszej celi.

Twarz konstabla Glossopa nagle zeszywniała.

Za szybko to rozegrałam, teraz będę musiała stawić czoło policyjnej biurokracji.

- Zaczekaj tu - rzucił i wyszedł na wąski korytarz, na końcu którego dostrzegłam chyba czarne metalowe kraty.

Kiedy wyszedł, rozejrzałam się szybko po jadalni, która była nędznym pokojem wypełnionym tak zniszczonymi meblami, jakby kupowano je z dziesiątej ręki.

Nogi krzesel i stołów nosiły ślady tysięcy kopnięć urzędowego obuwia.

Kiedyś podjęto - na próżno, niestety - starania o rozweselenie otoczenia i pomalowano kredens na seledynowo, ale przerdzewiały zlew wyglądał jak relikwiarz wypożyczony z zabezpieczeniem ze złomowiska.

Na suszarce stały do góry nogami popękane filiżanki i spodki z całkiem innej parafii.

Dopiero teraz zauważyłam, że firankami w oknach były żelazne kraty schowane za kawałkiem materiału.

W całym pomieszczeniu unosił się dziwny, ostry zapach, który poczułam od razu, gdy tu weszłam - cuchnęło tu tak, jakby

w czyjejsz szufladzie wybuchła zapomniana przed laty puszka z pastą z anchois.

Przypomniał mi się fragment arii z Piratów 5iPe niance:

"Los policjanta niełatwy jest", śpiewanej w radiu przez D'0yly Carte Opera Company.

Autorzy opery, Gilberti Sullivan, jak zwykle mieli rację.

Nagle przyszło mi do głowy, żeby stąd wyjść.

Całata misja była szaleństwem, zwykłym impulsem ocalenia ojca, czymś, co podpowiedziała mi prehistoryczna część mózgu.

Wstań i idź do drzwi, powiedziałam sobie.

Nikt niezauważy, że zniknęłaś.

Nasłuchiwałam przez moment, przekrzywiając głowę jak Maximilian, żeby wyostrzyć i tak doskonały słuch.

Gdzieś w innym pomieszczeniu buczały męskie basy jak zagubione trzmielo.

Postawiłam jedną stopę przed drugą, niczym zmysłowa señorita rozpoczynająca tango i zatrzymałam się nagle przy drzwiach.

Z miejsca, w którym stałam, widziałam tylko konaróżnik biurkasierżanta, stojącego w korytarzu.

Chwała Bogu, nie opierał się na nim żaden policyjny łokieć.

Wyrzłam za drzwi.

Korytarz był pusty.

Przez nikogo niezatrzymywana powędrowałam tanecznym krokiem do drzwi wejściowych i wyszłam na ulicę.

Choć nikt mnie nie aresztował, czułam się tak, jakby mnie kłaz więzienia.

Podeszłam jakby nigdy nic do stojaka narowery.

Jeszcze dziesięć sekund już mnie tu nie będzie.

I nagle poczułam się tak, jakby ktoś wylał mi na głowę wiadro lodowatej wody.

Zamarłam wstrząśnięta.

Gładys zniknęła!

Chciałam wrzeszczeć na całe gardło.

Wszystkie urzędowe rowery

z urzędowymi lampkami i rządowymi bagażnikami stały oparte o stojak, ale Gładys zniknęła!

Rozglądałam się na wszystkie strony, a ulice - bez ro.

weru - wydały mi się zupełnie inne i groźne.

Którędy dodomu?

Jak mam dojść do otwartego gościńca?

Jakbym miała za mało problemów, zbierało się na burzę.

Na zachodniej stronie nieba gotowały się czarne chmury, a te, które pędziły mi nad głową, były nieprzyjemnie fioletowe i sine.

Poczułam strach, a potem gniew.

Jak mogłam być tak głupia, żeby zostawiać Gladys w obcym mieście bez zabezpieczenia!

W jaki sposób dostanę się do domu?

Co się stanie z nieszczęsną Flawią?

Fela powiedziały mi kiedyś, że nie wolno okazywać strachu w nieznannej okolicy.

Ciekawe tylko, zastanawiałam się, jak to zrobić?

Takie myśli zaprzętały mi głowę, kiedy poczułam ciężką dłoń na ramieniu i usłyszałam głos, który powiedział:

- Lepiej będzie, jeśli pójdziesz ze mną.

Głos należał do inspektora Hewitta.

- To byłoby wbrew przepisom - mówił.

- Całkiem niedopuszczalne.

Siedzieliśmy w jego biurze - długim, wąskim pokoju, w którym kiedyś znajdował się bar gospodyni dylizansów.

W gabinecie panował nienaganny porządek, brakowało tu tylko aspidistry i pianina.

Miałam przed sobą szafkę na akta i całkiem zwyczajne biurko; telefon i małą biblioteczkę, na której stała oprawiona w ramkę fotografia kobiety w płaszczu z wielbłądziej wełny, opierającej się o barierkę osobliwego kamiennego mostka.

Nie wiem dlaczego, ale spodziewałam się czegoś więcej.

- Twój ojciec został zatrzymany na tym posterunku do czasu odebrania przez nas pewnych wiadomości.

Wówczas zostanie przeniesiony gdzie indziej, do miejsca, którego nazwy nie wolno mi wyjawiać.

Przykro mi, Flawio, ale odwiedzinynie wchodzi w grę.

- Czy jest aresztowany?

zapytałam.

- Obawiam się, że tak - odpowiedział.

- Ale dlaczego?

- To było źle sformułowane pytanie.

Domyśliłam się tego, gdy tylko je zadałam.

Popatrzył na mnie jak na trzylatkę.

- Posłuchaj, Flawio - powiedział.

- Wiem, że bardzo się niepokoisz.

To zrozumiałe.

Nie widziałas wcześniej ojca.

nie było cię w Buckshaw, kiedy go zatrzymaliśmy.

Takie sprawy, pojmujesz, są zawsze trudne dla policjanta.

Zrozum, że naprawdę wolałbym zachowywać się bardziej uprzejmie i przyjaźnie, ale jako przedstawiciel ramienia egzekwującego prawo Jego Królewskiej Wysokości niemogę, po prostu nie mogę.

- Wiem - powiedziałam.

- Król Jerzy VI nie toleruje żartów z królewskiego majestatu.

Inspektor Hewitt popatrzył na mnie ze smutkiem.

Wstał z biurka i podszedł do okna, gdzie założywszy ręce na plecach, przyglądał się nadciągającym burzowym chmurom.

- To prawda - odezwał się w końcu.

- Król Jerzy nieznosi żartów.

I nagle wpadłam na pomysł!

Myśl ta uderzyła mnie jak przysłowiowy grom z jasnego nieba, wszystkie fragmenty układanki znalazły się na swoich miejscach, jak w niektórych filmach opowiadanych od końca, gdzie wszystko się zazębia, gdy trwa się do początku historii.

- Czymogę być z panem szczerą, inspektorze?

- zapytałam.

- Oczywiście - odpowiedział.

- Liczę na to.

- Ciało znalezione w Buckshaw należało do mężczyzny, który przyjechał w piątek do Bishop's Lacey ze Stavanger w Norwegii. Musi pan natychmiast uwolnić ojca, który, jak pan widzi, nie mógł go zamordować.

Hewitt był nieco zaskoczony, ale szybko odzyskał równowagę i obdarzył mnie pobłażliwym uśmiechem.

- Nie mógł?

-Nie - stwierdziłam.

- Gdyż to ja go zabiłam.

Zamordowałam Horace'a Bonepenny'ego.

CZTERNAŚCIE

To było kłamstwo doskonałe.

Nikt nie mógł udowodnić, że było inaczej.

Moje przyznanie się do winy miało przyjąć następującą formę: w nocy obudziły mnie dziwne odgłosy dobiegające sprzed domu.

Zeszłam na dół, a następnie do ogrodu, gdzie natknęłam się na intruza - prawdopodobnie włamywacza, który chciał ukraść ojcowską kolekcję znaczków.

Pokrótkiej walce udało mi się go pokonać.

Chwileczkę, Flawio, ten ostatni fragment jest odrobinę niewiarygodny - Horace Bonepenny miał ponad metro siedemdziesiąt wzrostu i mógłby udusić mnie kciukami palcem wskazującym.

Nie.

Szarpaliśmy się, a on nagle umarł może miał słabe serce na skutek jakiejś dawno zapomnianej wrodzonej wady.

Na przykład, gośćca.

Tak, z całą pewnością!

Umarła na skutek opóźnionej zastoinowej niewydolności serca, jak Beth w Małych kobietkach.

Pomodliłam się w duchu do świętego Tankreda, żeby uczynił

cud: "Błagam cię, kochany święty Tankredzie, niech sekcja zwłok Horace'a Bonepenny'ego potwierdzi moje łgarstwo!

".

To ja zabiłam Horace'a Bonepenny'ego powtórzyłam, jakby chcąc się uwiarygodnić.

Inspektor Hewitt wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze przez nos.

- Opowiedz mi o tym - poprosił.

- Tamtej nocy obudził mnie jakiś hałas.

Wyszłam do ogrodu i ktoś naskoczył na mnie z ciemności.

- Chwileczkę przerwał mi.

O jakiej części ogrodu-mówimy?

- O okolicach szklarni.

Chciałam się wyrwać, szarpałam się z nim i nagle zaczęło mu bulgotać w gardle, jakby, nie wiem.

miął zastoinową niewydolność serca z powodu gościa, który przeszedł w dzieciństwie, czy coś takiego.

- Rozumiem Hewitt pokiwał głową.

I co zrobiłaś dalej ?

- Wróciłam do domu i poszłam po Doggera.

Resztę panzna.

jak sądzę.

Chwileczkę.

wiedziałam, że Dogger nie powiedział inspektorowi o naszym wspólnym podsłuchiwanie kłótniojca z Horace'em Bonepennym.

Ale czy mógłby zataić przed Hewittem fakt, że zabiłam człowieka przed obudzeniem go o czwartej nad ranem?

Może by mógł, kto wie.

?

Potrzebowałam czasu, żeby to przemyśleć.

- Walka z napastnikiem nie jest morderstwem- stwierdził inspektor.

-Nie - zgodziłam się z nim.

-Ale nie powiedziałam panu jeszcze wszystkiego.

Z szybkością światła zaczęłam przeglądać zgromadzone w głowie fizyk mojej prywatnej kartoteki: nieznanne nauczycielstwo (działają zbyt wolno); śmiertelna hipnoza (podobnie) ; tajemne i zakazane chwyt dzudżitsu (mało prawdopodobne; zbyt trudne do wyjaśnienia).

Nagle zdałam sobie sprawę, że męczeństwo wymaga prawdziwego geniuszu pomysłowości -obrotny język to za mało.

-Wstydę się dodałam.

Kiedy masię wątpliwości, najlepiej odwołać się do uczuć, pomyślałam.

Byłam z siebie dumna, że na to wpadłam.

- Hm -zamyślił się inspektor.

- Zostawmy to na razie.

Czy powiedziałaś Doggerowi, że zabiłaś intruza?

- Nie, chyba nie.

Byłam.

Sam pan rozumie.

za bardzo tym wszystkim przejęta.

A później?

-Nie.

Ze względu na jego nerwy, które są w opłakanym stanie.

Nocóż, brzmi to wszystko bardzo interesująco stwierdził inspektor Hewitt.

-Ale brakuje szczegółów.

Wiedziałałam, że znalazłam się nad krawędzią przepaści-jeden nierozważny krok i nie będzie powrotu.

Podam panu szczegóły o tym, jak się stało.

-Ale?

- Nie powiem ani słowa, jeśli nie pozwoli mi pan porozmawiać z ojcem.

Inspektor Hewitt przełknął z trudem coś, co nie chciało mu przejść przez gardło.

Otworzył usta, jakby chciał złapać powietrze, a potem znów je zamknął.

Znów przełknął, a potem zrobił coś, co wywołało mój podziw i postanowiłam dodać do kolekcji własnych sztuczek- sięgnął do tylnej kieszeni po chusteczkę i przekształcił zaskoczenie w kichnięcie.

Na osobności dodałam.

Inspektor wydmuchał głośno nos i wrócił pod okno, przez które wyglądał przez chwilę, znów złożony ręce na plecach.

Oznaczało to jak zaczynałam się domyślać że jest pogrążony w głębokiej zadumie.

Dobrze odezwał się niespodziewanie.

Chodźmy.

Zerwałam się z krzesła i poszłam za nim.

W drzwiach zablokował wyjście nakorytarz, odwrócił się do mnie i położył mi delikatnie dłoń na ramieniu.

- Za chwilę zrobię coś, czego mogę gorzko żałować - powiedział.

Ryzykuję całą swoją karierę.

Nie zawieź mnie, Flawio.

proszę, nie zawieź mnie.

- Flawia!

- wykrzyknął ojciec.

Był prawdziwie zdumiony, widząc mnie tutaj.

A potem wszystko popsuł, zwracając się do Hewitta: - Proszę zabrać stąd to dziecko, inspektorze.

Proszę mi wyświadczyć tę uprzejmości zabrać ją stąd.

Odwrócił się do mnie plecami i stanął twarzą do ściany.

Choć drzwi do tego pomieszczenia pomalowano kremową żółtą emalią, wiedziałam, że pod farbą kryje się stal.

Kiedy inspektor otworzył celę, sprawiła na mnie wrażenie małego biura ze składaną leżanką zadziwiająco czystym zlewem.

Chwała Bogu, że nie wsadzili ojca do jednej z zakratowanych klatek, jakie widziałam wcześniej.

Inspektor Hewitt kiwnął ku mnie głową, jakby chciał powiedzieć: "Teraz wszystko zależy od ciebie", a potem wyszedł na korytarz i zamknął drzwi najciszej, jak umiał.

Nie słyszałam ani przekręcania klucza w zamku, ani opadającego rygla zamka, choć ich odgłosy mógł zagłuszyć niespodziewany grzmot pioruna.

Ojciec sądził pewnie, że wyszłam z inspektorem, bo gdy mnie ujrzał, odwróciwszy się ku drzwiom, zachnął się nerwowo.

Wracając do domu, Flawio powiedział.

Stał sztywno wyprostowany, ale jego głos brzmiał staro i zdradzał bezbrzeżne znużenie.

Domyśliłam się, że próbuje odgrywać powściągliwego angielskiego dżentelmena, nieustraszonego wobec niebezpieczeństwa, i z bólem zdałam sobie sprawę, że Kocham go za to i nienawidzę za razem.

- Pada - powiedziałam, wskazując za okno.

Na dworze znów było oberwanie chmury, tak jak wcześniej nad Świątynią Dumania.

Znów lało jak z cebra, a ciężkie krople deszczu łomotały głośno o parapet za oknem.

Na drzewie po drugiej stronie ulicy siedział samotny gawron, który strząsał sobie wodę jak mokry parasol.

- Nie mogę wrócić do domu, dopóki nie przestanie.

Iktoś mi ukradł Gladys.

- Gladys?

- powtórzył, a jego oczy wyglądały jak ślepią jakiegoś dawno wymarłego



gatunku ryb, żyjącego na samym dnie morza.

, - Mój rower- poinformowałam go.

Kiwnął obojętnie głową i domyśliłam się, że nie odnotował tej wiadomości.

- Kto cię tu przywiózł?

- zapytał.

-On?

-Wskazał palcem na drzwi, mając na myśli inspektora Hewitta.

- Przyjechałam sama.

-Sama?

Z Buckshaw?

- Tak - powiedziała krótko.

Zdajesię, że nie byłem stanie tego ogarnąć, bo odwróciłem się do okna.

Zauważyłam, że przyjmuje taką samą postawę jak inspektor Hewitt i składa dłoń na plecach.

- Sama.

Z Buckshaw - powtórzył, jakby w końcu to doniego dotarło.

- Tak.

-A Dafnei Ofelia?

- Mają się dobrze - zapewniłam go.

- Strasznie za tobą tęsknią, rzecz jasna, i zajmują się domem, czekając na twój powrót.

Jeśli kłamie, niech nikt nie mówi mamie.

To była wyliczanka małych dziewczynek skaczących przez skakankę koło kościoła.

No cóż, moja mama od dawna nie żyła, więc trudno byłoby jej powiedzieć, że córka nagminnie mówi nieprawdę.

A to kłamstwo było akurat takiego rodzaju, że może zostaniemi poczytane za dobry uczynek w niebie, kto wie?

- Na mój powrót?

- powiedział ojciec i westchnął głęboko.

- Wygląda na to, że nie wrócę za szybko.

Tak, na to wygląda.

Na ścianie obok zakratowanego okna wisiał kalendarz.

ze sklepu w Hinley ze zdjęciem króla Jerzego i królowej małżonki Elżbiety. Każde z nich wydawało się hermetycznie zamknięte we własnej prywatnej bańce, a ubrani byli tak, jakby sfotografowano ich po drodze na bal kostiumowy urządzany w zamku jakiegoś bawarskiego księżątka.

Ojciec zerknął przelotnie na kalendarz, a następnie za-

czął przemierzać nerwowo celę w tę i z powrotem, pilnie unikając mojego wzroku.

Wyglądało na to, że zapomniał o mojej obecności, wydając z siebie dziwne pomruki przerywane od czasu do czasu pełnymi oburzenia parsknięciami, jakby bronił się przed jakimś niewidzialnym trybunałem.

- Właśnie przyznałam się do winy - oznajmiłam.

- Tak, tak - rzucił ojciec dalej przemierzał celę, mamrocząc do siebie pod nosem.

- Powiedziałam inspektorowi Hewittowi, że to ja zabiłam Horace'a Bonepenny'ego.

Ojciec zatrzymał się nagle, jakby nadział się na niewidzialną szpadę. Odwrócił się w moją stronę i wbił we mnie straszliwe niebieskie oczy, które często były jego ulubioną bronią w potyczkach z córkami.

- Co o nim wiesz?

- zapytał łagodnym tonem.

- W istocie rzeczy, wiem o nim całkiem sporo - odpowiedziałam.

I wtedy z ojca całkiem uszło powietrze.

Przed chwilą wydymał policzki jak Zefir na średniowiecznych mapach, a teraz twarz mu się zapadła jak u handlarza końmi.

Usiadła krawędzi leżanki i rozpostarła dłoń, żeby się podeprzeć.

- Słyszałam waszą kłótnię w gabinecie - powiedziałam.

- Przepraszam, że podsłuchiwałam.

Nie chciałam, ale podniesione głosy sprawiły, że zesłam na dół.

Wiem, że próbował cię szantażować.

Słyszałam waszą ostrą wymianę zdań.

Dlatego powiedziałam inspektorowi Hewittowi, że to ja go zabiłam.

Tym razem wszystko dotarło do ojca.

- Zabiłaś go?

- zapytał.

- Co to ma znaczyć, że go zabiłaś?

- Nie chcę, żeby podejrzewali o to ciebie - powiedziałam.

- Mnie?

- Ojciec zerwał się z aresztanckiej koi.

Dobry Boże!

Dlaczego sądzisz, że zabiłem tego człowieka?

- Nieważne - odpowiedziałam.

- Najpewniej zasłużyła to.

Nikommu nie powiem, przysięgam!

Przeżegnałam się na potwierdzenie tych słów, a ojciec popatrzył na mnie, jakbym była jakimś oślizgłym potworem, który wyskoczył nagle z obrazu Hieronima Boscha.

- Flawio - odezwał się całkiem trzeźwo.

- Przyjmij, proszę, do wiadomości, że bez względu na to, czy tego chciałem, czy nie, nie zabiłem Horace'a Bonepenny'ego.

- Nie zabiłeś?

Nie mogłam w to uwierzyć.

Doszłam już do wniosku, że ojciec musiał popełnić morderstwo, a przyznanie się dopomyłki nie przyjdzie mi łatwo - tego akurat byłam pewna.

Przypomniałam sobie, jak kiedyś Fela powiedziała, że przyznanie się do błędu oczyszcza duszę - zrobiła to, wykręcając mirękę na plecach i próbując wydobyć mnie, co zrobiłam z jej pamiętnikiem.

- Słyszałam, co mówiliście o śmierci waszego wychowawcy, pana Twininga.

Byłam w bibliotece i sprawdziłam w archiwum, co pisano na ten temat w gazetach.

Rozmawiałam z panną Mountjoy, która jest wnuczką pana Twininga.

Zapamiętałam tamtych czasów dwóch chłopców: Jacko i Horace'a Bonepenny'ego.

Obaj byli przesłuchiwanymi w śledztwie.

Wiem, że Bonepenny zatrzymał się w Trzynastu Kaczorach i że przywiózł z Norwegii zdechłego bekasa ukrytego w cieście.

Ojciec kręcił głową z niedowierzaniem i ze smutkiem - wcale nie podziwiał moich talentów detektywistycznych;

zachowywał się jak stary, postrzelony niedźwiedź, który nie chce umrzeć.

- To wszystko prawda - wydusił w końcu.

- Ale jak mog.

łaś uwierzyć, że twój ojciec jest zdolny do morderstwa z zimną krwią?

Zastanowiłam się nad tym przez chwilę, w zasadzie poraz pierwszy, i pojęłam, jak idiotyczne były wnioski, do jakich doszłam.

Dlaczego nie pomyślałam o tym wcześniej?

Morderstwo z zimną krwią było jedną z wielu rzeczy, do jakich ojciec nie był zdolny.

-No..

nie wiem.

wymamrotałam.

- Flawio, spójrz na mnie - polecił, a kiedy podniosłam wzrok, ujrzałam przez niezdolną sekundę własne, wpatrzone we mnie oczy.

Musiałam odwrócić głowę.

- Horace Bonapenny nie był szczególnie przyzwoitym człowiekiem, ale nie zasłużył sobie na śmierć.

Nikt nie zasługuje na to, by umrzeć w taki sposób - tłumaczył mi ojciec, a jego głos to wznosił się, to zanikał, jak głos spikera radiowego z dalekiego kraju czytającego wiadomości na falach krótkich.

Wiedziałam, że mówi nie tylko do mnie.

-Wokół nas nieustannie giną ludzie.

Za dużo tych śmierci.

za dużo.

dodał.

Usiadł, wpatrując się we własne dłonie, pocierając kciukiem opalce, co przypominało ruchy kół zębatego starego zegara.

Po pewnym, czasie zapytał:

- Co z Doggerem?

-Dogger był wtedy ze mną - przyznałam.

- Przed twoim gabinetem.

Ojciec jęknął.

- Tego się obawiałem - szepnął.

- Tego się obawiałem na de wszystko!

I nagle, gdy deszcz załomotał szczególnie gwałtownie o szybę, ojciec zaczął mówić.

PIĘTNAŚCIE

Początkowo słowa ojca - zupełnie inne od tych, jakie słyszałam od niego zazwyczaj padały powoli i opornie, rwały się i szarpały jak przerdzewiałe wagony towarowe wprawiane z wolna w ruch przez lokomotywę.

Ale potemabrały szybkości i płynęły równym, ciągłym strumieniem.

- Mój ojciec - zaczął - należał do ludzi trudnych dozniesienia.

Kiedy miałem jedenaście lat, odesłał mnie do szkoły z internatem.

Od tamtej pory rzadko go widywałem.

Todziwne, wiesz, ale nigdy nie wiedziałem, czym się naprawdę interesował.

Dopiero na jego pogrzebie ktoś.

jeden z tych, którzy nieśli trumnę.

powiedział mi o jego skrywanej pasji.

Było nią netsuke.

Musiałem sprawdzić to słowo w słowniku.

-Wiem, co to jest: to mała japońska rzeźba z kości słoniowej -  
powiedziałam.

- Pojawia się w jednym z opowiadań detektywistycznych Austina  
Freemana o doktorze Thorndyke'u.

Ojciec niezwrócił uwagi na moje słowa i mówił dalej:

- Choć Buckshaw od Greyminsteru dzieli zaledwie kilkanaście mil, w tamtych  
czasach miałem wrażenie, że szkoła mieści się na Księżycu.

Mieliśmy szczęście do dyrektora, doktora Kissinga, nad wyraz łagodnego  
człowieka, który uważał, że żadnemu chłopcu nie może stać się krzywda,  
jeśli tylko.

otrzyma codzienną dawkę łaciny, rugby, krykieta i historii.  
Najogólniej rzecz biorąc, dobrze nas tam traktowano.

Jak większość chłopców, byłem początkowo samotny, stroniłem od reszty, zajmowałem się wyłącznie książkami i płakałem cichutko za żywopłotem, kiedy nikt mnie nie widział.

Wydawało mi się, że jestem najokropniejszym dzieckiem na świecie, że jest we mnie coś tak potwornie odpychającego, że ojciec pozbył się mnie bez mrugnięcia powieką.

Uważałem, że jeśli odkryję, na czym polega moje wrodzone okropieństwo, zdołam je naprawić albo się go pozbędę, dzięki czemu odzyskam ojcowską miłość.

Nocami w internacie chowałem się pod kołdrą i oświetlając sobie twarz latarką, przeglądałem się cał po calu wskradzionym lusterku. Nie dostrzegałem niczego osobliwego, ale byłem tylko dzieckiem, brakowało mi więc doświadczenia, że by się należycie ocenić.

Czas upływał, jak to bywa z czasem, i w końcu wpadłem w wir szkolnego życia.

Byłem dobry z historii, ale kompletnie bez nadziei z ksiąg Euklidesa, inaczej mówiąc, byłem średniakiem: ani zbyt zdolnym, ani zbyt tępym, by zwracać na siebie uwagę.

Przebiegłość, przekonałem się, jest wspaniałym kamuflażem. Zapewnia doskonale barwy ochronne.

Tych chłopców, którzy w niczym się nie wyróżniali, a jednocześnie nie sprawiali kłopotów, zostawiano samych sobie - ambitny wychowawca nie stawiał im żądań, zmuszających do nadmiernego wysiłku, a szkolni tyrani nie robili z nich kozłów ofiarnych.

Dzięki temu prostemu odkryciu czułem się tak, jak musiał czuć się Kolumb, kiedy odkrył Amerykę.

Dopiero w czwartej klasie, jak sądzę, zacząłem interesować się otaczającym mnie światem i jak wszyscy chłopcy w tym wieku uwielbiałem tajemnice, czary i mistyfikacje, więc kiedy pan Twining, mój wychowawca, rzucił pomysł

założenia kółka prestidigitatorskiego, natychmiast zapalałem szczerym entuzjazmem.

Pan Twining był człowiekiem mającym duży zapał, lecz niewielkie umiejętności.

nie był, nie dało się ukryć, zbyt zręcznym prestidigitatorem, ale wykonywał sztuczki z taką wielką skwapliwością i takim dobrodusznym entuzjazmem, że

bylibyśmy małostkowi, pozbawiając go  
naszegohałaśliwego,uczniowskiego aplauzu.

Wieczorami uczył nas, jak zamienić wino w wodę za pomocą  
chusteczki i arkusza kolorowej bibuły;jak sprawić, byspecjalnie oznaczony  
szyling zniknął z przykrytej szklanki, a następnie został odnaleziony za  
uchem Simpkinsa.

Dowiedzieliśmy się odniego o znaczeniu "trajkotania" -sposobu mówienia  
i prezentacji sztuczek przez prestidigitatora.

Wyuczył nas takiego tasowania kart, by as kier zawsze zostawał na  
końcutalii.

Nie ulega wątpliwości, że pan Twining był  
lubianymnauczycielem,"uwielbianym" nawet, choć w tamtym czasie  
niewielu z nas zdawało sobie sprawę, na czympolegato uczucie.

Chwilą jego największej chwały był dzień otwartychdrzwi, kiedy to  
dyrektor, doktor Kissing, poprosił gooorganizowanie pokazu czarów dla  
naszychrodziców.

Pan Twiningz wielkim zapalem rzucił się w wir przygotowań do  
tegowydarzenia.

Moim największym osiągnięciem jako iluzjonisty byłasztuczka  
nosząca nazwę "Wskrzeszenie Czanga Fu", która tak bardzo podobałasię  
panu Twiningowi, że poprosiłemnie o jej wykonanie w finale  
przedstawienia.

Sztuczka wymagała udziału dwóchprestidigitatorów i pan Twining  
pozwolił mi wybrać asystenta.

W ten sposób poznałem Horace'a Bonepenny'ego.

Horacepojawił się u naschwile wcześniej, przeniesionyze szkoły St  
Cuthbert's, w której doszło do skandalu zja.

kimiś ukradzionymi komuś pieniędzmi.

Chodziło o kilkafuntów, jak mi się zdaje, choć w tamtych czasach dla nas była to fortuna.

Nie ukrywam, że było mi goźal.

Odniosłem wrażenie, że był prześladowany, szczególnie kiedy zwierzyłmi się, że jego ojciec był najokrutniejszym z ludzi, który w imię dyscypliny dopuszczał się rzeczy straszliwych.

Mam nadzieję, Flawio, że nie ranie twoichuszu.

: Oczywiście, że nie odpowiedziałam, przysuwając bliżej krzesło.

-Mów dalej, proszę.

Horace był nad wiek wyrośniętym chłopcem z grzywą płomiennorudych włosów.

Miał tak długie i chude ręce, że w szkolnej marynarce, z której wystawały mugołe nadgarstki, wyglądały jak wierzbowe witki.

Chłopcy nazywali go "Bony" i bezlitośnie wyśmiewali jego wygląd.

Jakby tego było mało, Horace miał niewiarygodnie długie, szczupłe i białe palce, które przypominały macki ośmiornicy albinosa, tym bardziej że miał bladą, a w zasadzie białą cerę, jaką spotyka się niekiedy u rudzielców. Szeptano sobie, że jego dotyk zabija.

Horace niewątpliwie wykorzystywał te plotki, ściskając niekiedy całkiem mocno, choć zudawaną nieporadnością, tego czy innego z wyśmiewających go i tańczących wokół niego w bezpiecznej odległości chłopców.

Któregoś wieczoru bawiliśmy się wberka i gdy zdyszany Bony postanowił odpocząć, jeden z najmniejszych chłopców, niejaki Potts, wspiął się przed nim na palce i wymierzył mu, pod pretekstem zabawy, siarczystypoliczek.

Tomiał być żart, klepnięcie, któremu towarzyszy okrzyk "berek", ale wkrótce sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Kiedy inni chłopcy przekonali się, że Bony penny, ten straszliwy potwór, dostał w twarz tak mocno, że z nosa cieknie mu krew i że, co więcej, nie wie, jak masię w tej

Z ang.

"kostucha".

sytuacji zachować, rzucili się na niego cała banda, przewrócili go na ziemię, po czym zaczęli go okładać pięściami i kopać, innymi słowy, spuścili mu tęgielanie.

Właśnie wtedy pojawiłem się przypadkiem na boisku.

"Zostawcie go!"



", wrzasnałem na całe gardło i ku mojemu szokowi bijatyka natychmiast dobiegła końca.

Chłopcy, jeden po drugim, wyplątywali się ze sterty ciał leżących na Bonapennym.

Mój głos musiał zabrzmieć tak, że okazał się posłuszeństwem.

A może cieszyłem się wśród nich pewnym autorytetem dzięki wykonywanym przeze mnie, niełatwym przecież sztuczkom.

Nie wiem.

Ale kiedy poleciłem im wracać do szkoły, zniknęli jak sfora wilków o świcie.

"Nic ci nie jest?"

", zapytałem Horace'a, pomagając mu wstać.

"Czuję się jak kotlet barani w kilku odległych od siebie miejscach, albo jak polędwica Carnforth", odpowiedział obaj wybuchliwym śmiechem.

Carnforth był cieszącym się złą sławą rzeźnikiem z Hinley, którego przodkowie zaopatrywali szkołę w Greyminsterze w twarde jak podeszwy niedzielne polędwice od czasów wojen napoleońskich.

Widziałem jednak, że oberwał bardziej, niż był skłonny przyznać kierowany chłopięcą brawurą.

Podąłem murkę, żeby się na niej oparł, i pomogłem mu pokuścić o powrocie do szkoły.

Od tamtej pory Bony nie odstępował mnie ani krok.

Udzielił mi się moim entuzjazmem, przez co stał się niemal zupełnie inną osobą. Zdarzały się takie chwile, kiedy wydawało mi się, że staje się moim sobowtórem, mnam, że jest częścią mnie, której szukałem w lusterku pod kołdrą.

Wiem z całą pewnością, że nigdy nie powodziłem się lepiej niż wtedy, kiedy byliśmy razem: uzupełnialiśmy się - jeśli jeden z nas czegoś nie umiał lub nie wiedział, drugi zastępował go z łatwością.

Horace miał wrodzony i w pełni uformowany talent matematyczny i wkrótce odsłonił.

przede mną tajniki geometrii i trygonometrii.

Kiedy mi pomagał, doskonale się przy tym bawił i spędziliśmy wiele radosnych godzin, obliczając, na czyj gabinet spadnie wieża Anson House, gdyby udało nam się ją podważyć wymyślonym przez nas gigantycznym parowym lewarem.

Kiedy indziej znowu obliczaliśmy triangulację połączonych z sobą podziemnych tuneli, które nadany przez nas sygnał, zapadłyby się jednocześnie, posyłając Greyminster i wszystkich jego mieszkańców do dantejskiej otchłani, pełnej os, szerszeni, pszczoł i innego robactwa, którym mieliśmy zamiar ją zainfekować.

Osy, szerszenie, pszczoły i inne robactwo.

Czy to możliwe, że takie pomysły leżały się w głowie mojego ojca?

Nagle spojrzałam na niego z jeszcze większym szacunkiem.

Teraz, po latach ciągnął nie umiem ci powiedzieć, w jaki sposób udało nam się osiągnąć to wszystko, ale stało się tak, że ja zaprzyjaźniłem się z księgami Euklidesowych twierdzeń, a Bony przy mojej pomocy stał się zdolnym, jeśli nie najzdolniejszym, iluzjonistą.

Tajemnica jego prestidigitatorskiego talentu kryła się, rzecz jasna, w jego palcach.

Długich i smukłych, które zdawały się żyć własnym życiem.

Bony bardzo szybko opanował w całej pełni sztukę iluzji.

Najrozmaitsze przedmioty pojawiały się i znikaly w jego palcach tak płynnie i z takim wdziękiem, że nawet ja - osoba, którego tego wszystkiego uczyła często dawałem się nabrać.

Poznawszy tajniki iluzji, Horace odzyskał wiarę w siebie.

Mając magię w małym palcu, stał się innym chłopcem - pewnym siebie, wymuskanym, a chwilami zuchwałym.

Zmienił się także jego głos; chwilę wcześniej brzmiał jak zachrypnięty uczeń, teraz, nagle, a szczególnie podczas występów, posługiwał się głosem jak aktor: potrafił nim hipnotyzować i jak prawdziwy profesjonalista przekonywać słuchaczy, że widzą zupełnie coś innego, niż im się wydaje.

"Wskreszenie Czanga Fu" wyglądało tak: przebierałem się w za duże namnie kimono, które znalazłem na dobroczynnej wyprzedaży w kościele.

Był to piękny, krwistoczerwony strój zhaftowanymi chińskimi mistycznymi znakami.

Malowałem twarz żółtą kredą, a do czoła przyklejałem cienką, elastyczną

gumę, która podciągała mioczy po bokach.

Pomalowane i odpowiednio przycięte flaki od kielbas Carnfortha służyły mi jako obrzydliwie długie i zakrzywione paznokcie.

Malowałem oczy przypalonym korkiem, przylepiałem sobie rzadką brodę zesznurowi wkładałem odpowiednio przerażającą teatralną perukę.

W takim przebraniu wywoływałem ochotnika spośród publiczności - rzecz jasna, mojego asystenta, z którym wspólnie pracowaliśmy nad numerem.

Wprowadzałem gonascenę i wyjaśniałem mu, parodiując mandaryński akcent, że mam zamiar go zabić odesłać do krainy szczęśliwych przodków. To bardzo rzeczowe stwierdzenie wywoływało ogromne poruszenie wśród publiczności i zanim ta doszła do siebie, wyciągałem zza pazuchy pistolet, kierowałem lufę prosto w serce asystenta i pociągałem za spust.

Pistolet startowy robi wielki huk, kiedy strzela się nim w zamkniętym pomieszczeniu, huk naprawdę przerażający.

Mój asystent chwycił się za pierś, przyciskając do niej ukrytą w dłoni torebkę z keczupem, który wypływał mu pomiędzy palców.

Potem spoglądał z niedowierzaniem na "ranę" i krzyczał: "Pomóż mi, Jacko!

Sztuczka się nieudała!

Jestem śmiertelnie ranny!

", a następnie padał "trupem" na plecy.

W tym momencie publiczność przeżywała prawdziwy wstrząs niektórzy zrywali się z krzesel, inni wybuchali płaczem.

Unosiłem rękę, żeby uciszyć zamieszanie.

"Ci-sia!

", syczałem, piorunując ich straszliwym spojrzeniem.

"Psiod-kowie pro-sio oci-sie!

".

Niektórzy wybuchali nerwowym śmiechem, ale wkoń.

cu sala się uciszała.

Wówczas wnosilem na scenę zwinięte prześcieradło i przykrywałem nim "zabitego" asystenta, zostawiając odkrytą twarz.

To prześcieradło było kluczem do całej sztuczki -sam\ Je wyprodukowałem w wielkiej tajemnicy.

Podzielone było wzdłuż na trzy części parą cienkich, drewnianych listewek, wszytych w wąskie zakładki biegnące przez całą długość prześcieradła i rzecz jasna niewidoczne, gdy prześcieradło było zwinięte.

Kucałem nad asystentem i zasłaniając go szerokim kimonem, ściągałem mu buty ze stóp (cobyło stosunkowo łatwe, bo przed występem rozsznurowywał obuwie) i przymocowywałem je czubkami do góry do końca obu listewek.

Buty były specjalnie spreparowane: w każdym obcasie wyborowałem dziurkę, przez którą przechodził długigwóźdź, którego czubek wbijał się w koniec listewki.

Efekt końcowy był bardzo przekonujący - publiczność widziała trupa, leżącego z otwartymi ustami naciętego, przykrytego prześcieradłem, spod którego z jednej strony wystawała mu głowa, a z drugiej znajdowały się stojące czubkami do góry i ukryte pod materiałem buty.

Jeśli wszystko przebiegało zgodnie z planem, na prześcieradle pojawiała się wielka czerwona plama nad piersią "trupa", a jeśli nie, mogłem zrobić ją sam, bo w rękawie miałem ukrytą torebkę z keczupem.

Teraz zaczynała się najważniejsza część.

Wzywałem doprzygaszenia światła ("Sia-co-wni psiod-kowie pro-sioo ciem-no!

") i w półmroku odpalałem kilka fotograficznych papierków z magnezją, co na chwilę oślepiło publiczność i umożliwiło asystentowi wygięcie pleców i przykucnięcie na scenie, a mnie poprawienie prześcieradła. Buty wystające na końcu prześcieradła sprawiały, że publiczności wydawało się, że nadal leży martwy.

Po tym wszystkim rozpoczynałem orientalne trajkotanie, wymachiwałem rękoma i wzywałem trupaz krainy zmarłych.

Kiedy paplałem i wygłaszałem zaklęcia, mój asystent prostował się powoli, trzymając na ramionach listewki prześcieradła z butami na końcu.

Publiczność widziała przykryte całunem ciało, unoszące się powoli w powietrzu i zawisające jakieś półtora metra nad sceną.

Wówczas błagałem przodków o wskrzeszenie zmarłego i przywrócenie go

do krainyżywych duchów.

Wykonywałem przy tym wielemylących ruchów, a na końcuodpalałem ostatnipapierek z magnezją, na co mój asystentzrzucał z siebie prześcieradło i wyskakiwał spod niego wysoko w powietrze, by wylądować na scenie zdrów jak ryba.

Zrzucone z ramion asystenta prześcieradło z wszytymilistewkami przybitymi do nich butami, lądowało wciemności, a my kłanialiśmy się publiczności wśród burzliwychoklasków.

Obaj mieliśmy czarne skarpety, więc niktniemógł zauważyć, że "trup" stracił buty.

Tak wyglądało "Wskrzeszenie Czanga Fu" i w taki sposób chciałem pokazać je w wielkim finale rodzicom podczasdnia otwartych drzwi. Wraz z Bonymniemal nie wychodziliśmy zeszkolnej pralni, gdzie wyczyłem go w sztuceiluzji.

Wkrótcejednak okazało się, że Bonepenny nie nadaje się na mojego asystentaw "Wskrzeszeniu Czanga Fu".

Na nic nie zdał się jego entuzjazm: byłpo prostu za wysoki.

Głowai stopy wystawały mu za daleko spodspreparowanego prześcieradła, a nie było czasu, żeby sfabrykować nowe.

I choćBony potrafił wyczyniać prawdziwe cudapalcami, jego ciało i członki były ciągle niezdarne i niezgrabne, jak to u chłopaka w tym wieku. Bocianie kolana trzęsły mu się, kiedy miał lewitować, a podczasjednejz prób nogi całkiem odmówiły mu posłuszeństwai podnosząc się powoli, opadł na siedzenie, a całą iluzję wrazz rekwizytami trafił szlag.

Nie miałem pojęcia, co robić.

Gdybym wybrał inne.

go asystenta, wyrzuciłbym Bony'emu straszną krzywdę, a wiedziałem, że nie jest w stanie opanować całej iluzjonistycznej techniki przez kilka dni, jakie zostały do przedstawienia.

Byłem na krawędzi rozpacz.

To Bonepeny wpadła rozwiązanie.

"Możemy przecież zamienić się rolami", zaproponował, gdy po raz nie wiadomo który podnosząc się, usiadła tyłku.

"Daj mi spróbować", prosił.

"Ja zostanę chińskim magiem, a ty będziesz lewitował".

Pomysł był doskonały.

Z pokrytą żółtą kredą twarzą i wystającymi z rękawów kimona chudymi ramionami (kończącymi się dłońmi z potwornymi, długimi na sześć centymetrów paznokciami z flaków od kiełbas), wyglądał wspaniale, przemierzając scenę.

Miał wrodzony talent naśladowczy, więc bez problemu podchwycił mandaryński akcent.

W istocie, jego orientalne trajkotanie było lepsze od mojego, a długie, przypominające patyczaki palce Bony'ego robiły na widzach ogromne wrażenie.

Przedstawienie było wspaniałe.

Występowaliśmy przed całą szkołą i wszystkimi rodzicami uczniów.

Horace odegrał niezapomnianą rolę.

Nie dość, że wyglądał jak prawdziwy Chińczyk, to sprawiał prawdziwiegroźne wrażenie.

Kiedy wywołał mnie spośród publiczności, przyznaję, że zadrzałem, widząc tę złowrogą, oświetloną od dołu postać, machającą domnie długim palcem.

Kiedy do mnie strzelił, wśród publiczności rozpętało się pandemonium!

Przed przedstawieniem podgrzałem i rozwodniłem mój keczup, więc rana wyglądała nadwyraz realnie.

Jeden z rodziców, ojciec niejakiego Giddingsa z pierwszej klasy, chciał wbiec na scenę i zrobiłby to, gdyby w odpowiedniej chwili nie powstrzymał go pan Twining.

"Spokojnie, drogi panie.

", szepnął mu na ucho.

"Mamy do

czynienia z iluzją.

Ci chłopcy wykonywali tę sztuczkę już wiele razy".

Czerwony jak burak pan Giddings zociąganiem wrócił na krzesło. A po przedstawieniu pojawił się za kulisami, przeprosił za zamieszanie i podziękował nam obu za występ, mocno ściskając nam ręce.

Pojatce, jaką była moja śmierć, lewitacja i wskrzeszenie nie wyglądały, bytak rzecz, zbyt spektakularnie, choć nagrodzono je owacją nastojąco, a prosto dusza publiczność odczuła prawdziwą ulgę, widząc, że nieszczęsny ochotnik został przywrócony do życia.

Wywoływano nas oklaskami zza kulis przynajmniej ze sześć razy, z czego pięć razy po to, by jeszcze raz przyjrzeć się Bony'emu, chińskiemu magowi.

Horace chłonał zachwyty jak gąbka.

Upłynęła godzina od spektaklu, a on wciąż ścisnął czyjeś ręce i był klepany po plecach przez zachwyconą matkę i pełnych podziwu ojców, którzy chcieli go dotknąć.

Kiedy ja przyszedłem złożyć mu gratulacje i objąłem go ramieniem, spojrzał na mnie dziwnie, spojrzał na mnie, że przez chwilę odniosłem wrażenie, że w ogóle mnie nie zna.

Przez kilka następnych dni w Bonepennym namoich oczach dokonała się przemiana.

Stałem się mistrzem iluzji, a ja zacząłem odgrywać przy nim rolę asystenta. Rozmawiał ze mną w odmienny sposób, zwracał się do mnie, powiedziałbym, dosyć bezceremonialnie, zniknęła gdzieś jego dawna nieśmiałość.

A później całkiem mnie zostawił, tak to przynajmniej wyglądało. Zaczął zadawać się z uczniem z wyższej klasy, Bobem Stanleyem, za którym nigdy nie przepadałem.

Stanley miał wyrazistą twarz o mocno zarysowanej szczęce, taką, która dobrze wychodzi na zdjęciach, ale w rzeczywistości sprawia przykre wrażenie.

Bony, tak jak wtedy, kiedy przyjaźnił się ze mną, przejął niektóre cechy i nawyki Stan.

leya, był jak bibuła, która wchłania atrament.

Wiemz całą pewnością, że zaczął wtedy palić, a nawet trochę popijać.

Któregoś dnia dotarł do mnie był to spory wstrząs że wcale go już nie lubię.

Coś się w nim zmieniło, a może coś z niego uszło.

Kiedy patrzył na mnie w klasie, jego oczy wyglądały najpierw jak oczystarego mandaryna, a potem, gdy wbijał we mnie wzrok, jak ślepiec gada.

Czułem się tak, jakbym został, nie wiedząc czemu i jak, okradziony.

Ale najgorsze miało dopiero nadejść.

Ojciec umilkł.

Czekałam, aż na nowo podejmie historię, ale on tylko wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w padający deszcz.

Pomyślałam, że najlepiej będzie mi nie przeszkadzać i zostawić go z własnymi myślami czegokolwiek te dotyczyły.

Między nami - tak jak między ojcem a Horace'em Bonepennym coś się zmieniło.

Bo otopo raz pierwszysiedziałam z tatą - co z tego, że zamknięta w celi?

- i prowadziłam z nim coś na kształt rozmowy.

Mówiliśmy do siebie prawie jak dorośli, a z całą pewnością jak dwie istoty ludzkie, jak ojciec i córka.

I choć nieprzychodziło mi do głowy nic, co mogłabym teraz powiedzieć, chciałam, żeby on mówił dalej, aż do

bladego świtu.

Chciałam się do niego przytulić, ale nie umiałam.

Już

od jakiegoś czasu zdawałam sobie sprawę, że okazywanie sobie nawzajem uczuć nie leży w naturze de Luce'ów.

To

było, zdajesię, dziedziczne.

Siedzieliśmy oboje sztywno, jak dwie parafianki na herbacie u proboszcza.

Nie był to najlepszy sposób na życie, ale musiałam wystarczyć.

SZESNAŚCIE

Nagła błyskawica za oknem wybieliła całą celę, a zaraz poniej rozległ się ogłuszający grzmot.

Oboje podskoczyliśmy.



- Burza jest tuż nad nami- stwierdził tata.

Kiwnęłam głową na znak, zetkwimy w tym oboje, a potem rozejrzałam się dookoła.

Jasno oświetlona cęła zgołą żarówką pod sufitem, stalowymi drzwiami, kofą i wodą szumiącą za oknem, przypominała kajutę łodzi podwodnej z filmu Zanurzenie o świetle.

Wyobraziłam sobie, że przetaczające się po niebie grzmoty to wybuchy podwodnych ładunków tuż nad naszymi głowami i całkiem niespodziewanie dla samej siebie przestałam bać się tak bardzo o tatę. My dwoje byliśmy sprzymierzeńcami.

Jeśli nie będziemy się ruszać i zachowamy ciszę, nic złego nam się nie stanie.

Tata podjął opowieść, jakby jej w ogóle nie przerywał.

- Staliśmy się sobie obcy z Bonym- powiedział.

- Choć nadal należeliśmy do kółka prestidigitatorskiego prowadzonego przez pana Twininga, każdy zajmował się własnymi sprawami.

Moją pasją stały się magiczne triki w dużej skali: przecinanie kobiet piłą, dematerializacja klatki piersiowej śpiewających kanarków.

tego rodzaju sztuczki.

Rzecz jasna, większość tych sztuczek wymagała rekwizytów i środków przekraczających moje uczniowskie możliwości.

ści, więc z czasem zadowolalem się czytaniem o tych trikach i dowiadrywaniem się, w jaki sposób je wykonywano.

Bonynatomiast zajął się sztuczkamiwymagajęcymicorazwiększejzręczności i sprawności manualnej.

Większość nich można wykonywać pod nosem widza z minimalnąliczbą rekwizytów.

Horace nabrał takiej wprawy, że potrafił zdematerializować w dłoniniklowany budzik i wyjąć gozdrugiej garści.

Nie chciał mipokazać, jak to się robi.

Mniej więcej w tym czasie pan Twining wpadł na nowy pomysł- chciał założyć kółko filatelistyczne, gdyż zbieranie znaczków było jego drugą pasją.

Doszedł do wniosku, że ucząc się zbierać, katalogować i oprawiać znaczki z całego świata, nauczymy się wiele o historii i geografii, a przy okazji dowiemy się, czym jest staranność i utrzymywanie porządku, nie wspominając już o regularnych dyskusjach, które miały dodać pewności siebie nieśmiałym spośród nas.

Ponieważ sam był zapalonym kolekcjo;, ;nerem, uważał, że zdoła zarazić nas swoim entuzjazmem.

' Jego zbiór był wmoich oczach ósmym cudem świata.

'Specjalizował się w znaczkach brytyjskich, a szczególną wagę przywiązywał do odmian kolorów w stosowanej przy ich druku farbie drukarskiej.

Posiadał zadziwiającą umiejętność - patrząc na znaczek, potrafił wydedukować dzień, a czasem nawet godzinę, o której go wydrukowano. Porównując zmieniające się, mikroskopijne pęknięcia i rysy, biorące się z zużycia i nacisku rytej matrycy drukarskiej, był w stanie wydedukować mnóstwo szczegółów dotyczących konkretnego egzemplarza znaczka.

Karty jego klaserów wyglądały jak arcydzieła.

Te barwy!

I sposób, w jaki rozkładały się na stronie, jakby każdy ze znaczków był pociągnięciem pędzla palety Turnera.

Klasery miały chronologiczny układ i na początku znajdowały się, rzecz jasna, czarne edycje z roku 1840.

Dalej czerń ustępowała miejsca brązom, brązy czerwieni, czer

wień barwie pomarańczowej, a ta z kolei jasnokarminowej i nieco później niebieskiej, oraz czerwieni weneckiej, ja skrawemu kwiatowi

kolorów, który podkreślał i odmalowywał rozkwit imperium.

Otoprawdziwa chwała!

Nigdy nie widziałam taty tak podekscytowanego.

Nagle znów stał się chłopcem, a jego zmieniona twarz lśniła jak wypolerowane jabłko.

Tylko te słowa o chwale.

Czy nie słyszałam ich wcześniej?

Czy to nie Humpty Dumpty mówił tak o dniu urodzin w rozmowie z Alicją?

Siedziałam cichutko, próbując odkryć konteksty i relacje pojawiające się w głowie taty.

- Mimo to - ciągnął - pan Twining nie był właścicielem najcenniejszej kolekcji filatelistycznej w Greyminsterze.

Ten zaszczyt przypadał w udziale doktorowi Kissingowi, którego zbiór, choć niezbyt obszerny, był wyborny i zapewne bezcenny.

Doktor Kissing nie był - jak można by się spodziewać - osobie pełniącej zaszczytny urząd dyrektora jednej z największych prywatnych szkół - człowiekiem mającym czy uprzywilejowanym z urodzenia.

Jego matka zmarła podczas porodu, a wychowywał go dziadek, ludwisarz z londyńskiego East Endu, który w tamtych czasach słynął nie tyle z dobroczynności, ile z wszechogarniającego ubóstwa i był raczej siedliskiem przestępczości niż instytucją światowych.

Dziadek doktora Kissinga w wieku czterdziestu ośmiu lat stracił praweramię w potwornym wypadku, do którego doszło przy odlewaniu metalu.

Nie mogąc pracować w swym rzemiośle, trafił na ulicę jako żebrak i w tym opłakanym stanie przetrwał niemal trzy lata.

Pięć lat wcześniej, w roku 1840, lordowie skarbu wyznaczyli londyńską firmę panów Perkinsa, Bacona i Petcha na jedyną drukarnię brytyjskich znaczków pocztowych.

"Do.

kolosalnego zadania", jak pisał Charles Dickens, "produkcji królewskich głów".

Interes prosperował.

Przez pierwsze dwanaście lat wyłączności drukarnia wypuściła jakieś dwamiliardy znaczków, z których większość ostatecznie trafiała do koszy na śmieci na całym świecie.

Szczęśliwym trafem dziadek doktora Kissinga znalazł zatrudnienie w owej drukarni przy Fleet Street jako zamiatacz.

Nauczył się zamiatać jedną ręką i robił to lepiej od tych, którym nie brakowało ramion, a ponieważ miał głęboko zakorzenione zasady, takie jak okazywanie szacunku przełożonym, punktualność i solidność, wkrótce stał się jednym z najbardziej cenionych pracowników drukarni.

Sam doktor Kissing wyznał mi kiedyś, że jeden ze współników firmy, stary Joshua Butters Bacon, zawsze nazywał dziadka "dzwonnikiem", okazując tym samym szacunek dla jego dawnego rzemiosła.

Kiedy doktor Kissing był jeszcze chłopcem, dziadek często przynosił do domu znaczki odrzucone przez drukarzy ze względu na wady druku.

Te "ładne kawałki papieru", jak je nazywał, były najczęściej jego jedynymi zabawkami.

Potrafił godzinami układać i przekładać kolorowe kwadraciki według odcienia, czy innych cech - zbyt subtelnych, by dostrzegł je oko zwykłego śmiertelnika.

Najwspanialszym prezentem, jaki dostał od dziadka, była lupa: dziadek kupił ją od ulicznego sprzedawcy, zastawiając pierwej za szylinga obrączkę własnej matki.

Każdego dnia, idąc i wracając ze szkoły, mały doktor Kissing zachodził do sklepów i biur, w których pozwalano mu zamiatać chodniki przed budynkami zamianą za ostatecznie koperty z koszy na śmieci. Z czasem zgromadzone przez doktora Kissinga kolorowe kawałki papieru stały się załącznikiem kolekcji, której zazdrościli mu nawet królowie.

Będąc już dyrektorem w Greyminsterze, ciągle posługiwał się małą lupą, którą dostał od dziadka.

"Najcenniejsze są proste przyjemności", powtarzał nam. nieustannie.

Życie wynagrodziło wytrwałość i skromność młodego Kissinga, który dzięki stypendiom ukończył z dwoma złotymi medalami studia w Oksfordzie.

W tym dniu stary "dzwonnik" zalał się łzami dumy z powodu wnuka.

Wśród tak zwanych "filatelistów", od których można się spodziewać czegoś więcej, panuje przekonanie, że najrzadszymi znaczkami pocztowymi są te, które mają wady, inaczej mówiąc, zostały uszkodzone podczas druku, co przy takiej skali produkcji jest nieuniknione.

Problem w tym, że wcale tak nie jest.

Bez względu na to, jakie sumy płać się za pojawiającą się na rynku filatelistycznym makulaturę, dla prawdziwego kolekcjonera jest ona tylko odzyskiem.

Prawdziwymi rarytasami są te znaczki, które znalazły się w oficjalnym obiegu - legalnie lub nielegalnie - alew bardzo ograniczonej liczbie.

Czasem zdarza się tak, że do obiegu wypuszcza się kilka tysięcy znaczków, poczym odkrywa się w nich jakąś wadę.

Czasem do obiegu trafiazaledwie kilkaset znaczków, kiedy jakiś pojedynczy arkusz uniknie czujnego oka kontrolera zeskarbu.

Ale w całej historii Brytyjskiej Poczty tylko raz - raz i nigdy więcej - doszło do tego, że pojedynczy arkusz znaczków różnił się od milionów pozostałych.

A stało się to tak:

W czerwcu 1840 roku chory psychicznie chłopak roznoszący piwo, niejaki Edward Oxford, dokonał zamach na królową Wiktorię i księcia Alberta, jadących odkrytym powozem przez Constitution Hill.

Strzelił do nich z bliskaz dwóch pistoletów.

Na szczęście nie trafił, a królowa, będąca wówczas w czwartym miesiącu ciąży i spodziewająca się pierwszego dziecka, ocalała.

Niektórzy uważali, że za zamachem stoją czartyści, inni, że był to spisek oranżystów, którzy chcieli osadzić na angielskim tronie diuka Cumberland. Za tym drugim domniemaniem krył się więcej prawdy, niż rząd był gotów przyznać.

Choć Oxford zapłacił za swój czyn czterdziestoletnim pobylem w Bedlam, gdzie wydawali się zdrowszy od większości pacjentów i wielulekarzy, jego inspiratorzy pozostali na wolności, niewidzialni w metropolii.

Zajęli się innymi ofiarami.

Jesienią 1840 roku w drukarni pana Perkinsa, Bacona Petcha zatrudniono czeladnika drukarskiego, który nazywał się Jacob Tingle. Ponieważ Jacob był nade wszystko człowiekiem ambitnym, błyskawicznie awansował w swym rzemiośle.

Jego pracodawcy wiedzieli jednak, że Jacob Tingle był pionkiem w śmiertelnie niebezpiecznej grze, której szczegóły znali tylko jego ukrywający się w cieniu zwierzchnicy.

Jeśli coś mnie dziwiło w tej opowieści, była to plastyczność, z jaką przedstawiał ją tata.

Widziałam, mogłam niemal dotknąć dżentelmenów w wykrochmalonych kołnierzykach i wysokich cylindrach; damy w tiurniurach

Masowy i radykalny ruch polityczny w Wielkiej Brytanii w latach 1836-1849; zmierzał do wprowadzenia demokratycznych zmian w systemie wyborczym oraz poprawy sytuacji ekonomicznej robotników.

Stowarzyszenie polityczne założone w roku 1795, grupujące Anglików mieszkających w Irlandii.

Według historyków Ernest August I Hanowerski, diuk Cumberland i Teyiotdale, nazywany "straszliwym Ernestem", założyciel Zakonu Oranżystów, zamordował w Pałacu Kensington swojego lokaja, podrywając mu gardło.

Miał także syna z własną siostrą, księżniczką Zofią, oraz molestował Sarę, lady Lyndhurst, żonę lorda kanclerza.

i czepkach.

Wszystkie postaci w opowieści były jak żywe, ożywił się także tata.

-Jacobowi Tingle powierzono najtajniejszą misję.

Kazano mu za pomocą wszelkich dostępnych środków wydrukować jeden arkusz, tylko jeden arkusz, Czarnych Wiktorii przy użyciu jasnopomarańczowej farby drukarskiej, którą specjalnie w tym celu dostarczono.

Fiolkę z farbą wraz z sowitym wynagrodzeniem wręczono mu w piwiarni

przycmentarzu St Paul's.

Dokonałego mężczyzna w kapeluszu z szerokim rondem, mówiący tylko szeptem.

Po potajnym wydrukowaniu bękartego arkusza Tingle miał ukryć go w rzybie zwykłych Czarnych Wiktorii, czekających na wysyłkę do urzędów pocztowych w całej Anglii.

Na tym kończyło się jego zadanie.

Resztą miało zająć się Przeznaczenie.

Prędzej czy później gdzieś w Anglii miał pojawić się arkusz pomarańczowych znaczków, które wszystkim znającym nieco ówczesne realia polityczne niosły wieść: .

Jesteśmy wśród was!

". "Poruszamy się wśród was swobodnie i jesteśmy niewidzialni!

". Tak brzmiała tapolityczna deklaracja.

Niczego nie podejrzewająca Królewska Poczta nie mogłaby w żaden sposób wycofać wywrotowych znaczków.

A po ich wejściu do obiegu wiadomość o ich istnieniu szerzyłaby się jak pożar.

Nawet rząd Jej Królewskiej Wysokości nie zdołałby wyciszyć tej sprawy.

A chodziło o przestraszenie i sterroryzowanie rzesz społeczeństwa.

Wśród spiskowców działał jednak tajny agent - mówił dalej tata - i choć wiadomość od niego nadeszła za późno, prawowita władza dowiedziała się, że odkrycie pomarańczowych znaczków ma być sygnałem dla spiskowców w całym kraju do rozpoczęcia nowej fali zamachów na rodzinę królewską.

Kolor oranżystów.

Plan wydawał się doskonały.

Jeśliby się powiodł, wystarczyło, że zamachowcy się przyczają i podejmą swąśmiertelną grę w innym czasie.

Ale niebyło takiej potrzeby spisek działał jak dobrzenaoliwionymechanizm.

\ Dzień po spotkaniu Jacoba Tingle z nieznanym przycmentarzu St Paul's, w zaułku tuż za drukarnią Perkinsa, Bacona Petcha, wybuchł widowiskowy, podejrzany pożar.

Gdy drukarze i pracownicy biurowiwybiegli na ulicę, by przyjrzeć się buchającym płomieniom, Jacob Tinglewyjął z kieszeni fiolkę z pomarańczową farbą drukarską, rozprowadził ją po matrycy za pomocą zapasowego wałka, który ukrył na półce za rzędem słoików z chemikaliami, położył na prasie drukarskiej wilgotny arkusz papieru ze znakami wodnymi i wydrukował znaczki.

Poszło muniemal jak z płatka.

Zanim drukarze wrócilido pracy, Jacob ukrył pomarańczowy arkusz między czarnymi, oczyścił matrycę, schowałbrudne szmaty i zabrał się do przygotowania do druku kolejnego zwykłegoarkusza.

Wtedy do drukarni wszedł staryJoshuaButters Bacon, który pogratulowałmłodemu drukarzowi zimnej krwi w obliczu niebezpieczeństwa.

"Daleko zajdzieszw swym rzemiośle", dodał starzec.

Ale ślepy los, jak to mawe zwyczaju, sypnąłpiaskiemw koła zębate spiskowego mechanizmu.

Nikt, nawet spiskowcy, nie mógł przewidzieć, że tego samego dnia mężczyzna w kapeluszu z szerokim rondem zostanie stratowany na mokrejod deszczu Fleet Street, przez rozpędzonegokonia pociągowego.

Wydając na ulicy ostatnie tchnienie, spiskowiec wrócił do wiary, w jakiej go wychowano, i wyznał wszystko, zdradził Jacoba Tingle'a i innych, policjantowi w przeciwdeszczowej pelerynie, którego wziął za katolickiego księdza.

Ale Jacob wykonałjuż swojąbrudną robotę i arkusz pomarańczowych znaczków jechał nocną pocztą dojakiegoś nieznanego zakątka Anglii.

Mam nadzieję, że cię nie nudzę, Harriet?

Harriet?

Czy tata nazwał mnie "Harriet"?

Zdarza się, że ojcowie wielu córek, przywołując do siebie



najmłodszą, wymieniają po kolei imiona wszystkich żeńskich latorośli, dlatego wielokrotnie słyszałam:

"Ofelio Dafne Flawio, a niech to!

", i przyzwyczaiłam się do tego.

Ale Harriet?

Nigdy.

Czy tata się tylko przejęzyczył?

A może naprawdę wydawało mu się, że opowiada to wszystko Harriet?

Miałam ochotę nim potrząsnąć.

Chciałam się do niego przytulić.

Chciałam umrzeć.

Zdałam sobie sprawę, że jeśli się odezwę, czar pryśnie, pokręciłam więc tylko głową na boki, jakbym się bała, że mi odpadnie.

Na dworze wiatr odrywał od ściany obrastającą okno celi winorośl, a wściekły deszcz walił o szybę.

Podniesiono wrzawę odezwał się końcu tata, a ja przestałam wstrzymywać oddech.

Do każdego poczmistrza w królestwie wysłano stosowny telegram.

Tam, gdzie pojawią się pomarańczowe znaczki, należy je natychmiast zamknąć w bezpiecznym miejscu i z największym pośpiechem poinformować o miejscu, w jakim się znalazły.

Ponieważ najwięcej znaczków wysyłano do dużych miast, uważano, że pomarańczowe fałszerstwo wypłynęło najprawdopodobniej w Londynie lub Manchesterze, albo w Sheffield czy Bristolu.

Stało się jednak inaczej.

W jednym z najbardziej odległych zakątków Kornwalii leży wioska St Mary-in-the-Marsh.

To jedno z takich miejsc, w których od zarania dziejów nie wydarzyło się nic godnego uwagi i -jak się spodziewano- nigdy się niewydarzy.

Poczmistrzem był tam niejaki Melville Brown, starszy.

dżentelmen, który przekroczył już o lat kilka zwykły wiekemerytalny, a otrzymywaną z Królewskiej Poczty niewielką pensję odkładał na "godny pogrzeb" - jak mówił wszystkim, którzy chcieli go słuchać.

St Mary-in-the-Marsh było uważane za "zapadłą dziurę" do tego stopnia, że nie pofatygowano się założyć tam telegrafu, w związku z czym poczmistrz Brown nie mógł odebrać telegraficznej dyrektywy ze Skarbu. Jakież było jego zdumienie, gdy kilka dni później, licząc kilka arkuszy nowych znaczków, jakie dostarczono do wioski, wśród wielu zwykłych Czarnych Wiktorii natknął się na pomarańczową osobliwość.

Nie mógł nie zwrócić na nią uwagi.

Ktoś musiał się fatalnie pomylić!

Poczmistrz Brown nie otrzymał przecież, jak powinien był, gdy wprowadzano nowy kolor znaczków, oficjalnej "Instrukcji Dyrekcji Poczty".

Osobliwość ta musiała mieć jakieś znaczenie, choć poczmistrz Brown nie wiedział jeszcze jakie.

Przez chwilę ale tylko, zwróć uwagę, przez chwilę zastanawiał się, czy dziwacznie pokolorowany arkusz znaczków nie jest wart więcej, niż wynosi jego wartość nominalna.

Poczmistrz Brown wiedział, że niecałe pół roku powejściu do obiegu pierwszych znaczków pocztowych, niektórzy ludzie, najprawdopodobniej bogacze Londynu, którzy nie mieli nic innego do roboty, zaczęli zbierać samoprzylepne znaczki, umieszczając je w małych książeczkach.

Znaczek wydrukowany poza rejestrem czy z odwróconymi napisami był wart funta, a nawet dwa, a cały arkusz takich znaczków no cóż.

Ale Melville Brown należał do takiego typu ludzi, którzy są rzadcy jak archaniołowie - był nade wszystko człowiekiem uczciwym.

Nie wiedząc, co począć z pomarańczowym dziwactwem, wysłał z pobliskiej stacji telegraficznej depeszę do Skarbu, a już po godzinie z Paddington wyru

szął ministerialny kurier, by odebrać znaczki i przewieźć je z powrotem do Londynu.

Rząd miał zamiar natychmiast zniszczyć niebezpieczny arkusz, czemu miała towarzyszyć oficjalna oprawa, godna żałobnej mszy pontyfikalnej. Natomiast Joshua Butters Bacon zaproponował, by znaczki umieszczono w archiwum drukarni albo w Muzeum Brytyjskim na wieczną pamiątkę.

Z kolei królowa Wiktorja, która w tamtym czasie była jeszcze osobą dość niekonwencjonalną, zażądała, by przekazano jej jeden znaczek jako memento na pamiątkę dnia, w którym miała spaść pod kulami zamachowca. Pozostała część arkusza miała zostać zniszczona przez najwyższego rangą urzędnika firmy, która je wydrukowała.

Któż mógł sprzeciwić się królowej ?

W tamtym czasie, gdy wojska brytyjskie przygotowywały się do najazdu na Bejrut, premier - wicehrabia Melbourne (którego nazwisko 'wiązano niegdyś z romansami Jej Wysokości) - miał inne rzeczy na głowie.

Na tym zamknięto sprawę.

I stało się tak, że jedyny arkusz pomarańczowych znaczków za pensję spłonął w pojemniku ustawionym na biurku dyrektora generalnego firmy Perkins, Bacon Petch.

Lecz zanim Joshua Bacon przyłożył do niego zapalniczkę, z chirurgiczną precyzją - gdyż w tamtych czasach nie stosowano jeszcze perforacji - odciął od arkusza dwa znaczki: ten, który nosił oznaczenie "AA" i był przeznaczony dla królowej Wiktorji, i drugi - w największej tajemnicy z przeciwnego rogu, oznaczony literami "TL".

Znaczek ten chciał zachować dla siebie.

Znaczki te kolekcjonerzy zaczęli nazywać czasem "Ulsterskimi mścicielami", choć przez wiele lat przed nadaniem im tej nazwy ich istnienie było objęte tajemnicą państwową.

Bacon zmarł, a po jego śmierci sprzątno gabinet.

w którym pracował.

Kiedy odsunięto od ściany biurko, na podłogę spadła koperta, która znajdowała się za meblem.

Jak się pewnie domyślasz, gabinet sprzątał dziadek doktora Kissinga, "dzwonnik", i to on znalazł kopertę.

'Sprawdziwszy, co jest w środku, doszedł do wniosku, że nic z tego się nie stanie, jeśli zanieśiesz jasnopomarańczowy znaczek do domu, jako zabawkę dla trzyletniego wówczas wnuczka.

Poczułam, że pałuszki, pałyły mnie policzki i modliłam się, żeby pochłonięty opowiadaniem tato niczego nie zauważył.

No bo jak - bez pogarszania i tak już fatalnej sytuacji miałam mu powiedzieć, że dwaj "Ulsterscy mściciele" (jeden oznaczony identyfikatorem "AA", a drugi "TL") spoczywają w tej właśnie chwili w głębi mojej kieszeni, dokąd trafili wetknięci tam przez mnie dosyć nonszalancko?

#### SIEDEMNAŚCIE

Aż mnie świerbiło, żeby wyjąć te przekłete znaczki i wcisnąć je w dłoń taty, ale zdajesię, że inspektor Hewitto coś mnie prosił - żebym go nie zawiodła.

Nie mogłam więc wkładać w ręce taty skradzionej własności czegoś, co pogorszyłoby jego i tak skomplikowaną sytuację.

Na szczęście tato niczego nie zauważył.

Nawet kolejna błyskawica, uderzenie piorunu i przetaczający się po niebie grzmoty nie były w stanie przywrócić go do teraźniejszości.

- "Ulsterski mściciel" oznaczony identyfikatorem "TL" ciągnął stał się, rzecz jasna, kamieniem węgielnym kolekcji znaczków doktora Kissinga.

Doskonale wiadomo, że istnieją tylko dwa takie znaczki.

Drugi, z identyfikatorem "AA", trafił po śmierci królowej Wiktorii do jej syna, Edwarda VII, a po jego śmierci znalazł się w rękach syna Edwarda, Jerzego V.

Był ozdobą jego zbiorów do roku 1925; całkiem niedawno został skradziony w biały dzień na wystawie filatelistycznej.

Do dziś go nie odnaleziono.

"Ha!", pomyślałam, a głośno zapytałam:

- A co się stało z "TL"?

- "TL", o czym się przekonaliśmy, spoczywał bezpiecznie w sejfie w gabinecie dyrektora w Greyminsterze.

DoktorKissing wyjmował czasamiten znaczek z sejfu, "już to poto, żeby napawać nim wzrok", jak nam tłumaczył, "i już topoto, żeby przypomnieć sobie własne skromne początki,.

Gdyby kiedykolwiek zaświtała mi w głowie myśl o wynoszeniu się ponad innych".

Jednak doktor Kissing rzadko pokazywał "Ulsterskiego mściciela" innym.

Widziało go może kilku najpoważniejszych filatelistów.

Mówiło się, że sam król złożył ofertę kupna znaczka, ale oferta ta została uprzejmie, acz stanowczo odrzucona.

Wówczas król poprosił przez osobistego sekretarza o specjalne pozwolenie na obejrzenie tego, jak go nazwał, "marmoladowego zjawiska".

Pozwolenie zostało natychmiast udzielone i przedostatni monarcha odwiedził potajemnie, po zmroku naszą szkołę.

Można się zastanawiać, czy przywiózł ze sobą znaczek oznaczony identyfikatorem "AA", by przypatrzeć się obu okazom leżącym obok siebie, choćby przez parę godzin, po tak wielu latach.

Pozostanie to na zawsze jedną z wielkich tajemnic filatelistyki.

Dotknęłam lekko kieszeni, a palce zadrżały mi, gdy wyczułam opuszkami glazurowany papier.

- Nasz stary wychowawca, pan Twining, doskonale pamiętał wizytę monarchy i przypominał sobie, że tamtej noc lampy w gabinecie dyrektora świeciły się niemal do rana.

Co znów sprowadza nas niestety na ziemię do smutnej historii Horace'a Bonepenny'ego.

Ton głosu taty uległ zmianie wracał do osobistych wspomnień. Poczulałam dreszcze na plecach - w końcu poznam prawdę.

- W tamtym czasie Bony był już kimś więcej niż tylko utalentowanym iluzjonistą.

Stał się niczym nieskrępowanym, aroganckim młodym człowiekiem o cynicznym sposobie bycia.

Zawsze stawiał na swoim, osiągał to, co chciał, będąc bardziej bezwzględny od innych.

Oprócz pieniędzy, jakie otrzymywał od prawnika ojca, zarabiał całkiem nieźle na występach w Greyminsterze i okolicach - najpierw na przyjęciach dla dzieci, potem, gdy nabrał głady, na okolicznościowych koncertach

i obiadach politycznych.

Jego jedynym asystentem był wówczas Bob Stanley i dochodziły do nasplotki o ich co bardziej ekstrawaganckich posunięciach.

W tamtych czasach widywałam go tylko na lekcjach.

Wypisał się z kółka iluzjonistycznego, doszedłszy do wniosku, że jest dla

nasza dobry, powtarzano sobie jego uszczypliwe uwagi o "amatorskich ciepłych kluchach", które wciąż pracują wkółku.

Inni, idąc śladem Bony'ego, również wypisywali się szeregiem prestidigitatorów, co doprowadziło do tego, że pan Twining ogłosił oficjalnie, że zamyka "podwoje magii", jak nazywało się, i skupi się wyłącznie na prowadzeniu towarzystwa filatelistycznego.

Pamiętam tamten wieczór: był to początek jesieni, pierwsze spotkanie towarzystwa.

Ni z tego, ni z owego, pojawił się na nim Bonepenny cały w uśmiechach i z udawaną koleżeńskością.

Nie widziałem go od końca poprzedniego semestru i teraz wydawał mi się całkiem obcy, zupełnie pasował do otoczenia.

"A, Bonepenny.

", przywitał go pan Twining, "cóż za niespodziewany zaszczyt! Cóż cię sprowadza w nasze skromne progi?

".

"Moje własne nogi", zażartował głośno Bony, a większość chłopców wybuchła śmiechem.

Potem, całkiem niespodziewanie, stracił rezon- znów był uczniem okazującym szacunek wychowawcy i pełnym pokory.

"Przyszedł mi do głowy pewien pomysł, panie profesorze", zwrócił się w pewnym momencie do Twininga.

"Podczas wakacji zastanawiałem się, czy nie udałoby się panu profesorowi przekonać pana dyrektora do pokazania nam tej filatelistycznej osobliwości.

Sądzę, że to jedyna okazja dla wszystkich początkujących filatelistów, by zapoznać się z takim rarytasem".

Pan Twining zmarszczył brwi.

"Ta filatelistyczna osobliwość jak ją nazywasz, jest klejnotem koronnym brytyjskiej filatelistyki i z całą pewnością nie pokazywałbym je osobnikom tak podejrzanej konduity jak ty".

"Ależ, panie profesorze.

", skamlał Bonepenny, "proszę pomyśleć opryszłości!

Kiedyś przecież dorośniemy, założymy własne rodziny, spłodzimy synów.

Na te słowa wszyscy uśmiechnęli się pod nosem, popatrzyli po sobie i zaczęli szurać nogami po dywanie.

"To będzie jak scena z Henryka V, jak bitwa pod Azincourt.

", nie dawał za wygraną Bonepenny.

"Te zangielskich rodzin, których przedstawiciele nie byli w Greyminsterze, tak jak pod Azincourt, i nie widzieli wspaniałego Ulsterskiego mściciela, uznaję się za przeklęte.

Och,

panie profesorze, proszę chociaż spróbować.

".

"Dajęci szóstkę z plusem za zuchwałość, chłopcze, i pałę zatrawestację Szekspira.

Mimo to.

".

Widzieliśmy, że pan Twining mięknie.

Przygryzał nerwowo wąż.

"Prosimy, panie profesorze.

", powiedzieliśmy chórem.

"No cóż.

", zastanawiał się Twining.

Ustaliliśmy, że pan Twining porozmawia z doktorem Kissingiem, który - będąc z natury człowiekiem dobrodusznym, któremu w dodatku pochlebiało zainteresowanie uczniów tak zapoznanym wydawnictwem - chętnie wyraził zgodę.

Ustalono, że pokaz odbędzie się w następną niedzielę, wieczorem po mszy, oraz że zostanie przeprowadzony w prywatnych pokojach dyrektora.

Zaproszenie otrzymali tylko członkowie towarzystwa filatelistycznego, dla których pani Kissing miała przygotować kakao i herbatniki.

Salon doktora Kissingabył wypełniony dymem.

Bob

Wielkie zwycięstwo króla Henryka V nad Francuzami podczas wojny



stuletniej.

Stanley, który towarzyszył Bonepenny'emu, bez skrępowania palił papierosy i nikt nie zwracał mu uwagi.

Choć uczniowie szóstej klasy cieszyli się pewnymi przywilejami, po raz pierwszy widziałem, żeby którykolwiek z nich palił przy dyrektorze.

Wszedłem do salonu ostatni.

Popielniczki były już pełne, bo musisz wiedzieć, że pan

Twining również był nałogowym palaczem i poza klasą nierozstawał się z papierosami.

Teraz w popielniczkach piętrzyły się niedopałki palonych przez niego papierosów Will's Gold Flake.

Doktor Kissing, jak każdy dobry dyrektor szkoły, sam był utalentowanym showmanem.

Przed pokazem gawędził z nami o tym i owym: o pogodzie, o wynikach krykieta, o Funduszu Absolwentów i fatalnym stanie dachówki Añ -son House.

Budował, jak się domyślasz, napięcie.

Dopiero, gdy wszyscy zaczęli wiercić się niespokojnie i krzesła, klepnął się w czoło i powiedział: "O mój Boże, kompletnie zapomniałem: przyszliście tu po to, żeby rzucić okiem na mój znaczek.

".

W salonie zawrzało.

Doktor Kissing podszedł do sejfów ścianie i przekręcił kilka razy pokrętko szyfrowego zamka.

Zamek zaskoczył i sejf został otwarty.

Doktor Kissing sięgnął do środka i wyjął z sejfu blaszane pudełko po papierosach zwykle blaszane pudełko po Gold Flake'ach.

Wzbudziło to, jak się domyślasz, ogólną radość.

Zastanawiałem się, czy gdy gościł tu król, doktor Kissing pokazywał mu znaczek w tej samej starej papierośnicy.

W salonie rozległa się wrzawa, a potem zapadła cisza, gdy dyrektor otworzył wieczko.

W środku, w blaszanym pudełku po Gold Flake'ach, leżała pochłaniająca wilgoć bibuła, a na niej mała koperta: za mała, wydawałoby się, i zbyt nietrwała, by przechowywać w niej tak bezcenny skarb.

Doktor Kissing teatralnym gestem wyjął z kamizelki pę-

setę i za jej pomocą wydobył znaczek z koperty i złożył go na papierze. Wyglądał przy tym jak saper wykręcający zapalnik z niewybuchu.

Stłoczyliśmy się wokół niego, rozpychając się łokciami, żeby lepiej widzieć.

"Ostrożnie, chłopcy", napominał nas doktor Kissing.

"Pamiętajcie o dobrych manierach, nie zapominajcie, że w każdych okolicznościach jesteście dżentelmenami".

Mieliśmy przed sobą ten bezcenny znaczek, który wyglądał tak, jak zawsze go sobie wyobrażaliśmy, ale było w nim coś jeszcze. Coś prawdziwie fascynującego.

Niemogliśmy uwierzyć, że "Ulsterski mściciel" jest tuż obok, niemal na wyciągnięcie ręki.

Bon penny stał tuż z nami opierał się o mój bark.

Czułem jego gorący oddech na policzku, zalatujący kotлетem wieprzowym i.

chyba bordo.

Pił?

, zastanawiałem się.

I wtedy stało się coś, czego nie zapomnę aż do śmierci, a może nawet i po niej będę o tym pamiętał.

Bony odepchnął mnie i rzucił się do przodu, porwał znaczek i uniósł go wysoko do góry między kciukiem a palcem wskazującym.

"A teraz", krzyknął, "pokażę wam sztuczkę, panowie!"

"

Wszyscy zamarli, nikt nie był w stanie się poruszyć.

I nikt z nich nie odważył się mrugnąć powieką. Bony wyjął z kieszeni zapalniczkę, odpalił ją paznokciem i przyłożył płomień do rogu "Ulsterskiego mściciela".

Znaczek poczerniał, a potem zaczął się zwijać.

Po jego powierzchni przemknął mały płomyk.

Pochwili nie było już po nim śladu.

Po "Ulsterskim mścicielu" została czarna grudka popiołu między palcami Horace'a.

Bony uniósł dłoń i straszliwym głosem zawołał:

/(z prochu powstałeś, w proch się obrócisz.

Król cię nie dostał, to diabeł musi!

To było wprost niewiarygodne!

Wszyscy byli tak wstrząśnięci, że nikt nie mógł wydusić z siebie choćby

słowa.

Doktor Kissing stał jak zahipnotyzowany z otwartymi ustami, pan Twining, który nas tu przyprowadził, wyglądał tak, jakby pękło mu serce.

"To tylko iluzjonistyczna sztuczka, panowie", zawołał Bony z tym swoim odpychającym uśmiechem.

"A teraz pomóżcie mi odzyskać znaczek, wszyscy, jak tu stoicie. Podajmy sobie dłonie i pomódlmy się.

".

Chwycił mnie za rękę prawą dłonią, a lewą złapał Boba Stanleya.

"Stwórzcie krąg", komenderował.

"Podajcie sobie dłonie i stwórzcie modlitewny krąg!

".

"Dostyc tego!

", odezwał się w końcu stanowczo doktor Kissing.

"Dostyc tych zuchwalstw, Bonepenny!

Natychmiast oddaj znaczek i włóż go do pudełka!

".

"Ależ, panie dyrektorze.

", zacukał się Bony i przysięgam, że w jego uzębieniu odbijało się światło płomienia z kominka.

"Jeśli nie podamy sobie rąk, czar nie zadziała.

Nie pryśnie.

Tak już jest z czarami.

".

"Włóż.

znaczek.

z powrotem.

do pudełka", wydusił siebie doktor Kissing, a jego twarz przypominała oblicze żołnierza w okopach po wyczerpującej bitwie.

"Jak pan sobie życzy", powiedział Bony.

"Zrobię to sam, ale muszę pana ostrzec, że w ten sposób może mi się nie udać.

".

Nigdy nie widziałem kogoś tak pewnego siebie, a przy tym tak bezczelnego.

Podwinął rękaw i wyciągnął długie, białe palce wysoko do góry, najwyżej jak umiał.

Wracaj, o, wracaj, zgubiona królowo, Wracaj i powiedz nam, czyś wróciła surowo ?



Wypowiedziawszy zaklęcie, strzelił palcami, a międzynimi pojawił się znaczek, choć chwilę wcześniej wcale gotam nie było.

Znaczek był pomarańczowy.

Posępne oblicze doktora Kissinga rozluźniło się nieco.

Na jegoustach, zagościło coś na kształt leciutkiego uśmiechu.

Palce pana Twininga wpiły mi się w łopatki i dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że zawisł na mnie jak nakole ratunkowym.

Bony przysunął sobie znaczek pod nos, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Jednocześnie wyciągnął z kieszeni spodnieszpotykankę wielką lupę, przez którą zaczął badać znalezisko z zasznurowanymi ustami.

Kiedy się odezwał, jegogłos był głosem Czanga Fu, starego chińskiego magika, i choć nie miał kostiumu ani makijażu, przysięgam, że widziałem jego pośliskłą skórę, długie paznokcie i czerwone kimono z wyhaftowanymi smokami.

"O-o.

" zaczął.

"Sia-co-wni psiod-kowie psi-sła-linieten zna-ciek".

Podniósł znaczek do góry, byśmy musieli przyjrzeć się.

Rzeczywiście, trzymał między palcami znaczek wydany przez

Amerykańską Federalną Izbę Skarbową: zwykły znaczek upamiętniający wojnę secesyjną.

Każdy z nas miał egzemplarz tego znaczka w swoim klaserze.

Wypuścił znaczek spomiędzy palców i pozwolił mu upaść na podłogę, po czym wzruszył ramionami i przewrócił się na bok, zaczął od nowa:

Wracaj, o, wracaj, zgubiona królowo.

Doktor Kissing niewytrzymał- chwycił go za ramiona i potrząsnął nim jak puszką farby.

"Znaczek!

", ryknął, wyciągając rękę.

"Natychmiast!

".Bony wywracał na zewnątrz kieszenie, jedną po drugiej.

"Nie mogę go znaleźć, paniedyrektorze", oznajmił płaczliwie.

"Coś się nie udało.

Zaglądał w głąb rękawów, przesunął palcami wzdłuż kołnierzyka, a jednocześnie dokonywał się w nim przemiana na nagle stał się przerażonym chłopcem, uczniakiem, który spletał niestosownego figla i marzył tylko o tym, żeby dać drapakę.

"Wcześniejwszystko mi się udawało", wymamrotał.  
"Robiłem tę sztuczkęsetki razy."  
.

Twarz mu poczerwieniała i czekałem, aż się rozplacze.

"Zrewidujcie go", warknął doktor Kissing i kilku chłopców z panem Twiningiem na czele zabrało Bony'ego do łazienki, gdzie przeszukali go od góry do dołu, od rudej grzywy do czubków palców.

"Jest tak, jak mówi", powiedział pan Twining po powrocie.

"Znaczek zniknął".

"Zniknął?"

", rzekł doktor Kissing.

"Zniknął?"

Jak mógł, do cholery, zniknąć!

Jest pan pewien?

Przeszukano cały salon - podniesiono dywan, przesunięto stoły i krzesła, wywrócono do góry nogami każdy; drobiazg, na próżno!  
W końcu doktor Kissing przeszedł przez salon i stanął w kącie, w którym skulił się Bony, chowając głowę w ramionach.

"Wytłumacz się, Bonepenny", zażądał dyrektor.

"Ja..

ja...

nie wiem.

co się stało.

panie dyrektorze", wyjąkał.

"Sztuczka polega.

na zamianie znaczków, ale musiałem.

nie wiem.

nieumiem.

Musiałem spalić.

nie ten, co trzeba.

".

I zalał się rzęśnistymi łzami.

"Chłopcy, do łóżek!"

", krzyknął do nas doktor Kissing.

"Opuszczenie ten dom i idźcie się położyć".

Wtedy poraz pierwszy słyszeliśmy podniesiony głos doktora Kissinga.

Wstrząsnęło to nas do głębi.

Zerknąłem na Boba Stanleya, który kołysał się w przód i w tył i gapił

nieuważnie w podłogę, jakby czekał napociąg.

Bony podniósł się z kąta i przeszedł przez pokój, za.

trzymując się przede mną.

Miał zaczerwienione oczy, gdy wyciągał rękę, by ująć moją dłoń.

Potrząsał nią słabo.

Nie potrafiłem odwzajemnić tego gestu.

"Przepraszam, Jacko", powiedział płaczliwie, jakbym to ja był ciągle jego asystentem, jakby nic się nie zmieniło i nie pojawił się Bob Stanley. Nie mogłem spojrzeć mu w oczy, odwróciłem głowę, dopóki nie odszedł.

Kiedy Bony wyszedł z salonu, oglądając się przez ramię, był blady jak ściana.

Pan Twining zaczął przeproszać dyrektora, ale to tylko pogorszyło sprawę.

"Może powinienem zadzwonić do jego rodziców, panie dyrektorze?", pytał Twining.

"Do rodziców?"

Nie, drogi panie.

Nie trzeba nam tu rodziców, trzeba nam kogoś zupełnie innego".

Pan Twining stał na środku salonu i załamywał ręce.

Bóg jeden wie, jakie myśli kłębiły się wówczas w głowie tego nieszczęśnika.

Sam nie pamiętam, o czym wtedy myślałem.

Następnego dnia był poniedziałek.

Przechodziłem przez dziedziniec z Simpkinsem, kuląc się przed wiatrem.

Simpkins trąkał coś o "Ulsterskim mścicielu".

Wiadomość wczorajszych wydarzeniach przeszła się po całej szkole i wszędzie stały grupki zawziętych dyskutujących chłopców, wymachujących ramionami i wymieniających się najnowszymi, całkowicie nieprawdziwymi pogłoskami.

Od Anson House dzieliło nas jakieś pięćdziesiąt jardów, kiedy ktoś wrzasnął: "Spójrzcie!

Tam wysoko!

Na wieży!

To pan Twining!

".

Podniosłem wzrok i ujrzałem tego nieszczęśnika na dachu dzwonnicy. Trzymał się występu, niczym nietoperz, a jego nauczycielska toga powiewała na wietrze.

Spomiędzy chmur przedostał się promień słońca, który oświetlił wieżę i pana Twininga od tyłu jak teatralny reflektor.

Wydawało się, że cała jego postać promienieje, awystające



spod biretu włosy wyglądały jak miedziana aureola świętego w iluminowanym manuskrypcie.

"Niech pan uważa!

", krzyknął Simpkins.

"Dachówki są w fatalnym stanie!

".

Pan Twining spojrzął pod nogi, jakby budząc się zesnu, jakbydziwiło go to, że nagle znalazł się dwadzieścia pięć metrów nad ziemią.

Przyjrzał się dachówkami przez chwilę przestał się poruszać.

A potem się wyprostował, podpierając się o dach tyłkopałcami. Uniósł prawe ramię w rzymskim pozdrowieniu, a toga załopotła na wietrzenicznym okrycie Cezarastojącego na blankach.

"Vale!

", krzyknął.

Zegnajcie.

Przez chwilę wydawało mi się, że cofnął się zwystępu.

Może zmienił zdanie.

A może oślepiło mnie słońce za jego plecami.

W następnej chwili ujrzałem, jak spada, koziółkując w powietrzu.

Jeden z chłopców powiedział później reporterowi z gazety, że wyglądał jak anioł spadający z nieba, ale to nieprawda.

Spadał prosto na ziemię, jak kamień w pończosze.

Nie można tego inaczej opisać.

Tata przerwał nadługą chwilę, jakby zabrakło mu słów.

Wstrzymałam oddech.

- Do dziś prześladowa mnie odgłos, jaki wydało jego ciało, uderzając o kamienie - powiedział w końcu.

- Widziałem i słyszałem różne rzeczy nawojnie, ale to nieporównywalne, zupełnie nieporównywalne.

Był dobrym człowiekiem, a myśmy go zamordowali.

Horace Bonapennyi ja.

Zamordowaliśmy go, zupełnie tak, jak byśmy samie pchnęli go z tej wieży.

- Nie!

- sprzeciwiłam się stanowczo i dotknęłam ręką.

- Ty nie miałeś z tym nic wspólnego!

- Niestety miałem, Flawio.

- Nie!

- powtórzyłam, zdumiona własną śmiałością.

Czyto możliwe, że rozmawiam z ojcem w ten sposób?

- Nie.

miałeś z tym nic wspólnego.

To Horace Bonepenny spalił znaczek!

Zniszczył "Ulsterskiego mściciela".

Tata uśmiechnął się smutno.

- Nie zrobił tego, moja droga.

Widzisz, kiedy wróciłem do siebie tamtego niedzielnego wieczoru i zdjąłem marynarkę, poczułem, że lepi mi się mankiet koszuli.

Natychmiast domyśliłem się od czego.

Kiedy podaliśmy sobie ręce, tworząc odwracający uwagę modlitewny krąg, Bonepenny wepchnął palec w rękaw mojej marynarki i przykleił mi znaczek do mankietu.

Dlaczego mnie, a nie Bobowi Stanleyowi?

Miał swoje powody - gdyby zrewidowano nas wszystkich, cała wina spadłaby na mnie, a Bony i Bob wyszliby z tego bez szwanku.

Przez cały czas, kiedy rewidowano Bonepenny'ego od stóp do głów, znaczek był przyklejony do mojego mankietu.

Odzyskał go wtedy, gdy podał mi dłoń przed wyjściem.

Musisz pamiętać, że był mistrzem w sztuce prestidigitatorskiej, a ponieważ byłem kiedyś jego nauczycielem i współpracownikiem, logiczną kolejną rzeczą jego wybór padł na mnie.

Nikt by mi nie uwierzył, że nie miałem z tym nic wspólnego, gdyby znaleziono u mnie znaczek.

- Nieprawda!

zaprzeczyłam.

- Prawda.

- Tata uśmiechnął się lekko.

- Jest jeszcze parę rzeczy do opowiedzenia.

Bony'emu niczego nie udowodniono, ale nie wrócił do Greyminsteru po zakończeniu semestru.

Ktoś powiedział mi później, że uciekł zagranicę z powodu innej afery, co wcale mnie nie zdziwiło.

Nie zdziwiło mnie również to, że Bob Stanley został usunięty ze szkoły medycznej i wyładował w Ameryce, gdzie stworzył sklep filatelistyczny: firmę handlową wysyłając znaczki za zamówieniem pocztowym, jedną z tych, jakie reklamują się w komiksach i za odpowiednim zezwoleniem sprzedają znaczki dorastającym chłopcom.

Cały ten inte

res był, jak się wydaje, przykrywką dla jego ciemnych machinacji z

bogatymi kolekcjonerami znaczków.

Co się tyczy Bony'ego, nie widziałem go przez trzydzieści lat. Po tych wszystkich latach ujrzałem go niespodziewanie w zeszłym miesiącu, kiedy pojechałem do Londynu na międzynarodową wystawę znaczków pocztowych, zorganizowaną przez Królewskie Towarzystwo Filatelistyczne.

Być może pamiętasz to wydarzenie.

Zwieńczeniem wystawy miał być publiczny pokaz kilku prawdziwych rarytasów ze zbiorów naszego monarchy, w tym "Ulsterskiego mściciela" z identyfikatorem "AA" bliźniaczego znaczka do tego, jaki zginął w Greyminsterze z kolekcji doktora Kissinga.

Wyznam, że nie przyglądałem się specjalnie "Mścicielowi" - wywoływane przez ten znaczek wspomnienia wciąż są zbyt bolesne. Chciałem obejrzeć dokładnie inne wydawnictwa, więc obejrzenie królewskiego "Ulsterskiego mściciela" zajęło mi tylko kilka sekund.

Tuż przed zamknięciem wystawy stałem w jakimś odległym kącie sali, przyglądając się pewnemu arkuśowi wprost mennicy, na jaki miałem chrapkę, gdy nagle rzuciłem wzrokiem w głąb hali wystawienniczej i ujrzałem tę rudą kuprynę, która nie mogła należeć do nikogo innego.

To był, rzecz jasna, Bony.

Rozprawiał uczenie wśród niewielkiej grupy kolekcjonerów zgromadzonych przed królewskim znaczkiem.

Kiedy mu się przyglądałem, debata stała się nagle bardzo ożywiona. Wyglądało na to, że słowa Bony'ego oburzyły jednego z kuratorów wystawy, który gwałtownie kręcił głową i zaprzeczał czemuś podniesionym głosem.

Nie sądzę, żeby Bony mnie zauważył.

Zresztą wcale mina tym nie zależała.

Na szczęście natknąłem się wówczas na jumbo Higginsona, starego przyjaciela z wojska, który wyciągnął mnie z wystawy na spóźniony.

obiad i drinka.

Dobry stary Jumbo.

Nie po raz pierwszy zjawił się w najważniejszym momencie.

Przez czołotaty przemknął cień, zauważyłam, że znów pograżył się we wspomnieniach, w których tak często znikał.

Czasem zastanawiałam się, czy kiedykolwiek zdolałamsię nauczyć szanować jego nagłe napady milczenia.

Tymrazem tata szybko wyrwał się z otchłani wspomnień podjął nową historię, jakby w ogóle jej nie przerywał.

-Wracając nocnym pociągiem do domu, otworzyłam wieczorną gazetę, z której dowiedziałamsię o kradzieży królewskiego "Ulsterskiego mściciela".

Zamieniono go na falsyfikat, w biały dzień, na oczach publiczności, kilku filatelistów i nieposzlakowanej opinii dwóch pilnujących kolekcji strażników.

Wiedziałem, kto dokonał kradzieży, ba!

domyślałem się w ogólnych zarysach, jak jej dokonał.

; Kiedy w zeszły piątek na naszym schodach pojawił się martwy ptak, domyśliłem się natychmiast, czyja to sprawa.

W Greyminsterze mówiono na mnie "Jacko", tak jak czasem nazywa się bekasy.

Litery w rogach Czarnej Wiktorii nie pozostawiały złudzeń, kto był nadawcą przesyłki.

To dosyć skomplikowane.

- B One Penny H.

- oznajmiłam.

- Bonepenny Horace.

W Greyminsterze mówiliście na niego "Bony", a naciebie mówiono "Jacko". Rozwiązałam to wszystko już jakiś czas temu.

Tata popatrzył na mnie jak na żmiję, którą można przycisnąć do piersi albo wyrzucić przez okno.

Kilkakrotnie potarł górną wargę, jakby pieczętując usta, zanim wyrwiesz się z nich coś niestosownego, a potem mówił dalej:

- Lecz nawet świadomość, że jest gdzieś poblizu, nieprzygotowała mnie na potworny wstrząs, jaki przeżyłem, widząc to trupio blade oblicze, wyłaniające się z ciemności w oknie mojego gabinetu.

Było już popółnocy.

Mo

głem rzecz jasna odesłać go do wszystkich diabłów, ale zaczął mi grozić.

Zażądał, żebym, kupił od niego oba znaczki: ten, który ukradł niedawno, i ten, który skradł przedlaty ze zbiorów doktora Kissinga.

Wbił sobie do głowy, pojmujesz, że jestem bogatym człowiekiem.

"To inwestycja na całe życie!

", przekonywał mnie.

Kiedy mu powiedziałem, że nie mam pieniędzy, zagroził, że zgłosi na policji, iż to ja zaplanowałem kradzież pierwszego "Ulsterskiego mściciela" i zamówiłem mu drugą.

Bob Stanley miał potwierdzić ten donos.

Przecież to ja jestem zbieraczem znaczków, a nie Bony.

W dodatku byłem obecny przy obu kradzieżach, czyż nie?

Przekląty Bony dał mi do zrozumienia, że mógł ukryć już zwróc uwagę, "mógł ukryć"!

oba znaczki gdzieś w moim domu.

Po kłótni z nim byłem zbyt rozkojarzony, żeby położyć się do łóżka. Po odejściu Bony'ego godzinami przemierzałem gabinet w tę i z powrotem, zadrezczając się, rozważając całą tę sytuację bez końca.

Zawsze czułem się po części odpowiedzialny za śmierć pana Twininga.

Trudno jest mi to przyznać, ale to prawda.

Moje milczenie doprowadziło bezpośrednio do samobójstwa ukochanego, starego wychowawcy.

Gdybym jako chłopiec znalazł w sobie dość siły, by wyjawić swoje podejrzenia, Bony i Stanley trafiliby tam, gdzie ich miejsce, a pan Twining nie targnąłby się na własne życie.

Widzisz, Flawio, milczenie bywa niekiedy najkosztowniejszym towarem.

Po długim czasie i głębokim namyśle, postanowiłem wbrew wszystkiemu, w co wierzę - ulec jego szantażowi.

Doszedłem do wniosku, że sprzedam swoje zbiory i wszystko, co posiadam, by kupić jego milczenie.

I muszę ci wyznać, Flawio, że wstydzę się tej decyzji bardziej niż czegokolwiek w życiu.

Bardziej niż czegokolwiek.

Nie wiedziałam, co mam powiedzieć.

Zawiodła mnie moja elokwencja.

Siedziałam sztywno jak kołek w płocie, nie mogąc nawet spojrzeć tacie w oczy.

-Zaczynało świtać, musiało być koło czwartej, kiedy zgasilem lampę z zamiarem pójścia do wioski, zbudzenia Bonepenny'ego, który spał w gospodzie, i poinformowania go, że przystaję na jego żądania.

Ale coś mnie powstrzymało.

Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale tak właśnie było.

Wyszedłem na taras, lecz zamiast zejść na podjazd przed domem, ruszyłem ku powozowni, która przyciągała mnie wtedy jak magnes.

A więc to nie tata wyszedł kuchennymi drzwiami!

,pomyślałam.

Opuścił dom przez taras znajdujący się przed jego gabinetem i przeszedł do powozowni wzdłuż ogrodowego muru.

Nie mógł być w ogrodzie.

Niewidział rzeźącego Horace'a Bonepenny'ego.

- Musiałem się jeszcze raz zastanowić nad tym wszystkim - powiedział.

-Ale nie mogłem się skoncentrować.

- Wsiadłeś do rollsa Harriet wymamrotałam.

Czasem miałabym ochotę się zastrzelić.

Tata popatrzył na mnie smutno takim wzrokiem, jakim gąsienica musi patrzeć na szpaka, zanim ten ją połknie.

- Owszem - powiedział cicho.

- Byłem zmęczony.

Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, była myśl o tym, że jeśli Bony i Bob Stanley dowiedzą się, że jestem bankrutem, zajmą się kimś bardziej obiecującym.

Czego zresztą nikomu nie życzyłem.

Potem musiałem usnąć, nie wiem.

To bezznaczenia.

Wciąż siedziałem w aucie, gdy znalazła mnie policja.

- Jesteś bankrutem?

- zapytałam zdziwiona.

Nic nie mogłam na to poradzić.

- Masz przecież Buckshaw!

Tata popatrzył na mnie załzawionymi oczyma, co zdarzyło mu się po

raz pierwszy w życiu.

- Buckshaw, pojmujesz, należało do Harriet.

Która

zmarła, niepozostawiając testamentu.

Oczywiście to mpyo niejdziedziczmy, ale podatek spadkowy pochłonię najprawdopodobniej wszystkie nasze zasoby. Wszystkie.

- Lecz przecież Buckshaw należało do ciebie!

-wykrzyknęłam.

Jest siedzibą rodu od pokoleń, od wieków!

- Nie- stwierdził krótko tata.

- Nienależało domnie.

Było wianem Harriet, która również pochodziła z deLuce'ów.

Była moją kuzynką w trzecim pokoleniu.

Buckshaw należało do niej.

Nie zainwestowałem ani pensa w tę siedzibę, gdyż, jak powiedziałem, jestem właściwie bankrutem.

Rozległo się pukanie do metalowych drzwi i do celi wszedł inspektor Hewitt.

- Przepraszam, pułkowniku de Luce- powiedział.

-Naczelnik policji, jak pan zapewne wie, powoływany jest do ścisłego przestrzegania i egzekwowania prawa.

Umożliwiłem panu i pańskiej córce spotkanie, czym narażam się na niezadowolenie przełożonych.

Obawiam się, że czas już dobiegł końca.

Tata pokiwał smutno głową.

- Chodź, Flawio - zwrócił się domnie inspektor.

- Zawiozę cię do domu.

- Nie mogę jeszcze jechać do domu - stwierdziłam.

-Ktoś ukradł mi rower i chcę złożyć doniesienie.

- Twój rower jest na tylnym siedzeniu w moim aucie.

-Już go pan znalazł?

zapytałam.

Alleluja!

Gladys była bezpieczna!

- Rowernie został skradziony oznajmił.

Widziałem, jak go zostawiałaś bez zabezpieczenia, i poleciłem konstablowi Glossopowi przechować go przez pewien czas.

- Żeby nie mogła uciec?



Tata uniósł brwi, słysząc moją impertynencję, ale nie skomentował jej.

- I tak, i nie - powiedział Hewitt.

- Przede wszystkim.

chodziło mi o to, że padał deszcz, a do Buckshaw jest daleko i w dodatku pod górę.

Uściskałam tatę bez słowa.

Nie oponował, ale był nieporuszony jak kamień.

- Bądź dobrą dziewczynką, Flawio - powiedział.

"Bądź dobrą dziewczynką"?

Tylko tyle miał mi do powiedzenia?

No cóż, nasza łódź podwodna wypłynęła na powierzchnię, marynarze opuścili głąbiny, a podmorski czar przysł.

- Postaram się - odrzekłam, odwracając głowę.

- Postaram się najlepiej, jak umiem.

- Nie powinnaś być zbyt surowa dla ojca - powiedział inspektor Hewitt, hamując przed zakrętem z drogowskazem do Bishop's Lacey. Obrzuciłam szybkim spojrzeniem jego twarz podświetloną od dołu deską rozdzielczą vauxhalla.

Wycieraczki, niczym czarne sierpy, kosiły krople deszczu na przedniej szybie w błyskach odległych piorunów.

- Czy naprawdę uważa pan, że zamordował Horace'a Bonepenny'ego? - zapytałam.

Zanim mi odpowiedział, upłynęły wieki, a kiedy w końcu otworzył usta, jego głos wyrażał głęboki smutek.

- Nikogo innego tam nie było, Flawio oznajmił.

- Jak to?

Ja tam byłam, na przykład.

Inspektor Hewitt włączył nawiew, by chłodne powietrze rozproszyło parę osadzającą się od naszej rozmowy na szybach.

- Chyba nie liczyłaś nato, że uwierzę w tę bajeczkę twoich zmaganiach z ofiarą i jej słabym sercu?

Bo niewierzyłem.

Horace Bonepenny zmarł z innych przyczyn.

- Więc to kremówka!

wykrzyknęłam w natchnieniu.

Otruł się ciastem!

- Zatrzymałaś je?

zapytał niemal z uśmiechem.

- Nie.

- przyznałam.

- Ale żałuję, że tego nie zrobiłam!

-W kremówce nic nie było.

To zwykłe ciasto powiedział.

Mam już raport od analityków.

Zwykłe ciasto?

To chyba największa pochwała wyrobówcukierniczych pani Mullet.

-Jak wydedukowałaś -dodał - Bonepenny rzeczywiście poczęstował się kremówką kilka godzin przed śmiercią.

Aleskad o tym wiedziałaś?

-W Buckshaw tylko obcy jadają kremówki - rzuciłamz obrzydzeniem, by ukryć fakt, że się pomyliłam: Bonepenny nie otruł się ciastem pani Mullet.

Jak mogłamw ogóleprzypuszczać, że taksie stało!

To było infantylne.

- Przepraszam, że to powiedziałam.

Pani Mullet z pewnością nato nie zasługuje.

- tłumaczyłam się.

-Wymsknęło mi się.

Pewnie uważa pan, że jestem skończoną idiotką.

Hewittnie zastanawiał się zbyt długo nad odpowiedzią.

Spojrzał na mnie i wyrecytował:

Jeśli ciasteczko nie słodkie u dna,Cóż po tym, że kryzy ma?

- Moja babcia tak mówiła - dodał.

-Co znaczy ten wierszyk?

zapytałam.

-Co znaczy.

O,już dojeżdżamy do Buckshaw.

Pewnie się o ciebiemartwią.

- Och -zawołała beztrosko Ofelia.

- Czyżby cię nie było?

Nawet tego nie zauważyłyśmy, prawda, Daf?

Dafi przewróciła oczyma łani.

Była bardzo wystraszona, ale starałam się tego nie okazywać.

{ Prawda wymamrotała i wróciła do czytania Samotni.

\Czytała, trzeba przyznać, błyskawicznie.

i Gdyby mnie zapytały, chętnie opowiedziałabym im o wizycie u taty, alenie zrobiły tego.

Jeśli rozpaczały nad jego.

nieszczęściem, nie miały zamiaru pozwolić mi rozpaczaćwraz z sobą.  
To było akurat jasne.

Fela, Dafi i jabyłyśmyjak trzy poczwarki w trzech oddzielnych kokonach i czasem zastanawiałam się, dlaczego tak się dzieje.

KarolDarwinwykazał kiedyś, że najostrzejsza walka przetrwania toczy się w łonie jednego plemienia, a jako piąte z sześciorga dzieci z których troje było starszymi siostrami z całą pewnością wiedział, o czym mówi.

Wyjaśniałam to sobie, odwołując się do podstaw chemii wiedziałam, że większość substancji rozpuszcza się pod wpływem podobnych do niej pod względem składu chemicznego rozpuszczalników.

Trudno to było wyjaśnić w sposób racjonalny, tak po prostu działała Przyroda.

Miałam za sobą długi dzień, a podpowiekami tony piasku.

- Chyba pójdę się położyć - powiedziałam.

- Dobranoc, Felu.

Dobranoc, Dafi.

Moja próba nawiązania więzi społecznych została zbyta milczeniem i pomrukami.

Wspinałam się powoli schodami na górę, gdy nagle napodeście wyrósł przede mną Dogger.

Trzymał wdłoni kandelabr, który wyglądał, jakby kupiono go na wyprzedazy dóbr z posiadłości Manderley.

- Pułkownik de Luce?

- wyszeptał.

- Ma się dobrze, Dogger odpowiedziałam.

Kiwnął nie bez trudu głową i oboje wróciliśmy do swoich pokoi.

Dom z powieści Rebeka Daphne du Maurier i filmu Alfreda Hitchcocka pod takim samym tytułem.

OSIEMNAŚCIE

Szkoła w Greyminsterze była zalana słońcem, jak w czasach dawnej świetności.

Wyglądała dokładnie tak, jak ja sobie wyobrażałam wspaniałe, stare, kamienne budowle, starannie przystrzyżone trawniki opadające ku leniwej rzece i wielkie, puste boisko, na którym brzmiało jeszcze ciche echo rozgrywek krykieta, choć zawodnicy dawno już pomarli.

Oparłam Gladys o drzewo w bocznej alejce i udałam się do szkoły.

Za żywo płótem stał traktor z włączonym silnikiem, ale nigdzie nie mogłam

dostrzec traktorzysty.

Z kaplicy płynął śpiew chłopięcego chóru.

Mimo jasnego, porannego słońca chór śpiewał:

Odchody słońceogniste!

O Trójco błogosławiona.

Jedno światło wiekuiste, Wstąp promieniem w nasz łona.

Stałam zasłuchana, dopóki nieprzestali śpiewać.

Pokrótkiej przerwie znównieśmiało odezwały się organy, a chór zaczął to samo od początku.

Kiedy przemierzałam to, co tata nazywał "dziedzińcem", przyglądały mi się z chłodną obojętnością wysokie, puste okna.

Czułam się jak owad pod mikroskopem, czu.

łam nad sobą obecność soczewki i jeszcze coś dziwnego, co miało być może związek ze światłem.

Szerokie trawniki i kręte chodniki Greyminsteru świeciły pustkami pod głębokim błękitem nieba.

Zauważyłam tylko jednego biegnącego ucznia i dwóch nauczycieli w czarnych togach, szepczących coś sobie na ucho.

Całość wyglądała nieco nierealnie, jak mocno powiększone zdjęcie wykonane na kliszy Agfacolor, jak fotografia z kolorowego albumu zatytułowanego Malownicza Wielka Brytania.

Po wschodniej stronie dziedzińca wznosiła się budowla zwapienia, zwieńczona zegarową wieżą.

Był to zapewne Anson House stary internat taty.

Zbliżając się do niego, osłoniłam oczy dłonią przed słonecznym blaskiem.

To stąd, gdzieś pomiędzy przypominających blanki występów, za którymi ciągnął się pokryty dachówką dach, skoczył pan Twining, który zakończył życie na kamieniach pod wieżą.

Odstarego, pamiętającego tamte czasy bruk udzieliło mnie niewiecej niż trzydzieści metrów.

Przeszłam przez trawnik, żeby się przyjrzeć.

Stwierdziłam z pewnym rozczarowaniem, że nigdzie nie widać śladów krwi.

Bo niby dlaczego miałyby tu pozostać przez te wszystkie lata?

Czasami myślałam jak dziecko.

Krew zmyto tak szybko, jak było to możliwe, najprawdopodobniej jeszcze przed złożeniem poranionego ciała pana Twininga do grobu.

Brukowe kamienie nie miały mi zatemnic do powiedzenia, oprócz tego, że dwieście lat szorowały je uprzywilejowane stopy.

Chodnik biegnący wzdłuż murów Anson House miał niecałe dwa metry szerokości.

Podniosłam głowę i spojrzałam wprost na wieżę.

Widziana pod takim kątem, wznosiła się nade mną kamienną ścianą, która kończyła się bardzo, bardzo wysoko lekkim, kamiennym ornamentem, o którego występy ocierały

się leniwie tłuste, białe chmury, co sprawiało wrażenie, że cała budowla pochyla się.

przewraca.

spada na mnie.

Złudzenie to wywołało pewien niepokój w moim żołądku, więc odwróciłam głowę.

Tuż przy brukowym chodniku zaczynały się wytarte kamienne schodki, prowadzące kuszaco przez gotycki portal do podwójnych drzwi. Zanimi, z lewej strony, znajdowała się stróżówka, której przełożony pochylał się właśnie nad telefonem.

Oczywiście nie zauważył, kiedy wślizgnęłam się do środka.

Przedemną ciągnął się -zda się, w nieskończoność -mroczny, zimny korytarz.

Ruszyłam nim przed siebie, unosząc wysoko stopy, żeby nimi nie szurać po łupkowej posadzce.

Po obu stronach korytarza ujrzałam ciągnącą się daleko galerię śmiechniętych twarzy nauczycieli i uczniów.

Każdy z tych greyminsterczyków oddał życie za ojczyznę i każdy miał własną czarną ramkę ze złocistą plakietką, na której wryto napis: "By inni mogli żyć".

Na końcu korytarza, w pewnej odległości od pozostałych, wisiały fotografie trzech chłopców, których nazwiska wypisano na czerwono na mosiężnych tabliczkach.

Pod każdym nazwiskiem widniał napis: "Zaginiony w akcji".

"Zaginiony w akcji"?

Ciekawe, dlaczego nie było tu zdjęcia taty?

Bo smutna prawda wyglądała tak, że tata był przez większość mojego życia równie "zaginiony" jak ci trzej młodzi ludzie, których kości spoczywały gdzieś we Francji.

Byłam przykro, że tak myślałam, ale nie mogłam inaczej.

W tamtej chwili, w mrocznym korytarzu Greyminsteru, w pełni zdałam sobie sprawę z ogromnego dystansu, na jaki trzymał nas ojciec.

Wczoraj byłam gotowa rzucić się na szyję i uściskać go najmocniej, jak umiałam, ale dziś uświadomiłam sobie, że wczorajsza poufała scena więzienia

na nie była dialogiem między nami.

Była ze wszech miarznękanymmonologiem taty.

Który wdodatku nie mówił do mnie, tylko do Harriet.

Zupełnie niechęć, tak jak w przypadku Horace'a Bonepenny'ego, stałam się niczego nieświadomą spowiedniczką.

Z takiej perspektywy Greyminster miejsce, w którym zaczęły się wszystkie kłopoty taty - wydawało się jeszcze bardziej mroczne, odległe i niegościnne niż w rzeczywistości.

Zmroku na końcu korytarza wyłoniła się klatka schodowa prowadząca na pierwsze piętro.

Wspięłam się po schodach na górę i znalazłam się w holu, który tak jak korytarz na dole, biegł przez całą długość budynku.

Drzwi po obu stronach były pozamykane, ale w każdym znajdowało się małe przeszklone okienko, przez które mogłam zajrzeć do środka.

Za drzwiami były klasy.

Wszystkie wyglądały tak samo.

Na końcu korytarza ujrzałam duże narożne pomieszczenie - całkiem obiecujące.

Napis na drzwiach głosił: "Laboratorium chemiczne".

Nacisnęłam na klamkę.

Drzwi były otwarte.

Zdjęłam pierwsze zakłęcie!

Nie wiem, czego się spodziewałam, ale nie spodziewałam się czegoś tak lichego: poplamionych drewnianych stołów, zwykłych kolb, brudnych retort, popękanych probówek, starych Bunsenowskich palników i wiszącej na ścianie kolorowej tablicy Mendelejewa z godnym pożałowania błędem drukarskim: arsen zamieniono na niej miejscami z selenem.

Zauważyłam to od razu.

Wzięłam z tablicy kawałek niebieskiej kredy i pozwoliłam sobie poprawić błąd, rysując między pierwiastkami strzałki i pisząc pod nimi:

"BŁĄD!

". Podkreśliłam to słowo dwukrotnie.

Totak zwane laboratorium nie umywało się do mojego w Buckshaw, a świadomość ta, nie powiem, napawałam mnie dumą.

Zapragnęłam natychmiast wrócić do domu,

znaleźć się w laboratorium i dotknąć błyszczącego szkła.

Uwarzyć idealną truciznę - ot, tak dla przyjemności.

Ale to musiało poczekać.



Miałam pracę do wykonania.

Wyszędłszy nakorytarz, wróciłam na jego środek i jaksię domyślałam - środek budynku.

Jeśli się nie myliłam, powinnam znajdować się tuż pod wieżą, zatem wejście doniej nie mogło być daleko.

Zauważyłam małe drzwi w boazerii, które początkowo wzięłam za schowek na szczotki.

Za nimi znajdowała sięstromea, kamiennaklatka schodowa.

Serce zabiłomi szybciej.

I wtedy zauważyłam tabliczkę, wiszącą na łańcuchu przeciągniętym przez całą szerokość schodków nad czwartymczy piątym stopniem.

Wypisano na niej ręcznie:

Zakaz wejścia na wieżę.

gadanie w kayu będzie surowo karane.

Popędziłam schodami na góręjak strzała.

Poczułam się jak w skorupce łodzika.

Wąskie schody kręciły się w górę bez końca.

Słyszałam tylko echo własnychkroków, nie miałam pojęcia, co byłoprzedemną, a także jeśli już o tym mowa za mną.

Widziałamtylko naodległość dwóch schodków.

Przez pewien czas liczyłam je, wspinając się coraz wyżej, ale później zabrakło mi na to oddechu.

Wspinaczkabyła bardzo stroma, poczułam ukłucie kolki w boku.

Musiałam chwilę odpocząć.

Odrobina światła, jaka padała na schody, pochodziłazmałychszczelinumieszczonych na ścianie co jedenpełny obrót klatki.

Po tej stronie wieży, domyśliłam się, leżał dziedziniec.

Dyszając ciężko, podjęłam wspinaczkę.

Nagle i niespodziewanie schody się skończyły, a przede mną wyrosły małe drewniane drzwiczki.

Przez takiedrzwiczki krasnale wchodzą w lesiedo dębów.

W drzwiach był półokrągły zamek z dziurką na żelazny klucz.

Nie muszę dodawać, że drzwiczki były zamknięte.

Zasyczałam ze złości i usiadłam na górnym schodku, dysząc ciężko.

- Niech todia bli!

- zakląłam, a moje słowa odbiły się głośnie echem od ściany.

- Halo, kto tam?

- rozległ się z dołu jakiś głos, a po nim do moich uszu dobiegło szuranie kroków na schodach.

- Niech todia bli!

- powtórzyłam, tym razem szeptem.

Ktoś mnie zauważył!

- Kto tam?

- dopytywał głos z dołu.

Zasłoniłam usta ręką, żeby przypadkiem nie odpowiedzieć.

Przypadkowo dotknęłam palcem zębów i wpadłam na pomysł.

Tata mówił kiedyś, że nadejdzie taki czas, kiedy będziemy mu wdzięczni za metalowe aparaty ortodontyczne, jakie musiałyśmy nosić, i miał rację.

W moim przypadku cząstka nadszedł teraz!

Używając kciuka i palca wskazującego jak kleszczy, pociągnęłam mocno aparat, który wydał lekki trzask i wypadł mi z ust nadłoni.

Kroki tego, który mnie ścigał, były coraz bliżej, a ja znajdowałam się w ślepych zaułku, oparta o zamknięte drzwi.

Wygięłam aparat, tworząc z niego coś w kształcie litery "L" i wepchnęłam ten nieporadny wytrych w dziurkę od klucza.

Tata każe mi wychłostać, ale nie miałam wyboru.

Zamek był stary i prymitywny, z pewnością zdołam go otworzyć, jeśli tylko wystarczy mi czasu.

- Kto tam?

- dopytywał znów głos z dołu.

- Wiem, że tam jesteś.

Słyszycie.

Wejście na wieżę jest zabronione.

Schodź natychmiast, chłopcze.

"Chłopcze"?

A więc mnie nie widział!

Wsuwałam i wysuwałam drucik aparatu, by wreszcie przekręcić nim w lewo.

Zamek otworzył się bez trudu, jakby naoliwiono go dziś rano.

Otworzyłam drzwiczki i przekroczyłam próg, zamykając je cicho zasobą.

Nie miałam

czasu na przekręcanie zamka od zewnątrz.

Pozatym ten, kto mnie ścigał, miał zapewne klucz.

Znalazłam się w mrocznym jak piwnica na węgiel pomieszczeniu. Nie byłow nim wpuszczających trochę światła szczelin, tak jak na schodach.

Kroki zatrzymały się przed drzwiami.

Odsunęłam się bezgłośnie na bok i rozpląszczyłam się na ścianie.

- Kto tam?

- powtórzył głos.

- Kto tam, powiadam?

Usłyszałam klucz wsuwany do zamka, niezamknięte drzwi otworzyły się same, a w szparze ukazała się męska głowa.

Promień jego latarki omiatał dziwny labirynt drabin, wyłaniających się z ciemności.

Postępował metodycznie:

oświetlał każdą drabinę po kolei, od góry do dołu, szczebel po szczeblu.

Wyżej, nad drabinami, nic nie było widać.

Zamarłam w bezruchu, przestałam nawet mrugać.

Kątem oka widziałam sylwetkę mężczyzny na tle otwartych drzwi - siwe włosy i straszliwy wąs.

Był tak blisko, że mogłabym go dotknąć.

Wstrzymałam oddech - chyba na wieczność.

- Przeklęte szczury!

- mruknął pod nosem mężczyzna i zatrzasnął drzwi, zostawiając mnie w całkowitej ciemności.

Zachrząściły klucze, usłyszałam przekręcany zamek.

Zamknął mnie.

Powinno zapewne zacząć krzyczeć, ale nie zrobiłam tego.

Strach wcale nie odebrał mi rozumu.

Przeciwnie, całkiem nieźle się bawiłam.

Wiedziałam, że jeśli teraz otworzę wytrychem drzwi zejść na dół, wpadnę prosto nastróża.

Nie mogłam też tkwić wiecznie tu, gdzie tkwiłam.

Nie pozostawało mi zatem nic innego, jak wspiać się wyżej.

Wystawiłam ręce przed siebie jak lunatyki przesuwając wolno stopy do przodu.

Po chwili dotknęłam pierwszej z drabin, które stróż wydobył z ciemności za pomocą latarki.

Zaczełam się po niej wspinać.

Nie ma nic trudnego we wchodzeniu po drabinie pociemku.

W zasadzie wchodzenie po drabinie to ciemkoma tę wyższość nad wchodzeniem po drabinie, kiedy jest jasno, że nie widzi się otchłani pod własnymi stopami.

Z każdym pokonywanym przeze mnie szczeblem, moje oczy przyzwyczajają się do niemal absolutnej ciemności.

Tu i ówdzie dostrzegałam szpileczki światła, które wpadały do środka przez szczelinki w kamieniu i drewnie.

Wkrótce byłam w stanie dostrzec ogólny zarys czarnej jak smoła drabiny w szaroczarnej ciemności wieży.

Szczeble skończyły się i znalazłam się na małej drewnianej platformie, niczym w bocianim gnieździe.

Z lewej strony dostrzegłam kolejną drabinę wiodącą ku mrokom.

Potrząsnęłam nią na próbę.

Zaskrzypiała straszliwie, ale była mocno przytwierdzona do podłoża.

Wzięłam głęboki oddech i postawiłam stopę na pierwszym szczeblu.

A potem powędrowałam na górę.

Pominięcie dotarłam do górnej, mniejszej i bardziej zdradliwej platformy.

I znów drabina - węższa i bardziej wiotka od dwóch pierwszych.

Zatrzęsła się niepokojąco, kiedy postawiłam na niej nogę i rozpoczęłam wolną, przerażającą wspinaczkę.

W połowie drogi zaczęłam liczyć szczeble:

- Dziesięć (mniej więcej) .

jedenaste.

dwanaście.

trzynaście.

Uderzyłam w coś boleśnie głową i przez chwilę widziałam tylko wirujące gwiazdy.

Trzymałam się kurczowo szczebli, a głowa bolała mnie jak rozłupany melon.

Zrobiona chyba z zapalek drabina wibrowała w moich dłoniach jak struna.

Czułam się tak, jakby mnie oskalpowano.

Podniosłam rękę, żeby pomacać rozbitą głowę, i trafiłam palcami nadrewniany uchwyt.

Pchnęłam go resztką siły.

Kłapa nad moją głową uniosła się.

W mgnieniu oka wygramoliłam się na dach wieży, mru

gając jak sowa o świcie.

Byłam naszczycie wieży, które jupkowydach opadał łagodnie od platformy, na jakiej się znalazłam, we wszystkie cztery strony świata.

Widok był niezapomniany!

Za dziedzińcem i dachem kaplicy rozciągały się różne odcienie zieleni, które znikwały we mgle nad horyzontem.

Mrużąc oczy od światła, zrobiłam krok ku krawędzi platformy i omal niepostradałam życia.

Przede mną ziała dziura.

Wymachując rozpaczliwie ramionami, robiłam wszystko, żeby w nią nie wpaść.

Udało się, stanęłam spokojnie nad krawędzią dziury i zrobiłam sobie niedobrze od widoku brukowych kamieni na dole, lśniących czarno w słońcu.

Otwór miał jakieś pół metra szerokości, otoczony był centymetrowym murem, który łączył szczytową platformę z dachem. Domyśliłam się, że dziura ta służyła do odprowadzania nadmiaru wody z dachu podczas szczególnie gwałtownych ulew.

Przeskoczyłam ją ostrożnie i wyjrzałam z zasięgającymi do pasa blank.

W dole ciągnął się porośnięty z trzech stron trawą dziedziniec.

Przylegający do murów Anson House brukowy chodnik nie był widoczny poniżej wystających blank.

Dziwne, pomyślałam.

Jeśli pan Twining skoczył stąd, mógł wylądować tylko natrawie.

O ile, rzecz jasna, przez trzydzieści lat, jakie upłynęły od jego śmierci, nie zmieniono wyglądu dziedzińca.

Ale kolejne spojrzenie przez otwór za moimi plecami - od którego, nawiasem mówiąc, zakreśliło mi się w głowie - upewniło mnie, że dziedziniec pozostał niezmieniony:

brukowy chodnik i rosnące wzdłuż niego lipy wydawały się nie naruszone.

Pozostawało zatem jedno wytłumaczenie - pan Twining wypadł na bruk przez otwór, który miałam za sobą.

To nie ulegało wątpliwości.

Za moimi plecami rozległ się jakiś hałas.

Odwrociłam głowę.

Na samym środku dachu wyrosła szubienica, na której wisiał trup!

Zakryłam usta ręką, żeby nie krzyknąć.

Trup obracał się i kręcił nawietrze, jak skrepowane ciało powieszzonego rozbójnika, którego egzekucję widziałam na stronach Newzate Calendar.

Nagle bez ostrzeżenia eksplodował brzuch wisielca, a w powietrzu uniosły się poskręcane sznury czerwonych, białych i niebieskich flaków!

Flaki rozwinęły się z głośnym trzaskiem i nagle nad moją głowę wyrosła na maszcie flaga Zjednoczonego Królestwa, która załopotiała na wietrze.

Odetchnęłam z ulgą.

Kiedy doszłam trochę do siebie, przekonałam się, że flagę i maszt wyposażono w taki lunek umożliwiający jej podnoszenie i opuszczanie z dołu, prawdopodobnie ze stróżówki.

Taki lunek składał się z kilku sznurów i kołowrotek, a na ich końcu znajdował się wodoodporny worek, z którego wydobywała się flaga. Właśnie ten worek wzięłam za wisielca, a maszt za szubienicę.

Uśmiechnęłam się głupkowato z własnej bezmyślności i ostrożnie podeszłam bliżej do mechanizmu, żeby musieć przyjrzeć.

Ale oprócz pomysłowych rozwiązań technicznych urządzenia nie było w nim nic, co wzbudziłoby moją ciekawość.

Odwrociłam się i ruszyłam z powrotem ku dziurze.

Nagle potknęłam się i upadłam na brzuch z głową nad krawędzią otchłani.

Mogłam połamać sobie wszystkie kości, ale byłam zbyt przerażona, żeby to sprawdzić, ruszając choćby małym palcem.

Miliony mil pode mną - tak to przynajmniej wyglądało - z Anson House wyszły dwie ludzkie mrówki i ruszyły przez dziedziniec.

Cieszyłam się, że żyję.

A w miejsce strachu pojawił się gniew - złość na moją własną głupotę i niezdarność oraz wściekłość na niewidzialną wiedźmę, która mnie prześladowała, sprawiając, że przez całe życie traślałam, na zamknięte drzwi i strome dachy, na których zdierałam sobie kolana i łokcie.

Wstałam ostrożnie i otrzepałam się.

Byłam nie tylko brudna; nie wiem jakim cudem, ale zdołałam oderwać dopołowy podeszwę lewego trzewika.

Przyczyna cudu stała się jasna, gdy zobaczyłam ostrą krawędź dachówki,

która oderwała się od dachu i leżała na nim luzem, niczym jednaz tablic, na których Mojżesz dostał Dziesięcioro Przykazań.

Położę ją na swoim miejscu, pomyślałam.

W przeciwnym razie mieszkańcom Anson House zacznie lać się nagłowywoda i będzie tomojawina!

Dachówka była cięższa, niż przypuszczałam, i musiałamopaść nakolana, wpychając jąna miejsce.

Może się obróciła, amożepozapadały się sąsiednie dachówki.

tak czyinaczej, nie mogłam wsunąć jej na powrót w czarny otwór, zktórego wyrwałam ją czubkiem buta.

Mogłabym wsunąć dłońw otwór i sprawdzić, czy nie matam czegoś, coprzeszkadza dachówce, ale przypomniałamsobieo pająkach i skorpionach zamieszkujących takie groty.

Zamknęłam oczy i wsunęłam dodziury palec.

Potemdrużi, trzeci i czwarty.

Wyczułam coś na dnieotworu.

coś miękkiego.

Wyciągnęłam dłońi pochyliłam się nad dziurą, żebyzajrzeć w głąb.

W środku było tak ciemno, że nie zdołałam niczego dostrzec.

Bardzo ostrożnie ponownie wsunęłam palce wotwór.

Kciukiem i palcem wskazującym chwyciłam to, co byłona dnie.

Wyciągnęłam to coś bez trudu, bo był to materiał, który znalazłszy się na dachu, załopotał jak flaga nad mojągłową.

Miał rdzawoczarnąbarwę i zdajesię, że był to takzwany sztruks Russella materiał, z jakich szyje się nauczycielskie togi.

Zgadza się, trzymałam w rękach cuch.



nącą pleśnią togę.

W środku był zwinięty i pogięty, czarny, kwadratowy biret.

Natychmiast domyśliłam się z niemal stuprocentową pewnością, że odkryłam rzeczy, które musiały odegrać jakąś rolę w śmierci pana Twininga.

Nie miałam pojęcia jaką, ale na pewno się dowiem.

Wiem, powinnam była zostawić te rzeczy na miejscu.

Powinnam zejść na dół i z najbliższego telefonu zadzwonić do inspektora Hewitta.

Lecz zamiast tego zaczęłam się zastanawiać, jak wymknąć się z Greyminsteru niezauważona?

I jakto często bywa, kiedy ma się zgryzoty, odpowiedź nasunęła się sama.

Wsunęłam ręce w rękawy zapleśniałej togi, wyprostowałam pogiętą koronę biretu i włożyłam go na głowę.

Jak wielki czarny nietoperz zesłam ostrożnie na dół po trzech rozchwianych drabinach i stanęłam przed zamkniętymi drzwiami.

Wytrych sporządzony przez mnie z aparatu ortodontycznego zadziałał za pierwszym razem, powinien więc zadziałać i po raz drugi. Wsunęłam go w dziurkę od klucza, modląc się jednocześnie do świętych, którzy zajmują się takimi rzeczami.

Drut szorował o dno zamka i gwałcił się nieustannie.

Klęłam na czymś wiat stoi, ale w końcu ktoś wysłuchał moich modlitw i zamek otworzył się z posępnym sieknięciem.

Po mniej niż jednej zdrowaśce byłam już nadole i nasłuchiwałam przy drzwiach w boazerii, a potem wyjrzałam przez szparę nadługi korytarz.

Wszędzie panowała martwa cisza.

Otworzyłam drzwi, wyszłam cicho do holu i zesłam szybko na dół do galerii zaginionych chłopców.

Minęłam pustą stróżówkę i znalazłam się w jaskrawym słońcu.

Dziedziniec był pełen uczniów - tak przynajmniej mi się wydawało.

Chłopcy chodzili, odpoczywali, rozmawiali ze sobą i wybuchali śmiechem.

Cieszyli się świeżym powietrzem i nadchodzącym końcem semestru.

Instynkt podpowiadał mi, że bym skuliła ramiona i przygarbiona przemknęła się truchtem przez dziedziniec, licząc na to, że mnie nie zauważą.

Ale musieliby mnie zauważyć -wśród tej sfory chłopców wyróżniałabym się jak ranny łódź z tyłustada.

Nie! Zrobię inaczej!

Wyprostuję się i z podniesioną głową przebiegnę przez dziedziniec w kierunku alejki, jak chłopiec spóźniony na zajęcia sportowe.

Modliłam się tylko o to, żeby nikt nie zauważył, że mam sukienkę pod togą.

Nikt nie zauważył.

Nikt nawet na mnie nie spojrział.

Im bardziej oddalałam się od dziedzińca, tym czułam się bezpieczniejsza, choć zdawałam sobie sprawę, że właściwie teraz zaczęłam rzucać się w oczy.

Przede mną na trawniku rósł wielki dąb -był tu zapewne od czasów Robin Hooda.

Wyciągnęłam rękę, żeby go poklepać, gdy zza pnia wyłoniło się czyjeś ramie i chwyciłam mnie za nadgarstek.

-Au! Puszczaj!

To boli!

- krzyknęłam instynktownie i natychmiast mnie puszczone, bo stałam już oko w oko z napastnikiem.

Był to detektyw sierżant Graves, który wydawał się niemniej zaskoczony ode mnie.

- No, no, no.

- powiedział z lekkim uśmiechem.

-No, no, no.

Miałam zamiar skomentować barokowy styl jego wypowiedzi, ale ugryzłam się w język.

Wiedziałam, że sierżant mnie lubi, a teraz potrzebowałam wielu sprzyjających mi osób.

- Inspektor Hewitt wina sobie zamienić z tobą kilka słów powiedział, wskazując grupkę ludzi, którzy stali w alejce, gdzie zostawiłam Gladys.

Nie powiedział nic więcej, ale gdy zbliżyliśmy się dorozmawiających mężczyzn, wypchnął mnie lekko przed siebie ku Hewittowi, jak wierny terier przynoszący panuzdechłego szczura.

Oderwana podeszwatrzewikaczłapała o ziemię jakobuwie Charliego Chaplina.

Inspektor natychmiast to zauważył, ale wrodzona delikatność nie pozwoliła mu wyrazić opinii na ten temat.

Sierżant Woolmer stał przy granatowym vauxhallu.

Jego wielka twarz była pobrużdżona jak Matterhorn.

W cieniu Woolmer stał żylasty, mocno opalony mężczyzna w kombinezonie i starszy, nieduży jegomość z białymi wąsami, który namój widok wyraźnie się rozpromienił.

- To on!

- krzyknął.

- To na pewno on!

- Doprawdy?

- zapytał inspektor Hewitt, zdejmując bilet z mojej głowy i togię z ramion z szacunkiem usłużnego lokaja.

Jasno błękitne oczy starszego pana omal nie wyszły z orbit.

- To przecież dziewczynka.

- wymamrotał.

Powinam dać mu w twarz!

- Tak jest, to ona!

- dorzucił opalony.

- Obecny tupan Ruggles - zaczął inspektor, wskazując brodą wąsatego pana - mapowody, aby przypuszczać, że była śna wieży.

- A jeśli byłam, to co?

- zapytałam.

- Nie można rozejrzeć się po okolicy?

- Wieża jest zamknięta!

- oznajmił głośno pan Ruggles.

- Nie wolno na nią wchodzić!

Tak stoi napisane czarno nabiiałym na tablicy.

Nie umiesz czytać?

Obdarzyłam go pełnym wdzięku wzruszeniem ramion.

- Jakbym wiedział, że jesteś dziewczynką, wlaźłbym potych drabinach za tobą na dach - dodał pan Ruggles, a zwróciwszy się do inspektora, oznajmił: - Choć kolana już nie te, co kiedyś.

-Wiedziałem, że tam jesteś!

- ciągnął.

-Udałem, że

to szczury, żebym mógł zejść zadzwonić po policję.

Iniemów mi, że nie otworzyłaś wytrychem zamka!

Znam się natym zamku, sam go konserwuję i wiem, że był zamknięty.

Mam co do tego taką samą pewność jak to, że stoję teraz w alei Fludda.

Aż się zacukał, kręcąc z niedowierzaniem głową.

- No, wyobraźcie sobie, panowie - zwrócił się do pozostałych.

- Dziewczynka!

- Sforsowałaś zamek, czy tak?

- zapytał inspektor Hewitt.

Był zniesmaczony, choć udawał, że nie jest.

- Gdzie się tego nauczyłaś?

Nie mogłam mu powiedzieć.

Musiałam chronić Doggera ze wszystkich sił.

- Sama nie wiem.

- odpowiedziałam niewinnie.

Inspektor wbił we mnie stalowe spojrzenie.

- Być może są tacy, których satysfakcjonują tego rodzaju odpowiedzi, Flawio, ale ja do nich nie należę!

Zaraz zaczęłam mówić o tym, że król Jerzy nie zna się na żartach, pomyślałam.

Ale inspektor Hewitt czekał na pełni go satysfakcjonującą odpowiedź, której nie mogłam mu udzielić.

-W Buckshaw bywa czasami nudno powiedziałam.

Więc uczę się różnych rzeczy, żeby nie marnotrawić czasu.

Wyciągnął ku mnie rękę z togią i biretem.

- I dlatego przebrałaś się w ten kostium?

Żeby się nienudzić?

-To nie jest kostium!

- oznajmiłam stanowczo.

-Jeśli chce pan wiedzieć, znalazłam te rzeczy pod obłuzowaną dachówką na wieży.

Jestem pewna, że mają jakiś związek ze śmiercią pana Twininga.

Równie pewna, jak to, że stoję w alei Fludda.

Oczy pana Rugglesa znów wyszły z orbit.

- Ze śmiercią pana Twininga?

- powtórzył.

-Tego, coskoczyłz wieży?

- Pan Twining nie skoczył z wieży - rzuciłam od niechcienia.  
Nie mogłam powstrzymać się, żeby nie wyrównać rachunków z tym złośliwym staruszkiem.

- Pan Twining został zep.

- Dziękujemy ci, Flawio - przerwał mi inspektor Hewitt.

Już wystarczy.

Panie Ruggles, nie będziemy zabierać więcej pańskiego cennego czasu.

Wiemy, że jest pan zapracowany.

Ruggles nadął się jak indyk i kiwnąwszy głową inspektorowi oraz obdarzywszy mnie impertynenckim uśmiechem, ruszył przez trawnik do stróżówki.

- Panu również dziękujemy za meldunek, panie Plover.

Hewitt zwrócił się do milczącego mężczyzny w kombinezonie.

Pan Plover poprawił grzywkę i bez słowa wrócił do traktora.

- Nasze starożytne szkoły prywatne są jak miasta w miniaturze  
oznajmił sentencjonalnie inspektor, podkreślając swoje słowa odpowiednim gestem.

- Pan Plover ujrzałw tobie intruza wchwili, gdyskręciłaś w alejkę.  
Inatychmiastpobiegł powiadomić stróża.

Niech go szlag!

I niech szlag trafi starego Rugglesa!

Muszę zapamiętać, żeby po powrocie do domu wysłać im po flaszkę różowej lemoniady, niby na zgodę.

Było już zapóźno na zawilce, więc trująca ranunkulina nie wchodziła w grę, ale pokrzyk wilcza jagoda choć niezbyt rozpowszechniony nadawał się w sam raz, jeśli wiedziało się, gdzie go szukać.

Inspektor Hewitt podał bilet i toę sierżantowi Gravesowi, który już wyciągał z walizki arkusz papieru do pakowania.

- Bomba!

- ucieszył się sierżant.

- Oszczędziła namczołgania się po tych łupkach.

Inspektor spiorunował go wzrokiem.

- Przepraszam, to była niestosowna uwaga -

powiedziawsierżant, zapłonil się jak piwonia i zabrał do pakowania.

- Opowiedz mi po kolei, jak znalazłaś te rzeczy - poprosił mnie  
Hewitt, jakby nic się nie stało.

- Niczego nieopuszczaj niczego nie zmyślaj.

Kiedy opowiadałam mu wszystko, zapisywał moje słowa szybkim,

drobnym pismem.

Ponieważ często siadywałam naprzeciw Feli, gdy ta przy śniadaniu robiła wpisyw swoim pamiętniku, byłam całkiem dobra w czytaniu dogóry nogami, ale literki inspektora Hewitta wyglądały jak mrówki maszerujące poprzez stronę notesu.

Powiedziałam mu najprawdziwszą prawdę- od chybionych drabin, przez dziurę, do której o mało nie wpadłam, do obłuzowanej dachówki i mojej sprytniej ucieczki.

Kiedy skończyłam, postawił jakieś znaczki przy moim zeznaniu, choć nie miałam pojęcia jakie.

Następnie zatrzasnął notes.

- Dziękujemy ci, Flawio powiedział.

Ogromnie nam pomogłaś.

No cóż, miał przynajmniej odwagę to przyznać.

Stałam, czekając na dalsze pochwały.

- Obawiam się, że skarbiec króla Jerzego nie wytrzyma odwożenia cię co rusz do domu - powiedział.

Wrócisz zatem sama.

- Mam nastawić wodę na herbatę?

zapytałam.

Wyraz twarzy inspektora Hewitta, który stał przede mną na trawniku, mógł oznaczać wszystko.

Po minucie dunłoby Gladys szumiały uszczęśliwione na asfalcie, a ja zostawiłam inspektora Hewitta "i jemu podobnych" - jak powiedziałyby Dafi - daleko za sobą.

Nie przejechałam nawet ćwierć mili, gdy wyprzedził mnie vauxhall. Pomachałam im jak szalona, ale mieli dziwnie ponure miny za szybami auta.

Przejechałam jeszcze kilkadziesiąt metrów, gdy ujrzałam,

jak zapalają się czerwone światła hamulców, a samochód jedzie na pobocze.

Kiedy podjechałam do nich, inspektor Hewitt opuszczał właśnie szybę.

- Zawieziemy cię do domu.

Sierżant Graves włożył rower do bagażnika.

- Czy król Jerzy nagle się wzbogacił, inspektorze?

- zapytałam wyniośle.

Najego twarzy pojawił się grymas, jakiego wcześniej niewidziałam. Byłabym gotowa przysiąc, że grymas ten wyraża zmartwienie.

- Nie - odpowiedział.

- Król Jerzy nie wzbogacił się nagle.

Natomiast ja zmieniłam zdanie.

### DZIEWIĘTNAŚCIE

Nie chciałam ujmować tego zbyt dramatycznie, ale muszę wyznać, że tamtej nocy spałam snem skazańca przedegzekucją.

Śniły mi się wieżyczki i popękane występy, omiatane wiatrem niosącym deszcz z nad oceanu, a także zapach fiołków.

Przy moim łóżku stała blada dama w elżbietańskim stroju i szeptała mi do ucha, że zaraz złączą białe dżony.

Na nadmorskich palach siedział stary rybak w sztormiaku i naprawiał siatkę, daleko nad morzem leciał samolot wprost ku zachodzącemu słońcu.

Kiedy się w końcu obudziłam, słońce świeciło prosto w okno.

Poczułam, że jestem straszliwie przeziębiona.

Zanim zeszłam na śniadanie, skończyły mi się wszystkie chusteczki z szuflady i musiałam zacząć korzystać z całkiem niezłego na katar kąpielowego ręcznika.

Nie trzeba dodawać, że byłam w nie najlepszym humorze.

- Nie zbliżaj się do mnie!

- powiedziała Fela, gdy siadałam na samym końcu stołu, prychnąwszy jak delfin.

- Niech cię piekło pochłonie, jędo!

- mruknęłam pod nosem i skrzyżowałam palce.

- Flawia!

Mieszałam płatki kawałkiem tosta.

Mimo przypalonych kruszów chleba, jakie do nich wpadły, nadal smakowały jak wilgotny karton.



Poczułam szarpnięcie, odzyskałam świadomość jak powystrzale na nudnym filmie.

Usnęłam przy stole.

- Co ci jest?

- pytała mnie Fela.

- Jesteś niezdrowa?

- Zapadła w irytującą drzemkę na skutek onegdajszej łobuzerki lub rozpusty wytłumaczyła wszystko Dafi.

Dafne czytała ostatnio przed snem kilka stron powieści Pelham Edwarda Bulwer-Lyttona.

Dopóki jej nie skończy, będzie codziennie karmić nas przy śniadaniu poznanymi frazami, napisanym stylem tak nieelastycznym i sztywnym jak kominkowy pogrzebacz.

"Onegdajszy", przypomniałam sobie, odnosi się do dnia, który upłynął. Kiwałam głową, słuchając reszty zdania, gdy nagle Fela zerwała się z za stołu.

- Dobry Boże!

- wykrzyknęła, otulając się peniuarem jak całunem.

- A któż to taki?

Ktoś stał przy rozsuwanych drzwiach, zaglądając do środka, w czym pomagały mu przyłożone do szyby dłonie.

- Topisarz - rzuciłam krótko.

- Zajmujesz się wiejskimi posiadłościami.

Nazywa się Pemberton.

Fela zapiszczała i pobiegła na górę, gdzie - jak się domyślałam - wciągnie na siebie obcisły niebieski sweterek, przypudruje poranne pryszcze, po czym spłynie na dół schodami, udając, że jest kimś innym - na przykład Olivią de Havilland.

Zawsze tak robiła, kiedy w naszej posiadłości pojawiał się obcy mężczyzna.

Dafi bez specjalnego zainteresowania obrzuciła wzrokiem przybysza, po czym wróciła do czytania.

Wszystko jak zwykle spadło na moje barki.

Wyszłam na taras, zamykając za sobą drzwi.

- Dzień dobry, Flavio!

- ucieszył się na mój widok Pemberton.

- Czy dobrze spałaś?

Czy dobrze spałam?

Coto w ogóle za pytanie!

Przecieżwidział, jak wyglądam, ze śpiochami woczach, zwłosamijak gniazdo szczurów iz nosem ciekącym jak zepsuty kran.

Poza tym, o ile wiedziałam, pytanie o dobry bądź zły sen było zarezerwowane dla tych,którzyspędzali noc pod jednymdachem. Co prawda,nie byłam tego pewna, ale sprawdzęto w Etykiecie dla dam Beetona.

Dostałam tę książkęod Felina urodziny.

Służyła mi jako podpórka krótszej nogi łóżka.

- Obawiam się, że nie - odpowiedziałam.

- Chyba sięprzeziębłam.

-Bardzo mi przykro.

Miałemnadzieję, że porozmawiam dziś z twoim ojcem o Buckshaw.

Nie chciałbymbyć natrętny, aleczas,jaki spędzę tutaj, dobiega końca.

Od czasu wojny koszty utrzymania się poza domem, nawetw tak skromnej gospodzie jak Trzynaście Kaczorów,wzrosły wprost szokująco.

Nikt nie lubiprzyznawać się doubóstwa, ale my, ubodzy pisarczykowie, nadal żywimysię,pojmujesz, chlebem z serem.

- Czyjadłpan śniadanie, panie Pemberton?

- zapytałamuprzejmie.

-Jestem pewna, że paniMulletzdoła cośprzygotować.

- Bardzomiło, że pytasz, Flawio - odpowiedział.

-Alepan Stoker urządziłmi ranoprawdziwą ucztę z dwóchkielbas i jajka.

Boję się o guziki mojej kamizelki.

Nie byłampewna, jak to odebrać, a przeziębienie sprawiało, żebyłam zbyt naburmuszona, żeby zapytać.

- Może ja zdołam odpowiedzieć na pańskie pytaniazapropnowałam.

Tatę zatrzymano.

Tak, to było właściwe słowo, ty szczwanalisiczko, Flawio!

- Tatę zatrzymano w mieście.

-Och, nie sędzę, żebyś interesowała się sprawami,o jakie chcę zapytać.

Mam kilka pytańo osuszaniu terenuio ustawach o ogradzaniu.

Sama widzisz.

Miałem nadzieję, że w apendyksie opiszę zmiany

architektonicznewprowadzone w XIX wieku przez Antony'ego i

Williamade Luce'ów.

Chciałem zatytułowaćten aneks "Podziałdomu" lub coś w tym rodzaju.

Lepszym tytułem byłby "Dom w ruinie" - mruknęłam.  
Mimo kataru nadal umiałam fechtować się najlepszymi.  
Aległosne, mokre kichnięcie zepsuło cały efekt.

Mam pomysł, może pozwoliłabyś mi wejść na chwilę, rozejrzeć się po domu i zrobić szybkie notatki.

Obiecuję, że nie będę nikogo niepokoił.

Zastanawiałam się nad synonimami słowa "nie", kiedy rozległo się głuche dudnienie, a między drzewami pojawił się Dogger za kierownicą naszego starego traktora.

Wiózł kompost do ogrodu.

Pan Pemberton zauważył, że zerkammu przez ramię, i odwrócił się, podążając za moim wzrokiem.

Kiedy zobaczył Doggera, pomachał mu przyjaźnie.

To stary Dogger, prawda?

Wierny służący.

Dogger przyhamował i rozglądał się, żeby sprawdzić, do kogo machał Pemberton.

Kiedy nikogo nie zauważył, uchylił kapelusza, a potem podrapał się głowę.

Wygramolił się z traktora i ruszył ku nam przez trawnik.

Ach, Flawio.

odezwał się Pemberton, nerwowo zerkając na zegarek.

- Zupełnie o tym zapomniałem, ale umówiłem się z moim wydawcą w Nether Eaton, gdzie mamy obejrzeć pewien grobowiec z rzeźbionym całunem wielką rzadkość, gdyż rzeźbiarz umieścił na całunie obie ręce zmarłego.

W dodatku otoczył grobowiec wielce osobliwą balustradą.

Stary Ouarrington ma bzikana punkcie grobowców, więc będzie lepiej, jeśli się nie spóźnię.

Bogdybym się spóźnił, Ażurowe grobowce Pembertona pozostaną sferze moich marzeń.

Podniósł artystyczny plecak i zbiegł poschodkami z tarasu.

Zatrzymał się dopiero przyrogu domu, by przymknąć oczy i głęboko odetchnąć świeżym, porannym powietrzem.

Uszanowania dla pułkownika de Luce'a zawołał i zniknął.

Dogger powłóczył nogami, jakby nie spał tej nocy.

- Goście, panno Flawio?

- zapytał, zdejmując kapelusze ocierając czoło rękawem.

- Niejaki pan Pemberton - odpowiedziałam.

- Pisze książki o wiejskich posiadłościach, grobowcach i takich tam.

Chciał porozmawiać z tatą o Buckshaw.

- Chyba o nim nie słyszałem - mruknął Dogger.

- No, ale ja nie czytam za dużo.

Mimo to, panno Flawio.

Domyśliłam się, że chce mi wygłosić kazanie, pełne przypowieści i mrozących krew w żyłach szczegółów, o niebezpieczeństwach płynących z rozmawiania z nieznanymi, ale nie zrobił tego.

Dotknął tylko palcem rękaw kapelusza, więc milczeliśmy oboje, gapiąc się na trawnik jak krowy.

W swoim "Mimo to, panno Flawio.

"Dogger zawarł cały przekaz, jaki powinnam odebrać.

Kochany stary Dogger!

Uwielbiałam jego metody wychowawcze.

Wśród których znalazło się też miejsce na benedyktyńską naukę forsowania zamków.

Któregoś dnia zastałam go dłubiącego czymś przy drzwiach szklarni.

Okazało się, że podczas jednego z "epizodów", zgubił klucz do szklarni i próbował otworzyć jej drzwi odpowiednio wygiętym, starym kuchennym widelcem, który znalazł na grządce.

Ale za bardzo drżały mury.

Kiedy spotykało się go w takim stanie, można było odnieść wrażenie, że dotknięcie go palcem wywoła śmiertelnie niebezpieczne wyładowanie elektryczne.

Mimo to zaproponowałam, że mu pomogę, i nie upłynęło wiele minut, gdy pokazywał mi, jak należy robić takie rzeczy.

- To całkiem proste, panno Flawio - tłumaczył po mojej którejś z rzędu nieudanej próbie.

Wystarczy zapamiętać skrót WON: wytrwałość, obrót, napięcie.

I wyobrazić sobie, że mieszka się w zamku.

Nie w Buckshaw, ale w zamku u drzwi.

I trzeba słuchać się opuszków palców.

Gdzie się tego nauczyłeś?

zastanawiałam się głośno.

po sforsowaniu zamka.

Co okazało się łatwizną, gdy już pojęło się, na czym to polega.

Sam nie wiem.

odpowiedział niewinnie, po czym wszedł do szklarni, w której był zbyt zajęty, by odpowiadać na dalsze pytania.

Laboratorium było zalane słońcem, ale mimo wspaniałej pogody nie potrafiłam się na niczym skupić.

Miałam w głowie zamęt od tego, co usłyszałam od taty i co samawykombinowałam na temat śmierci pana Twininga i Horace'a Bonepenny'ego.

Jakie znaczenie miały toga i biret znalezione przez mnie pod dachówką Anson House?

Do kogo należały i dlaczego je tam wepchnięto?

Zarówno w opowieści, jak i w sprawozdaniu "Hinley Chronicle", pan Twining miał na sobie togi, kiedy spadał z wieży.

To niemożliwe, żeby wszyscy świadkowie się mylili.

Pozostawała jeszcze kwestia kradzieży "Ulsterskiego mściciela" Jego Wysokości oraz bliźniaczego znaczka, który należał do doktora Kissinga.

Co się stało z doktorem Kissingiem?

Może panna Mountjoy zna jego dalsze losy?

Wyglądało na to, że wiele wie o tej sprawie.

Może doktor Kissing jeszcze żyje, choć to mało prawdopodobne?

Upłynęło trzydzieści lat od tamtej niedzieli, podczas której - jak mi się zdawało - spłonął jego najcenniejszy znaczek.

Kręciło mi się w głowie od tego wszystkiego, nie potrafiłam trzeźwo myśleć.

Miałam zajęte zatoki, łza wiły mi oczy i czułam nadchodzący potworny ból głowy.

Musiałam się jakoś wyleczyć i oczyścić umysł.

To była moja wina - nigdy nie powinnam była dopuścić, żeby przemarzły mi stopy.

Jak nieustannie powtarzała pani Mullet: "Kto ciepło w stopy ma, ten katarowi się

nie da".

Nie pozostawałam nic innego, jak zejść na dół.

Powlokłam się do kuchni, gdzie pani Mullet jak zwykle piekła ciasto.

Pociągasz nosem, moja droga!

-powitałam mnie, podnosząc głowę z nad wałka.

Zaraz ugotujęci rosół!

Takobietą potrafiła być irytująco domyślna.

Słowo "rosół" wypowiedziała niemalszeptem, a następnie obdarzyła mnie konspiracyjnym spojrzeniem.

Gorący rosół zaczęła swoją okolicznościową wypowiedź - to sekret, jaki zdradziła mi pani Jacobson napodwieczorku w Instytucie dla Pań.

Sekretten jej rodzina utrzymywała w tajemnicy od czasów wycieczki z Egiptu.

Pamiętaj, że nic ci nie powiedziałam.

Inny ulubiony "sekret" pani Mullet miał związek ze eukaliptusem. Zmusiła Doggera, żeby wyhodował jej tę roślinę w szklarni, a następnie gorliwie poukrywała gałązki eukaliptusa w całym Buckshaw, jako lekarstwo na przeziębienie i grypę.

Eukaliptus w szafie, grypa cięnie złapie powtarzał w kółko triumfalnym tonem.

I w jakimś sensie jej kute napoczekaniu przysłowie sprawdzało się w Buckshaw odkąd porozkładała ciemnozielone, woskowe listki w najmniej spodziewanych miejscach w całym domu, nikt z nas nie miał nawet kataru.

Dodziś.

Coś musiało zawieść.

Dziękuję zarosół, pani Mullet.

Właśnie umyłam zęby.

To było kłamstwo, ale nic innego nie przyszło mi do głowy.

Byłam męczennicą, że ciekłymi z nosa, to jeszcze myłam zęby!

Wychodząc z kuchni, zajrzałam do spiżarni, skąd podwędziłam zawierającą żółte granulki buteleczkę z napisem "Bulion Partingtona z kurczaka".

W korytarzu urwałam z doniczki garść liści eukaliptusa.

Po powrocie do laboratorium odnalazłam słoiczko kwaśnym węglanem sodu, oznaczony przez wujka Tara pajęczym,

ozdobnym pismem jako sal aeratus, oraz zwyczajnie jako Sod.

Bicarb.

- by odróżnić go odkwaśnego węglanu potasu, który także nazywano niekiedy są?

aeratus.

Pot.

Bicarb.

nadawał się bardziej do gaśnic niż do ludzkiego żołądka.

Kwaśny węglan sodu miał wzór  $\text{NaHCO}_3$ .

Wieśniacy nazywali go "sodką" albo "sodą do pieczenia".

Obiło mi się o uszy, że używali soli alkalicznych do leczenia najgorszych przeziębień.

Wymyślone przeze mnie na poczekaniu lekarstwo na katar miało z chemicznego punktu widzenia głęboki sens - jeśli "sodka" leczy przeziębienie i podobne właściwości ma "bulion", żaden katar nie oprze się leczniczej mocy musującego bulionu!

Pomysł był wprost niesamowity!

Opatentuję jako pierwsze na świecie antidotum na przeziębienie:

Dehkwescencja de Luce'ów.

Rewolucyjna receptura Flawiil

Odmierzając dwieście dwadzieścia mililitrów wody pitnej, którą przelałam do zlewki, zdobyłam się nawet na zaniechanie pod nosem umiarkowanej radośnej pieśni.

Odstawiłam zlewkę na palnik, żeby zagotować wodę.

Czekając na wrzątek, wrzuciłam kawałki eukaliptusowych liści

dozamykanek kolby i zaczęłam je podgrzewać.

Wkrótce nakońcu chłodnicy destylacyjnej pojawiły się pierwsze krople słomkowego olejku.

Kiedy woda zawrzała, zestawiłam ją z palnika i odczekałam kilka minut, żeby się schłodziła, a następnie wrzuciłam do niej dwie pełne łyżeczki od herbaty "Bulion z kurczaka Partingtona" oraz łyżkę stołową dobrego starego  $\text{NaHCO}_3$ .

Zmieszałam wszystko porządnie, a roztwór w zlewce spienił się jak Wezuwiusz.

Złapałam się palcami za nos i wypiąłam duszkiem połowę zawartości zlewki.

Musujący bulion!

Dobry Boże, zmiłuj się nad nami wszystkimi, trudzącymi się w winnicach chemii eksperymentalnej !

Odkorkowałam kolbę i przelałam eukaliptusową wodę razem z liśćmi - do resztek żółtej zupy.

Następnie zdjęłam sweter i narzuciłam go sobie na głowę, by wzmocnić działanie aparatu, po czym wciągnęłam głęboko do płuc kamforowe opary drobnego eukaliptusa.

Gdzieś w zatłoczonych oddechach głowy poczułam, że to, co czopowało zatoki, podnosi się do góry i poddaje się!

Od razu poczułam się lepiej.

Ktoś zastukał do drzwi.

Zrobił to tak nachalnie, że o mało nie wyskoczyłam ze skóry.

Stukanie do drzwi w tej części domu było tak zaskakujące, sensacyjne i niespodziewane, jak widok trupa w horrorze przy akompaniamencie chwytającej za serce, stosownej, organowej muzyki.

Odrygłowałam laboratorium.

W progu stał Dogger i miał w rękach kapelusz jak irlandzka pracznia.

Domyśliłam się, że przydarzył mu się "epizod".

Dotknęłam jego dłoni, które natychmiast się uspokoiły.

Odkryłam - choć nie korzystałam z tego odkrycia nazbyt często - że w niektórych przypadkach zwykły dotyk znaczy więcej od słów.

- Hasło?

- rzuciłam, splatając palce i kładąc obie dłonie na głowie.

Przez jakieś pięć i pół sekundy Dogger wyglądał tak, jakby nie wiedział, o co mi chodzi, ale potem rozluźnił się, a na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech.

Splótł palce i powtórzył mój gest jak automat.

- Mam je na końcu języka.

- wydukał i zaraz dodał: - Już wiem!

"Arszenik"!

- Uważaj, żebyś go nie połknął, powiedziałam.

Totrucizna.

Dogger wykazał się niezwykłą siłą woli na jego twarzy zagościł szeroki uśmiech.

Na tym zakończyliśmy niezbędny rytuał.

- Wejź, przyjacielu - powiedziałam, otwierając szeroko drzwi.



Wszedł do środka i rozejrzał się zdziwiony, jakby nagle przeniesiono go do pracowni alchemicznej starożytnego Sumeru.

Od tak dawna nie odwiedzał tej części domu, że zapomniał, jak wygląda moje laboratorium.

- Tyle szkła.

mruknął drżącym głosem.

Odsunęłam od biurka windsorskie krzesło Tara.

- Usiądź.

Przytrzymałam krzesło, póki Dogger nie usadowił się bezpiecznie między dwoma drewnianymi poręczami.

- Zaraz coś ci przyrządzę.

Do czystej zlewki nalałam wody i postawiłam ją na drucianej płytce. Dogger aż podskoczył, kiedy bunsenowski palnik buchnął ogniem od przystawionej zapalniczki.

- Już się robi!

- rzuciłam radośnie.

- Zaraz się zagotuje!

Jedną z korzyści płynących z wykorzystania ze szkła laboratoryjnego jest to, że woda gotuje się w nim z szybkością światła.

Wrzuciłam do zlewki łyżeczkę czarnych liści.

Kiedy roztwórza barwił się na czerwono, podałam zlewkę Doggerowi, który spojrzał na nią sceptycznie.

- Pij na zdrowie - powiedziałam.

- To zwykły tetley.

Pił herbatę małymi łykami, dmuchając na jej powierzchnię, żeby ostygła.

Przyglądając mu się, przypomniałam sobie, że jest jeden powód, dla

którego Anglicy oddali się w rządy herbacie bardziej niż w rządy

pałacu Buckingham czy gabinetu Jego Królewskiej Wysokości - oprócz

posiadania duszy, parzenie herbaty jest jedyną rzeczą, jaka różni nas od

małp naczelnych - tak przynajmniej stwierdził proboszcz w rozmowie z

tatą, który powtórzył to Feli, która powtórzyła to Dafi, która powtórzyła to

mnie.

- Dziękuję.

wydusił z siebie Dogger.

Już mi lepiej.

Ale muszę ci coś wyznać, Flawio.

Przysiadłam na krawędzi biurka, robiąc przyjazną minę.

- Strzelaj rzuciłam.

-No tak.

- zaczął.

-Wiesz, że czasami zdarzają misie.  
to znaczy, od czasu do czasu, miewam.

- Oczywiście, że wiem powiedziałam.

Przecież wszyscy wiemy.

-Ja nie wiem.

Bonie pamiętam.

Chodzi o to.

rzecz polega na tym.

że kiedy byłem.

Przewrócił oczyma jak krowa idąca na rzeź.

-Uważam, że podczas jednego z tych.

mogłem komuś zrobić krzywdę.

A oni teraz aresztowali za to pułkownika!

- Chcesz powiedzieć, że zabiłeś Horace'a Bonepenny'ego?

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

Dogger wypuścił zlewkę z rąk.

Poszłam po ściereczkę z jakiejś niezrozumiałej przyczyny zaczęłam wycierać mu dłonie, które były suche.

- Co wiesz o Bonepennym?

zapytał mnie twardo i chwycił za nadgarstek palcami jak ze stali.

Gdyby to nie był Dogger, wpadłabym w przerażenie.

-Wiem o nim wszystko - powiedziałam, zdejmując łagodnie jego palce z nadgarstka.

Czytałam gazety w bibliotece, rozmawiałam z panną Mountjoy, a wczoraj wieczorem tata opowiedział mi całą tę historię.

-Widziałas się wczoraj z pułkownikiem?

W Hinley?

- Owszem - pokiwałam głową.

- Pojechałam tam narowerze.

Mówiłam ci, że ma się dobrze.

Nie pamiętasz?

- Nie - pokręcił bezradnie głową.

- Szczerzy, którychnie pamiętam.

Czy to możliwe?

Czy Dogger mógł spotkać Horace'a Bonepenny'ego w domu albo w ogrodzie, szarpać się z nimi doprowadzić do jego śmierci?

A może kryło się za tym coś jeszcze.

- Opowiedz mi, co się wtedy stało - poprosiłam.  
Powiedz mi wszystko, co pamiętasz.  
- Spałem.  
- zaczął.  
- Usłyszałem głosy.  
podniesione głosy.  
Wstałem i poszedłem na dół do gabinetu pułkownika.  
Ktoś stał w korytarzu przed drzwiami.

- To byłam ja - mruknełam.

- To ja stałam w korytarzu przed drzwiami.

- To byłaś ty.

powtórzył jak automat.

To ty stałaś w korytarzu przed drzwiami.

- Owszem.

Kazałeś mi "spływać".

- Naprawdę?

- Był wyraźnie wstrząśnięty.

- Tak, kazałeś mi wracać do łóżka.

'.., - Z gabinetu wyszedł jakiś mężczyzna - oznajmił niespodziewanie Dogger.

Ukryłem się za zegarem.

Minął mnie krok.

Był tak blisko, że mógłbym go dotknąć.

Mówił o tym, co siedziało, kiedy wróciłam do siebie.

- Ale nie zrobiłeś tego, to znaczy, nie dotknąłeś go?

- Wtedy.

nie.

Ale poszedłem, za nim do ogrodu.

Niezauważył mnie.

Trzymałem się muru szklarni.

Stałem w ogórkach.

i coś jadł.

Był bardzo czymś poruszony.

Mówił do siebie, przeklinał, nawet nie zauważył, że zszedł ze ścieżki.

A potem były fajerwerki.

- Fajerwerki?

- zapytałam.

- No, petardy, sztuczne ognie, wszystko.

Pomyślałem, że we wsijest święto.

Jest czerwiec, a w czerwcu mają dużo świąt.

Nie było żadnego święta - tego akurat byłam pewna.

Wolałabym przepłynąć Amazonkę w dziurawych tenisówkach, niż stracić okazję do rozbijania kokosów u Ciotki Sally i opychania się ciasteczkami, czy truskawkami ześmietaną.

Nie, moidrody, znałam daty wszystkich festynów i świąt.

- A co było potem?

-zapytałam.

Szczegóły ustali się później.

- Musiałem zasnąć - powiedział Dogger.

- Kiedy się obudziłem, leżałem w trawie.

Było mokro.

Wstałem i poszedłem do łóżka.

Nie czułem się dobrze.

Musiałem mieć atak.

Nie pamiętam.

- I uważasz, że podczas tego ataku mogłeś zabić Horace'a Bonepenny'ego?

Kiwnął pośpieszliwie głową.

Położył dłoń na potylicy.

- Nikogo innego tam nie było - odpowiedział.

Nikogo innego tam nie było?

Gdzieja to słyszałam?

Ależ tak!

Inspektor Hewitt wyraził się ten sposób o tacie!

- Skłoń głowę, Dogger - poleciłam.

- Przykro mi, panno Flawio.

Jeśli kogoś zabiłem, nie chciałem.

- Pochyl głowę!

Zjechał trochę na krzesło i pochylił się.

Skrzywił się, kiedy unosiłam mu kołnierz.

Na karku, na potylicy, za uszami niżej, miał wielkiego fioletowego siniaka wielkości i kształtu obcasa.

Syknął bólu, kiedy go dotknęłam.

Gwizdnęłam przez zęby.

- Fajerwerki!

Niech mnie drzwi ścisną!

- zawołałam.

- Nie było żadnych fajerwerków, Dogger.

Zostałeś najnormalniej w świecie ogłuszony.

Straciłeś przytomność.

I oddwóchni chodzisz z czymś takim na potylicy?

Musi boleć, jak jasnacholera!

- Boli, panno Flawio, ale bolało mnie już bardziej.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

- Oglądałem sobie oczy w lustrze.

- tłumaczył.

- Źrenice nie są powiększone i obie wyglądają tak samo.

To tylko lekki wstrząs, nic wielkiego.

Niedługo nie będzie po nim śladu.

Już miałam go zapytać, skąd ty to wiesz, gdy dodał szybko:

- Gdzieś to wyczytałem.

Nagle przyszło mi do głowy ważniejsze pytanie:

- Dogger, jak mogłeś kogoś zabić, jeśli cię ogłuszonei straciłeś przytomność?

Gapił się na mnie jak uczeń, któremu sprawiono krzywdę.

nie. Otwierał i zamykał usta, ale nie był w stanie wydobyć z siebie głosu.

- Zostałeś zaatakowany - stwierdziłam.

- Ktoś walnął cię w głowę butem!

- Raczej nie, panienko-wyznał ze smutkiem.

-Widzisz, oprócz Horace'a Bonepenny'ego i mnie, w ogrodzeniu było nikogo innego.

DWADZIEŚCIA

Kolejne trzy kwadransy poświęciłam na przekonywanie Doggera, żeby pozwolił mi przyłożyć sobie łód do potylicy, ale nie chciał się na to zgodzić.

Wystarczy mu wypoczynek, zapewniał mnie, bo wypoczynek to najlepsze lekarstwo.

Tymi słowami pożegnał się ze mną i wrócił do siebie.

Z okna laboratorium widziałam Felę rozciągniętą nakocu na południowym trawniku.

Za pomocą odbijającego promienie słoneczne pisma "Picture Post" Fela opalała sobie obie połowy twarzy.

Przyjrzałam się jej cerze przez starą wojskową lornetkę taty i zapisałam w notesie:

Poniedziałek, 4 czerwca 1950 roku, godz.

9:15.

Obiekt wygląda normalnie po upływie !

48 godzin od zaaplikowania substancji, Za słaby roztwór?

Obiekt jest uodporniony ?

Jak Eskimosi z Wysp Baffina na trujący bluszcz?

Czy to oznacza to, co przypuszczam?

Ale nie miałam już serca do tej pisaniny.

Nie mogłam zajmować się Felą, kiedy tata i Dogger byli w prawdziwych opałach.

Musiałam zebrać myśli.

Przewróciłam stronę w notesie i zapisałam':

Prawdopodobni podejrzani

TATA:

Najlepszy motyw, znał zamordowanego niemal przez całe życie, zamordowany groził mu ujawnieniem dawnych tajem

nic. Słyszano, jak klócił się zofiara krótko przed morderstwem.  
Niewiadomo, gdzie przebywałw czasiepopelnienia zbrodni.

Insp.

Hewitt jużgo aresztował i oskarżyło morderstwo, co pozwala  
domniemywać, że w oczach insp.

jest głównympodejrzany!

DOGGER: Czarny koń.

Niewiele wiadomo o jego przeszłości.

Wiadomo tylko tyle, że jest wierny ojcu jak pies.

Słyszałkłótnietaty zBonepennym (podobnie jak pisząca te słowa) i mógł  
dojść downiosku, że należy wyeliminować źródło zagrożenia.

Miewa "epizody" lub "ataki", podczas którychi po których cierpi na zaniki  
pamięci.

Mógł zabić Bonepenny'ego podczas takiego "ataku"?

A możeto był wypadek?

Wtakim raziekt walnął go w głowę?

PANI MULLET: Brak motywu, chyba że zzemsty na kimś,  
ktopodrzuciłjejna kuchenne schody zdechłego bekasa kszyka ?

Ta stara.

DAFNE de LUCE i OFELIA GERTRUDAde LUCE:

(Wszystko wiem,Gertie -tyto zrobiłaś!

). Nie rozśmieszajciemnie!

Jedna jest tak pochłonięta książkami, a drugalustrem, że żadna znicznie  
zabiłaby karalucha we własnej zupie.

Nie znałyzamordowanego, nie miały motywu i chrapały z otwartymi  
ustami, gdy Bonepennyspotkałsię ze Stwórcą.

Sprawa obu idiotek zamknięta.

MARY STOKER: Motyw:Bonepenny obłapiają w Trzynastu  
Kaczorach.

Czymogła pójść za nim do Buckshaw i posłać do diabław ogórkach ?

Mało prawdopodobne.

TULLYSTOKER: Bonepennybyłjego gościem w  
TrzynastuKaczorach.

Czy słyszał, co przydarzyło się jegocórcze?

Postanowiłsię zemścić?

A może płacący gość jest ważniejszy niż honor córki?

NED CROPPER: Podwalasię do Mary (i innych).

Wie, co.



Czaspomiędzy Mary a Bonepennym.

Mógł postanowić go załatwić.

Nieżyły motyw, ale brak dowodów na to, że był w Buckshaw tamtej [nocy.

Czy mógł zabić ofiarę gdzie indziej i przywieźć ją na taczkę?

Tully również mógł tak zrobić.

A nawet Mary!

PANNA MOUNTJOY: Doskonały motyw - uważa, że Bonepenny (i tata) zabili pana Twininga.

Problemem jest wiek: Mountjoy nie dałaby rady szarpać się z kimś o posturze ofiary.

Chyba że użyła trucizny?

Pytanie: Jak jest oficjalna przyczyna śmierci?

Czy inspirowany?

Hewitt zechce podzielić się tą wiedzą?

INSPEKTOR HEWITT: Policjant.

Dołączony do listy prawdopodobnych podejrzanych dla porządku, obiektywizm i sprawiedliwość.

Nie było go w Buckshaw w chwili popełnienia zbrodni, nie posiada też żadnego motywu.

(Może uczył się w Greyminster?

).

DETEKTYWI SIERŻANCI WOOLMER GRAVES:

Jak wyżej.

FRANK PEMBERTON: Pojechał do Bishop's Lacey po morderstwie.

MAXIMILIAN BROCK: zniedołężniały, zastary.

Brak motywu.

Przeczytałam listę trzykrotnie, mając nadzieję, że nicmi nie umknęło.

Ależ tak!

Umknęło!

Umknęło mi coś, co; mogło być bardzo ważne i nad czym należało się zastanowić - Horace Bonepenny cierpiał na cukrzycę!

W Trzynastu Kaczorach znalazłam w jego bagażu fiolki z insuliną.

W zestawie nie było strzykawki.

Zgubił ją?

Została skradziona?

Przyplłynął najprawdopodobniej promem ze Stavanger w Norwegii do Newcastle-upon-Tyne, skąd pojechał koleją do Yorku, gdzie przesiadł się na pociąg do Doddingsley.

Z Doddingsley przyjechał autobusem lub taksówką do Bishop's Lacey.

Z tego, co wiedziałam, przez cały ten czas niczego niejadł!  
Ciastoznalezione w pokoju (o czym.  
świadczyło wbite w nie piórko) służyło mu do ukrycia martwego ptaka i  
przeszmuglowania go do Anglii.  
Tully Stoker powiedział inspektorowi, że jego gość wypił coś w barze,  
prawda?  
Owszem, ale nie wspomniał nic o jedzeniu!

Mogło być więc tak: Bonepenny pojawił się w Buckshaw, szantażował  
tatę i po kłótni z nim opuścił dom przez kuchnię (tak było na pewno),  
gdzie zauważył na parapecie kremówkę.

Odkroił sobie kawałek, pożarł go, wyszedł na dwór i doznał wstrząsu  
insulinowego.

Wszyscy w Buckshaw doznawali wstrząsu insulinowego na widok  
kremówek pani Mullet, a przecież nikt z nas nie chorował na cukrzycę!

Więc to mogło być ciasto, mimo wszystko!  
Zwykły, głupi wypadek, nieszczęśliwy zbieg okoliczności.  
Wszyscy podejrzani mogli być niewinni, a Bonepenny wcale nie  
został zamordowany.

?

Lecz gdyby to była prawda, Flawio, odezwał się we mnie cichy,  
smutny głos, w jakim celu inspektor Hewitt zatrzymywałby tatę i wnosił  
przeciwko niemu oskarżenia?

Choć nadal ciekło mi z nosa i wciąż łzawiły mi oczy, doszłam do  
wniosku, że drobiowe piwo zaczyna już działać.  
Przeczytałam raz jeszcze listę podejrzanych i zastanawiałam się nad nią, aż  
rozboleła mnie głowa.

Dreptałam w miejscu.  
Postanowiłam w końcu, że wyjdę na dwór, usiądę w trawie, odetchnę  
świeżym powietrzem i zajmę się czymś zupełnie innym, na przykład  
podtlenkiem azotu (N<sub>2</sub>O), znanym jako gaz rozweselający.  
Jego spory zapas bardzo był potrzebny mieszkańcom Buckshaw.

Gaz rozweselający i morderstwo.  
Dziwne skojarzenia.  
Choć nie do końca.

Przypomniałam sobie o mojej bohaterce, Marie-Anne Paulze  
Lavoisier, jednej z największych kobiet chemii.  
Jej portret, wraz z innymi nieśmiertelnymi, był zatknięty  
ty za ramę lustrów mojej sypialni.

Miała fryzurę przypominającą napompowany gorącym powietrzem balon, a jej mąż wpatrywał się w nią z uczuciem i w ogóle nie zwracał uwagi na to idiotyczne uczesanie.

Marie była kobietą, która w najsmutniejszych okolicznościach przekonała się, że zawiść i głupota często idą w parze.

Podczas rewolucji francuskiej oboje z mężem przeprowadzali pewien eksperyment: zalepili woskiem wszystkie cielesne otwory asystenta, zawinęli go w pociągnięty pokostem jedwab i kazali mu oddychać przez słomkę wprost do instrumentu pomiarowego Lavoisiera.

Marie Anne prowadziła notatki i szkicowała eksperyment, gdy do laboratorium wpadli rewolucjoniści i zabrali jej męża na gilotynę.

Kiedyś opowiedziałam tę opęsną i jednocześnie pouczającą historię Feli.

- Tylko wieśniaczki fascynują się życiem historycznych bohaterek - skomentowała ją wyniośle.

Znow dreptałam w miejscu.

Miałam w głowie najprawdziwszy zamęt, a moje myśli przypominały stóg siana.

Potrzebowałam jakiegoś katalizatora, na przykład takiego, jaki odkrył Kirchoff, który stwierdził, że skrobie gotowane w wodzie pozostają skrobiami, ale po dodaniu zaledwie kilku kropel kwasu siarkowego zamieniają się w glukozę.

Kiedyś powtórzyłam to doświadczenie, żeby się upewnić, iż dzieje się tak naprawdę, i faktycznie.

Z prochu powstałeś, w cukier się obrócisz.

„Zajrzałam przez małe okienko Tajemnicę Stworzenia.

Wróciłam do domu, który teraz wydawał się dziwnie cichy.

Zatrzymałam się przy drzwiach do salonu i nadstawiłam ucha, ale nie usłyszałam ćwiczącej gamy Ofelii ani Dafi przekładającej stronę książki. Otworzyłam drzwi.

Pokój był pusty.

Przypomniałam sobie, że przyśniadaniu moje siostry wspominały coś o spacerze do Bishop's Lacey i wysłaniu napisanych przez nie listów dotaty. Oprócz.

pani Mullet, kryjącej się w głębinach kuchni, i Doggera, odpoczywającego na górze, byłam chyba po raz pierwszy w życiu całkiem sama w Buckshaw.

Włączyłam radio dla towarzystwa.

Gdy lampy się nagrzały, pokój wypełniła muzyka operetkowa: Mikado, Gilberta i Sullivana, jedno z moich ulubionych dzieł tej pary.

Czynie byłoby wspaniale, myślałam kiedyś, gdybyśmy wraz z Felą i Dafi były tak szczęśliwe i radosne jak Yum-Yum i jej dwiesiostry?

To my!

Trzy dziewczynki idące do szkoły, a dzionek, jak te dziewczynki, i jak dziewczynki wesołe.

Śmiejące się do rozpuku wcale nie anioły:

Trzy małe dziewczynki idące do szkoły!

Uśmiechnęłam się, słysząc trzy wesołe głosy:

Bo wszystko jest dla nas źródłem radości, Nikogo nie oszczędzamy, nawet nosach gości.

Bożycie to żart, żart jakże wesoły!

To my!

Trzy dziewczynki idące do szkoły!

Otoczona muzyką, rzuciłam się na pękaty fotel i położyłam nogi na podłokietniku.

Przyroda niewątpliwie życzyłaby sobie, by w takiej pozycji słuchać muzyki.

Po raz pierwszy od wielu dni poczułam, jak rozluźniają mi się mięśnie karku.

Musiałam usnąć na chwilę, a może się zamyśliłam - sama nie wiem - bo kiedy doszłam do siebie, śpiewał Koko, Najwyższy Kat; zamieszkał po trochu w najciemniejszym lochu.

Słowa te przypomniały mi o tacie i do oczu napłynęły mi łzy.

To nie jest operetka, pomyślałam.

A życie to nie żart wesoły, a Fela, Dafi i ja nie jesteśmy trzema dziewczynkami idącymi do szkoły.

Byłyśmy dziewczynkami, którychojciec został oskarżony o morderstwo.

Zeskoczyłam z fotela, żeby wyłączyć radio, ale kiedy sięgałam po gałkę, usłyszałam jeszcze płynący z głośnika śpiew Najwyższego Kata:

Cel mój najwznioślejszy, Wkrótce wam się ukaże:

Niech zbrodnia nie ujdzie karze.

Żadna zbrodnia nie ujdzie kary.

Żadna zbrodnia nie ujdzie karze.

Ależtak!

Flawio, Flawio, Flawio!

Jak mogłaś tego nie dostrzec?

W końcu coś zaskoczyło mi w głowie, z suchym trzaskiem poruszył się jakiś mechanizm.

Wiedziałam już, jak zamordowano Horace'a Bonepenny'ego - byłam tego tak pewna, jak własnego imienia!

Musiałam jeshczetylko coś zrobić: jedną rzecz (no, może dwie albo trzy.

), którą pozwoli mi przewiązać całą sprawę wstążeczką, najlepiej czerwoną, i podać ją na tacy, jak bombonierkę, inspektorowi Hewittowi. Kiedy pozna moją wersję wydarzeń, wypuścic tatę z aresztu z prędkością światła.

Pani Mullet ciągle była w kuchni, wpychając dłoń w głąb kurczaka.

- Pani Mullet - zagaiłam.

- Czymogłabym z panią szczerze porozmawiać?

Spojrzała na mnie poważnie, wyjęła dłoń z drobiu i wytarła ją w fartuch.

- Oczywiście, moja droga -- odpowiedziała.

- Przecież zawsze rozmawiamy ze sobą szczerze.

- Chodzi o Doggera.

Uśmiech zamarł na jej twarzy.

Odwróciła się do mnie plecami i zaczęła manipulować przy kłębku szpagatu, którym miała zamiar skrepić ptaka.

Co to za lichota!

- wykrzyknęła, gdy szpagat pękł jej w rękach.

-Dziś nie potrafię nawet spleść porządnie sznurka.

Kiedyś było inaczej.

Nie dalej jak w zeszłym tygodniu mówiłam do Alfa: "Na tym postronku, co go przyniosłeś pocztą, nie warto byłoby się nawet powiesić!

".

- Pani Mullet!

- przerwałam jej błagalnie.

-Proszę!

Jest coś, o co muszę panią zapytać.

To sprawa życia i śmierci.

Proszę!

Popatrzyła na mnie znad okularów jak kościelny, a ja poraz pierwszy poczułam się przy niej małą dziewczynką.

"Wspomniała pani kiedyś, że Dogger był więziony, że jadł szczury, że go torturowano.

Owszem tak, moja droga - odpowiedziała.

-Alf skarcił mnie za to, bo uważa, że nie powinnam była o tym mówić.

Więc nie mówmy o tym.

Nerwy nieszczęsnego Doggera są w strzępach!

Skąd pani wie?

To znaczy, o obozie, w którym więziono Doggera?

Mój Alf, ma się rozumieć, też służył w wojsku.

Przez pewien czas służył podpułkownikiem, a potem z Doggerem.

Nie lubi o tym opowiadać.

Większość z nich nie lubi.

Alf wrócił bezpiecznie do domu, choć do dziś śnięmu się koszmary.

Ale wielu nie miało takiego szczęścia.

Aw wojsku, jak mówią, między żołnierzami rodzi się braterstwo.

Wszyscy, jak jeden mąż, wszystko wiedzą o pozostałych i o tym, co się z nimi dzieje.

To dziwne, bo czasem Alf zachowuje się jak jasnowidz.

- Czy Dogger kogoś zabił?

- strzeliłam na ślepo.

-Jestem pewna, moja droga.

Przecież wszyscy wtedy zabijali.

To był ich obowiązek, czyż nie?

Nie mówię o wrogach.

- Dogger ocalił życie twemuojcu - powiedziała.

-Więcej niż raz.

Był sanitariuszem czy kimś w tymrodzaju.

I to dobrym!

Mówią, że wyjął kulę z piersi twojego taty,co utkwila tuż obok serca.

Kiedy go zaszywał, pewien lotnik z RAF-u.

niewiadomo, co sięstało.

to musiał byćwstrząs pourazowy.

Nowięc ten lotnik zwariował i zacząłrębać maczetą na prawo i lewo w szpitalupolowym.

Doggergo powstrzymał.

Pani Mullet związała już mocnokurczaka i za pomocanożyczek obciąłakoniec szpagatu.

- Powstrzymał?

Tak, moja droga.

Powstrzymał.

- To znaczy, zabił.

-On tego niepamięta.

Dogger,widzisz, miał wtedyatak i.

I tata myśli, że to się powtórzyło!

Że Dogger znów ocalił mu życie, zabijając Horace'a Bonepenny'ego!

Todlategobierze na siebie winę!

- Nie wiem, mojadroga, naprawdę nie wiem.

Ale byłobyto podobne do naszego pułkownika, bardzopodobne.

A więc tak właśnie było!

Nie istniało innewytłumaczenie zachowania taty.

Kiedy mu wspomniałam, że Doggertakże podsłuchiwał pod drzwiami, powiedział przecież:

"Tego sięobawiałem.

Tegosię obawiałem nade wszystko";

Tak brzmiały jego słowa.

To było dziwne, niemal absurdalne, jak libretto operetkiGilbertai Sullivana.

Ja usiłowałam wziąć winę na siebie,żeby chronić tatę.



Tata wziął nasiewinę, żeby chronić Doggera.

Pytanie brzmiało: Kogo chroni Dogger?

Dziękuję, pani Mullet powiedziała.

Nikom niepowiem o naszej rozmowie.

Tajne przez poufne!

Jak to między dziewczynami.

Wykrzywiła twarz w potwornym uśmiechu.

Tego już było za wiele!

Niebyłam jejkoleżanką ani sąsiadką!

Gdzieś w głębi mnie obudziła się podłość i w mgnieniu oka stałam się Flawią Mścicielką z Kucykiem, którejlos wyznaczył misję dodania łyżki dziegciu do miódopłynnej maszyny do produkcji kremówek.

- No właśnie!

kiwnęłam głową.

Jak to między dziewczynami.

.. A skoro już tak ze sobą gawędzimy, to wyznampani, że nikt w Buckshaw nie lubi kremówek.

W istocie rzeczy, niktnie może ich przełknąć!

- Wielkie mi coś!

odrzekła.

Doskonale o tym wiem.

-Naprawdę?

- Byłam zbyt wstrząśnięta, by wydusić siebie więcej niż jednosłowo.

- Oczywiście, że tak!

Jak to mówią: "Kucharki wiedzą wszystko", a ja niczym się nie różnię od innych.

Wiem, że kremówka i de Luce'owie nie idą z sobą w parze od niepamiętnych czasów.

Dowiedziałam się o tym jeszcze za życia Harriet.

-Ale.

- Dlaczego jej piekę?

Bo Alf lubi od czasu do czasu przetrącić kremówkę.

Panna Harriet mówiła mi tak: "DeLuce'owie to zwiędłe rabarbarzy i kłujące agresty, pani M.

, natomiast Alf jest słodki jak kremówka.

Powinna pani upiec czasami kremówkę, żeby nam utrząć nosa, a gdy odwrócimy się od niej wyniosłe plecami, zabierze ją panido domu dla Alfa jako nasze przeprosiny".

Powiem ci, moja droga, że przez ostatnie dwadzieścia lat zaniósłam do domu całkiem sporo tych przeprosin.

- Więc następnie są potrzebne- rzuciłam i uciekłam.

Aż się za mną kurzyło.

DWADZIEŚCIA JEDEN

Przystanąłam dopiero w holu, znieruchomiałam i nadstawiłam ucha.

Dzięki parkietom i dębowym boazeriom dźwięk niósł się w Buckshaw

niemal tak dobrze, jak w Royal Albert Halli.

Nawet w całkowitej ciszy Buckshaw byłaby rozpoznalabym ją na końcu świata.

Najciszej jak mogłam, uniosłam słuchawkę telefonu kilka razy nacisnęłam palcem widełki.

- Proszę o połączenie międzymiastowe z Doddingsley.

Zapomniałam numeru, ale chodzi mi o tamtejszą gospodę:

Rudy Lis czy Rumiany Listonosz.

Nie pamiętam, jak się nazywa, ale jestem pewna, że w nazwie są litery "R" i "L".

- Chwileczkę - odezwał się znudzony, ale profesjonalny głos telefonistki z centrali.

To nie powinno być trudne, pomyślałam.

Gospoda "RL" mieściła się po drugiej stronie ulicy od dworca kolejowego, znajdowała się najbliżej stacji, a Doddingsley nie było przecież metropolią.

- W spisie abonentów z Doddingsley są tylko dwie gospody: Winne Grono i Wesoły Woźnica.

- Notak!

- ucieszyłam się.

- Chodzi mi o Wesołego Woźnicę.

; "RL" był produktem osadu na dzień pamięci.

- Podaję numer: Doddingsley dwa-trzy - powiedziała telefonistka.

- Proszę go sobie zapisać.

- Dziękuję bardzo - wymamrotałam, a w słuchawce rozległ się już sygnał połączenia.

-Doddingsley dwa-trzy, Wesoły Woźnica, słucham.

Cleaver z tej strony.

Cleaver, jak się domyśliłam, musiał być właścicielem.

- Chciałabym prosić do telefonu pana Pembertona.

To bardzo ważne.

Wiedziałam z doświadczenia, że sprawy niecierpiące zwłoki nawet potencjalnie są najlepszym sposobem na pokonywanie barier.

- Nie ma go odpowiedział Cleaver.

-O mój Boże!

-zmartwiłam się nieco przesadnie.

-Znow go nie zastałam.

Czy mógłby pan powiedzieć mi, kiedy wyjechał, bo nie wiem, kiedy można sięgo spodziewać?

Flawio, pomyślałam, powinnaś zasiadać w parlamencie.

-Wyjechał w sobotę rano.

Przed dwoma dniami.

- Och, bardzo panu dziękuję wydyszałam gardłowo głosem, który, jak przypuszczałam, zmyliłby nawet papieża.

-Jest pan strasznie miły.

Rozłączyłam się i odłożyłam słuchawkę na widełki tak delikatnie, jak świeżo wyklute pisklę.

- Na co ty sobie pozwalasz!

- Usłyszałam zaplecami przytłumiony głos.

Odwróciłam się na pięcie i stanęłam oko w oko z Felą, która zasłaniała apaszką dolną połowę twarzy.

- Na co ty sobie pozwalasz!

powtórzyła.

Wiesz doskonale, że nie wolno ci używać tego instrumentu.

- Pomówmy o tobie- odparowałam.

- Czyżbych wycił mróz?

Fela rzuciła się na mnie, wypuszczając z dłoni apaszkę odsłaniając czerwone, napuchnięte wargi, będące lustrzanym odbiciem drugiego końca kameruńskiego mandryla.

Wpadłam w tak wielkie zdumienie, że nie byłam w stanie wybuchnąć śmiechem.

Trujący bluszcz, który dodałam

do jej szminki, sprawił, że usta Feli przypominały wulkan  
Popocatépetl.

Mój eksperyment się powiódł!

Fanfary i oklaski!

Nie miałam jednak czasu/żeby opisać wyniki.

Notes musi poczekać.

Maximilian, w brązowym garniturze z kratką, przycupnął  
nakrawędzi kamiennego końskiego koryta, które stało w cieniu krzyż przy  
rynku.

Machał małymi stopkami w powietrzu, zupełnie jak Humpty Dumpty,  
Był tak.

mały, że omal go nie zauważyłam.

- Haroo, mon vieux!

Flawia!

- krzyknął, a ja zahamowałam gwałtownie, zatrzymując Gladys tuż przed  
czubkami jego lakierków.

Znow mnie przyłapał.

Zatem trzeba to wykorzystać jak najlepiej.

- Witam, panie Max - skłoniłam się.

- Mam pytanie.

- Ho, ho, ho!

- zdziwił się.

- Tak po prostu, pytanie!

Bez żadnych wstępów.

Bez rozmowy o pogodzie i siostrach?

Bez podzielenia się plotkami z największych sal koncertowych?

- No cóż.

- odrzekłam nieco zawstydzona.

- Słuchałam w radiu Mikado.

- I co?

Czy zwróciłaś uwagę na dynamikę?

Wiesz, zawsze zastanawiała mnie niepokojąca tendencja odtworzyć do  
wykrzykiwania partii z dzieł Gilberta i Sullivan-

- Przeżyłam oświecenie wyznałam.

- Aha!

Musisz mi o tym opowiedzieć.

Kochany Arthur komponował najwznioślejsze partie muzyczne,

jakiekolwiek napisano na tej monarchistycznej wyspie: weźmy taki

Ostatni akord.

Panowie G i S niezmiernie i niezmiennie mnie fascynują.

Czy wiesz, że ich nieśmiertelne partnerstwo legło w gruzach po sporze o cenę dywanu?

Spojrzałam na niego, żeby przekonać się, czy mnie nie nabiera, ale mówi poważnie.

- Rzecz jasna, umieram wprost z ciekawości i chciałbym cię wysondować, moja droga Flawio, na temat ostatnieprzyjemnych wydarzeń, jakie miały miejsce w Buckshaw, ale jestem świadom, że masz po trzykroć zapieczętowane usta nakazami skromności, lojalności i praworządności, choć niekoniecznie w takim akurat porządku.

Czy mamrację?

Kiwnęłam głową.

- Zatem, jak brzmi pytanie, które chcesz zadać wyroczeni?

- Czy uczył się pan w Greyminster?

Max zatrzepotał łokciami jak kanarek.

- O Boże, nie.

Obawiam się, że moja edukacja przebiegała wtak wspaniałych murach, powiem więcej, odbywała się głównie za murami na kontynencie, a konkretnie w Paryżu.

Natomiast mój kuzyn Lombard jest starym greyminsterczykiem.

Zawsze bardzo dobrze wyraża się tym miejscu, o ile nie gra akurat nawyścigach czy w wista u Montforta.

- Czy wspominał kiedyś o dyrektorze tej szkoły, doktorze Kissingu?

- Filatelistycznym obsesjonacie?

Och, moja droga, rzadko zdarza mu się mówić o kimkolwiek innym.

Ten starszy dżentelmen stał się jego bohaterem.

Lombard uważa, że wszystko mu zawdzięcza i choć nie ma wiele, to sama rozumiesz.

- Niesądziłam, że jeszcze żyje, to znaczy, doktor Kissing.

Musi być bardzo stary, prawda?

Założyłabym się o wszystko, że zmarł przed wiekami.

- Więc wszystko byś straciła!

- zachichotał Max.

- Codo pensa!

Rook's End było wciśnięte jak w piernat między wzniesienia Squires Hill i Jack O'Lantern.

To drugie było ciekawym elementem krajobrazu - z daleka przypominało

kurhan z epoki żelaza, ale bliska okazywało się znacznie wyższe i wyrzeźbione przez przyrodę kształcie czaszki.

Wjechałam na Gladys w Pooker's Lane - alejkę biegnącą wzdłuż szczęki Jack O'Lantern, czyli wschodniej krawędzi wzgórza.

Alejkę i wjazd do Rook's End zamykały gęste żywopłoty.

Za tymi zapomnianymi pozostałościami wcześniejszej epoki

rozciągały się w trzech kierunkach - na wschód, zachód i południe trawniki, zaniedbane i najeżone chwastami.

Mimo świecącego słońca nad nieskoszoną trawą wisiły cienie mgły. Tu i ówdzie z szerokich trawników wyrastały olbrzymie smutne buki, których masywne pniei opadające gałęzie zawsze przypominały mi przygnębione słonie wędrujące samotnie przez afrykański busz.

Pod bukami ujrzałam dwie starożytne damy, zajęte gorączkową dyskusją, jakby spierały się to, która z nich ma zagrać rolę lady Makbet.

Jedna z nich ubrana była w przezroczysty muślinowy peniar i czepek, jakby wprost XVIII wieku, a druga, w obszernej jak namiot sukni, miała w uszach mosiężne kolczyki wielkości talerzy.

Opodal wznosił się dom, z rodzaju tych, jakie romantycznie określa się "dworem".

Kiedyś był siedzibą rodową de Laceyów, którym Bishop's Lacey zawdzięczało swą nazwę (którzy ponoć byli daleko spokrewnieni z de Luce'ami), później przeszedł w ręce pomysłodawcy bogatego, hugenockiego kupca bławatnego, by stać się wreszcie tym, czym był dzisiaj - prywatnym szpitalem, nazywanym uparcie przez Dafi "Samotnią".

Szkoda, że ze mną nie było.

Dwa zakurzone auta zaparkowane obok siebie na frontowym dziedzińcu świadczyły o braku personelu gości.

Oparłam Gladys o starożytną araukarię i popokrytych mchem, ospowatych schodkach wspierałam się do drzwi.

Wypisana ręcznie tabliczka głosiła: "Proszę dzwonić".



Pociągnęłam za emaliowaną rączkę.

Gdzieś w środku rozległ się głucho dzwoniący głos, jakby krowich dzwonków wzywających na Anioł Pański.

Dzwonki te oznajmiły o moim przybyciu nieznanemu osobom.

Kiedy nic się nie stało, gdy ucichły, zadzwoniłam ponownie.

Po drugiej stronie trawnika dwie starsze panie zaczęły bawić się w podwieczorek zachowywały się wobec siebie bardzo wytwornie, odginały paluszki i nalewały herbatę do niewidzialnych filiżanek.

Przystawiłam ucho do masywnych drzwi, ale nie usłyszałam niczego, oprócz szumu, który musiał być od głosu oddychającej budowli. Pchnęłam, skrzydło drzwi i weszłam do środka.

W nozdrza uderzył mnie osobliwy zapach tego miejsca: mieszanina kapusty, gumowych poduszek, brudnej wody po zmywaniu naczyń i śmierci.

Pod nim, niczym podszewka, unosił się ostrym mroźnym środkiem dezynfekującym, którym przecierano podłogi sądząc po zapachu, był to chlorek dimetylobenzylamonowy, który załatywał niespodziewanie gorzkimi migdałami, zupełnie jak kwas pruski, którym wykańcza się morderców w amerykańskich komorach gazowych.

Sień pomalowana na nadający się do domu wariatów kolor zielonych jabłuszek: wszystko było jasnozielone ściany, boazerie i sufit.

Podłogi przykryte tanim brązowym linoleum z dziurami wyrąbanymi toporami gladiatorów, co wskazywałoby, że kupiono je na wyprzedaży w rzymskim Koloseum.

Kiedy stawałam przy takiej kroście czy bliźnie, linoleum wydawało z siebie nieprzyjemny syk.

Odnosiłam w pamięci, żeby sprawdzić, czy kolor może wywoływać mdłości.

Na drugim końcu sieni, na chromowanym wózku inwalidzkim, siedział starszy dżentelmen z otwartymi ustami, wpatrzony wprost przed siebie w pustkę, jakby oczekiwania.

kiwał na cud, który miał się tu zaraz dokonać.

Z jednej strony stało biurko, całkiem puste z wyjątkiem srebrnego dzwonka i posmuganej kartki z napisem takim, jak przy drzwiach: "Proszę dzwonić", świadczącym tym, że ktoś jednak pracuje.

Uderzyłam w dzwonek cztery razy, szybko i natarczywie.

Przy każdym uderzeniu starszy mrugał gwałtownie oczyma, ale nie oderwał spojrzenia od pustki przed sobą.

Nagle, zupełnie znikąd-jakby przechodząc przez ścianę pojawiła się eteryczna zjawapielegniarki w białym fartuchu i niebieskim czepku na głowie.

Chowała nerwowopod czepkę wilgotne, słomiane włosy wyglądała tak,jakby coś przeskrobała, i wiedziała, że ja o tymwiem.

Słucham?

zapytała mnie cienkim, choć rutynowym,szpitalnym głosikiem.

-Przyszłamzobaczyć się zdoktorem Kissingiem - oznajmiłam.

Jestem jego praprawnuczka.

- Z doktoremIzaakiem Kissingiem?

- zapytała.

Owszem odrzekłam.

Z doktorem Izaakiem Kissingiem.

Macie ich tu więcej?

Biała Zjawa odwróciła się bez słowa na pięcie, a ja poszłam za nią, przechodząc przez sklepiony portalną wąską,przeszkloną werandę, biegnącą przez całą długość budynku.

W połowie drogi przez werandę przystanąła i niczymtrzeci duch

Opowieści wigilijnej wyciągnęłaoskarżycielskopalec.

Potem zniknęła.

Na końcu pokoju z dużymi oknami, grzejąc sięw pojedynczympromieniu słońca, jaki przedostawał się do mrocznego pomieszczenia, siedział starzec.

Zajmował wiklinowyplażowy fotel, a nad jego głową unosiła się z wolna błękitnaaureola dymu.

Na małymstoliczku obok leżały porozrzucane gazety, które w każdej chwili mogły spaść na podłogę.

Byłubrany w myszowatą bonzurkęzupełnie jak SherlockHolmes-choć nie sędzę, by bonzurka Holmesa by.

ła upstrzona tyłoma wypalonymi dziurami.

Pod bonżurkami rdzawoczarny garnitur, spod którego wystawał wysoki i rozłożysty kołnierzyk z celuloidego starożytnego pochodzenia.

Na głowie miał miękki, haftowany fez koloru śliwkowego.

Spod fezu wystawały długie, kręcone, żółtosiwe włosy.

W ustach trzymał zapalonego papierosa, a nad nim wisiał popiółna kształt zmumifikowanego, ogrodowego pomrowa.

- Witaj, Flawio - uśmiechnął się do mnie.

- Oczekiwałam cię.

Minęła godzina - godzina, podczas której po raz pierwszy w życiu zdałam sobie sprawę, co utraciliśmy na skutek wojny.

Początek mojej rozmowy z doktorem Kissingiem nie wróżył niczego dobrego.

- Muszę cię przestrzec na początku, że nie mam wprawy w prowadzeniu konwersacji z małymi dziewczynkami

- oznajmił.

Przygryzłam wargę i jednocześnie język.

- Chłopca da się wychować na cywilizowanego człowieka za pomocą chłosty czy innych równie pomysłowych forteli, ale dziewczynki, upośledzone niejako przez naturę w sferze fizycznej brutalności, pozostaną na zawsze czymś rodzaju ferro incognito, nie sądzisz?

Wiedziałam, że jest to pytanie retoryczne, na jakie nie wymaga się odpowiedzi.

Uniosłam koniuszki warg w uśmiechu - miałam nadzieję, Momy Lizy, a przynajmniej takim, który świadczyłby o dobrym wychowaniu.

- Więc jesteś córką Jacko - stwierdził.

- Wcale nie jesteś do niego podobna, wiesz?

- Słyszałam, że jestem podobna do mamy, do Harriet - odpowiedziałam.

- A, tak, Harriet.

To była wielka tragedia.

Dla was przede wszystkim.

Wyciągnął rękę i dotknął lupy zawieszanej niebezpiecznie naszycie lodowca z gazet u jego boku.

Nie chodził o jedną oszkłopowiększającą, tylko o leżące na stole blaszane pudełko playersów, które otworzył, by wyjąć nowego papierosa.

- Robię, co mogę, by nadążyć za światem, widzieliście tych

mętnych pismaków.

Moje własne oczy, muszę wyznać, wpatrujące się już od dziewięćdziesięciu pięciu lat w obrazprzepływającego świata, są bardzo zmęczone tym, co widziały.

Mimoto staram się, by nie umknęły mi narodziny, zgonu, małżeństwa i procesy, odbywające się w naszym hrabstwie.

I nadal, rzecz jasna, subskrybuję "Puncha" i "Liliputa".

Słyszałem, że masz dwie siostry:

Ofelię i Dafne?

Wyznałam, iż tak jest w istocie.

-Jacko, jeśli mnie pamięć nie myli, zawsze uwielbiałem zotykę.

Nic więc dziwnego, że pierworodnej córce dał mię po Szekspirowskiej histeryczce, a drugiej, po greckiej wiecznej dziewicy.

- Słucham?

-Dafne nie mogła odwzajemnić miłości Apolla, bo Eros zabił w niej strzałą zdolność odczuwania miłości, więc poprosiła ojca, żeby zamienił ją w drzewo.

wawrzyn.

- Chodził mi o tę pierwszą.

powiedziała mi nieśmiało.

- Ofelię.

Histeryczkę?

- Kompletną wariatkę stwierdził, gasząc niedopałek w pełnej popielniczce i zapalając kolejnego papierosa.

-Zgodzisz się chyba ze mną?

Oczy patrzące na mnie z głęboko pobrużdżonej zmarszczkami twarzy były jasne i świdrujące jak oczy każdego nauczyciela, który staje przed tablicą ze wskaźnikiem w dłoń.

ni. Pomyślałam, że mój plan się powiódł.

Nie byłam już "małą dziewczynką".

Ofelia została "kompletną wariatką", Dafne zamieniła się w wawrzyn, a ja stałam się chłopcem, który przeszedł do czwartej klasy.

- Nie do końca, panie profesorze - ośmieliłam się sprzeciwić.

- Sądzę, że Szekspir chciał, aby Ofelia coś symbolizowała, jak zioła i kwiaty, które zbiera.

- Tak uważasz, he?

Na przykład, co miałyby symbolizować?

- Symbolicznie, panie profesorze, Ofelia jest niewinną ofiarą morderczego rodu, którego przedstawiciele są całkowicie pochłonięci sobą.

Tak mi się przynajmniej wydaje.

- Rozumiem powiedział.

Twoja opinia jest wielce zajmująca.

Ucieszyłem się - dodał niespodziewanie - dowiedziawszy się, że twój ojciec zapamiętał z lekcji łaciny złotowłosą Flawię.

- Moje włosy są raczej myszowato bure.

- Hm.

Trafiliśmy na impas - jeden z tych, jakie często zaśmiecają rozmowy ze starszymi.

Wydawało mi się, że zasnął z otwartymi oczyma.

- No tak - odezwał się w końcu.

- Lepiej będzie, jeśli mi go pokażesz.

- Przepraszam, nie dosłyszałam, panie profesorze.

- Mojego "Ulsterskiego mściciela".

Chcę na niego spojrzeć.

Zabrałaś go przecież ze sobą, prawda?

- Ta..

tak, panie profesorze, ale skąd.

- Spróbujmy to wydedukować - powiedział z namaszczeniem, jak ksiądz wzywający wiernych "Módlmy się".

- Horace Bonepenney, niegdysiejszy prestidigitator-amator skończony oszusti łotr, pada trupem w ogrodzie kolegi ze szkolnej ławy, Jacko de Luce'a.

Dlaczego, mógłby ktoś zapytać.

Najbardziej prawdopodobnym wytłumaczeniem

tego smutnego faktu wydaje się próba szantażu.

Przypuśćmy zatem, że do niej doszło.

Nie mija kilka godzin, a najmłodsza z córek Jacko przekopuje się przez stopy archiwalnych gazet w bibliotece w Bishop's Lacey, wyławiając z nich doniesienia o śmierci mojego starego, drogiego kolegi, pana Twininga, niech spoczywa w pokoju.

Skąd ty tym wiesz?

To chyba oczywiste!

- Od panny Mountjoy - rzuciłam.

Świetnie, moja droga.

Tilda Mountjoy jest od ćwierćwieku moimi oczyma i uszami w wiosce i jej okolicach.

Powinłam się była domyślić, że panna Mountjoy jest szpiegiem!

- Ale idźmy dalej.

W ostatnim dniu swego pobytu na tym padole łez, złodziej i łotr Bonepenny zamieszkał w gospodzie Trzynaście Kaczorów.

Następnie ten młody głupiec.

no cóż, już nie młody, ale nieustannie bezrozumny.

pozwolił się zabić.

Kiedyś w rozmowie z panem Twiningiem oznajmiłem, że Bonepenny nie skończy dobrze.

Waham się, czy powinienem podkreślać, że nie pomyliłem się w swojej prognozie.

Wokół tego chłopaka zawsze unosił się zapach siarki.

Ale odbiegam od tematu.

Wkrótce po odejściu Horace'a do wieczności w jego pokoju w gospodzie pojawia się pewna śliczna młoda osobka, której imienia przez grzeczność niewspomnę, lecz która siedzi teraz przede mną z nadąsaną miną.

Pojawia się w gospodzie i ukrywa coś w kieszeni - coś, co nie może być większe od kawałka papieru koloru marmolady z Dundee, z nadrukiem podobizny naszej świętej pamięci królowej Wiktorii i literami TL.

Quod erat demonstrandum.

Q, E.

D.

O.E.

D... powtórzyłam i bez dalszej zwłoki wyjęłam z kieszeni kopertkę z glazurowanego papieru i podałam ją doktorowi Kissingowi.

Drżącymi i poplamionymi nitkami palcami - drżący.



mi ze starości albo z podniecenia, któż to wie.

-otworzył kopertę i ujął znaczek przezbibułkę, która zastępowała mi piątą.

Gdy naszym oczom ukazał się róg "Ulsterskiego mściciela", zwróciłam uwagę, że znaczek i poplamione palce mają niemal taką samą barwę.

- Wszyscy Szkoci!

- zawołał wyraźnie wstrząśnięty.

Zna laźlaś "AA"!

Wiesz, że ten znaczek należy do Jego Wysokości.

Został skradziony z wystawy w Londynie przed kilkoma tygodniami.

Trąbiły o tym wszystkie gazety.

Rzucił mi oskarżycielskie spojrzenie ponad okularami, ale jego wzrok natychmiast przyciągnęły jaskrawe skarby, które trzymał w dłoni.

Wydawał mi się, że całkiem mnie zapomniał.

- Witaj, stary przyjacielu.

- szeptał, jakby mnie tu w ogóle nie było.

- Nie widzieliśmy się od tak dawna.

Podniósł lupę i przyjrzał się obu znaczkom, jednemu po drugim.

- Mój drogi, mały TL.

Jakąż to historię mógłbyś mi opowiedzieć!

- Bone penny miał oba znaczki - mruknęłam.

- Znalazłam je w jego bagażu w gospodzie.

- Przetrzepałaś jego bagaż?

- zapytał doktor Kissing, nie podnosząc głowy znad lupy.

- Fiu.

fiu.

Policja na wieść o tym nie będzie tarzać się z radości na wiejskim skwerze, założy się.

Ty również będziesz miała się z pyszna.

- Wcale nie przetrzepałam mu bagażu!

- zaprzeczyłam.

- Znaczki były ukryte pod naklejkami na jego kufrze.

- Z którym, rzecz jasna, grałaś w polo, a znaczki wpadły ci przypadkiem w oko.

- Tak odrzekłam poważnie.

Tak właśnie było.

- Powiedz mi.

- zapytał zmienionym nagle głosem, patrząc mi prosto w oczy.



-Czy twój ojciec wie, że tutaj jesteś?

- Nie, panie profesorze odpowiedziałam.

Zostałam oskarżony o morderstwo i jest w Hinley, w areszcie.

- Dobry Boże!

Czy on to zrobił?

-Ależ nie!

Tylko że wszystkim się wydaje, że tak jest.

Nawet ja myślałam tak przez chwilę.

- Hm.

chrząknął.

A teraz jakiego jesteś zdania?

-Już sama nie wiem.

- wyznałam.

-Czasem wydajęmi się, że było tak, aczasem, że zupełnie inaczej.

Wszystko jest bardzo zagmatwane.

- Wszystko wydaje się bardzo zagmatwane tuż przed znalezieniem rozwiązania.

Odpowiedz mi, Flawio, na takie pytanie: Czy jest coś, co interesuje cię ponad wszystko inne we wszechświecie?

Czy masz jakąś jedną, wielką, życiową pasję?

- To chemia - odpowiedziałam bez mrugnięcia powieką.

-Świetnie!

- ucieszył się doktor Kissing.

-W swoim czasie zadawałem to pytanie armii Hotentotów: moi uczniowie wspominali to o tym, to o owym, jękali się i stękali pod nosem, nie potrafiąc tego nazwać.

Ty natomiast nazwałaś to jednym słowem.

Wiklinowy fotel zaskrzypiał straszliwie, gdy doktor Kissing obrócił się na nim w moją stronę.

Przez moment wydawało mi się, że skręcił sobie kark.

- Azotan sodu - powiedział.

- Znasz niewątpliwie związek noszący tę nazwę.

Czy znam!

Azotan sodu jest antidotum na zatrucie cyjankiem i wszystkie reakcje, w jakie wchodzi ten związek, znałam na pamięć - lepiej niż własne imiona.

Ale skąd doktor Kissing wiedział, jakim posłużyć się przykładem?

Może był jasnowidzem?

- Zamknij oczy - polecił.

- Wyobraź sobie, że trzymasz w dłoniach próbkę wypełnioną do połowy

trzydziestoprocentowym roztworem kwasu solnego.  
Doda.

jesz do niej niewielką ilość azotanu sodu.

Co możesz zaobserwować?

- Nie muszę zamykaćoczu powiedziałam.

Roztwórzmienia kolor napomarańczowy.

mętnopomarańczowy.

- Doskonale!

To kolor tych niesfornych znaczków, czyżnie?

I co dalej?

- Po pewnym czasie, po jakichś dwudziestu, trzydziestu minutach, znów staje się przezroczysty, rozjaśnia się.

-Rozjaśnia się!

Na tym zamykam sprawę.

Wyszczrzyłam zęby, jakby ktośdjął mi z barków wielkicieżar.

- Musiał pan być, panie profesorze,cudownym nauczycielem.

-I owszem.

wswoim czasie.

Ty za to oddałaśmi mójmały skarb.

- Odwrócił się znów do znaczków.

Mówiąc szczerze, tego nie przewidziałam.

Nie zastanawiałam się nawet na tym.

Chciałam tylko przekonać się,czy prawowitywłaściciel "Ulsterskiego mściciela" wciążżyje.

A jeśli chodziło znaczki,to chciałam oddać je tacie,który oddałby je policji, która z kolei dopilnowałaby, żeby znaczki wróciły do właścicieli.

Doktor Kissing natychmiastprzejrzałrozterki,jakie mną targały.

-Zadam ci jeszcze jedno pytanie.

Co bysięstało,gdybyś przyszła tutaj dzisiaj i dowiedziała się, że, jak tomówią, wyzionąłemducha, powędrowałem po wieczystą nagrodę?

- Chce pan powiedzieć, co by się stało, gdybysię dowiedziała, że pan umarł?

-Właśnie!

Miałem tośłowo na końcu języka,ale jakośmi umknęło.

Więc, gdybym umarł?

- Przypuszczam, że oddałabym pańskiznaczek tacie.

-Na zawsze?

- Tata wiedziałby,co z nim zrobić.

-Sądzę, że osobą, która powinna o tym decydować, jestwłaściciel znaczka.

Zgodzisz się ze mną?

Wiedziałam, że odpowiedź brzmi "tak", ale nie mogłam tego z siebie wydusić.

Bo bardziej niż cegółkowiekna świecie pragnęłam podarować ów znaczek tacie, choćnie miałam do tego prawa.

Jednocześnie chciałam oddaćoba znaczki inspektorowi Hewittowi.

Ale dlaczego?

Doktor Kissing zapaliłkolejnegopapierosa i wyjrzałprzez okno.

Po długiej chwili wyjął jeden ze znaczkówz koperty, którą mi zwrócił.

- To "AA" -powiedział.

- Tego nie chce i nie lubię iniepocałuję, jak mówi piosnka, którą pewnie znasz.

Twój ojciecmożez nim zrobić, co uzna za stosowne.

Nie mnie o tymdecydować.

Zawinęłam starannie królewskiego "Ulsterskiego mściciela" w chusteczkę.

-Pozostaje zatem wspaniały, mały "TL", który należy do mnie.

Jest mój, bez najmniejszej wątpliwości.

' - Mam nadzieję, że z przyjemnością umieści go panna powrót w swym klaserze.

powiedziałam z rezygnacją w głosie, chowającjednocześnie bliźniakado kieszeni.

-W klaserze.

-Wydał z siebie ochrypy chichot, któryzamienił się w kaszel.

- Mojeklasery, jak to ujął drogi, nieżyjący już niestety Ernest Dowson, "przeminęły z wiatrem .

Zwrócił stare oczy ku oknu, za którym dwie starsze panie wciąż krążyły wokół nakrapianych słońcem buków, niczym dwa egzotyczne motyle.

Wielem zapomniał, Kynaro!

Z wiatrem pryminety

Ernest Christopher Dowson, angielski poeta, autor wiersza Non Sum Qualis sram Bonae Sub Regno Cynarae, z którego Margaret Mitchell zaczerpnęła tytuł słynnego romansu.

Rófe rzucane na wiatr ciebie wścielstej,

Ciebie w.

mna ro^ańcsyinej,

Abymwyrzucił^pamięci lilie twe białe, yiiknione.

Alem byłypacwny, na miłości chory niedosyt

I choć taniec był długi, Kynaro!

Wiernym ci był naswój sposób.

- Wiersz ten nosi tytuł Non Sum Qyalis eram Bonae Sub Regno

Cynarae.

Może goznasz?

Pokręciłam głową.

-Jest bardzo piękny - szepnęłam.

- Zamknięciesz w takim miejscu jak to.

-powiedział,zmieniającnagle temat i wykonując szeroki zamach ręką - .

mimo panującego tu zaniedbania i nieudolnościjest, o czym sięzarazdowiesz, rujnującym przedsięwzięciem finansowym.

Popatrzył na mnie,jakby czekająca na moją reakcję poopowiedzianym dowcipie.

Kiedy nie zareagowałamw żaden sposób, wskazał stół.

- Podaj mijeden z tych klaserów.

Ten, który leży na samej górze, powinien nam wystarczyć.

Dopiero teraz zauważyłam,że pod blatem stołu kryłasię półka, na której leżały dwa opasłe klasery.

Zdmuchnęłam kurz z oprawy i podałam doktorowi Kissingowi górny klaser.

- Nie, nie.

Sama go otwórz.

Przerzuciłam pierwszą kartę:były na niej dwa znaczki -jeden czarny, a drugi czerwony.

Kiedyś musiało tu być ichwięcej, oczym świadczyły resztki kleju i odciski w kartonie.

Przerzuciłam następnąkartę.

i kolejną.

Klaser byłcałkiem wybebeszony - z kolekcji doktora Kissinga pozostały smętne resztki, których powstydzilby się nawet byle uczniak.

-Tyle kosztuje, jak sama widzisz, zapewnienie dachu nad głową bijącemu sercu.

Człowiekpozbywa się życiaz każdym sprzedanymmaleńkim

kwadracikiem.

Niewieleich zostało, prawda?

-Ale "Ulsterski mściciel" -zawołałam-wart jest przecież fortunę!

- W istocie - zgodził się ze mną doktor Kissing, przypatrując się swemuskarbowi przez szkło powiększające.

Czyta się w powieściach mruknął o ulaskawieniuprzyznawanym skazańcom, którzy przeżyją opuszczenieszubienicznej zapadni,i o koniach wyścigowych, którymserce staje o cal od mety.

Zaśmiał się oschle i wyciągnąwszychusteczkę, wytarł oczy.

- "Za późno!

Za późno wołała waćpanna" i tak dalej.

"Nie odtrąbią capstrzyku ozorzy porannej".

"Los uwielbia stroić sobie żarty" - ciągnąłpółgłosem.

- Kto to powiedział?

Cyrano de Bergerac, prawda?

W głowie zaświtała mi myśl, że rozmowa z doktoremKissingiem byłaby prawdziwą ucztą dla Dafi.

Ale tylko zaświtała,bo zaraz potem zamarłam.

Z lekko ironicznym uśmiechem doktorKissing wyjął papierosa z ust i przystawiłzarzający się koniec do rogu"Ulsterskiego mściciela".

Poczułam się tak, jakbym znalazła się w samym środku pożogi,jakby ktoś skrępował mipierś drutem kolczastym.

Mrugnęłam zniedowierzaniem, a potem z największym przerażeniem wpatrywałam się jak zahipnotyzowanaw dymiący znaczek, który po chwilizajął się małym płomykiem, liżącym z wolna, acz nieprzerwanie, młodzieńczy profil królowej Wiktorii.

Gdy płomień dotarł do czubków poplamionych nikotyną palców, doktor Kissing otworzyłje, a ciemny kawałek popiołu spadła podłogę. Starzec przydepnął go czarnym, świecącym lakierkiem, a potem zgniótł dla pewności czubkiem buta.

Serce waliło mi jak młotem, gdy "Ulsterski mściciel" zamienił się w czarną smugę na linoleum domu starców.

Znaczek, który masz w kieszeni, właśnie podwoił swoją wartość - oznajmił doktor Kissing.

- Strzeżgo dobrze, Flawio.

Bo to jedyny ocalały egzemplarz na całym świecie.

## DWADZIEŚCIA DWA

Zawsze, kiedy jestem na dworze i chcę się nad czymś dobrze zastanowić, rzucam się na ziemię, rozkładam szeroko ręce i nogi, jak przy robieniu orła, i wpatruję się w niebo.

Początkowo bawią mnie "robaczki" przed oczyma - te małe, skręcone sznureczki białka, które przepły wają przez pole-widzenia jak maleńkie, nieznanegalaktyki.

Jeśli mi się nie spieszy, staję na głowie, żeby odwrócić ich bieg, a potem znów kładę się na plecach i wpatruję w nie, jak w film rysunkowy.

Teraz miałam jednak za dużo na głowie, żeby zadawać sobie tyle trudu.

Po przejechaniu niecałej mili od Rook's End rzuciłam się natrawiaste pobocze i zadarłam głowę ku letniemu niebu.

Niepotrafiłam pozbyć się myśli o tym, co powiedział mi tato, a mianowicie, że wraz z Horace'em Bonepennym zabił pana Twininga. Że obaj są osobiście odpowiedzialni za jego śmierć.

Gdybym uznała to za jedną z fantazji taty, natychmiast bym jej zapomniała, ale z jego słowami musiało się coś kryć.

Podobnego zdania była panna Moitjoy i sama o tym powiedziała.

Stosunkowo łatwym wytłumaczeniem było poczucie winy, z jakim żył tato.

Brał przecież udział w inicjatywie, która doprowadziła do pokazu kolekcji doktora Kissinga.

a jego dawna przyjaźń z Bonepennym, choć wówczas już nieistniejąca, czyniła go pośrednio współnikiem w aferach tamtego.

Mimo to.

Nie, musiałokryć się zatym coś więcej, ale nie miałam pojęcia co.

Leżałam na trawie, wpatrując się w błękitne sklepienie niebiosz takim zapalem, jak ci starzy fakirzyści słupnicy, którzy wlepiali oczy wprost w słońce, zanim ich ucywilizowaliśmy.

Ale nic mądrego nie przyszło mi do głowy, nad którą słońce przypominał wielkie, białe zero oświetlające moją pustą makówkę.

Wyobraziłam sobie, że wkładam na nią magiczną czapkę mądrości i naciągam ją głęboko na uszy - kiedyś to pomagało.

Czapka była wysoka, stożkowata - model dla wróżki czarodziejów - a pokrywały ją chemiczne wzory i równania: róg obfitości pomysłów.

Wciąż nic!

Chwileczkę.

Ależ tak!

Nic!

Tata nic nie zrobił!

Kompletnie nic!

Wiedział, a przynajmniej podejrzewał, co się stało już w pierwszej chwili, gdy Bonepenny "unicestwił" najcenniejszy znaczek dyrektora.

a mimo to nie powiedział.

Był to grzech zaniedbania - jedno z tych z oficjalnego katalogu kościelnych przestępstw, o jakich nieustannie rozprawia Fela, dostrzegając je u wszystkich oprócz siebie.

Ale winą taty była kwestia moralną jako taka nie podlegała mojej jurysdykcji.

Fakt - trudno byłoby zaprzeczyć, że tata milczał, a jego milczenie sprawiło, że święty pan Twining wziął winę na siebie i zmył własną krew i płamę na honorze.

Jego śmierć musiała odbić się szerokim echem.

Mieszkańcy tej części Anglii nigdy nie słynęli ze wstrzemięźliwości w mowie przeciwnie.

W poprzednim stuleciu miejscowy poeta Herbert Miles nazwał nas "stadem gęgających gęsi,

które plotkują radośnie na każdym wolnym kawałku trawy".

W jego słowach kryło się wiele prawdy.

Ludzie uwielbiają rozmawiać, szczególnie jeśli rozmowa dotyczy innych.



Czują się wtedy potrzebni.

Mimo że pani Mullet trzymała w naszej spiżarni poplamiony sosem egzemplarz Odpowiedź na każde pytanie, już dawno przekonałam się, że najlepszym sposobem na rozwiązanie dowolnej nurtującej mnie kwestii jest zapytanie o nią pierwszej lepszej osoby, jaka się napatoczy. Odpowiedzi znajdowały się nawet wyciągnięciem ręki.

Tylko że nie mogłam zapytać taty o jego milczenie w tamtej sprawie. Nawet gdybym się ośmieliła, co zresztą byłoby niewyobrażalne, tata siedział zamknięty w policyjnej celi, w której pozostanie jeszcze przez pewien czas.

Nie mogłam również zapytać o to panny Mountjoy, która zatrzasnęła mi drzwi przed nosem, gdy widziała we mnie krew z krwi i kość z kości mordercy pana Twininga.

Innymi słowy, zostałam sama.

Przez cały dzień nie dawała mi spokoju pewna myśl, która brzęczała natrętnie jak włączone w dalekim pokoju radio.

Gdybym tylko zdołała rozpoznać nadawaną przez radio melodię.

Myśl miała swój początek w gazetach, jakie przeglądałam w szopie za biblioteką.

Ktoś coś powiedział.

Ale co?

Czasem chwytanie ulatującej myśli przypominał ściganie ptaka, który wpadł do pokoju.

Człowiek się skrada na paluszkach, wyciąga rękę.

i fruuu!

Ptaszka nie ma, umknął w ostatniej chwili, machając skrzydłami.

Tak! To skrzydła!

"Przypominał upadłego anioła", powiedział jeden z uczniów Greyminster.

Toby Lonsdale - tak się chybanazywał.

To dosyć osobliwe stwierdzenie w ustach kilkunastoletniego chłopca, który widział skaczącego z wieży wychowawcę!

Tata z kolei porównał pana Twininga do świętego w aureoli z iluminowanym manuskrypcie.

Problem polegał na tym, że bardzo pobieżnie przejrzałam gazetowe archiwum.

W "Hinley Chronicle" napisano wyraźnie, że policyjne śledztwo w sprawie śmierci pana Twininga i kradzieży znaczka doktora Kissinga ma być kontynuowane.

No dobrze, a nekrolog?

Musiał pojawić się później, ale co w nim napisano?

Bez dalszej zwłoki wskoczyłam na Gladys i popedałowałam wściekle ku Bishop's Lacey i Cow Lane.

Tabliczkę z napisem "Zamknięte" dostrzegłam dopiero trzy metry od wejścia do biblioteki.

No tak!

Czasem, Flawio, masz tapiokę zamiast mózgu, o czym często przypominała ci Fela.

Dziś poniedziałek!

Biblioteka zostanie otwarta dopiero w czwartek o dziesiątej.

Prowadziłampowoli Gladys kurzece i szopom.

Nie wiedzieć czemu, przypomniały mi się te naiwne historyjki, jakie opowiadają dzieciom w radiu na dobranoc pouczające historyjki z morałem, jak ta o Małej lokomotywie ("Napewno umiem, na pewno dam radę.

"), która wciągnęła długi i ciężki pociąg towarowy na stromą górę, bo wmówiła sobie, że topotafi.

Noi się nie poddała.

Niepoddawanie się było kluczem do wszystkiego.

Kluczem?

Oddałam kluczo szopy pannie Mountjoydoskonale to pamiętałam.

Ale czy przypadkiem klucz tennie miał duplikatu: zapasowego klucza, chowanego pod parapetem, na wypadek gdyby jakaś zapominalska pannabibliotekarkawyjechała na wakacje do Blackpool z oryginałem w torebce?

Do niedawna Bishop's Lacey nie było siedliskiem zbrodni, a chowanie zapasowych kluczy w doniczkach i pod wycieraczką stanowiło powszechną praktykę.

Przesunęłam palcami po framudze nad drzwiami, zajrzałam pod doniczkę z geranium stojącą wzdłuż chodnika, podniosłam nawet kilka podejrzanych kamieni.

Bez rezultatu.

Dłubałam palcami w otworach w kamiennym murku, biegnącym od Cow Lane do biblioteki.

Wciąż nic.

Ani śladu.

Przystawiłam dłonie do szyby i spojrzałam na sterty gazet leżących na półkach.

Tak blisko i tak daleko.

Byłam tak zrozpaczona, że mogłabym pluć.

Co też uczyniłam.

Co na moim miejscu zrobiłaby MarieAnnę FaulzeLavoisier?

Ciekawe?

Czy stałaby tu z założonymi rękoma i pieniała się jak miniaturowy wulkan, który powstaje po podpaleniu szczypty dwuchromianu amonu?

Jakoś nie mogłam w to uwierzyć.

Marie Annę zapomniałaby nachwilę o chemii i sforsowała drzwi.

Przekręciłam wściekle gałkę i.

wpadłam do szopy!

Ktoś tu był zapomniiał zamknąć drzwi.

Miałam nadzieję, że nikt mnie nie śledzi.

I dobrze, że o tym pomyślałam, bo zaraz przyszło mi dogłowy, że nie zaszkodzi wprowadzić Gladys do środka, gdzie nie dostrzegą jej oczy ciekawskich.

Omijając przykryty deskami kanał, biegnący przez środek szopy, przedostałam się ostrożnie do półek z pożółkłymi gazetami.

Bez trudu odnalazłam odpowiednie numery "Hinley Chronicle".

I nekrolog.

Tak jak przypuszczałam, nekrolog pana Twininga ukazał się w piątek po jego śmierci:

Twining, Grenville, magister (Oxford), zmarł nagle w ostatni poniedziałek w Greyminster School pod Hinley w wieku siedemdziesięciu dwóch lat.

Był synem świętej pamięci Mariusa i świętej pamięci Dorothei Twining Winchester w Hampshire.

Jego spadkobierczynią jest siostrzenica, Matilda Mountjoy: i Bishop's Lacey. Zwłoki wyprowadzono z kaplicy w Greyminstere.

Modlitwom nad trumną przewodził wielebny kanonik Blake-Soames, proboszcz kościoła św.

Tankredaw Bishop's Lacey, oraz kapelan Greyminster.

Na grobie złożono liczne wieńce.

Ale gdzie go pochowano?

Może w Winchester obok rodziców?

A może w samym Greyminsterze, choć mocnow to wątpiałam.

Owiele bardziej prawdopodobna wydała mi się myśl, że znajdę jego grób na cmentarzu przy kościele św.

Tankreda, niecałe dwie minuty drogi od miejsca, w którym stałam.

Zostawię Gladys w szopie.

Nie ma sensu ściągać na siebie spojrzeń ciekawskich oczu.

Jeśli się pochylę i będę trzymać się zażywo płotem rosnącym wzdłuż ścieżki dla koni holujących barki, z łatwością przemknę się niezauważona na cmentarz.

Kiedy otworzyłam drzwi szopy, zaszczeakał pies.

Na końcu alejkistała pani Fairweather, przewodnicząca Kobiecej Sodalicii Ołtarza, a przy jej nodze wierny corgi.

Przymknęłam drzwi, nim mnie zauważyli.

Wyjrzałam ostrożnie przez narożnik okna - pies wachał pień dębu, a pani Fairweather zapatrzyła się w dal, udając, że nie ma pojęcia, co się wyprawia na drugim końcu smyczy.

Niech to szlag!

Będę musiała poczekać, aż piesek się załatwi.

Rozejrzałam się po szopie.

Po obu stronach drzwi wznosiły się krzywe biblioteczne półki, których nieheblowane, wyginające się deski sprawiały wrażenie dzieła nieporadnego, choć chętnego dopracystolarza amatora.

Poprawej stronie stały rzędami przestarzałe informatory: roczniki Spisu duchownych Crockforda, Rocznika Haella, Almanachu Whitakera, Wykazów Kelh'ego i Rocznika Morskiego Brasseya.

Książki ściśnięto jedna przy drugiej na niepomalowanych deskach, ich wspaniałe niegdyś oprawy w barwie czerwonej, granatowej i czarnej wyblakły z czasem i zbrunatniały od światła - w dodatku śmierdziały myszami.

Półki po lewej stronie wypełniały z kolei rzędy identycznych szarych tomów.

Na ich grzbietach widniał wyciśnięty i złocisty niegdyś gotycki tytuł: Greyminstercyk.

Przypomnia

łam sobie, że były to roczniki szkoły taty.

Kilka tomów stało nawet w Buckshaw.

Zdjęłam z półki pierwszylepszy rocznik i po chwili zorientowałam się, że dotyczy roku 1942.

Odstawiłam go z powrotem i przejechałam palcem po grzbiecie: 1930-1925.

Ale oto i rok 1920!

Drżąc mi rękoma przekładałam stronicę od początku do końca.

Pełno tu było artykułów o krykiecie, wioślarstwie, lekkiej atletyce, stypendiach, rugby, fotografii i malarstwie krajobrazowym.

I anisłowa o kółku prestidigitatorskim czy towarzystwie filatelistycznym.

W całej książce było pełno zdjęć uśmiechniętych, a czasem krzywiących się do obiektywu chłopców.

Po drugiej stronie od karty tytułowej zobaczyłam obwiedziony czarnym mramorkami portret.

Widniała na nim podobizna szacownego dżentelmena w birecie i to dze, opierającego się niefrasobliwie o biurko z gramatyką łacińską w dłoni.

Dżentelmen ów wpatrywał się w fotografa z wyrazem lekkiego rozbawienia.

Pod zdjęciem znajdował się napis: "Grenville Twining, 1848-1920".

To wszystko.

Żadnego artykułu o okolicznościach jego śmierci, żadnej mowy pożegnalnej, żadnych wspomnień nauczyciela.

Czyżby śmierć pana Twininga otaczała zmowa milczenia?

Coś musiało się za tym kryć.

Jeszcze raz zaczęłam kartkować rocznik, tym razem wolniej obejmowałam wzrokiem treść artykułów, czytałam podpisy pod zdjęciami, jeśli tylko były.

W dwóch trzecich objętości książki moja uwaga przykuło nazwisko "de Luce".

Wypatrzyłam je pod zdjęciem ukazującym trzech chłopców w koszulach bez marynarek, za to w szkolnych czapkach na głowach.

Siedzieli natrawniku obok wiklinowego kosza, stojącego na kocu, na którym rozłożono wiktuały na piknik: bochenek chleba, słoik dżemu, herbatniki, jabłka i dzban imbirowego piwa.

Podpis pod zdjęciem głosił: "Powtórna wizyta u Omara Chajjama szkolny sklepik w Greymminster napawa nas dumą!

Od lewej do prawej: Haviland de Luce, Horace Bonepenny i Bob Stanley w pozach jakby żywcem wyjętych z wersów perskiego króla hedonizmu".

Nieulegało wątpliwości, że tata był chłopcem siedzącym po lewej stronie na kocu ze skrzyżowanymi nogami.

Wyglądał radośniej i bardziej bez troski niż kiedykolwiek później.

W środku zajmował miejsce wysoki, patykowaty chłopak, który udawał, że w gryza się w kanapkę.

Nie mogło być nikt inny poza Horace'em Bonepennym.

Poznałabym go nawet bez podpisu.

Na zdjęciu jego płomieniste rude, kręcone włosy wyglądały jak biała zjawa okalająca mu głowę.

Zadrżałam, przypomniał mi się, jak wyglądał po śmierci.

W pewnym oddaleniu od pozostałych siedział trzeci chłopiec, a wnosząc po dziwnym kącie, pod jakim trzymał głowę, starał się wyeksponować do fotografii swój lepszy profil.

Był przystojniejszy i starszy od dwóch pozostałych, tliło się w nim zarzewie nieodpartej urody gwiazdora niemego kina.

,

To dziwne, ale gdzieś już widziałam tętwarz.

Nagle poczułam się tak, jakby ktoś wpuścił mi na plecy jaszczurkę.

Oczywiście, że widziałam tętwarzi to całkiem niedawno!

Trzecim chłopcem na fotografii był człowiek, który wczoraj przedstawił mi się jako Frank Pemberton!

Był to ten sam Frank Pemberton, który stał ze mną w deszczu pod dachem Świątyni Dumania!

Frank Pemberton, który tego ranka chciał zwiedzić nasz dom, w czym przeszkodził mu nagły wyjazd do grobowca w Nether Eaton.

Perski poeta Omar Chajjam został przedstawiony jako "król hedonizmu" na stronach Portretu Doriana Graya Oscara Wilde'a.

Fakty, jeden po drugim, ułożyły się w logiczną całość.

Przejrzałam na oczy, jak Szawel, gdy spadły mu z nich łuski.

Frank Pemberton był Bobem Stanleyem, a Bob Stanley był brakującym "trzecim człowiekiem".

To on zamordował Horace'a Bonepenny'ego w ogródku warzywnym w Buckshaw.

Dałabym sobie zato głowę uciąć!

Serce waliło mi jak młotem, gdy układanka ułożyła się w obraz.

Od początku coś mi się w nim nie podobało, było w nim coś podejrzanego, o czym nie myślałam od czasu pobytu na wyspie. Musiał coś powiedzieć.

Ale co?

Rozmawialiśmy o pogodzie, przedstawił mi się, przyznał, że wie, kim jestem, bo sprawdził nasz wpis w Kto jest kim.

Po co miałby robić, skoro znał ojca jeszcze ze szkoły?

Czyżby akurat to kłamstwo poruszyło moje niewidzialne czułki.

Podejrzany wydał mi się także jego akcent.

Nieco odmienny, ale.

Powiedział mi o swojej książce: Dwory Pemberton.

Wędrownica przez .

To zabrzmiało prawdopodobnie.

Co jeszcze mówił?

W sumie nic ważnego, wspomniał coś o wyrzutkach na bezludnej wyspie i o tym, że zostaniemy przyjaciółmi.

Węgielek, jaki żarzył mi się gdzieś tyłu głowy, wybuchł nagle płomieniem!

"Ufam, że z czasem zostaniemy przyjaciółmi".

Tak dokładnie brzmiały jego słowa, a ja już je gdzieś słyszałam.

Moje myśli pofrunęły jak piłeczka na gumce do pewnego zimowego dnia.

Choć było jeszcze wcześniej, drzewa za oknem salonu poszarzały, a niebo z kobaltowo-błękitnego stało się czarne.

Pani Mullet przyniosła talerz babeczek i zaciągnęła zasłony.

Fela rozciągnęła się na sofie, przyglądając się swe.



mu odbiciu w łyżeczce od herbaty, a Dafi siedziała w wyściełanym fotelu taty przy kominku.

Czytała namna głosPenroda - książkę, jaką znalazła na półce ulubionychmłodzieńczych lektur Harriet.

Penrod Schofield miał dwanaście lat, był orok i paręmiesięcystarszy ode mnie, co mogło uczynić go obiektem mojego przelotnego zainteresowania.

Według mnieprzypominał Hucka Finna,przeniesionego w czasie dolat Iwojny światowej i jakiegoś nieokreślonego miasta naamerykańskim Środkowym Zachodzie.

Książka była pełnastajni, zaułków, wysokich drewnianych ogrodzeń wozówdostawczych ciągnionych w tamtych czasach przez konie,przez co odniosłam wrażenie, że jej akcja równie dobrze mogłaby się rozgrywać na Księżycu.

Fela i ja siedziałyśmyjakoczarowane, gdy Dafi czytała nam Scaramouche'a, Wyspę skarbów i Opowieść o dwóch miastach, ale w Penrodzie było coś takiego, że jegohistoria wydawałanam się tak odległajak ostatniaepoka lodowcowa.

Fela, która klasyfikowała książki w kategoriach muzycznych, powiedziała, że Penroda napisano w tonacji C.

Mimo to gdyDafi przekładała stronęza stronę, wybuchłyśmy raz czy dwa śmiechemz uporu, z jakimPenrod przeciwstawiał się rodzicom i autorytetom.

Zastanawiałam się wówczas, co takiego w tymłobuziaku przykuło uwagę i być może wzbudziło miłośćmłodejHarriet de Luce.

Może teraz byłoby mi to łatwiejodgadnąć.

Najzabawniejszą sceną wcałej książce była ta, w którejPenroda przedstawiano świętoszkowatemu wielebnemuKinoslingowi, który poklepał chłopca po głowie powiedział z silnym, doskonaleimitowanym przez Dafi amerykańskim akcentem: "Ufam, że z czasem zostaniemy przyjaciółmi".

Z tego rodzajuprzekonaniem żyłam przez całeżycie, więc może śmiałam się wówczas za głośno.

Problemjednak w tym, że Penrodbyłamerykańską książką, napisaną przez amerykańskiego autora.

Nie był takznany w Anglii jak zaoceanem.

Czy Pemberton, a raczej Bob Stanley, mógł przeczytaćPenroda i podchwycićinteresującą mnie frazę wAnglii?

Tomożliwe, ale mało prawdopodobne.

Przecież tata powiedział, że Bob Stanley- ten sam, który po nim został asystentem Horace'a Bonepenny'ego - wyjechał do Ameryki, gdzie prowadził podejrzany handel znaczkami pocztowymi.

Lekki akcent Pembertona był akcentem amerykańskim!

A Pemberton był starym greyminsterczykiem z domieszką Nowego Świata.

Okazałam się najprawdziwszą imbecylką!

Wyrzłam przez okno.

Pani Fairweather już sobie po- -szła razem z brudzącym na cudzych trawnikach corgim.

Cow Lane była pusta.

Zostawiłam otwarty rocznik nastole i wymknęłam się nadwór.

Obeszłam szopę i ruszyłam ku rzece.

Przed stulaty rzeka Efon należała wraz z innym do systemu żeglownych kanałów, z którego do dziś została tylko ścieżka dla ciągnących barki koni.

U końca Cow Lane leżało kilka pali, które wzmacniały niegdyś nabrzeże, ale już bliżej kościoła rzeka zrzucała stare okowy i płynęła szeroko, tworząc rozlewiska, takie jak to, które znajdowało się na bagnistej depresji za kościołem.

Przełamłam przez gnijącą bramę na cmentarz.

Stare grobowce pochylały się we wszystkie strony, niczym boje na oceanie trawy, która urosła tak wysoko, że sięgała mi niemal do pasa.

Najbliżej kościoła znajdowały się najstarsze groby oraz te, które należały do najbogatszych parafian.

Bliżej muru z polnego kamienia chowano zmarłych z bliższych historycznych czasów.

Istniała również stratyfikacja pionowa.

Pięćsetlat nieustannych pochówków sprawiło, że cmentarz przypominał.

wyrośnięty bochen chleba: tłusty bochen świeżo upieczonego zielonego chleba, wznoszący się znacznie wyżej odokolicy.

Poczułam ciarki na plecach na myśl o drożdżachwzrastających pod moimi stopami.

Przez chwilę przeglądałam bez celu nagrobki, odczytując wypisanena nich, dobrze znane w Bishop's Lacey nazwiska: Coombs, Nesbit, Barker, Hoare i Carmichael.

Tuż obok pod nagrobkiem z owieczką leżał mały Wił -liam, pierworodny syn Tully'ego Stokera, który zmarłw niemowlęctwie.

Gdyby żył, byłby dziś trzydziestoletnim mężczyzną- starszym bratem Mary.

Mały Williamzmarł, mając pięć miesięcy i cztery dni na "krup" - jak napisano - wiosną 1919 roku, czyli rokprzed skokiempaña Twininga z zegarowejwieży w Greyminsterze.

Istniała duża szansa, że grób starego wychowawcyznajdował się gdzieś w pobliżu.

Już mi się wydawało, że go znalazłam:trafiłam na czarnynagrobek ze zwieńczeniem w kształcie piramidy i nazwiskiem Twining wyrytym w kamieniu.

Ale ten Twining, jak się okazało, miał na imię Adolf i zaginął na morzu w roku 1809.

Kamień nagrobny Adolfa był tak dobrze zachowany, że nie mogłam się oprzeć pokusie przesunięcia ponim dłonią.

- Dobranoc, Adolfie - powiedziałam.

- Niechaj ci dosnucą chóry niebian!

Gdziekolwiek jesteś.

Grób pana Twininga - zakładając, że ma grób, a trudno byłoby mi sobie wyobrazić, dlaczego miał go nie mieć -z pewnością nie został zwieńczony kamieniem z wapienia, jednym z tych, które kruszeją i pochylają się jak zepsutezęby.

Niewzniesiono mu też zapewne grobowca z kolumnkami, łańcuchami i żeliwnym ogrodzeniem - takiego, w jakich spoczywali co najmniej bardziej arysto Błonica lub dyfteryt.

kratyczni mieszkańcy Bishop's Lacey (w tym nieokreślona liczba zmarłych deLuce'ów).

Położyłam ręce na biodrach i stanęłam głęboko w chwastach na granicy cmentarza.

Po drugiej stronie kamiennego murku biegła ścieżka dla koni, a za nią

rzeka.

Gdzieś tutaj przepadła panna Mountjoy, gdy wybiegł z kościoła, po tym jak proboszcz wzniósł modły za spokój duszy Horace'a Bonepenney'ego.

Ale dokąd zmierzała?

Znów przeszłam przez bramę i stanęłam na ścieżce nad rzeką.

Widziałam wyraźnie zanurzone w wodzie kamienie, których czepiały się wstęgi wodnych chroślin falujących w spokojnym nurcie.

Kamienie prowadziły przez rozlewisko niski piaszczysty brzeg po drugiej stronie, nad którym i za którym rósł żywopłot z jeżyn, będący granicą polana należącego do farmy Malplaquet.

Zdjęłam trzewiki oraz skarpety i stanęłam na pierwszym kamieniu.

Woda była zimniejsza, niż się spodziewałam.

Ciągle ciekło mi z nosa i kapało z oczu, dlatego przez głowę przemknęła mimyśl, że za dzień albo dwa umrę na zapalenie płuci zanim ktokolwiek zdąży za mną zapłakać, dołączę do stałych rezydentów cmentarza przykościelnego.

Tankreda.

Wymachując rękoma jak semaforami, przeprowiłam się przez rzekę i dotarłam, człapiąc, do bagnistego brzegu.

Wciągnęłam się na skarpe za pomocą długich chwastów i znalazłam się na grobli oddzielającej rzekę od przylegających do niej pól.

Usiadłam, żeby złapać oddech i wytrzeć błoto ze stóp za pomocą dzikich traw rosnących wiązkami wzdłuż żywopłotu.

Gdzieś w pobliżu nawoływał trznadel i nagle przerwał.

Nadstawiłam ucha, ale usłyszałam tylko dalekie odgłosy wsi, która buczała jak kobza rolniczą maszyną.

Wciągnęłam skarpety i zasnuwałam trzewiki.

Otrze.

pałam się i ruszyłam wzdłuż żywopłotu, który na pierwszorzut oka wydawał się nieprzeniknioną płataniną kolców kłaczy.

Już miałam zawrócić i pójść w drugą stronę, gdy trafiłam na wąski przełaz w gęstwinie, w zasadzie na szparę.

Przebiegłam się przez nią i znalazłam się po drugiej stronie żywopłotu.

Parę metrów dalej w kierunku kościoła coś wystawało z trawy.

Podeszłam ostrożnie, a włosy na karku stanęły mi dęba, jakby zaatakowali mnie neandertalczycy.

Był to kamień nagrobny z wyrytym niestannie imieniem i nazwiskiem: Grenville Twining.

Napochylonej podstawie kamienia wyryto tylko jedno słowo: Vale!

Vale!

- słowo, którym pan Twining zegnał się ze światem, stojąc na szczycie wieży!

Słowo, które Horace Bonepenny wydyszał mi prosto w twarz przed samą śmiercią.

Uświadomiłam sobie nagle, że umierający Bonepenny pragnął tylko jednego - chciał przyznać się do zamordowania pana Twininga, a przeznaczenie dało mu tylko jedno słowo, za pomocą którego mógł to zrobić.

Wysłuchawszy jego wyznania, byłam jedyną żyjącą osobą, która mogła połączyć ze sobą obie śmierci.

Z wyjątkiem Boba Stanleya.

Mojego pana Pembertona.

Poczułam zimne dreszcze na plecach.

Na kamieniu nagrobnym pana Twininga nie było żadnych dat, jakby ten, kto go tu pochował, chciał wymazać jego historię.

Daś czytala nam o samobójcach, których chowano za murami cmentarza albona rozstaju dróg, ale wydawało mi się, że tego rodzaju praktyki odeszły w przeszłość i można je znaleźć jedynie w opowieściach wysiadujących w kościelnej kruchcie dam.

Mimoto zastanawiałam się, czy leżący w ziemi umi ich stóppan Twining został zawinięty ciasno w nauczycielską pelerynę, jak nieprzymierzając, hrabia Dracula?

Bo to ja, jaką znalazłam nadachu Anson House, znaj

dująca się obecnie na policji, nie mogła donieść należeć.

Tata nie pozostawił cienia wątpliwości, że pan Twining ubrany był w to, kiedy spadł.

Toby Lonsdale w rozmowie z reporterem "Hinley Chronicle" również mówił o todze.

Czy obaj mogli się mylić?

Tata przyznał, że świeciło oślepiające słońce.

Co jeszcze mówił?

Przypomniałam sobie jego słowa opisujące wygląd pana Twininga, stojącego na występie dachu: "Wydawało się, że cała jego postać promienieje, a wystające spod biretu włosy wyglądały jak miedziana aureola świętego w iluminowanym manuskrypcie".

Tragiczna prawda uderzyła we mnie nagle jak fala mdłości: na dachu stał Horace Bonepenny!

Horace Bonepenny o płomiennorudych włosach, Horace Bonepenny naśladowca i Horace Bonepenny iluzjonista!

Cała rzecz była chytrze zaplanowaną sztuczką.

Panna Mountjoy miała rację.

To on zabił jej wuja.

Wraz z Bobem Stanleyem zwabił pana Twininga na dachwieży, najprawdopodobniej pod pretekstem zwrócenia skradzionego i ukrytego tam znaczka.

Tata opowiadał też o ekstrawaganckich obliczeniach matematycznych Bonepenny'ego.

Jego zainteresowania architektoniczne sprawiły, że znał wieżę jak własną kieszeń.

Kiedy pan Twining zagroził, że opowie o wszystkim policji, zabiligo - zapewne uderzając w głowę cegłą lub dachówką.

Po zrzuconiu zwłok z wieży śmiertelny cios nie dał się odróżnić od pozostałych obrażeń.

A potem zainscenizowali samobójstwo - pieczołowicie i z zimną krwią zaplanowali tę scenę.

Może nawet odgrywali ją na próbie?

Na bruk spadł pan Twining, ale to Bonepenny chodził po dachu w porannym słońcu w nauczycielskim birecie i todze, to on krzyknął: "Vale" do chłopców na dziedzińcu.

Słowo to miało im zasugerować chęć popełnienia samobójstwa.

Wykrzyknawszy ostatnie pożegnanie, Bonepenny ukrył.

się za blanką, a Stanley zrzucił ciało przez otwór odpływowy w dachu. W oczach oślepionych słońcem obserwatorów na dziedzińcu wyglądało to tak, jakby nauczycielsam skoczył z dachu.

Abyła tokolejna sztuczka, coś w rodzaju "Wskreszenia Czanga Fu" a rebours z łatwowiernymi widzami.

Jakże musiało tobyć przekonujące!

Jakżewiarygodnie musiało to wyglądać, jeśli przez tewszystkielatato był święcie przekonany, że jego milczenie doprowadziło do samobójstwa pana Twininga, że toon był odpowiedzialny za tę śmierć!

Świadomość tego faktu musiała być zaiste nieznośna, wprost potworna!

Przez trzydzieści lat- do chwili znalezienia przezemniedowodów na wieży Anson House nikt niepodejrzał, że doszło do morderstwa. Którego sprawcomniemał sięupiekło!

Wyciągnęłam rękę i oparłam się o grobowiec pana Twininga, żebynieupaść.

- Widzę, że go znalazłaś - odezwał się głoszą moimi plecami, a jego brzmienie zmroziło mi krew w żyłach.

Odwrociłam się na pięcie i stanęłam twarzą wtwarzFrankiem Pembertonem.

DWADZIEŚCIA TRZY

Kiedy bohater powieści lub filmu kryminalnego staje twarzą wtwarz z mordercą, ten zawsze wypowiada ociekającejadem zdanie, często zaczerpnięte z Szekspira:

"No, no, no", syczy, "Podróże kończą się spotkaniemkochanków" albo: "Powiadają, że sprytni i młodzi nigdy nie dożywają starości".

Ale Frank Pembertonniczego takiego nie powiedział.

W istociepowitał mnie dosyć dziwnie jak na mordercę.

- Witaj, Flawio - odezwał się krzywym uśmiechem.

- Kto by pomyślał, że spotkamy się wtakim miejscu!

Krew boleśnie pulsowała mi w żyłach, czułam, że oblewam się szkarłatnym rumieńcem, który - mimo nekających mnie dreszczy - płonął jak ognisko.

Z kolei w głowie dudniła mi jedna myśl: Nie wolno mi. nie wolno mi.

niewolno mi pokazać, że wiem, kim jest naprawdę.

, - Witam pana - odpowiedziałam, mając nadzieję, że nie drży mi głos.

- Jak udała się wizyta przy grobowcu z całunem?

Wiedziałam, że go nie nabiorę.

Przyglądał mi się tak, jak kot kanarkowi, gdy zostaną sami w domu.

- Przy grobowcu z całunem?

Ach!

To zwykła konfekcja

Wieczór Trzech Króli, przełożył Jędrzej Polak.

Ryszard III, przełożył Jędrzej Polak.



z białego marmuru - odrzekł.

- Wygląda jak migdałowymarcepan, choć jest, ma się rozumieć, większy.  
Postanowiłam nie wychodzić z gry, dopóki nie wymyślę jakiegoś planu.

- Mam nadzieję, że pański wydawca był usatysfakcjonowany.

- Mój wydawca?

O, tak.

Stary.

- Quarrington - podpowiedziałam.

- Stary Quarrington wpadł w ekstazę.

Pemberton - ciągle myślałam o nim jako o Pembertonie - postawił plecak na ziemi i zaczął rozpinać skórzane

paski szpicownika.

- Fiu, fiu!

gwizdnął pod nosem.

Zrobiłeś dosyć

ciepło, prawda?

Zdjął marynarkę, zarzucił ją bez troski na ramię i wskazał palcem nagrobek pana Twininga.

- Skąd to zainteresowanie?

- Był szkolnym wychowawcą mojego taty - odpowiedziałam.

- Aha!

Przysiadł i oparł się o podstawę kamienia tak niefrasobliwie, jakby nazywał się Lewis Carroll, który zaprosił

Alicję na piknik nad rzeką Isis.

Czego mógł się domyślać?

, zastanawiałam się.

Czekałam na jego kolejny ruch.

Potrzebowałam czasu na przemyślenie sytuacji.

Planowałam już ucieczkę.

Czy zdołam mu zbiec, jeśli

dam drapakę?

Mało prawdopodobne.

Gdybym uciekała przez rzekę, doścignąłby mnie w połowie drogi.

Gdybym pobiegła przez pole ku farmie Malplaauet, mogę nie spotkać nikogo, kto udzieliłby mi pomocy.

- Z tego, co słyszałem, twój ojciec jest filatelistą - powiedziała nagle, zerkając mimochodem ku farmie.

-Zbiera znaczki, to prawda.

Skąd pan wie?

- Mój wydawca.

stary Quarrington.

wspomniał o tym dziś rano w Nether Eaton.

Rozważa możliwość zwrócenia się do swojego ojca z propozycją spisania dziejów pewnego zapoznanego znaczkopocztowego, ale nie bardzo wie, jak zwrócić się do pana de Luce'a z taką prośbą.

Nic z tego nie rozumiem.

opowiadał mi jakieś szczegóły techniczne.

których, rzecz jasna, nie zapamiętałem.

Zasugerowałem mu, żeby porozmawiał z tobą.

Kłamał jak najęty.

Nie wziął pod uwagę, że miał przed sobą mistrzynię w tej dziedzinie, która jak nikt inny po-?

:

trafi rozpoznać cechy charakterystyczne nieprawdy: nad-'miar szczegółów, niezobowiązujący styl, opakowanie utka- 'ne z banalnej pogawędki.

- To może być, pojmujesz, opłacalne - dodał.

- Staremu Quarringtonowi niczego nie brakuje, odkąd wżenił się w miliony Norwoodów, ale nie powtarzaj tego nikomu.

Myślę, że twój ojciec nie odmówiłby przyjęcia parufuntów, za które mógłby kupić sobie taki znaczek z Nowej Gwinei, który, jak słyszę, wart jest pół pensa, a na rynku filatelistycznym osiąga niebotyczną cenę.

Utrzymanie

Buckshaw pewnie też nie jest tanie.

Dolewał oliwy do ognia.

Chyba uważałamnie za idiotkę.

Tata jest teraz dosyć zajęty mruknięłam.

Ale wspomnę mu o tym.

- No, tak.

Ta nagła śmierć, o której mówiłaś.

Policja

i cała reszta.

Nie można się od nich opędzić.

Czy w końcu wykona jakiś ruch, czy będzie tuszedział gawędził zemną do wieczora?

Możepowinnam przejąć inicjatywę?

W ten sposób będę miała przewagę zaskoczenia.

Tylko jak to zrobić?

Przypomniałam sobie siostrzaną radę, jakiej Fela udzieliła kiedyś Dafi i mnie:

"Gdyby kiedykolwiek zaatakował was mężczyzna", mówiła, "kopnijcie go w Casanovę i uciekajcie jak rączę łanie".

Choć w tamtym czasie zabrzmiało to jak bardzo przydatna informacja, miałam wątpliwości, co Fela miała namyśli, mówiąc o "Casanovie".

Musiałam więc wymyślić coś innego.

Wbiłam czubek trzewika w piasek.

Mogłabym chwycić garść piasku i sypnąć mu w oczy.

Może zdołałabym uciec, zanim by się zorientował, co się dzieje.

Przyglądał mi

się badawczo.

Wstał i otrzepał siedzenie spodni.

- Ludzie w pośpiechu robią czasami rzeczy, których potem żałują odezwał się sentencjonalnie.

Mówił o Bonepennym czy o sobie?

A może ostrzegął mnie przed pochopnym ruchem?

- Wiesz, widziałem cię wtedy w Trzynastu Kaczorach.

Kiedy przyjechałem taksówką, byłaś tuż za drzwiami, przeglądając księgę gości.

Diabli!

A więc jestem zdekonspirowana!

- Mam tam znajomych - mruknęłam, robiąc dobrą minę do złej gry.

Maryi Neda.

Czasem wpadam do gospody i pomagam im w pracy.

- Czy ta pomoc obejmuje również przeszukiwanie pokoi gości?

Zanim skończył mówić, twarz mi pobieliała.

- Okazuje się, że moje podejrzenia znajdują potwierdzenie w rzeczywistości - ciągnął.

- Posłuchaj, Flawio, będę z tobą szczery.

Mój partner w interesach miał coś, codo niego nie należało.

Coś, co należy do mnie.

Wiem na pewno, że w wynajmowanym przez niego pokoju w gospodzie, poza nim samym, byłaś tylko ty i córka właściciela.

Wiem również, że Mary Stoker nie miała powodu, aby przywłaszczyć sobie ten przedmiot.

Więc, co możemy myśleć?

- Mówiło się o tym starym znaczku?

- zapytałam.

To będzie taniec na linie, a ja właśnie zaczęłam wciągać trykoty.

Natomiast Pemberton się odprężył.

- Więc przyznajesz się?

- zapytał.

- Jesteś sprytniejsza, niż sądziłem.

- Leżał na podłodze pod kufrem - powiedziałam.

- Musiał skądś wypaść.

Pomagałam Mary sprzątnąć pokój.

Zapomniała zrobić to wcześniej, a jej ojciec potrafi być.

wie pan.

- Wiem.

Więc ukradłaś mój znaczek i zaniósłaś go do domu.

Przygryzłam wargę, skrzywiłam się i przetarłam oczy.

- Wcale go nie ukradłam!

Myślałam, że komuś wypadł.

Nie, powiem prawdę: wiedziałam, że wypadł z kufra Horace'a

Bonepenny'ego, a ponieważ Horace Bonepenny już nie żył, pomyślałam, że nie będzie mu więcej potrzebny.

Przyszło mi do głowy, że dam go w prezencie tacie, który przestanie się namnie gniewać za stłuczony wazon od Tiffany'ego.

Tak to wyglądało.

Teraz już pan wie.

Pemberton zagwizdał przez zęby.

- Wazon od Tiffany'ego?

- To było niechcący - powiedziałam.

- Fakt, nie powin'nam była grać w domu w tenisa, ale.

- No tak - przerwał mi.

- Mamy problem z głową, prawda?

Oddasz mi znaczek, a ja o wszystkim zapomnę, zgoda?

Kiwnęłam uszcześliwioną głową.

- Pobiegnę do domu i go przyniosę.

Pemberton wybuchł spazmatycznym śmiechem i poklepał się po udach.

Kiedy doszedł do siebie, powiedział:

Jesteś bardzo dobra, wiesz, jak na swój wiek.

Przypominasz mi mnie samego, kiedy byłem mały.

"Pobiegnę do domu i go przyniosę"!

W rzeczy samej!

- W porządku - mruknęłam.

- Powiem panu, gdzie go schowałam, i pójdzie go pan odebrać.

Zaczekał tu na pana, słowo honoru, słowo harcerki.

Zasalutowałam po harcersku.

Nie powiedziałam mu, rzecz jasna, że technicznie rzecz biorąc, niejestem już.

członkinią tej organizacji, z której mnie usunięto za wyprodukowanie wodorotlenku żelaza podczas zdobywania odznaki "dobrej gospodyni". Nikogo nie obchodziło, że wodorotlenek żelaza jest najlepszym antidotum na zatrucie arsenikiem.

Pemberton zerknął na zegarek.

- Robi się późno powiedział.

Nie ma już czasu nauprzejmości.

Coś się zmieniło w wyrazie jego twarzy, jakby ktoś zaciągnął kurtynę. Poczulałam nagły chłód.

Rzucił się na mnie i chwycił mnie za nadgarstki.

Krzyknęłam z bólu.

Wiedziałam, że zaraz wykręci mi rękę na plecach.

Poddałam się natychmiast.

- Schowałam go w sypialni ojca w Buckshaw!

- wyrzuciłam z siebie pośpiesznie.

- W sypialni są dwa zegary: jeden duży na kominku i mniejszy na nocnym stoliku przy łóżku.

Znaczek jest przyklejony z tyłu waha dła zegara kominkowego .

I wtedy stało się coś okropnego - coś okropnego i, jak się potem okazało, zbawiennego: kichnęłam.

Moje zapomniane przeziębienie towarzyszyło mi przez całe życie.

Zauważyłam, że przeziębienia cofają się, kiedy się śpi, a także wtedy, kiedy jest się zbyt zajęty, by zwracać na nie uwagę.

To przeziębienie wróciło z zemsty.

Zapominając o ukrytym w chusteczce "Ulsterskim mścicielu", sięgnęłam do kieszeni.

Zaskoczony Pemberton doszedł zapewne do wniosku, że moje działania są wstępem do ucieczki lub do ataku na jego osobę.

Tak czy inaczej, kiedy przystawiałam chusteczkę do nosa, nie zdążywszy jej nawet rozłożyć, chwycił mnie gwałtownie za rękę, wyrwał chusteczkę, zwinął ją w kulkę i wpakował wraz ze znaczkiem do ust.

- W porządku - rzucił.

- Przekonam się, co tam znajdziemy.

Zdjął marynarkę z ramienia, rozłożył ją jak matadormuletę i zarzucił mi ją na głowę.

Ostatnią rzeczą, jaką widziałam, zanim ogarnęły mnie ciemności, było słowo "Vale" z nagrobka pana Twininga.

/Żegnajcie.

Coś zacisnęło się na moich skroniach.

Domyśliłam się, że krępuje marynarkę ze mną w środku paskami ze szkicownika.

Zarzucił mnie sobie na ramię z taką łatwością, jak rzeźnik zarzuca półtuszę.

Przeniósł mnie przez rzekę.

Kręciło mi się w głowie, kiedy postawił mnie bezceremonialnie na ziemi.

Chwycił mnie jedną ręką za kark, a drugą miażdżył miramię.

Pchnął mnie do przodu.

Znajdowaliśmy się, Jaksie domyśliłam, na nadrzecznej ścieżce.

- Maszeruj, póki ci nie powiem, że masz stanąć.

Chciałam wezwać pomoc, ale w ustach miałam mokraćhusteczkę, która mnie dławiała.

Wydałam z siebie jedynie pochrząkiwanie.

Nie mogłam się nawet poskarżyć, że wyrządza mi krzywdę.

Zdałam sobie sprawę, że boję się bardziej niż kiedykolwiek w życiu.

Wlokąc się nogą za nogą, modliłam się, żeby ktoś nas zauważył.

Na pewno by krzyknął, a ja na pewno bym to usłyszała, mimo marynarki Pembertona na głowie.

Wyrwałabym się i pobiegła w kierunku głosu.

Teraz nie mogłam tego zrobić, bo ryzykowałam, że wpadnę do rzeki, a Pemberton pozwoli mi się utopić.

- Zatrzymaj się!

- poleciał, gdy przeszłam jakieś sto jardów.

Nie ruszaj się!

Zrobiłam to, co mi kazał.

Usłyszałam metaliczny szczełk i skrzypienie otwieranych drzwi.

Szopa!

- Noga do góry - powiedział.

- Próg.

Wporządku.

A teraz trzy kroki w przód i stój!



Drzwi zatrzasnęły się za nami jak wieko trumny-z drewnianym jękiem.

- Opróżnij kieszenie - polecił Pemberton.

Miałam tylko jedną: w bluzie.

Był w niej tylko klucz dokuchennych drzwi w Buckshaw.

Tata zawsze nalegał, abyśmy nosiły klucz przy sobie tak nawszelki wypadek a ponieważ sprawdzał to od czasu do czasu, nigdy nie wychodziłam bez klucza.

Wywróciłam kieszeń na drugą stronę.

Usłyszałam, jak klucz uderza o deski podłogi, odbijając się.

Po sekundzie uderzył o cement.

- Cholera - zaklął Pemberton.

Świetnie!

, ucieszyłam się.

Klucz wpadło do kanału - byłam tego pewna.

Teraz Pemberton będzie musiał zdjąć zakrywające kanał deski i zejść na dół.

Miałam wolne ręce zedrzeć marynarkę z głowy, pobiegnę do drzwi, wyciągnę kibel z ust i zacznę krzyczeć jak opętana, biegnąc jednocześnie ku High Street.

Wystarczy tylko poczekać minutę.

Miałam rację.

Usłyszałam odgłos przeciąganych desek.

Pemberton sapał, odkrywając wejście do kanału.

Muszę uważać, w którą stronę pobiegnę jeden błędny krok, a wpadnę do dziury i skrećę sobie kark.

Nie poruszyłam się, odkąd przeszliśmy przez próg.

Drzwi, jeśli się nie mylę, są dokładnie z moimi plecami, a kanał przede mną.

Muszę obrócić się dokładnie o osiemdziesiąt stopni bez punktu odniesienia.

Pemberton musiał być jasnowidzem albo dostrzegł jakieś niewidzialne ruchy mojej głowy, bo zanim zrobiłam cokolwiek, stanął przy mnie i obrócił mnie wokół osi sześć razy, jak na początku zabawy w ciuciubabkę.

Kiedy mnie w końcu zatrzymał, nie mogłam ustać na nogach.

- Zejdźmy na dół - powiedział.

- Uważaj na schody.

Pokręciłam gwałtownie głową, co musiało wyglądać absurdalnie pod marynarką.

-Posłuchaj, Flawio, bądź grzeczną dziewczynką.

Nie

zrobię ci krzywdy, pod warunkiem że będziesz posłuszna.

Kiedy odbiorę znaczek z Buckshaw, przyślę tukogoś, żeby cię uwolnił.

W przeciwnym razie.

W przeciwnym razie?

-...będę zmuszony zrobić coś nieprzyjemnego.

Przed zakrytymi oczyma stanął mi obraz Horace'a Bonepenney'ego wydającego ostatnie tchnienie.

Wiedziałam, że Pemberton jest w stanie wprowadzić w życie swoją groźbę.

Pociągnął mnie za łokieć nad krawędź kanału.

- Osiem stopni w dół - powiedział.

- Będzie liczył.

Niemartw się, będę cię trzymał.

Postawiłam pierwszy krok w pustkę.

-Jeden - odliczył, gdy moja stopa trafiła na stały punkt.

Zatrzymałam się i zadrżałam.

- Świetnie ci idzie.

Dwa.

i trzy.

Jesteś już prawie w połowie.

Wyciągnęłam prawą rękę i wymacałam krawędź kanału na wysokości barku.

Gołymi kolanami czułam piwniczy chłód, ręka zaczęła mi drżeć jak martwaga łąż na zimowym wietrze.

Poczułam ucisk w gardle.

-Dobrze.

cztery.

pięć.

jeszcze tylko dwa.

Schodziła mną po schodach o jeden stopień w dół.

Zastanawiałam się, czy zdołałabym chwycić go za ramię i przerzucić go przez siebie do kanału.

Gdyby mi się poszczęściło, rozwaliliby sobie łeb cementem, a ja byłabym wolna.

Nagle zamarł, a jego palce wbiły mi się w bark.

Zawyłam z bólu, więc rozluźniłam uścisk.

- Cicho!

-warknął.

Zrozumiałam, że żart się skończyły.

Na Cow Lane cofała ciężarówka.

Zgrzytały biegi, silnik wył raz niżej, raz wyżej.

Ktoś nadjeżdżał!

Pemberton stał nieruchomo, oddychał szybko, świszcząc.

Mając marynarkę na głowie, nie słyszałam zbyt dobrze.

głosów na zewnątrz, ale wyraźnie usłyszałam, jak ze skrzyni opadła stalowa klapa.

Dziwnym zrządzeniemlosumyślałam o Feli.

Która zapyta mnie, dlaczego nie krzyczałam.

Dlaczego niezdarłam marynarki zgłowy i nie zatopiłam zębóww ręce Pembertona?

Będzie chciała poznać wszystkie szczegóły i bezwzględnie na to, copowiem, odrzuci każdy argument, jakby była samym sędzią najwyższym.

Prawda wyglądała tak, że nie mogłam nawet oddychać.

Moja chusteczka grubai bawełniana wypełniała mi całąjame ustną.

Bolały mnie odniej szczęki.

Musiałam oddychać przez nos, a nawet najgłębszyoddech nie zaspokajałmojego zapotrzebowania na tlen.

Wiedziałam, że jeśli zakaszlę, będziepo mnie.

Od najmniejszego wysiłku kręciło mi się w głowie.

Poza tym kierowca ciężarówki i jegopomocnik, stojący przywłączonymsilniku, i tak niczego bynieusłyszeli.

Chyba żedarłabymsię jak przyobdzieraniu ze skóry, czego nigdy nie próbowałam.

Mam na myśli darcie.

Się.

Więc lepiej będzie zachowaćspokój i ciszę.

W ten sposób zaoszczędzę potrzebną energię.

Ktoś zamknął klapę ciężarówki z głośnym stukotem.

Usłyszałam zatraskiwanie drzwi.

Lora odjechała na pierwszym biegu.

Znówzostaliśmysami.

No dobrze - odezwał się Pemberton.

- Schodź.

Maszjeszczedwa schodki.

Uszczypnął mnie, a ja przesunęłam stopę.

Siedem powiedział.

Zatrzymałam się, nie chcąc stawiać ostatniego kroku,po którym wyląduję na dnie kanału.

Jeszcze jeden.

Ostrożnie.

Jakby przeprowadzał staruszkę przez ulicę!

Zrobiłam krok i natychmiast stanęłam po kostki w śmieciach.

Pemberton odgarniał je stopą.  
Wciąż trzymał mnie za ramię.  
Jego uścisk zelżał, kiedy się pochylił.  
Zapewne

'podnosząc klucz.

Jeśli go zauważył, to znaczy, że na dnie  
kan-álu nie jest całkiem ciemno.

' Światelko na dnie kanału.

Z jakiejś nieodgadnionej przyczyny słowa te przypomniały mi wierszyk inspektora Hewitta, który usłyszałam od niego, gdy odwoził mnie z Hinley do domu:

Jeśli ciasteczko nie słodkie u dna, Cóż potym, że  
kryzy ma ?

Co znaczyły te słowa?

Kręciło mi się w głowie.

Wybacz, Flawio.

- głos Pemberton'a przerwał mi rozmyślenia - ale będę cię musiał związać.

Zanim pojął do końca, co to oznacza, wykręciłam prawą rękę i  
związał nadgarstki.

Ciekawe czym?

, zastana -\ wiałam się.

Krawatem?

Kiedy mnie związał, splotłam palce, tak jak ostatnio, gdy Felai Dafi zamknęły mnie w szafie na strychu.

Kiedy to było?

W środę?

Całe wieki temu!

Ale Pemberton nie był idiotą.

Natychmiast przejrzał mój podstęp i rozprostował mi splecione palce, co było dosyć bolesne.

Mocno zaciągnął więzy, nadgarstki przylepiły się do siebie, a potem związał potrójny węzeł, dociągając go za każdym razem.

Dotknęłam kciukiem węzłów, poczułam śliskość materiału pod opuszkami.

Tkany jedwab.

Tak, związał mnie krawatem.

Raczej nie mam szans na wyswobodzenie się z takich więzów.

Nadgarstki pociły mi się pod krawatem, wiedziałam, że wilgoć sprawi,

że jedwab znacznie się kurczy.

To znaczy, nie sam jedwab, który jest białkiem, jak włosy, i nie kurczy się sam z siebie, ale tkanina, jak z niego sporządzono, będzie zaciskać się bezlitośnie od wilgoci.

Popewnym czasie ręce mi zdrętwieją, a potem.

- Siadaj!

- rozkazał Pemberton i pchnął mnie na dół.

Usiadłam.

Usłyszałam szcęk sprzączki paska, który wyjął ze spodni i obwiązał mi nim nogi w kostkach.

Zapiął gochyba naostatnią dziurkę.

Nie odezwał się już ani słowem.

Usłyszałam szuranie butów, gdy wspinał się po schodkach, a potem szorowanie desek podłodzi, kiedy zamykał wejście do kanału.

Potem zapadła cisza.

Wyszedł.

Zostałam sama.

Sama w kanale.

I tylko Pemberton wiedział, gdzie byłam.

Umrę tu, pomyślałam, a kiedy mnie znajdą, wywiozą cię do mojej szczątki czarnym lśniącym karawanem i złożą w wtrupiarni na stalowym stole.

Pierwsze, co zrobią, to otworzą mi usta i wyjmą mokraćhusteczkę. Kiedy ją rozłożą na stole obok mego bladego ciała, wypadnie z niej pomarańczowy znaczek znacznik należący do króla - i pofrunie na podłogę: taki obraz mogłaby naszkicować sama Agatha Christie.

Ktoś może nawet panna Christie - napisze o tym powieść detektywistyczną.

Po śmierci znajdę się na pierwszej stronie "News of the World".

Gdybym tak bardzo się nie bała, gdybym nie była tak wyczerpana, gdyby nie brakowało mi powietrza i nie bolały mnie wszystkie kości, myśl o tym wydałaby mi się całkiem zabawna.

DWADZIEŚCIACZTERY

Bycie uprowadzonym nigdy nie jest takie, jak można sobie wyobrazić.

Po pierwsze, nie kopałam ani nie drapałam kidnapera.

Nawet nie krzyknęłam - poszłam potulnie jak baranek.

Czy raczej owieczka.

Jedyne, co miałam na swoje usprawiedliwienie, to fakt, że byłam skoncentrowana na myśleniu i skierowałam wszystkie siły witalne do mózgu, zamiast do mięśni.

Kiedy zdarza się coś takiego, człowiek nie może wyjść ze zdumienia, jakież to głupstwa przychodzą mu do głowy.

Przypominałam sobie, na przykład, co mówił Maximilian o

"wywoływaniu ogólnej wrzawy" na wyspach kanału La Manche zapomocą okrzyku: Haroo, haroo, mon Prince.

On mefait tort!

Łatwo powiedzieć, lecz trudniej zrobić, zwłaszcza gdy ma się zakneblowane usta i głowę owiniętą tweedową marynarką przestępcy, cuchnącą potem i pomadą.

Poza tym w dzisiejszej Anglii wyraźnie brakuje książąt.

Jedyni, jacy przychodzili mi do głowy, to mąż księżniczki Elżbiety, książę Filip, oraz ich mały syn, książę Karol.

Oznaczało to, że technicznie biorąc, jestem zdana na siebie.

Ciekawe, co zrobiłaby na moim miejscu Marie

Anne Paulze Lavoisier?

Albo, jeśli już o tym mowa, jej mąż, Antoine?



Mój obecny opłakany stan przypominał jako żywo ten, w jakim znalazł się brat Marie Anne, gdy zawinięto go w jedwab i kazano mu oddychać przez słomkę.

Było małowprawdopodobne, by do szopy wpadli rewolucjoniści i zaciągnęli mnie przed trybunał.

Co prawda w Bishop's Lace niedziałała gilotyna, ale też nie zdarzały się cuda.

Nie, rozmyślanie o Marie Anne i jej skazanym na śmierć mężu były zbyt przygnębiające.

Muszę poszukać natchnienia u innych wielkich chemików.

Co zatem zrobiłby, na przykład, Robert Bunsen albo Henry Cavendish, gdyby wrzucono ich zakneblowanych i związanych nadno kanału?

Byłam zdziwiona szybkością, z jaką sama udzieliłam sobie odpowiedzi: dokonałabym inwentaryzacji otoczenia.

Świetnie, dokonam inwentaryzacji.

Siedziałam na dnie głębokiego na niecałe dwa metry dołu, co odpowiadało z grubsza głębokości grobu.

Miałam skrepowane ręce i nogi, więc nie mogłam niczego wymacać.

Z kolei głowę miałam zawiniętą w marynarkę Pemberton, związaną niewątpliwie rękawami niczego nie widziałam.

Słuch pod grubym materiałem też miszwanował.

A smak przestał istnieć przez chusteczkę wepchniętą do ust.

Miałam kłopoty z oddychaniem i częściowo zakryty nos.

Najmniejszy wysiłek sprawiał, że w płucach brakowało tlenu.

Jedyne, co mi pozostało, to się nie ruszać.

Jedynie powonienie mnie niezawiodło i mimo owiniętej dosyć szczelnie głowy czułam w nozdrzach dolatujące z kanału zapachy.

Na dnie wyczuwałam kwaśny zapach ziemi leżącej przez wiele lat pod

ludzkim siedliskiem: gorzkawy smród rzeczy, o których lepiej nie myśleć.

Nato nakładał się słodkawy zapach oleju samochodowego,

ostry, usypiający smród benzyny, tlenku węgla, gumy z opon i słaby

powiew ozonu z dawno wypalonych świec silnikowych.

Do moich nozdrzy dolatywał też smród amoniaku, który rozpoznałam już wcześniej.

Panna Mountjoy wspominała coś o szczurach i wcale bym się nie zdziwiła, gdyby w opuszczonych szopach nad rzeką grasowały całe ich stadą.

Najbardziej nieprzyjemny był smród gazu kanalizacyjnego -

niezdrowa mieszanina metanu, siarkowodoru, dwutlenku siarki i tlenków azotu.

Był to smród gnicia i rozkładu, smród otwartej rury biegnącej od rzeki do kanału, w którym siedziałam.

Zadrżałam na myśl o rzeczach, jakie nawet teraz mogą spływać takim ściekiem.

Lepiej będzie, jeśli dam odpocząć wyobraźni, napomniałam się, i wrócę do inwentaryzacji kanału.

Niemal zapomniałam, że znajdowałam się w pozycji siedzącej.

Pemberton kazał misiadać i nawet mnie popchnął.

Zaskoczenie sprawiło, że nie zauważyłam, na czym usiadłam.

Czułam to pod sobą -płaskie, twarde i stabilne.

Poruszając siedzeniem, odkryłam, że powierzchnia niecosię wygina, skrzypiąc przy tym jak drewno.

Duża skrzynka, albo coś podobnego.

Czy Pemberton wstawił ją tutaj, zanim napadł mnie przy grobie nauczyciela?

Nie wiem, dlaczego myśl oskrzynce przypomniła mi głódzie, ale tak właśnie się stało.

Umierałam z głodu, niejadłam nic od skromnego śniadania, przerwane go zresztą przez Pembertona, który stanął na progu.

W żołądku kakały mi żaby, żałowałam, że obeszałam się pomacozem z tostem i płatkami.

Cowięcej, byłam zmęczona.

Bardziej niż zmęczona -byłam całkowicie wyczerpana.

Nie spałam dobrze, utrzymujące się przeziębienie i katar utrudniało mi jeszcze bardziej oddychanie.

Odpreź się, Flawio.

Zachowaj chłodny umysł.

Pemberton niedługo pojawi się w Buckshaw.

Liczyłam na to, że kiedy wejdzie do domu, żeby odna.

leżąc znaczek, trafił prosto w ręce Doggera, który z pewnością odpłaci mu za wszystko!

Dobry, stary Dogger!

Jakżeza nim tęskniłam.

Tyle lat mieszkaliśmy z nim pod tym samym dachem, aciągle pozostawał dla mnie zagadką.

Nigdy nie zapytałam go szczerze o przeszłość.

Jeśli uda mi się wydostać z tych piekielnych opałów, przysięgam, że zabiorę go na piknik.

Wybiorę się z nim do Świątyni Dumania, nakarmię go chlebem z pastajajeczną i wypytam o wszystkie krwawe szczegóły.

Moja ucieczka stąd sprawi mu radość, że nie ośmielił się mi sprzeciwić.

Kochany Dogger udawał, że to on zabił Horace'a Bonepenny'ego, co prawda przypadkiem i podczas ataku, ale robił to wszystko po to, żeby chronić tatę.

Tego byłam pewna.

Był przecież ze mną w korytarzu przed gabinetem.

Słyszał, równie dobrze jak ja, kłótnię poprzedzającą śmierć Bonepenny'ego.

Tak, bez względu na wszystko, Dogger zajmie się resztą.

Był lojalny wobec taty i mnie.

Lojalny nad życie.

Świetnie, zatem.

Dogger zajmie się Pembertonem i to wszystko!

Czyżby?

A co się stanie, jeśli Pemberton wślizgnie się do Buckshaw niezauważony i przedostanie się do sypialni taty?

Co będzie, jeśli zatrzyma kominkowy zegar i odlepi od tyłu wahadła przedziurawioną Czarną Wiktorię?

Co wówczas zrobi?

Odpowiedź była prosta - wróci do szopy i znacznie mniej torturować.

Jedno więc było pewne, muszę uciec, zanim zdola wrócić.

Nie miałam czasu do stracenia!

Kolana strzeliły mi jak suche gałązki, gdy usiłowałam się podnieść.

Pierwszą i najważniejszą rzeczą było zainwentaryzować

nie zawartości kanału, sporządzenie w głowie jego mapy

wszystkiego, co może mi pomóc w ucieczce.

Mając związane na plecach ręce, mogłam jedynie sporządzić

mapę cementowych ścian, obchodząc je z wolna w kółko, opierając się o

nieplecami i dotykając czubkami palców ichpowierzchni.

Przy odrobinieszczęścia trafię na ostry występ, za pomocąktórego mogłabymrozciąćwięzy.

Pemberton spał mi nogi tak ciasno, że kostki ocierałysię o siebie i musiałam skakać jak żaba.

Przy każdym skokusłyszałam szelest starych papierów pod stopami.

Dotarłam do przeciwnego krańca kanału i poczułamchłodne powietrze na kostkach, jakby gdzieś nisko znajdował się jakiś otwór. Stałam przodem do ściany i spróbowałam wymacać coś czubkami butów, ale miałamza mocnościśnięte nogi.

Każdy ruch groził tym, że padnę na twarz.

Czułam, że dłonie pokrywa mi zjełczały brud ze ścian.

Od samego zapachurobiło się niedobrze.

A co by było, zastanawiałamsię, gdyby udało mi się wejść na skrzynkę?

Wówczas moja głowa znalazłaby się ponad krawędzią kanału, a wyżej na ścianie może być jakiś haczyk, służący kiedyś do zawieszania torby z narzędziami albo lampy.

Ale najpierw muszęwrócić do skrzyni.

Zająłoby to więcej czasu, niż się spodziewałam.

Ale prędzej czy później moje skrupowane stopy trafią na skrzynkę i zakończę podróż wokół kanału w miejscu, w którym ją zaczęłam.

Po dziesięciu minutach dyszałam jak lokomotywa i ciągle nie trafiłam na skrzynkę.

Czyżbym ją ominęła?

A jeśli tak, to czy powinnam podążać w przód czy się cofnąć?

A może skrzynka stała na środku kanału, a ja traciłam się, obkaskującą dokoła?

Z tego, co pamiętałam, przykryty deskami kanał nie mógł mieć więcej jak dwa i pół metra długości i mniej niż dwa metry szerokości.

Ze skrępowanymi stopami nie byłam w stanie skoczyćdalej niż na odległość piętnastu centymetrów w dowolnymkierunku. Czyli musiałabym wykonać około dwunastu skoków wszerz iszesnastu wzdłuż kanału.

Łatwobyło obliczyć, że od środka kanałudzieli mnie sześć lub osiem skoków.

Ale zmęczenie brało górę.

Skakałam jakkonik polnyw słoikupo dżemie i niczego nie osiągnęłam. Już miałam.

się poddać, kiedy walnęłam goleniǎo jakąskrawędź.

Natychmiast usiadłam na skrzyni, żeby złapać oddech.

Po jakimś czasie zaczęłam poruszać barkami, trochę dotyłu i w prawo.

Kiedy przesunęłam je w lewo, trafiłam nacementowǎścianę.

To wyglądało zachęcająco.

Skrzynkastǎa pod ścianǎ albo blisko niej.

Jeśli uda mi się na niǎwspiǎć, być może zdołam rzucić się nakrawędź kanału jakmorski lew w zoo.

W szopie z pewnością znajdę coś, copozwoli mi zerwać z głowy marynarkę.

Wówczas odzyskamwzrok i uwolnię ręce, a potemstopy.

Teoretycznie wszyszkowydawało się proste.

Ostrożnie wykonałam obrót o dziewięćdziesiąt stopni,kierując plecy ku ścianie.

Przesunęłam siedzenie natylnǎ krawędź skrzynki i podciągnęłam kolanaaż pod samǎukrytǎ pod marynarkǎ brodę.

Wzdłuż krawędzi skrzynki biegła listewka, o którǎzahaczyłam obcasy, a potempowoli. ostrożnie.

zaczęłamprostowǎć nogi,jadǎc plecami po ścianie, coraz wyżej,centymetr po centymetrze.

Stworzyłam trójkǎtprostokǎtny.

Ściana i pokrywa skrzynibyły przyprostokǎtnymi, a ja drżǎcǎ przeciwprostokǎtnǎ.

Chwyciǎmnie nagłyskurcz w łydce!

Chciało mi się wyć!

Ale jeśli się poddam, spadnę ze skrzyni i złamięsobierękę albo nogę.

Zacisnęłam zęby, podniosłamdo góry palceu stopy i czekałam, aż ból

minie.

Gryzłam wewnątrz policzków i robiłam to tak gwałtownie, że niemal natychmiast poczułam w ustach słonawy smak ciepłej krwi.

Spokojnie, Flawio, powtarzałam sobie.

Na świecie zdarzają się gorsze rzeczy.

Ale przysięgam, że w tamtej chwili nie byłoby dla mnie niczego gorszego.

Nie wiem, jak długostałam, trzęsąc się jak osika - chyba całą wieczność.

Mimo panującego w kanale chłodu zlewał mnie pot.

Tylko na kostkach nóg czułam przeciąg.

Po długiej walce z bólem zdołałam się wyprostować naskrzyni.

Przejechałam palcami pościanie: głód, najmniejszego występu!

Niezdarnie, niczym słoniowata balerina, obróciłam się o sto osiemdziesiąt stopni i -jak misię zdawało - stanęłam twarzą do ściany. Pochyliłam się i wymacałam brodą - o ile to było możliwe - krawędź kanału.

Z głową owiniętą marynarką Pembertona nie mogłam mieć pewności.

Nie mogłam tedy wyjść, nie górą.

Byłam jak chomik, który wspiął się w klatce na szczyt drabinki i trafił głową w szybę.

Jedyna droga prowadziła na dół - była drogą odwrotu.

Ale chomiki w swoich chomiczych duszyczkach wiedzą z pewnością, że ucieczka jest niemożliwa tylko dlatego, że jesteśmy w stanie zaakceptować własnej bezsilności.

Opadłam powoli na kolana.

Schodzenie ze skrzynki było przynajmniej łatwiejsze od wspinania się na nią, choć surowe drewno i blaszane krawędzie zrobiły tataraz moich gołych kolan.

Obróciłam się do pozycji siedzącej i przerzuciłam nogi nad krawędzią skrzynki.

Dotknęłam stopami podłóża.

Jeśli nie znajdę otworu, przez który do kanału wpadało chłodne powietrze, jedyna droga ucieczki będzie prowadziła do góry.

Jeśli rzeczywiście jest tu gdzieś rura lub ściek biegnący do rzeki, nie wiadomo, czy zdołam się przecisnąć przez otwór.

A nawet jeśli, niewiadomo, czy ściek nie jest zatkany.

Co będzie, jeśli wczółgam się do środka i w całkowitej ciemności trafię głową, jak gigantyczna dżdżownica, w coś, co nie pozwoli mi pęłzać dalej ani się wycofać?



Czy moje kości odnajdzie jakiś przyszły angielski archeolog?  
Czy wystawią mnie w szklanej gablocie w Muzeum Brytyjskim, by mogły  
podziwiać mnie tłumy?  
Rozważałam szybko wszystkie za i przeciw związane z wpełzaniem do  
dziury.

Ale chwileczkę!

Kompletnie zapomniałam o schodach prowadzących na górę!  
Usiądę na najniższym i zacząnę się wspinać tyłem schodek po schodku.  
Kiedy dotrę do góry, będę miała wystarczająco mocne oparcie, by unieść  
barkami deski przykrywające kanał.  
Dlaczego od razu o tym nie pomyślałam?  
Zanim doprowadziłam się do stanu skrajnego wyczerpania.

Gdy o tym pomyślałam, poczułam błogą niemoc, która otuliła mnie  
jak kołderka.

Traciłam ze zmęczenia świadomość i choć wiedziałam o tym, nie miałam  
już siły walczyć - przepadłam.

Osunęłam się na dno kanału i spoczęłam wśród szeleszczących papierów,  
które mimo płynącego skądś chłodnego powietrza, zapewniły mi ciepło.

Wsunęłam się pod niego, jak pod kołdrę, przyciągnęłam kolana pod brodę  
i natychmiast usnęłam.

Śniło mi się, że Dafi wystawiała bożonarodzeniowe przedstawienie.  
Wielki hol w Buckshaw zamienił się w przepiękną szkatułkę wiedeńskiego  
teatru z czerwoną, aksamitną kurtyną i olbrzymim kryształowym  
żyrandolem, na którym migotały setki światełek.

Siedziałam obok Doggera, Feli i pani Mullet w  
jedynym rzędzie krzesel.

Nieopodal stała bogato rzeźbiona ława.

Siedział na niej tata, który grzebał w klaserze ze znaczkami.

Dafi wystawiała .

Romeo i Julie.

Nie wiem, jak jej się to udawało, ale grała sama wszystkie role.

Była Julią stojącą na balkonie (podest zachodnich schodów), a po  
ułamku sekundy pojawiała się pod balkonem jako Romeo.

Zmieniając w ten sposób pozycje i role, łamała nam serca  
tragedią najczulszej miłości.

Od czasu do czasu Dogger kładł palec na ustach, wstawiali wychodził  
cichutko z holu, by wrócić po kilku chwilach z pomalowaną świeżo tacyką  
wypełnioną po brzegi znaczkami pocztowymi, które zrzucał u stóp ojca.



Tata podnosił z ławki należące do Harriet nożyczki dopaznokci i zabierał się do przecinania znaczków na pół, pochrzając przy tym z aprobatą i nie unosząc głowy.

Pani Mullet śmiała się gromko z kwestii piastunki Julii, oblewała się rumieńcem i zerkała nąś ukradkiem, jakby kwestie te zawierały jakiś zaszyfrowany przekaz, który tylko ona była w stanie zrozumieć.

Wycierała czerwone policzki chusteczką w groszki.

Za którymś razem zwinęła chusteczkę w kulkę i wepchnęła ją sobie do ust, żeby powstrzymać histeryczny napad śmiechu.

Dafi, jako Merkucjo, opisywała płatanę śpiącym figle królowej wróżek Mab:

Tej, co tobabi wiesyom i w postaci Kobietki, mało co wieksyj nit agat Na wskakującym paku aldermana, Ciągniona cugiem drobniuchnym atomów, Tuf, twa śpiącemu przeciąga pod nosem.

Co noc harcuje po głowach kochanków, Któręgi natenczas mary } omiłości;

Albo po giętkich kolanach dworaków, Który natenczas o ukłonach mary };

Albo po chudych palcach adwokatów, Którymsię wtedy roją honoraria;

Albo po ustach romansowych damul, Którymsię wtedy marzą pocałunki;.

Często atoli Mab na te ostatnie poszła przedwczesne zmarszczki, gdy ich oddech Ta bardzo znajdye cukrem przesycony .

Zerkałam ukradkowo na Fełę, której usta przypominały pyszczek karpia ze straganusprzedawcy ryb.

Mimo to moja najstarsza siostra przyciągała uwagę Neda, który niewiedząc skąd, pojawił się tuż za nią i złożywszy dłonie na jej ramionach, zasznurował usta, co mogło oznaczać jedynie, że chce ją pocałować.

Za każdym razem, gdy Dafi znikwała z balkonu i pojawiała się przed nami w roli Romea (z cienkim wąsikiem pod nosem, co nadawało jej wygląd Davida Nivena w sprawie życia i śmierci, a nie szlachetnego Montekia), Ned witał ją gromkimi oklaskami, które Fela przerywała, gwizdząc ogłuszająco na dwóch palcach, poczym całkiem obojętnie wrzucała do ust miętówkę.

O mało się nie udławiła przy lamencie Romea nad marmurowym grobowcem Julii:

Ach, Julio!

Jakieś ty jeszcze piękna!

Mamzemyśleć, TS bezcielesna nawet śmierć ulega Wpływowi miłości ?

Julio!

kochanko moja!

moja żono!

Śmierć, co wysssała miód twojego tchnienia, Wdyków twych zatrzeć niezdolała jeszcze Nie jesteś jeszcze zwyciężoną.

Obudziłam się.

Niech to szlag!

Po moich nogach przebiegło coś mokrego i śliskiego.

Chciałam krzyknąć: "Dogger!

", ale usta miałam pełne

:ne

William Szekspir, Romeo i Julia, przekład Józefa Paszkowskiego.

""William Szekspir, dz.

cyt.

obślinionej bawełny.

Bolały mnie szczęki i głowa, jakby ją przygniotła stara, przedwojenna szafa.

Wyprostowałam gwałtownie nogi.

Coś przebiegło po papierach z gniewnym piskiem.

Bobroszczur.

W kanale musiało się od nichroić.

Czynapoczęły mnie, kiedy spałam?

Na samą myśl tym poczułam ciarki na plecach.

Usiadłami oparłam się o ścianę, podciągając kolana podbrodę.

Nie mogłam liczyć nato, że bobroszczury przegryzły więzy, jak zwykłyto czynić w bajkach.

Wgryzłyby mi sięraczej w kostki u nóg, wiedząc o mojej bezsilności.

Przestań, Flawio, napomniałam się.

Nie pozwól szalećskołatanej wyobraźni.

Kilkakrotnie w przeszłości nachodziła mnie najczęściejw laboratorium albo w łóżku tuż przed zaśnięciem -niespodziewana myśl: "Jesteś całkiemsama z Flawią deLuce".

Myśl ta była niekiedy przerażająca, a innym razemnie.

Kiedy pojawiła się teraz, wywołała wemnie popłoch.

Popiskiwanie wcale mi się nie śniło- coś buszowałow papierach w kąciekanału.

Gdy poruszałam nogami albo głową, popiskiwanie ustawało, by pochwili rozpocząćsięna nowo.

Jak długo spałam?

Kilka godzin czy kilka minut?

Czynadworze był jeszcze dzień czyzapadła już noc?

Biblioteka będzie zamknięta ażdo czwartku, a dziś jestdopiero poniedziałek.

Przyjdziemi tu spędzić sporą część

(tygodnia.

Ktoś zgłosi moje zaginięcie, najprawdopodobniej Dogger.

Czymogłam ludzić się, że złapie Pembertona włamującego się do Buckshaw?

A nawet jeśli gozłapie, czy Pemberton powie policji o swojej ostatniej niegodziwości?

Zaczynały mi drętwieć dłoniei stopy.

Przypomniałamsobie ostarym Erniem Forbesie,którego wnukowie ciągnęli po High Street na niskim wózku nakółkach.

Ernie.

stracił obie ręce i nogi podczas wojny - gangrena.  
Felamówiła mi kiedyś, że trzebago było.

Przestań, Flawio!

Przestań się mazgaić

Pomyśl o czymś innym.

O czymkolwiek.

Pomyśl, na przykład, o zemście.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

Zdarza się - szczególnie wtedy, gdy jestem zamknięta że moje myśli rozbiegają się szaleńczo we wszystkich kierunkach, jak lord Ronald z opowiadania Stephena Leacocka.

Potem jest mi wstyd z powodu myśli, jakie przychodzą mi zrazu do głowy.

Są to myśli o truciznach, a czasem o narzędziach kuchennych.

Teraz myśli te obracały się wokół Franka Pembertona.

Przypomniałam sobie nasze pierwsze spotkanie w Trzynastu Kaczorach.

Choć widziałam zajeżdżającą pod drzwigospody taksówkę isłyszałam, jak Tully Stoker krzychał do Mary, że pan Pemberton przyjechał wcześniej, niż się gospodzievano, nie dane mi było wówczas ujrzeć go na własne oczy. Zobaczyłam go po raz pierwszy w niedzielę nadstawem, kiedy kryłam się przed ulewą w Świątyni Dumania.

Jego nagłe pojawienie się w Buckshaw było samo w sobie dosyć tajemnicze, alenie miałam czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

Przyjechał do Bishop's Lacey kilka godzin po śmierci Horace'a Bonepenny'ego, co w moich oczach stawiało go

Humorysta kanadyjski, autor wydanych w roku 1911

Nonsensenovels, w których znalazło się takie zdanie: "Lord Ronald rzucił się na konia i ruszył szaleńczo we wszystkich kierunkach".

poza wszelkimi podejrzeniami.

Teraz należało zakwestionować ten fakt.

Kiedy ujrzałam Pembertona nad stawem, byłam zaskoczona.

Ale dlaczego?

Buckshaw było moim domem, urodziłam się tam i mieszkałam przez całe życie.

Cóż mogłam zaskoczyć w nieznanym stojącym nad naszym stawem?

Odpowiedź na to pytanie szarpnęła za haczyk, który zarzuciłam w głąb podświadomości.

Jeszcze za wcześnie nabranie, pomyślałam, muszę udawać, że nie widzę tego, co chce się złapać, powinnam odwrócić wzrok.

Padało przez cały dzień albo właśnie zaczęło padać.

Uniosłam głowę na schodkach małej, zrujnowanej świątyni i zobaczyłam go po drugiej stronie stawu, po południowej stronie, a raczej, mówiąc ściśle, po południowo-wschodniej.

Dlaczego, do licha, nadszedł akurat z tej strony?

Znałam odpowiedź na to pytanie już od jakiegoś czasu.

Bishop's Lacey leży na północny-wschód od Buckshaw.

Od Bramy Mulfordów, otwierającej się na wysadzaną kasztanami aleję, droga wiję się łagodnie i skręcamniej więcej wioskę.

Mimo to Pemberton pojawił się od strony południowo-wschodniej, od strony Doddingsley, które leży za polami oddalone o jakieś cztery mile.

Dlaczego zatem, w imię Smrodu Najwyższego, nadszedł z tej strony?

Jego postępowanie mogło mieć ograniczoną liczbę przyczyn, które odnotowałam w głowie:

Jeśli (jak podejrzewałam) Pemberton zabił Horace'a Bonepenny'ego, czy chciał, jak większość morderców, wrócić na miejsce zbrodni?

Może coś zgubił?

Zostawił jakiś ślad wiążący go ze zbrodnią?

Na przykład, narzędzie zbrodni?

Czy wrócił do Buckshaw, żeby je odnaleźć?

Ponieważ był w Buckshaw poprzedniej nocy, znał drogę przez pola, ale nie chciał, żeby go widziano (,vide punkt I).

Mogło być tak, że w piątek, w noc morderstwa, Pem

berton - sądząc, że Bonepenny ma przy sobie oba znaczki śledził go z Bishop's Lacey do Buckshaw i zaczął się na niego, żeby go zamordować.

Hola, hola, Flawio, nie rozpędzaj się zanadto, powściągnij cugle!

Pemberton mógł przecieżnapaść na swą ofiarę w odludnym miejscu,

na przykład za żywopłotem rosnącym przy każdej alejce w tej części Anglii.

Nie zrobił tego, gdyż.

Odpowiedź zajaśniała mi w głowie jak neon przy Picadilly Circus - nie zrobił tego, gdyż chciał, żeby wina spadła na tatę, żeby tatę oskarżono o morderstwo!

Bonepenny musiał zostać zabity w Buckshaw!

To jasne!

Tata żył jak samotnik i rzadko kiedy wyjeżdżał z domu.

Morderstwa - przynajmniej takie, po których sprawca chce uniknąć sprawiedliwości - muszą być planowane z wyprzedzeniem i w dodatku bardzo szczegółowo.

Było zrozumiałe, że o zbrodnię o podłożu filatelistycznym oskarżą filatelistę.

Jeśli ojciec nie miał zamiaru pojawić się na miejscu zbrodni, miejsce zbrodni musiało pojawić się u niego.

I pojawiło się.

Taki przebieg wypadków - przynajmniej niektórych - ułożyłam w głowie przed kilkoma godzinami, ale dopiero teraz, gdy zostałam całkiem sama z Flawią de Luce, dopasowałam do siebie wszystkie fragmenty układanki.

Flawio, jestem z ciebie dumna!

Marie Annę Paulze Lavoisier również byłaby z ciebie dumna!

No dobrze - Pemberton pojechał za Bonepenny do Doddingsley - kto wie, czy nie od samego Stavanger?

Tata widział ich obu na wystawie w Londynie przed kilkoma tygodniami, co dowodzi, że żaden z nich nie mieszkał nastaje za granicą.

Najprawdopodobniej obaj zaplanowali szantaż szkolny.

nego kolegi.

Tak jak wcześniej morderstwo pana Twininga.

Z tym że Pemberton miał własne plany.

Wyprawiwszy Bonepenny'ego w drogę do Bishop's Lacey (bo niby dokąd miałyby go wyprawić?

), Pemberton wsiadł do pociągu do Doddingsley, gdzie zatrzymał się w gospodzie Wesoly Woźnica.

Wiedziała o tym na pewno.

Potem, w noc morderstwa, przekradł się polami do Bishop's Lacey.

Czekał, aż Bonepenny wyjdzie z gospody ruszypiechotą do Buckshaw.

Mając go z głowy, Pemberton przeszukał pokój współników Trzynastu Kaczorach, przetrząsnął nawet jego bagaż, ale niczego nie znalazł.

Nie przyszło mu do głowy - w przeciwieństwie do mnie - żeby przyjrzeć się naklejkom na kufrze.

Musiał wpaść we wściekłość.

Czmychnąwszy po cichu z gospody (zapewne stromymi tylnymi schodami), pobiegł za współnikiem do Buckshawi czekał na niego w ogrodzie, gdzie musiało dojść do kłótni.

Dlaczego jej nie usłyszałam?

Nie minęło pół godziny, a Bonepenny konał w ogórkach.

Pemberton przeszukał mu portfel i kieszenie.

Napróżno!

Nigdzie nie znalazł "Ulsterskich mścicieli".

Bonepenny nie miał przy sobie znaczków.

Po popełnieniu zbrodni Pemberton odszedł spokojnie polami do Doddingsley i wrócił do gospody Wesoly Woźnica.

Następnego ranka zajechał z wielkim hałasem taksówką pod Trzynaście Kaczorów, udając, że właśnie przyjechał pociągiem z Londynu.

Chciał jeszcze raz przeszukać pokójofiary.

Co było ryzykowne, ale konieczne.

Bonepenny musiał przecież ukryć gdzieś znaczki.

Taki przebieg wydarzeń układał mi się w głowie już od jakiegoś czasu i choć nie dołączyłam jeszcze zweryfikować wszystkich faktów, potwierdziłam obecność Pembertonaw Doddingsley, telefonując do pana Cleavera, właściciela gospody Wesoly Woźnica.

Gdy patrzyło się na to wszystko, wydawało się stosunkowo proste.

Oczyściłam umysłu wsłuchałam się we własny oddech.  
Był powolny i regularny.

Siedziałam z głową opartą o podciągnięte pod brodę kolana.

Przypomniałam sobie, co tata mówił nam kiedyś o Napoleonie, który miał się wyrazić o Anglikach, że są "narodem sklepikarzy".

Błąd, cesarzu!

Zwyciężyliśmy niedawno w wojnie, podczas której zrzucano na kamień tysiące ludzi, tych, którzy pozostają przy życiu, tych, którzy przeżywają każdą katastrofę, a ja, Flawia Sabina de Luce, byłam częścią tego narodu.

Dla pewności zaśpiewałam pod nosem cały Psalm 23 Nigdy dość gwarancji bezpieczeństwa!

Przejdźmy zatem do samego morderstwa.

I znów zobaczyłam oblicze umierającego Horace'a Bonapenny'ego, który otwierał i zamykał usta jak ryba wyrzucona na brzeg.

Usłyszałam jego ostatnie słowa i poczułam ostatnie tchnienie, które zlały się w jedno:

Vale.

Tak powiedział.

Słowo to oderwało się od jego ust i popłynęło ku moim nozdrzom.

Na fali czterochlorowęgla, nazywanego inaczej czterochlorometanem.

Nie miałam najmniejszej wątpliwości, że zapach, jaki wówczas poczułam, był wonią czterochlorowęgla - Jednego z najbardziej fascynujących związków chemicznych.

Każdy chemik wam powie, że to słodki zapach.

Choć jest ulotny, nie można go pomylić z żadnym innym.

W boskim planie zapachów sytuuje się w pobliżu chloroformu używanego w anestezjologii.

W czterochlorowęgla (który, jak już wspomniałam, ma także inne nazwy) cztery atomy chloru bawią się "Chodźcie koło drogi.

"z jednym atomem węgla.

Chlorek węgla jest silnym środkiem owadobójczym i stosuje się go.



jeszcze przy zwalczaniu upartych nicieni - tych maleńkich, milczących pasożytów, które żywią się krwią wypijaną w ciemności z dwunastnicy ludzi i zwierząt.

W przypadku śmierci Bonepenny'ego ważniejsze było jednak to, że czterochlorek węgla jest używany przez filatelistów do sprawdzania niemal niewidocznych znaków.

wodnych naznaczkach.

W gabinecie taty stały buteleczki z tym związkiem.

Wróciłam myślą dopokoju Bonepenny'ego w Trzynastu Kaczorach. Jakąż byłam idiotką, przypuszczając, że ktoś zatruł kremówkę!

To nie była bajka braci Grimm, ale historia kryminalna Flawii de Luce!

Z koleizapiekankaz kosza Bonepenny'ego nie była niczym więcej jak zapiekanką.

Przed wyjazdem z Norwegii Bonepenny usunął środek ciasta i wpakował do niego zdechłego bekasa kszyka, którym chciał zastraszyć tatę.

W taki sposób przewiózł truchło ptaka do Anglii.

Chodziło więc nie o to, co znalazłam w jego pokoju, ale o to, czego nie znalazłam.

Brakowało w nim jednej rzeczy, którą Bonepenny jakocukrzyk musiał mieć na pewno w skórzanej torebce z insuliną strzykawki!

Pemberton znalazł strzykawkę, kiedy przeszukiwał pokój przed morderstwem, i schował ją do kieszeni.

Tego byłam pewna.

Byli współnikami od tak dawna, że nikt lepiej od Pembertona nie wiedział, co jest potrzebne Bonepenny'emu do przeżycia.

Nawet jeśli Pemberton planował wcześniej inny sposób pozbycia się niepotrzebnego już partnera - na przykład, uderzenie kamieniem w głowę albo uduszeniego wierzbową witką strzykawka ze skórzanej torebki była prawdziwym darem niebios!

Zadrżałam na samą myśl o tym, jak to ukartował!

Wyobraziłam sobie, jak zmagają się ze sobą w świetle księżyca.

Bonepenny był wysoki, ale niezbyt muskularny.

Pemberton musiał go przewrócić jak puma jelenia.

Przewrócił go nabrzuch i usiadłwszy na nim okrakiem, wbił mu strzykawkę w pień mózgu.

Tak po prostu.

Zająłomu to dwie sekundy, a skutki były niemal natychmiastowe.

W taki sposób, byłam pewna, Horace Bonepenny pożegnał się z tym światem.

Gdyby miał połknąć truciznę - a niełatwo byłoby go dotego zmusić potrzebna byłaby znacznie większa ilość substancji, którą zresztą natychmiast by wymiotował.

Natomiast pięć centymetrów sześciennych wstrzykniętych w pień mózgu zwałoby z nóg nawet wołu.

Charakterystyczny zapach czterochlorku węgla przedo- 'stał się szybko do jamy ustnej i nozdrzy ofiary. I zniknął bez śladu, gdy nad ciałem Bonepenny'ego pochylił się inspektor Hewitt.

Była to niemal zbrodnia idealna! W rzeczy samej, gdybym nie zeszła do ogrodu przed świtem, nikt nie dowiedziałby się, jak zginął Bonepenny.

Hm...

Nie pomyślałam o tym wcześniej, ale stanowiłam jedyną przeszkodę, jaka dzieliła Pemberton od popełnienia zbrodni idealnej, inaczej mówiąc, od wyjścia z tarapatów, w jakiegoś wplątał bezszwanku.

Usłyszałam jakiś zgrzyt.

Nie wiedziałam, z której strony dobiegał.

Przekreśliłam.

głową i dźwięk natychmiast ustał.

Przez minutę albo dwie panowała kompletna cisza.

Nadstawiałam ucha, ale słyszałam tylko własny oddech, który, jak mi się wydało, przyspieszał i stawał się płytszy.

I znów ten zgrzyt!

Jakby ktoś ciągnął po nierównej powierzchni kawałek drewna.

Próbowałam krzyknąć: "Kto tam!"

", ale knebel zagłuszył skutecznie moje słowa.

Po tym wysiłku rozboleły mnie straszliwie szczęki i głowa.

Nie pozostawało mi nic innego, jak nasłuchiwać.

Szczury, nawet bobroszczury, nie przenoszą desek, wyglądał więc na to, że nie byłam już w szopie sama.

Poruszyłam ostrożnie głowę, to w jedną, to w drugą stronę, zupełnie jak wąż.

Starałam się wykorzystać doskonały słuch, ale gruby tweed, którym okryto mi głowę, przepuszczał tylko najgłośniejsze dźwięki.

Zgrzyty nie były tak denerwujące, jak zapadająca między nimi cisza. Ten, kto znalazł się w szopie, nie chciał, żebym wiedziała, żetu jest.

A może przeciwnie, może zależało mu na tym, żeby wyprowadzić mnie z równowagi?

Rozległo się skrzywienie, a potem usłyszałam słaby odgłos uderzenia, jakby ktoś rzucił kamykiem.

Wolno, jak rozwijający się kwiat, wyprostowałam przed sobą nogi, ale kiedy nie trafiłam na żadną przeszkodę, przyciągnęłam je na powrót pod brodę.

Lepiej się zwinąć, pomyślałam.

Trudniej się trafia w mniejszy cel.

Przez moment moją uwagę przykuły skrepowane na plecach ręce. Może wydarzył się cud, może jedwab się rozciągnął i rozluźnił. ale nic z tego.

Mimo zdrętwiałych palców czułam, że więzy nie puszczają.

Nie mogłam liczyć na to, że się z nich wyzwolę.

Naprawdę przyjdzie mi tu mrzeć.

A czy ktoś za mną zatęskni?

Nikt.

Po odbyciu przepisowej żałoby tata znów zajmie się naczkami, Dafne przywlecze z biblioteki kolejną pudłoz książkami, a Ofelia odkryje szminke nowego odcienia.

Bardzo szybko - powiedziałabym, boleśnie szybko - będzie tak, jakby mnie w ogóle nie było.

Nikt mnie nie kochał - tak wyglądała smutna prawda.

Może Harriet, kiedy byłam mała, ale Harriet zginęła.

Ku własnemu przerażeniu i rozpaczem rozplakałam się.

Byłam zniesmaczona.

Pocące się oczy były czymś, z czym

walczyłam od najdawniejszych czasów.

Mimo łez ujrzałam przed sobą oblicze jedynej osoby, która z pewnością

użal się nad moim losem - twarz Doggera.

Jeśli tu umrę, Dogger będzie rozpaczony.

Weź się garść, Flawio.

Wpadłaś do dziury i to wszystko.

Jaki tytuł miało to opowiadanie o dziurze, czytane nam przez Dafne?

Jedna z historii Edgara Allana Poe'a?

Coś wadliwie i.

Nie! Nie będę tym myśleć!

Nie będę!

Była też jeszcze ta Czarna Dziura z Kalkuty, do której nabab Bengalu wrzucił stu czterdziestu sześciu brytyjskich żołnierzy, choć włochu tymmieściło się za ledwie trzech ludzi.

Iluprzyżyło jedną noc w takim piekle?

Dwudziestu trzech, o ile pamiętam, a wszyscy oni popadli w szaleństwo!

; Nie!

Nie, Flawio!

W głowie miałam cyklon, który wirował wokół własnej osi.

Wzięłam głęboki oddech, żeby się uspokoić, i poczułam w nozdrzach smród metanu.

Oczywiście!

W prowadzącej do rzeki rury odpływowej musiało być pełno tego gazu.

Wystarczyło go tylko podpalić, a eksplozję w Bishop's Lacey będą wspominać przyszłe pokolenia.

Odnajdę koniec rury i zacznę w nią kopać.

Jeśli mi się poszczęści, podkówki na podszwach trzewików skrzyszają, a skre, metan wybuchnie i będzie powszystkim.

Wadą tego planu było to, że w chwili wybuchu znajdowałabym się na końcu rury.

Równie dobrze mogłabym się kazać przywiązać do wylotu armatniej lufy.

Niech szlag trafi armaty!

Nie umrę w tej śmierdzącej dziurze bez walki!

Zebrawszy resztki sił, oparłam się na obcasach i podjechałam tyłem do ściany.

Mając ją za plecami, wstałam.

Trwało to dłużej, niż przypuszczałam, ale choć drżałam z wysiłku, stałam wyprostowana.

Dosyć myślenia!

Znajdę otwór, z którego wydobywa się metan, albo umrę!

Podskoczyłam ostrożnie ku miejscu, z którego, jak mi się zdawało, wydobywał się smród, gdy zmroził mnie szeptuż przy uchu:

- A teraz zajmijmy się Flawią.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

To był głos Pembertona, a słysząc go, o mało nie umarłam.

Co miał na myśli, mówiąc: "A teraz zajmijmy się Flawią"?

Czyżby to oznaczało, że rozprawił się z Dafi, Felą.

a nawet z Doggerem?

Zanim zdążyłam rozważyć tę myśl, złapał mnie boleśnie za rękę i wbił palec w bark, tak jak robił to wcześniej.

Próbowałam krzyczeć, ale nie mogłam.

Zrobiło mi się niedobrze.

Jeśli zwymiotuję.

Rzucałam głową na boki, minęła wieczność, zanim zwolnił uścisk.

- Ale najpierw - dyszał mi wprost do ucha Frank i Flawia odbędą krótką pogawędkę.

Co o sobie wyobraża?

Że idziemy na spacer do parku?

Dopiero później zdałam sobie sprawę, że jestem zamknięta w własnej Czarnej Dziurze z Kalkuty zszaleńcem!

- Zdejmę ci marynarkę z głowy, rozumiesz?

Stałam jak skamieniała.

- Posłuchaj mnie, Flawio, dobrze mnie posłuchaj, jeśli nie zechcesz wykonywać moich poleceń, zabiję cię.

I to wszystko.

Rozumiesz?

Kiwnęłam lekko głową.

- Dobrze.

A teraz nie ruszaj się.

Czułam, że rozplątuje rękawy marynarki, jedwabna podszywka przesunęła mi się po twarzy i zasłona opadła.

Promień jego latarki uderzył mnie w głowę jak młot natychmiast oślepił.

Cofnęłam się.

Widziałam przed sobą migoczące gwiazdy ipołacie czerni.

Byłam takdlugo pogrążona w całkowitej ciemności, że nawet płomyk zapalki byłby nieznośny, a Pemberton celowo świecił mi mocną latarką w oczy.

Nie mogąc się zasłonić rękoma, odwróciłam głowę, zacisnęłam powieki i czekałam, aż miną mi mdłości.

- Nieprzyjemne, co?

- zapytał.

-Ale to, co ci zrobię, jeśli mnie jeszcze raz okłamiesz, będzie sto razy nieprzyjemniejsze.

Otworzyłam kłujące oczy i wbiłam wzrok w ciemny kątkanału.

- Spójrz na mnie!

- warknął.

Odwróciłam głowę i spojrzałam na niego krzywo, z jakimś potwornym grymasem.

Nie widziałam go za soczewką latarki, której promień ciągle wwiercał mi się w mózgak gigantyczne, pustynne słońce.

Powoli, jakby delektując się moim cierpieniem, skierował promień latarkina podłogę.

Z ciemności dobiegł jego głos:

- Okłamałaś mnie.

Chyba wzruszyłam ramionami.

- Okłamałaś mnie!

- krzyknął.

Tym razem w jego głosie usłyszałam napięcie.

-W zegarze nie było nic, oprócz dziurawej Czarnej Wiktorii!

A więc był w Buckshaw!

Serce załomotało mi boleśnie.

- Mngg- powiedziałam.

Pemberton rozważał to przez chwilę, ale niczego niezrozumiał.

-Wyjmę ci kibel z ust, ale najpierw ci pokażę.

Podniósł z ziemi tweedową marynarkę i sięgnął do kieszeni.

Kiedy wyjął dłoń, ujrzałam w niej lśniący, szklano-metalowy przedmiot.

Strzykawkę Bonepenny'ego!

Pozwolił mi się jej przyjrzeć.

- Szukałaś jej, prawda?

W gospodzie i w ogrodzie.

Ajaprzez cały czas trzymałem ją w kieszeni!

Parsknął przez nosjak prosięi usiadł na schodkach.

Przytrzymując latarkękolanami, sięgnął raz jeszcze dokieszeni i wyjął z niej małą brązową fiolkę.

Nie zdążyłamprzeczytać napisuna naklejce,bo wyjąłzatyczkę i wprawnienapełnił strzykawkę.

- Domyślam się, że wiesz, co to jest, panno Mądralińska?

Spojrzałammu prosto w oczy, alenie dałam posobiepoznać, że gousłyszałam.

- Dodam tylko, że wiem, jaki gdzietrzebato wstrzyknąć.

Nie marnowałem czasu przy stole sekcyjnymlondyńskiej szkoły medycznej.

Kiedy przewróciłem staregoBoneya na ziemię, zastrzykbył absurdalnie prosty: nieco z boku i pod kątem, przezsplenius capitis isemispinalis capitis przebiłem więzadło szczytowo-obrotowe i wsunąłemigłę w dołek zębowy łuku tylnego kręgu obrotowego.

I już!

Gasimy światła!

Śmierć niemal natychmiastowa.

Czterochlorekparuje szybciotko iniezostawiaśladow.

Zbrodnia idealna, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

Zupełnie tak, jak wydedukowałam!

Ale teraz wiedziałamjuż dokładnie, jak to zrobił.

Byłobłąkany, całkiem szalony.

-A teraz posłuchaj - zmienił ton.

-Wyjmę ci chustkęz ust, a ty powiesz mi, co zrobiłaś z "Ulsterskimimścicielami".

Jeśli zaczniesz krzyczeć.

albo się szarpać.

Podniósł strzykawkę, a potem przystawił mi ją do nosa ilekko nacisnął tłok.

Kilka kropelek czterochlorku węgla pojawiło się nachwilę na końcu igły, jak rosa,byzarazspaść na ziemię.

Poczułam dobrze znany zapach.

Pembertonpołożyłlatarkę na schodkach, tak byoświetlała mitwarz.

Obok latarki spoczęła strzykawka.

- Otwieraj syknął.

Oto jakie myśli przemknęły mi przez głowę: wsadzi mi do ust kciuk i palec wskazujący.

Ugryzę go z całej siły!

Odgryzę mu te cholerne paluchy!

No dobrze, aleco dalej?

Nadal będę związana i prawdopodobnie zakneblowana, a Pemberton, o ile nie zemdleje, zabije mnie jedną ręką.

Otworzyłam trochę obolałe szczęki.

- Szerzej!

- poleciał, cofając palce.

A potem jednym szybkim ruchem wyjął mimokrą chusteczkę z ust.

Na półsekundy zasłonił dłonią promień latarki.

Nie widział pomarańczowego kartonika przebijającego spod mokrej bawełny, którą rzucił na ziemię.

- Dziękuję szepnęłam schrypniętym głosem.

To był mój pierwszy ruch w drugiej części gry.

Pemberton był zaskoczony.

- Ktoś musiał je znaleźć - wychrypiałam.

- Ktoś musiał znaleźć znaczki.

Ukryłam je w zegarze, przysięgam.

Pojełam od razu, że posunęłam się za daleko.

Gdybym mówiła prawdę, Pemberton nie miałby już powodu, żeby mnie zabijać.

Byłam jedyną osobą, która wiedziała, że jest mordercą.

- Chyba że.

- dodałam pośpiesznie.

- Chyba że?

Chyba że co?

- Rzucił się na moje słowajak szakalna ranna antylopa.

- Stopy.

- załkałam.

- Nie czuję stóp.

Wszystko mnie boli.

Nie mogę.

Niemogę mówić i myśleć.

Niech pantrocherozluźni pasek.

Tylko odrobinę.

- W porządku - odparł niemal bez zastanowienia.



-Alenie liczna to, że rozwiążęci ręce.

Nigdzie się niewybierasz, prawda?

Pokręciłam głową.

Przyklęknął i zaczął rozpinąć sprzączkę.

Gdy pasek opadł na ziemię, zebrałam się w sobie i kopnęłam go w zęby.

Uderzył głową w cementową ścianę.

Usłyszałam brzęk

spadającej na ziemię strzykawki, która nie stukła się, lecz potoczyła w kąt.

Pemberton osunął się ciężko po ścianie i znieruchomiał, a ja pokuśtykałam ku schodkom.

Do góry.

Jeden.

dwa.

zdrętwiałą stopą kopnęłam latarkę, która spadła na dno kanału i zatrzymała się na, podeszwie buta Pembertona.

Trzy.

cztery.

Poruszałam się napiętkach, które ktoś przyszył mi do kostek.

Pięć.

Głowa musiała mi już wystawać ponad krawędź kanału, a jeśli tak, to w szopie panowały egipskie ciemności.

Za szybkami podnoszonych drzwi garażu dostrzegłam tylko krwawoczerwoną lunę.

Nadworze było już ciemno.

Przespałam półdnia!

Usiłowałam przypomnieć sobie, gdzie jest wyjście, gdy na dnie kanału rozległ się szmer.

Światło latarki przesunęło się posuficie.

Pemberton był już na schodkach.

I rzucił się na mnie.

Ścisnął mnie tak mocno, że nie mogłam oddychać.

Trzeszczały mi kości istawy.

Próbowałam kopać go w golenie, ale miał mnie już w garści.

Pochyliłam się i poturlaliśmy się pod ścianę szopy.

Od, biłam się od niej nogami i poturlaliśmy się z powrotem.

- Nie!

- krzyknął Pemberton, tracąc równowagę.

Wpadłyśmy do kanału, ciągnąc mnie za sobą.

Uderzył o dno z głuchym stęknieniem, a ja spadłam wprost na niego.  
Słyszałam jak dyszy w ciemności.  
Czy skreślił sobie kark?  
Czy podniesie się za chwilę z ziemi i rozerwie mnie jak szmacianą lalkę?  
Zrzucił mnie z siebie.  
Pofrunęłam twarzą do dołu w kątkanału.  
Próbowałam uklęknąć, ale na próżno.  
Pemberton zmiażdżył mi barki i pociągnął mnie ku schodkom.  
Szło mu nadzwyczaj łatwo - przykucnął, porwał i latar.

kę i sięgnął po przedmiot leżący na stopniu.

Wydawało mi się, że strzykawka spadła na ziemię, ale to musiała być buteleczka z trucizną, bo po chwili ujrzałam igłę w jego dłoni, a w następnej poczułam ukłucie na karku.

Jedyne, co mi zostało, to walczyć o czas.

- Zabiłeś profesora Twininga - wydyszałam.

- Ty i Bonepenny.

Nato nie był przygotowany.

Uścisk nieco zelżał.

- Co cichodzipo głowie?

- zasyczał prosto do mojegoucha.

- Bonepenny stał nadachu - stęknęłam.

- To on krzyknął: "Vale!

",naśladując głos pana Twininga.

A ty zrzuciłeś ciało z wieży!

Pemberton wciągnął powietrze przez nos.

- Bonepenny ci to powiedział?

-Znalazłam bilet i togię - wyjąkałam.

- Pod dachówką.

Sama na to wpadłam.

-Jesteś bardzo sprytną dziewczynką - pochwalił mniemiemal z żalem w głosie.

- Zabiłeś Bonepenny'ego, żeby mu ukraść znaczki.

Alenie ukradłeś, bo nie wiesz, gdzie są.

Świadomość tego faktu doprowadziła go do wściekłości.

Znow miażdżył mi kciukiem bark.

Zawyłam z bólu.

- Zadam ci tylko jedno pytanie, Flawio- warknął.

-Gdziesą te cholerneznaczki?

Zapadła długa cisza.

Czułam potworny ból, a mój umysł postanowił zdezerterować.

Wraz ze świadomością.

Czy to koniec Flawii?

A jeśli tak, to czy spotkam Harriet?

Czy siedzi w tej chwili na chmurce, wymachuje nogami i patrząc na mnie woła: "O, nie, Flawio!

Nierób tego!

Nie wolno ci tego zrobić!

Grozi ci niebezpieczeństwo, Flawio!

Niebezpieczeństwo!

".

Jeśli wołała, nie słyszałam jej.

Możefaktycznie nie byłam jej tak bliska jak Fela i Dafi.

Może kochała mnie mniej.

To smutne, że spośród trzech córek Harriety tylko ja jej nie pamiętałam.

Fela, jak skąpiec, zebrała aż osiem lat matczynej miłości.

A Dafi uparcie twierdziła, że choć miała zaledwie trzy lata, kiedy Harriet zniknęła, doskonale pamięta szczupłą roześmianą postać, która ubierała ją w wykrochmalone sukienki i czepki, sadzała na kocu na trawie i robiła jej zdjęcia składanym aparatem, a na koniec częstowała słodkim pikiem.

Ostre ukłucie przywróciło mi świadomość.

I gładota rła do pnia mózgu.

- "Ulsterscy mściciele".

Gdzie schowałaś znaczki?

Z ogromnym wysiłkiem udało mi się unieść rękę.

Wskazałam palcem ciemny kąt kanału, w którym leżała zmięta chusteczka.

Promień latarki Pemberton'a powędrował w tamtą stronę.

Odwrociłam głowę, a potem uniosłam oczy ku niebu, jak chrześcijańska męczennica szukająca zbawienia.

I wtedy usłyszałam szum, a potem przytłumiony warkot, jakby przed szopą wylądował, hamując skrzydłami, gigantyczny, mechaniczny pterodaktyl.

Chwilę później rozległ się przerażający huk, a wokół posypało się szkło.

Szopa rozjarzyła się żółtym światłem.

W jego snopach kłębiły się chmury pary, niczym dusze zmarłych ulatujące ku niebu.

Nie byłam w stanie się poruszyć.

Z uniesioną głową gapiłam się do góry na zjawę, którą dobrze znałam i która przysiadła, dygocząc, nad krawędzią kanału.

Odbiło mi, pomyślałam.

W końcu zwariowałam.

Bo tuż nad moją głową rozłożyło się, drżąc jak żywa istota, podwoje Rolls-Royce'a Harriet.

Nie zdążyłam się nad tym zastanowić, bo usłyszałam łomot pchniętych mocno drzwi i stukot stóp na deskach podłogi.

Pemberton rzucił się ku schodkom, wspiał się na nie jakszczur w potrzasku.

Na górze przystanął i zaczął się przeciskać przez szparę międzykrawędzią kanału a przednimzderzakiem phantoma.

W otworze pojawiła się pozbawiona ciała ręka, chwyciła go za kołnierz i wyciągnęła go z kanału jak rybę na brzeg.

Podeszwy Pembertona zniknęły w snopach światła i usłyszałam głos - głos Doggera!

-który mówił:

- Pan wybaczy, ale nie mógłbym sobie darować.

Po ciosie Doggera - boto musiał być cios wymierzony łokciem - Pemberton zakrzuszył się i charcząc, zwał się na podłogę jak worek kartofli.

Kręciło mi się w głowie od tegowszystkiego, ale jakby tego było mało, ujrzałam drugą zjawę, całą w bieli, prześlizgującą się bez trudu przez wąską szczelinę między chromem a cementem i opadającą z furkotem na dno kanału.

Dopałam mnie i objęła i załkała na moim ramieniu.

Czułam, że jej eteryczne ciało drży jak liść.

- Coś ty narobiła, głuptasie!

Coś ty narobiła, moja mała niemądrasiostrzyczko.

- powtarzała w kółko, przyciskając obrzmiałe czerwone wargi do mojej szyi.

- Fela!

- pisnęłam.

Zdębiałam do reszty.

- Pobrudzisz sobie najlepszą sukienkę!

Przed szopą na Cow Lane rozgrywała się najprawdziwsza fantasmagoria - Fela klęczała na ziemi zalewając się łzami, ściskając mnie mocno w pasie.

Stałam nieruchomo.

Pękały lody, całe zło odeszło w niepamięć, a Fela i ja byliśmy jak jedno, jak jeden żywy organizm skąpany w świetle księżycy na cienistej alejce.

Na której, ni z tego, ni z owego, pojawiło się całe Bishop's Lacey, a raczej wszyscy jego mieszkańcy, wyłaniający się ostrożnie z mroków, gdałkający i cmokający z podziwu na

widok wielkiej wyrwy w ścianie szopy, dzielący się wrażeniami i opowiadający sobie, gdzie akurat stali, gdy usłyszeli przerażający huk.

Wyglądało to jak scena z musicalu Brigadoon, mówiącym o wiosce, która ożywa na jedendzień raz na sto lat.

Phantom Harriet -z podziurawioną przepiękną chłodnicą,która posłużyła za taran - stał cicho w kłębachpary przed szopą, jakby wstydząc się, że oddołu ciekniemuwoda w piach.

Kilku co bardziejmuskularnych wieśniaków -a wśród nich Tully Stoker - wypchnęłociężkie autozdawnego warsztatu,umożliwiając tym samymFeli wyprowadzenie mnie z kanału wprostw dwa żółtesnopy światłaz okrągłychreflektorów.

Fela wstała już z ziemi, ale trzymała sięmnie jak skałoczep rufy okrętu wojennego i gadała bez ustanku:

- Śledziliśmy go,wiesz.

Kiedy Doggerusłyszał, że niewróciłaśdo domu i zobaczył go kręcącego się po Buckshaw.

Nigdy w życiu nie wypowiedziała do mnietylu słów narazistałam jak oczarowana, delektując się ich brzmieniem.

- Zadzwoił, rzecz jasna, na policję, a potem wpadł napomysł, że będziemy go śledzić, jechać za nim w bezpiecznej odległości z wyłączonymi światłami.

O Boże, gdybyśtylko widziała, jak śmigaliśmyzaułkami!

Dobry, stary phantomnie robił hałasu.

Tata będziwściekły, kiedy zobaczy, jak go załatwili.

PannaMountjoy trzymała się z boku, otulając się ciasno wełnianymszalem i wpatrując się z niemą rozpacząw poszarpaną wyrwę w ścianie bibliotecznej szopy,jakbydopuszczono się świętokradztwa iostatecznie przebranomiare.

Próbowałam się do niej uśmiechnąć, ale odwracałanerwowo głowę i spoglądała tęsknie ku wierzbowej willi.

Za dużo siedziśwydarzyło i z pewnością marzyła o tym,żeby wrócićdo domu.

Przybiegła też pani Mulletz niskim, pulchnym jegomoś.

ciem u boku, powstrzymującym ją przed podejmowaniem pochopnych działań.

To napewno jest Alf, pomyślałam.

Niewyglądała szczypiorek, jak go sobie wyobrażałam.

Gdyby pani M.

była sama, z pewnością podbiegłaby do nas, objęła i przytuliła, ale Alf miał, zdaje się, świadomość, że publiczne okazywanie uczuć nie jest najwłaściwsze.

Uśmiechnęłam się do nich obojga, a pani Mulletota rwała palcem łzę.

W tej samej chwili przed szopą pojawił się doktor Darby, szedł lekkim krokiem, jakby wybrał się na wieczorny spacer.

Mimoto miał ze sobą czarną lekarską torbę.

Jego praktyka lekarska i dom znajdowały się tuż za rogiem przy High Street.

Musiał usłyszeć huk ibrzek tłuczonego szkła.

Obejrzał mnie uważnie od stóp do głów.

- Dobrze się czujesz, Flawio?

- zapytał, zaglądając mi w oczy.

- Doskonale, dziękuję, doktorze Darby - odpowiedziałam uprzejmie.

- A pan?

Sięgnął po miętówki.

Zanim wyjął torebkę z kieszeni, śliniłam się jak pies.

Wnętrze mojej jamy ustnej, wypchanej przez wiele godzin kneblem, przypominało papier ścierny.

Doktor Darby przyglądał się dropsom, wybrał starannie najlepszy i wrzucił go do ust.

Po chwili był już w drodze powrotnej do domu.

Tym rozstąpił się, bo w Cow Lane skręcał samochód.

Gdy zatrzymał się przy kamiennym murku, jego światła wydobyły z mroku dwie postacie stojące pod dębem: Mary i Neda.

Wstydzili się podejść bliżej, ale uśmiechali się do mnie nieśmiało z cienia.

Czy Fela zauważyła ich razem?

Chyba nie, bo ciągle zalewała się łzami, gadając jak najęta o akcjratowniczej.

Gdyby ich zobaczyła, z pewnością zostałabym sędziną w wiejskiej odmianie damskich zapasów, stojąc po kostki w wyrwanych włosach.

Dał mi kiedyś, że jeśli

chodzi o "szlachetną szermierkę na pięści", pierwszy cios wychodzi

należy do córki szlachcica, anikt lepiej odemnie nie wiedział, co Fela ukrywa pod ocienionym rzęsamispojrzeniem niewinnych oczu. Byłamnatyle przytomna, że za plecami siostry pokazałam Nedowi uniesiony kciuk.

Otworzyły się tylne drzwiauta i z vauxhalla wysiadł inspektorHewitt. Detektywi sierżanci Graves iWoolmer odlepili się od przedniej kanapy i zszadziwiająca subtelnościąstanęli na Cow Lane.

Sierżant Woolmer podszedł szybkim krokiem do Doggera, który wciąż trzymał Pembertoną w mocnym i zapewnebolesnym uścisku, od którego Frankzgiął się wpół jakAtlas dźwigający świat na ramionach.

Zajmę się nim rzucił Woolmer i po chwili usłyszałamszczękzatraskujących się kajdanków.

Doggerspoglądałza Pembertonem,któryszedł skulonyzWoolmerem za plecami do policyjnego auta.

Potem odwrócił się i wolnym krokiem ruszył w naszą stronę. Kiedy się zbliżał, podekscytowana Fela szeptała mi do ucha:

To Dogger wpadł na pomysł, żeby przenieść doroyce'aakumulator z traktora.

Podziękujmu.

Puściła mnie i cofnęła się o krok.

Dogger stanął przede mną zrękomą wiszącymipo bokach.

Gdybymiał kapelusz,miąłby go w dłoniach.

Staliśmy nieruchomo, mierzącsię wzrokiem.

Nie miałam zamiaru zaczynać rozmowy od podziękowań za akumulator.

Zastanawiałam sięnad czymśwzniosłym i pięknym nadśłowami, które przejdą do historiiBishop's Lacey.

Od vauxhalla oderwałasię ciemna postać, szła ku namw snopie świateł.

Dobrze znana sylwetka, którą rozpoznałabym na końcuświata:tato!

Zbliżałsię domnie, szurając nieśmiało nogami, ale kiedy ujrzał stojącegou mego boku Doggera,zatrzymał się.



jakby właśnie przypomniał sobie o czymś niezmiernie ważnym, i skreślił w bok, żeby zamienić kilka słów z inspektorem Hewitem.

PannaCool, poczmistrzyni, kiwnęła do mnie uprzejmie głową, ale trzymała się z daleka, jakbym nie była tą samą Flawią, której przed dwoma dniami (doprawdy?

) sprzedała słodczyce za szylingai sześć pensów.

Felu zwróciłam się do siostry.

Czymogłabyś wy-, ,świadczyć mi przysługę?

Zejdź, proszę, dokonała i przy-;;

nieś michusteczkę.

Tylko nie zgub tego, co jest w nią zawinięte.

Twoja sukienka tak jest już brudna, więc niczej się nie stanie.

Dziękuję ci.

Dolna szczęka Feli opadła na jakiś metr i przez chwilę miałam wrażenie, że wali mnie w zęby.

Twarz jej poczerwieniała i stała się równie obrzmiała jak usta.

A potem odwróciła się napięciem i zniknęła w otworze wybitym w ścianieszopy.

Teraz zwróciłam się do Doggera, by wygłosić historyczne podziękowanie, ale ubiegł mnie.

- Ojej, panno Flawio - powiedział cicho.

- Zapowiadasz cudowny wieczór, prawda?

DWADZIEŚCIA SIEDEM

Inspektor Hewitt stał na środku mojego laboratorium i obracał się z wolna, omiatając wzrokiem niczym latarnia morską naukowe przyrządy i półki z chemikaliami.

Kiedy obrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni, zatrzymał się, a potem wykonał drugi obrót w przeciwnym kierunku.

- Nadzwyczajne!

-zawołał, przeciągając słowo.

-Wprost nadzwyczajne!

Przez wysokie okna wpadało rozkosznie ciepłe słońce, rozświetlając jakby od wewnątrz zlewkę z czerwonym cieczeniem, która właśnie zaczynała wrzeć.

Przelałam połowę jej zawartości do porcelanowej filiżanki i podałam ją inspektorowi.

Spojrzał na nią niepewnie.

- To herbata- poinformowałam go.

- Assam od Fortnuma i Masona.

Mam nadzieję, że nie przeszkadza panu, że nie zaparzyłam świeżej, a tylko ją podgrzałam.

- Naposterunkujemy tylko podgrzewaną herbatę -odrzekł.

- Innej bym nie zniósł.

Popijając herbatę, przechadzał się po laboratorium, przyglądając się aparaturze chemicznej z zawodowym zainteresowaniem.

Zdejmował z półek słoje, przyglądał się ich zawartości, a potem przystawił okodo mikroskopu Leitza.

Zorientowałam się, że ma pewien problem z przejściem do sedna rzeczy.

-Wspaniała porcelana - odezwał się, unosząc filiżankę nad głowę i odczytując na dnie nazwę producenta.

-Wczesny Spode - powiedziałam.

-Albert Einstein i George Bernard Shaw pili z tej samej filiżanki, gdy odwiedzali wuja Tarquina w tym laboratorium.

Niejednocześnie, ma się rozumieć.

- Ciekawe, co by o sobie powiedzieli?

zadumał się inspektor Hewitt, zerkając na mnie.

- Ciekawe odpowiedziałam, zerkając na niego.

Napił się herbaty.

Wydawał się niespokojny, jakby chciał coś powiedzieć i nie wiedział, jak zacząć.

-To była trudna sprawa - stwierdził wreszcie.

- Doprawdy przedziwna!

Człowiek, którego ciało znalazłaś w ogrodzie, był zupełnie obcy, a przynajmniej na takiego wyglądał.

Wiedzieliśmy tylko, że przyplłynął z Norwegii.

- Bekas powiedziałam.

-Że co?

- Zdechły bekas kszyc na naszych kuchennych schodach.

W Anglii bekasy pojawiają się dopiero jesienią.

Musiał zostać przywieziony z Norwegii, zapieczony w cieście.

Stąd wiedział pan o Norwegii, prawda?

Inspektor zrobił zdziwioną minę.

- Niezupełnie - odrzekł.

- Bone penny miał na nogach nowe buty z nazwiskiem szewca ze Stavanger.

-Aha.

Teraz ja zrobiłam zdziwioną minę.

- Dzięki temu mogliśmy prześledzić jego ruchy.

Narysował palcem mapę powietrza.

- Śledztwo prowadzone w kraju i za granicą ujawniło, że przyplłynął promem ze Stavanger do Newcastle-upon-Tyne, skąd wyruszył koleją do Yorku, a następnie do Doddingsley.

Z Doddingsley przyjechał taksówką do Bishop's Lacey.

Ha! Dokładnie tak, jak przypuszczałam!

- Tak właśnie było - zgodziłam się uprzejmie z inspektorem.

- A Pemberton, czy raczej Bob Stanley, śledził go aż do Doddingsley, gdzie zatrzymał się w Wesołym Woźnicy.

Inspektor Hewitt uniósł jedną brew jak kobra.

- O..

- rzucił niezobowiązująco.

- Skąd o tym wiesz?

- Zatelefonowałam do Wesołego Woźnicy i rozmawiałam z panem Cleaverem.

- I to wszystko?

- Zaplanowali to razem, tak jak morderstwo pana Twininga.

- Stanley wszystkim zaprzeczapowiedział z niesmakiem Hewitt.

- Twierdzi, że nie ma z tym nic wspólnego.

Że jest czysty jak łąza i tak dalej.

- Ale w szopie przyznał się do zabójstwa Bonepenny'ego!

A po tym potwierdził moją teorię, że samobójstwo pana Twininga było iluzją, prestidigitatorską sztuczką.

- No cóż, to trzeba będzie udowodnić.

Zajmujemy się tym, ale to trochę potrwa, choć twój tata bardzo nam pomaga.

Opowiedział nam całą historię, która doprowadziła do śmierci nieszczęsnego Twininga.

Żałuję, że nie był dla nas tak łaskaw wcześniej.

Oszczędzilibyśmy tobie.

Wybacz - przerwał nagle.

- To moje spekulacje.

- Porwania - dokończyłam.

Inspektor zgodną podziwu biegłością zmienił temat.

- Wracając do teraźniejszości.

zaczął.

Nie wiem, czy dobrze cię zrozumiałem, ale twoim zdaniem Bonepenny i Stanley byli współnikami, czy tak?

- Odnie pamiętnych czasów!

- mruknęłam.

- Bonepenny kradła znaczki, a Stanley sprzedawał je za oceanem pozbawionym skrupułów kolekcjonerom.

Nie udało im się tylko pozbyć dwóch "Ulsterskich mścicieli" - te znaczki były zbyt znane wśród filatelistów.

A ponieważ jeden z nich należał do Jego Wysokości, żaden kolekcjoner nie chciał ryzykować narażania się na nieprzyjemności.

- To interesujące - stwierdził Hewitt.

- Adalej?

-Adalej zaplanowali, że pozbędą się znaczków, szantażując tatę. W tym momencie ich drogi się rozeszły, dosłownie i w przenośni. Bonepenny popłynąłdo Norwegii,a Stanley wpadł napomysł pozbycia się wspólnika, któregomiał zamiar śledzić i zabić w Buckshaw, zabrać mu znaczki i wyjechać z kraju.

To wszystko.

Cała wina spadłaby natatę.

I tak sięstało.

-zakończyłam, obdarzając Hewittapełnym wyrzutu spojrzeniem.

Zapadła niezręczna cisza.

- Posłuchaj, Flawio powiedział w końcu.

Nie miałem specjalnie wyboru, rozumiesz.

Niebyło innych podejrzanych.

-Jak to?

A ja?

-sprzeciwiłam się.

Byłam przecież namiejscu zbrodni, a w dodatku.

wykonałam szeroki zamach,wskazującnasłoje z chemikaliami - .  
znam się natruciznach.

Niektórzy uważają mnie za bardzo niebezpieczną osobę.

- Hm.

zamyślił się Hewitt.

Interesujący punktwidzenia.

A poza tym byłaś na miejscu zbrodni w chwili śmierci ofiary.

Gdyby sprawy potoczyły się inaczej,ktowie.

zapłaciłabyśza to głową.

Nie pomyślałam o tym.

Wyobraziłam, sobie gęsi szczypiące trawę na moim grobie i zadrzałam.

Inspektor kontynuował:

-Jednak przeciw tej teorii przemawiał twój wiek, niezbytokazała postura i brak rzeczywistego motywu, a ponadto fakt,że nie dawałaś o sobie zapomnieć.

Przeciętny morderca daje zazwyczaj policji nieco wytchnienia odsiebie,natomiast ty.

byłaś.

jak by to ująć.

wszędobylska.

Ale o czym to rozmawialiśmy?

- O Stanleyu, który zaczął się na Bonepenny'ego w naszym ogrodzie.

Bonepenny był cukrzykiem i.

- Ha!

- przerwał mi inspektor, klepiąc się po nodze.

- Insulina!

Nie zrobiliśmy na nią testów!

- Nie pokręciłam głową.

Wcałenie insulina, tylko czterochlorek węgla.

Bonepenny zmarł powstrzyknięciem czterochloru węgla w pień mózgu.

Stanley kupił buteleczkę z tą substancją u Johnsa, aptekarza z Doddingsley.

Widziałam naklejkę, kiedy napełniał strzykawkę w kanale.

Na pewno znaleźliście fiolkę pod śmieciami.

Wyraz jego twarzy wskazywał, że nie znaleźli.

- Zatem stoczyła się do rury odpływowej - powiedziałam.

- W kanale jest stary ściek, biegnący dorzeki.

Ktoś będzie musiał go oczyścić.

Biedny sierżant Graves!

- Stanley ukradł strzykawkę z pokoju Bonepenny'ego w

Trzynastu Kaczorach dodałam bez zastanowienia.

Cholera!

Inspektor nie omieszkał skorzystać z tej okazji.

- Skąd wiesz, co było w pokoju Bonepenny'ego?

- zapytał bez owijania w bawełnę.

- Eee.

dojdę do tego.

- wywinęłam się - .

zakilka minut.

A wracając do śmiertelnego zastrzyku.

Stanley uważał, że policja nie wykryje śladów czterochloru węgla w ciele ofiary.

I dobrze się stało, że ich nie wykryliście, bo pierwszą rzeczą, jaka by wam przyszła do głowy, to zawartość buteleczek w gabinecie taty.

Tata ma u siebie galony tej substancji.

Inspektor Hewitt wyjął z kieszeni notes i zapisał w nim dwa słowa, które - jak się domyśliłam - brzmiały: "czterochlorek węgla".

- Wiedziałam, jaki to związek - ciągnęłam nieubłaganie bo

Bonepenny, oddając ducha, dmuchnąłmi nimprosto w nos.  
nie  
Zmarszczyłamnarząd węchu i zrobiłam stosowną minę.

Jeśli policzki inspektorów policji są w stanie zmieniać barwę, to oblicze Hewitta pobielalo.

- Jesteś tego pewna?

- Znam się na chlorowęgłowodach, zapewniam pana.

- Chcesz mi powiedzieć, że Bonepenny jeszcze żył, kiedy go znalazłaś?

- Tylko trochę.

- zmieszałam się.

- Zaraz.

eee.

umarł.

Zapadła długa, niemal grobowa cisza.

- Niech pan spojrzy - przerwałam milczenie.

- Pokaż panu, jak go zamordowano.

Podniosłam z biurka żółty grafitowy ołówek, naostrzyłam go i przeszłam do rogu laboratorium, gdzie stał połączony drutami zamiast stawów szkielet.

- Szkieletten wuj Tarquin dostał w prezencie od przyrodnika Franka Bucklanda - wyjaśniłam, głaszcząc zuleczaszkę.

- Ma na imię Yorick.

Nie chciałam bardziej deprymować Hewitta i nie powiedziałam mu, że stary Buckland sprezentował szkielet młodemu Tarowi w uznaniu jego dokonań i dołączył doniego kartkę, na której napisał: "Dla Wielkiej Nadziei Naszej Nauki".

Przystawiłam zaostrzony koniec ołówka do szczytu kręgosłupa i wsunęłam go wolno podczaszkę, powtarzając usłyszane w kanale słowa Pembertona:

- Wbija się igłę nieco z boku i pod kątem, przez spleniuscapitis i semispinaliscapitis przebija się więzadło szczytowo-obrotowe i wsuwa igłę w dół zębów łuku tylnego kręgu obrotowego.

- Dziękuję, Flawio przerwał mi Hewitt.

To wystarczy.

Usłyszałaś to od Stanleya?

- To są jego słowa - potwierdziłam.

- Musiałam je sprawdzić w Anatomii Graya.

W Encyklopedii smolnej jest kilka rycin, ale brakuje przy nich dokładnych opisów.

Inspektor Hewitt potarł brodę.



-Jestem pewna, że doktor Darby znajdzie ślad po iglenakarku Bonepenny'ego - odpowiedziałam mu.

-Jeśli będzie wiedział, gdzie szukać.

Powinien też zbadać zatoki ofiary.

Czterochlorek węgla jest dosyć stabilny w powietrzu i mógł zostać tam uwięziony, ponieważ Bonepenny już nie oddychał.

Proszę przekazać doktorowi - ciągnęłam - że Bonepenny przed wyjściem do Buckshaw spożywał alkohol w gospodzie.

Hewitt popatrzył na mnie, niczego nie rozumiejąc.

- Alkohol wzmaga działanie czterochlorku węgla wyjaśniłam.

-A czy masz jakąś teorię.

-zapytał z uśmiechem - .

która wyjaśniałaby obecność trucizny w zatokach ofiary?

Nie jestem chemikiem, ale wyobrażam sobie, że czterochlorek węgla szybko wyparowuje.

Opracowałam taką teorię, ale nie miałam zamiaru dzielić się nią z byle kim, a już na pewno nie z policją.

Problem w tym, że Bonepenny w chwili śmierci musiał być przeziębiony i to całkiem niezłe!

Kiedy wydyszał mi w twarz słowo "Vale", zaraził mnie przeziębieniem.

Dzięki, Horace!

A jeśli oboje cierpieliśmy na ten sam rodzaj przeziębienia, to zatoki ofiary były mocno zatkane.

Również w zatkanych nozdrzach Bonepenny'ego mogły zachować się ślady wstrzykniętej trucizny.

Czterochlorek węgla nie rozpuszcza się w wodzie, a smarki to nic innego jak woda.

Miałam nadzieję, że był tak zakatarzony, że nie mógł oddychać!

- Nie skłamałam.

-Ale może pan zasugerować, żeby laboratorium - w Londynie przeprowadziło test zalecany przez Brytyjską Farmakopeę.

- Zdaje się, że tak na poczekaniu nie umiemy sobie przypomnieć, o jaki test chodzi - przyznał inspektor Hewitt.

-To bardzo prosta procedura - wyjaśniłam.

- Za jej po.

mocą sprawdza się obecność wolnego chloru, uwalniając jod z jodku kadmu.

Jestem pewna, że policyjni chemicy jąznają.

Zrobiłabym to sama w moim laboratorium, ale nie sądzę, by Scotland Yard zechciał przekazać kawałek mózgu Bonepenny'ego jedenastoletce.

Inspektor Hewitt wpatrywał się we mnie przez lata świetlne.

- W porządku mruknął.

- A teraz pobawimy się w deko.

- Wco?

- zapytałam z miną urażonej niewinności.

- W dekonspirację.

Chcę, żebyś wyznała mi jakna spowiedzi wszystko, czego się dopuściłaś.

- Aleja.

niczego się nie.

dopuściłam.

- wyjąkałam.

- Nic.

- Nie traktuj mnie, złości swojej, jak idioty, Flawio.

Nikt, kto cię zna choćby odrobinę, w życiu nie uwierzy, że nie odrobiłaś lekcji.

Uśmiechnęłam się skromnie.

- Jest tam.

- powiedziałam, podchodząc do stoliczki w rogu laboratorium.

Stało na nim akwarium osłonięte mokrą ściereczką.

Zdjęłam ją jednym ruchem ręki.

- Dobry Boże!

- Hewitt zasłonił usta.

- A cóż to, na rany.

Wbił wzrok w różowoszary obiekt pływający spokojnie w akwarium.

- To kawałek mózgu poinformowałam go.

Pobrałam go ze spiżarni.

Pani Mullet kupiła mózdzek wczoraj u Carnfortha i chce go przyrządzić dziś na kolację.

Będziesz się przekonała, że część znikła.

- I ty.

- Zamiast dokończyć, pomachał ręką.

- Owszem, nie myli się pan.

Wstrzyknęłam do niego dwai półcentymetra sześciennego czterochlorku

węgla.

Tylemieściła strzykawka Bonepenney'ego.

Ludzki mózg-ciągnęłam bez wytchnienia waży przeciętnie niecałe półtora kilograma.

Męski nieco więcej.

Dodałam więc parę dekopobierając w spizarnipróbkę.

-Jak na to wpadłaś?

- zapytał.

-Wszystko jest opisane w jednym ztomów Ssjtolnej encyklopediiArthura Mee.

- I przeprowadziłaś testna tym.

mózgu.

na obecnośćczterochlorku węgla?

- Owszem - odpowiedziałam.

- Piętnaście godzin powstrzyknięciu.

Bo według mnie tyleczasu upłynęło między morderstwem a sekcją zwłok.

-I?

- Był wciąż łatwo wykrywalny - odrzekłam.

- Dziecinnie proste: użyłam -amino-dimetyloaniliny.

To stosunkowonowy test, ale bardzo elegancki.

Pisano o nim przed pięciomalaty w "The Analyst".

Niech pan usiadzi na stołku, pokażę panu.

- To ci się nie uda!

- zachichotał Hewitt.

- Nie uda?

- zapytałam zdziwiona.

-Oczywiście, że sięuda!

Już przeprowadzałam ten test.

- Nie uda ci się odwrócić mojej uwagi doświadczeniami chemicznymi i prześlizgnąć się wygodnie wokół sprawy znaczka.

Który, oczym wiemy oboje, stał się przyczyną tych wszystkich nieszczęść, prawda?

Zapędził mniem koziróg.

Miałam zamiar pominąć milczeniem "Ulsterskiego mściciela" i oddać znaczek po cichutacie.

Nic mądrzejszego niemogłam wymyślić.

- Posłuchaj, wiem, że jest w twoim posiadaniu-oznajmił.

- Złożyliśmy wizytę doktorowi Kissingowi w Rook'sEnd.

Udałam, że mnie to nie przekonuje.

-A Bob Stanley - mówiłdalej - czy, jak wolisz, FrankPemberton  
twierdzi, że ukradłaś mu znaczek.

Ukradłam mu?

Co za pomysł!

Coza bezczelność!

Znaczek należy do króla - zaprotestowałam.

- Bonepeny ukradł go na wystawie w Londynie.

Bez względu na to, do kogo należy, jest skradzioną własnością i moim obowiązkiem jest dopilnowanie, aby wrócił do prawowitego właściciela. Chcę tylko wiedzieć, w jaki sposób weszłaś w jego posiadanie?

A niech, go!

Nie mogłam już robić uników.

Będę musiała przyznać się do przestępstwa popełnionego w Trzynastu Kaczorach.

Zawrzyjmy układ.

zaczęłam.

Inspektor Hewitt wybuchnął śmiechem.

Panno de Luce powiedział, kiedy się uspokoił.

Są takie chwile, że sam własnoręcznie udekorowałbym panią medalem. Ale są też i takie, kiedy zamknąłbym panią w lochu o chlebie i wodzie.

A jakachwila jest teraz?

-zapytałam.

O-o! Lepiej uważaj, Flawio.

Pogroził mi palcem.

Słucha powiedział.

Przyszło mi do głowy.

- mruknęłam nieśmiało.

-No, wie pan, ostatnimi czasy życie taty nie było słane różami.

No, bo zjawiał się pan w Buckshaw i zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, oskarżył pan tatę o morderstwo.

Chwileczkę, chwileczkę!

przerwał mi.

Już o tym rozmawialiśmy.

Został oskarżony o morderstwo dlatego, że się do niego przyznał.

Doprawdy?

O tym nie wiedziałam.

A kiedy to zrobił, w drzwiach posterunku stanęła jego córka Flawia, która również przyznała się do popełnienia tej samej zbrodni.

Poczułam się jak Matka Boska z Lourdes w sobotni wieczór.

Chciałam go chronić - wyznałam.

- Myślałam wtedy, że mógł to zrobić.

- A on kogo chciał chronić?

zapytał Hewitt, bacznie się mi przyglądając.

Rzecz jasna, Doggera.

Właśnie to miał na myśli, gdy usłyszałam od niego w celi: "Tego się obawiałem", kiedy powiedziałam, że Dogger wraz z zemną podsłuchiwał poddrzwiami gabinetu.

Tato uważał, że Dogger zabił Bonepenny'ego - to było jasne.

Ale dlaczego?

Z lojalności wobec dowódcy i pracodawcy?

Czy podczas ataku?

Nie, lepiej nie mieszać do tego Doggera.

Tyle przynajmniej mogłam dla niego zrobić.

- Chyba mnie - skłamałam.

- Mogło mu się wydawać, że to ja zabiłam Bonepenny'ego.

Bo przecież to ja wszczęłam alarm.

Więc prawdopodobnie chciał chronić mnie.

- Naprawdę tak uważasz?

- zapytał.

- Sądzę, że mnie kocha odpowiedziałam.

-Z całą pewnością - stwierdził.

-Z całą pewnością.

No, dobrze, a wracając do znaczka.

od którego zdaje się zaczęliśmy.

..

- No, tak.

Jak wspomniałam, chciałabym zrobić coś dla taty, coś, co mogłoby go uszczęśliwić, nawet przez chwilę.

Chciałabym mu oddać "Ulsterskiego mściciela".

Żeby nacieszył się nim przez dzień albo dwa.

Jeśli mi pan pozwoli, wyznam panu wszystko jak na świętej spowiedzi, obiecuję!

Inspektor Hewitt podszedł do laboratoryjnej biblioteczki i zdjął z półki tom Sprawozdań Towarzystwa Chemicznego z roku 1907.

Zdmuchnął z grzbietu chmurę kurzu.

Zaczął kartkować książkę, jakby szukając w niej odpowiedzina podniesioną przez mnie kwestię.

-Wiesz.

- zaczął.

-W opinii mojej żony, Antygeny, robienie zakupów jest najgorszą rzeczą pod słońcem.

Kiedyś przyznała się, że gdyby dano jej wybór, wolałaby borowanie zęba

niż kupowanie przez pół godziny baraniego.

udźca.

Ale musi robić zakupy, czyjej się to podoba czy nie.

Takispotkał ją los, jaksama twierdzi.

Żeby sobieurozmaicić tę nieprzyjemną dla niej okoliczność, kupuje od czasudo czasu takie cienkie, żółte pisemko, które nosi tytuł "Tyt i Twoje Gwiazdy".

Muszę ci wyznać, że często obruszałam się, gdczytała mi przy śniadaniu horoskop, ale dzisiejsze.

go ranka usłyszałem od niejcoś, co niestety znajduje potwierdzenie w rzeczywistości.

Cytuję:"Twoja cierpliwośćzostaniewystawiona na najboleśniejszą próbę".

Uważasz,Flawio, że powinienem zacząć wierzyć whoroskopy?

- Błagam.

-wcale nie powiedziałam tego płaczkliwie.

- Dwadzieścia cztery godziny rzucił i ani sekundywięcej.

Aż podskoczyłam z radości i byłabymgo uściskała, alemusiałam mówić.

Zalałam go potokiem słów: zaczęłam odzdechłego bekasa kszyka, przeszłam do niewinnej(choćniejadalnej) kremówki pani Mullet,rewizji w pokojuBonepenny'ego w gospodzie, odkrycia znaczków, wizytyu panny Mountjoy, spotkania z Pembertonem w ŚwiątyniDumania, odwiedzin u doktora Kissinga, porwania nadgrobem pana Twininga i wreszcie uwięzienia w kanale.

Nie wspomniałam mu tylko ozatruciu szminki Feliekstraktem trującego bluszczu.

Poco mieszać w głowie mężczyznom?

Gdy mówiłam, zapisywał coś od czasu do czasu w notesie, którego strony-jak zauważyłam - pokrywały strzałki i inne tajemne znaki, jakich nie powstydziliby się żadenśredniowieczny alchemik.

-Jateż tam jestem?

- zapytałam, wskazując nanotes.

- Owszem odpowiedział.

-Mogę zobaczyć?

Tylko zajrzę.

- Nie - powiedział twardo.

- Notes jest poufnym policyjnym dokumentem.

- No dobrze, to niechmi pan tylko powie, czy za każ

dym razem zapisuje pan mojeimię, czy przydzielił mi panjeden z



tych tajemniczych symboli?

Masz swój własny symbol odrzekł, chowając notesdokieszeni.

- Czas już na mnie.

Wyciągnął rękę i uściśnąłmi mocno dłoń.

-Do widzenia, Flawio.

Przeżyłem.

niezapomniane

chwile.

Podszedł do drzwi i położył dłońna klamce.

Panie inspektorze.

Odwrócił się ku mnie.

- Co to jest?

To znaczy, jaki przydzielił mi pan symbol?

- Duże ce -odpowiedział.

- Literę"C".

Ce? powtórzyłam zaskoczona.

Cóż"ce" znaczy?

Nieważneodrzekł.

To kwestia wyobraźni.

Dafi leżała wsalonie na dywanie i czytała Więzią Kendy.

- Czy wiesz, że kiedy czytasz,poruszasz wargami?

- zapytałamją.

Zignorowała mnie.

Postanowiłam postawić wszystko

na jedną kartę.

A jeśli już o wargach mowa.

Gdzie jestFela?

Poszła do doktora - odpowiedziała Dafi.

- Ma jakąśalergię.

Musiała zetknąć się czymś, z czym nie powinna.

Ha! Mój eksperyment zakończył się pełnym powodzeniem!

Nikt, nigdy się nie dowie.

Kiedytylko znajdę sięsama, zapiszę w notesie:

Wtorek, 6 czerwca 1950 roku, godz, 13:20.

Sukces!

Rezultaty zgodnez.

oczekiwaniami.

Sprawiedliwość została wymierzona.

Aż parsknęłam zradości.

Dafi musiała to usłyszeć, boprzewróciła się na plecy i skrzyżowała nogi.  
Niech ci się nie wydaje, że ujdzie ci to nasucho sykneła.

- He?
- Udawanie zranionej niewinności stawało sięmoją specjalnością.
  - Zapłacisz za to świństwo, które dodałaś do jej szminki.
  - Nie mam bladego pojęcia, oczym mówisz odpowiedziałam złośliwie.
  - Przejrzyj się w lustrze - mruknęła z satysfakcją.
- Tylko gonie stłucz ze złości.

Odwróciłam się podeszłam z godnością do kominkowego lustra, przesłoniętego mgłą z czasów regencji, nadającą każdemu odbiciu posępny wygląd.

Pochyliłam się i przyjrzałam swojej twarzy.

Nie byłow niej niczego nadzwyczajnego, poza rzecz jasna inteligencją fiołkoweoczy, blada cera.

Spojrzałam uważnie w pokrytą lizajem rtęć.

Coś mi wyrosło na szyi!

Wściekle czerwony ślad!

W miejscu, w którym Fela dotknęła mnie ustami!

Aż pisnęłam z udreki!

- Fela powiedziała, że bez względu na twoje porwanie zapłacisz za wszystko!

Zanim Dafi zdążyła przekreślić się na brzuchu wrócić do czytania idiotycznej historii spod znaku płaszcza i szpady, w mojej głowie zrodził się plan.

Kiedyś dawno temu, kiedy miałam może dziewięć lat, prowadziłam pamiętnik, w którym zapisywałam, co oznaczabycie de Luce'em, a raczej jedną konkretną de Luce'ówną.

Wiele wówczas myślałam o swoich uczuciach i w końcu doszłam do wniosku, że bycie Flawią de Luce jest jak bycie sublimatem czarnym kryształowym osadem, jaki zostaje na chłodnym szkłe próbki po fioletowych oparach jodu.

W tamtym czasie opis ten wydawał mi się doskonały, a przez dwa minione lata nic się niezmieniło.

Jak już wspomniałam, de Luce'om czegoś brakuje: jakiegoś chemicznego wiązania, które sprawia, że w obliczu uczuć ludziom rozplątują się języki.

Liczenie na to, że któryś z de Luce'ów powie innemu, że go kocha, było taką samą stratą czasu, jak liczenie na to, że Czomolungma wyzna miłość Kanczendzondze.

Dowiedział tego \wybornie fakt kradzieży mojego pamiętnika przez Felę, która

sforsowawszy mosiężny zamek otwieraczem do konserw, czytała z niego na głos, stojąc u szczytu schodów przebrana za stracha nawróble.

Takie myśli towarzyszyły mi, gdy zbliżałam się do drzwi jowiskiego gabinetu.

Przystanąłam, nie wiedząc, co zrobić.

Czy naprawdę muszę?

Zastukałam niepewnie.

Minęła długa chwila, nim tata powiedział:

- Wejź.

Przekręciłam gałkę i weszłam do środka.

Siedział przy biurku pod oknem i przyglądał się przez lupę karmazynowemu znaczkowi.

Podniosła moment głowę, a potem

znów ją opuścił.

- Mogę mówić?

- zapytałam, zdając sobie sprawę z dziwnego brzmienia tej kwestii.

Wybrałam ją jednak celowo.

Tata odłożył szkło powiększające, zdjął okulary i przetarł oczy.

Wyglądał na zmęczonego.

Sięgnęłam do kieszeni i wyjęłam z niej kartkę z błękitnej papeterii.

W złożonej kartce spoczywał teraz "Ulsterski ścieciel".

Zrobiłam krok, jak suplikant, położyłam kartkę na biurku i cofnęłam się.

Zajrzał do środka.

- Dobry Boże!

- westchnął.

- To "AA"!

Włożył okulary i podniósł lupę, żeby przyjrzeć się znaczkowi.

Teraz, pomyślałam, czas na nagrodę.

Wbiłam wzrok

w jego wargi, czekając, aż się poruszą.

- Skąd go masz?

- zapytał cichym głosem, od którego słuchacz czuł się jak motyl wbity na szpilkę.

- Znalazłam odpowiedziałam.

Obdarzył mnie bezlitosnym, wojskowym wejrzeniem.

- Bonepeny musiał go zgubić - powiedziałam.

-Przyniosłam go tobie.

Tata wpatrywał się we mnie jak astronom w wybuch supernowej.

- Toci się chwali, Flawio - powiedział z wielkim wysiłkiem.

I oddałam znaczek.

- Musisz natychmiast go zwrócić prawowitemu właścicielowi.

- Królowi Jerzemu?

Kiwnął głową.

Jakby ze smutkiem.

- Nie wiem, w jaki sposób weszłaś w posiadanie tego znaczka, i wolę nie wiedzieć.

Zrobiłaś wiele rzeczy własną ręką i musisz doprowadzić je do końca.

- Inspektor Hewitt chce, żebyś oddała znaczek policji.

Tata pokręcił głową.

- To bardzo ładnie z jego strony - powiedział - a zarazem bardzo oficjalnie.

Nie, nie, Flawio, stary "AA" przeszedł już przez tyle rąk - z których spora część okazała się bardzo niegodna że twoje ręce powinny być ostatnimi. Najgodniejszymi z nich wszystkich.

- Nie wiem, jak się pisze do króla.

- Na pewno dasz sobie z tym radę - powiedział.

- Bądź łaskaw zamknąć drzwi, wychodząc.

Dogger rozrzucał z taczki nawóz po grządce z ogórkami, jakby chcąc zatrzeć ślady ostatnich wydarzeń.

Panna Flawia powitała mnie, zdejmując kapelusz i wycierając czoło w rękaw.

Jak się zaczyna list do króla?

- zapytałam.

Dogger oparł ostrożnie widły o ścianę szklarni.

Teoretycznie czy praktycznie?

- Praktycznie.

- Hm..

- Podrapał się w głowę.

- Musiałbyś gdzieś sprawdzić.

Zaczekaj!

krzyknęłam.

Pani Mullet trzyma w spiżarni Odpowiedzi na każde pytanie\

Poszła na zakupy do wsi mruknął Dogger.

Jeśli siępospieszymy, może ujdziemy z życiem.

Nie minęła minuta, a siedzieliśmy nad książką w spi

żarni.

O, jest tutaj!

Książka sama otworzyła mi się wrękach na właściwej stronie.

-Ale zaczekaj.

wydano ją przedsześćdziesięciulaty.

Myślisz, że jest nadal aktualna?

-Jasne - stwierdził Dogger.

- Wśródkrólów i królowych sprawy nie toczą się tak szybko jak wśród nas.

Nawet nie powinny.

Salon był pusty.

Dafi i Fela zniknęły, planując zapewne następny ruch.

Znalazłam wszufladzieporządną papeterię i umoczywszy stalówkę pióra w kałamarzu, przepisałam apostrofęz wytłuszczonejksiążki pani Mullet, starając się pisać jaknaj schludniej:

Najłaskawszy Panie i Władco,

Zwracam się pokorniedo Waszej Wysokościz nadzieją, że list tenrozraduje Waszą Wysokość.

Gdyż załączam do niego należący do Waszej Wysokości przedmiot o znacznej wartości, skradziony przed kilkomatygodniami.

Pominę milczeniem okoliczności, w jakich przedmiot ów znalazł się w moich rękach (To brzmi nieźle,pomyślałam), ale mogę zapewnić Waszą Wysokość, że przestępca został złapany.

- "Ujęty" - powiedział Dogger, który czytał list nad moim ramieniem.

Poprawiłam na "ujęty".

Co jeszcze?

zapytałam.

- Nic więcej - odparł Dogger.

- Tylko się podpisz.

Królowie cenią zwyczajność i nie czytają anonimów.

Starając się nie robić kleksów, przepisałam zakończenie z książki pani Mullet:

Pozostaję z  
najgłębszym szacunkiem,  
najwierniejsza poddana Waszej Wysokości i unizona służka  
Flawia de Luce (Panna)

- Doskonale!

ucieszył się Dogger.

Złożyłam porządnie list, przejeżdżając po zgięciu paznokciem.  
Włożyłam go do najlepszej z naszych kopert, którą zaadresowałam:

Jego Królewska Wysokość

Królowi Jerzy VI

Pałac Buckingham, Londyn, S.

W.1.

Anglia

- Czy powinnam napisać: "Do rąk własnych"?

- Dobry pomysł pochwaliliśmy Dogger.

Minał tydzień.

Siedziałam nad stawem, chłodząc w nim stopy i poprawiając moje notatki o koniinie - trującym alkaloidzie występującym w spokrewnionym z szalejem szczytowiec płamistym, z rodziny selerowatych - kiedy nad brzegu wyrósł jak spod ziemi Dogger, który wymachiwał czymś, co trzymał w ręku.

- Panno Flawio!

- zawołał i wszedł w butach do wody.

Odległość między brzegiem a wyspą, na której się znajdowałam, pokonał w trzy miga.

Wszedł z wody.

Z nogawek wylewały mu się strumienie jak Posejdonowi, ale uśmiechał się od ucha do ucha niczym poranne słońce.

Podał mi kopertę - miękka i biała jak gęsi puch.

- Mamotworzyć?

- zapytałam.

- Zaadresowana do ciebie, jak mi się zdaje.

Dogger skrzywił się z bólem, gdy rozdarłam kopertę i wyjęłam z

niejpojedynczy arkusik kremowego papieru.

Moja Droga Panno deLuce,  
jestem niepomiernie wdzięczny za Pani list i dołączony do  
niegowspaniały przedmiot, który, o czym musi Pani wiedzieć, odegrał  
ważną rolę nie tylko w historii mego rodu, ale i w historii Anglii.

Proszę przyjąć moje płynące .  
z serca podziękowania.

A niżej podpis:

Jerg.



## PODZIĘKOWANIA

Zawsze kiedy sięgam po nową książkę, rozpoczynam jej lekturę od podziękowań, które w pewnym sensie są lotniczą fotografią dzieła - mapą w dużej skali, ukazującą otoczenie, w jakim powstała książka, miejsca, w których była, ale nade wszystko miejsce, z którego się wzięła.

Żadne dziełom statunascendinie zostało lepiej potraktowane od Ciasteczka słodkiego u dna iz ogromną przyjemnością chcę wyrazić wdzięczność Stowarzyszeniu Pisarzy Kryminałów i powołanemu przez nie jury za wybranie tej książki do Debut Dagger Award (Nagrody Debiutanckiego Sztyletu).

Moją szczególną wdzięczność należy się Philipowi Goodenowi, sekretarzowi Stowarzyszenia Pisarzy Kryminałów, Margaret Murphy, Emmie Hargrave, Billowi Masseyowi, Sarze Menguc, Keshini Naidoo i Sarze Turner.

Dodatkowe i specjalne podziękowania składam Margaret Murphy, która nie tylko przewodziła jury Nagrody Debiutanckiego Sztyletu, ale w wypełnionym pobrzezi ważnymi zajęciami dniu przyznania nagrody osobiście powitała w Londynie strudzonego wędrowca.

Meg Gardiner, Chrisowi High i Ann Cleeves dziękuję za to, że sprawili, iż czuję się tak, jakbym znał ich przez całe życie.

Nagrodzonej wcześniej Sztyletem Louise Penny dziękuję za hojność i słowa zachęty oraz za prawdziwą przystań

dla młodych pisarzy, jaką stała się jej strona internetowa.

Louise jest osobą, która umie "oddawać" to, co sama dostała.

A poza tym jej powieści o inspektorze Armandzie Gamache'u są najzwyczajniej niesamowite!

Mojej agentce, Denise Bukowski, dziękuję za przeloty nad Atlantykiem i to, że zdążyliśmy do kościoła mimowolanych moim przelotem zakłóceń rytmu dnia i nocy.

Billowi Masseyowi z Orion Books dziękuję raz jeszcze zato, że uwierzył w tę powieść na tyle, aby ją kupić (nie tylko resztą tę powieść, ale i całą serię), przeczytawszy za ledwie początek, oraz za niezapomniany lunch w "Wiadrze Krwi" w Covent Garden - w tym samym miejscu, w którym łotrzy napadli na poetę i krytyka, Johna Drydena.

Nikt nigdy nie miał lepszego redaktora od Billa!

Człowieka bliskiego mi duchem.

Kate Miciak i Molly Boyle z Bantam Dęliw Nowym Jorku i Kristin Cochrane z Doubleday Canada dziękuję zawiare i zachęte.

Robyn Karney, korektorce z Orion Books, za wyborne i przenikliwe rady.

Emmie Wallace i Genevieve Pegg, również z Orion, za entuzjastyczne i przyjacielskie powitanie.

Wyrażam wielką wdzięczność przyjaznemu i bardzo pomocnemu personelowi Brytyjskiego Muzeum i Archiwum Pocztowego, mieszczącego się w Freeling House, Phoenix Place, w Londynie, za radosne udzielanie odpowiedzi na wszystkie nurtujące mnie pytania oraz za udostępnienie materiałów dotyczących dziejów "Czarnej Wiktorii".

Moim dawnym przyjaciołom z Saskatoon i prawdziwym koneserom kryminałów, Mary Gilliland oraz Allanowi i Janice Cushonom, dziękuję za przekazanie do moich rąk dawordiańskiego odpowiednika Internetu: pełnego, jedenastego wydania (1911) Encyclopaedia Britannica, które jest marzeniem każdego autora powieści detektywistycznych.

Davidowi Whiteside'owi z Bukowski Agency za jego.

mozolny trud w porządkowaniu gór dokumentów i czerwonej taśmy.

Moim drogim przyjaciółom, doktorowi Johnowi Harlandowi i Janet Harland, którzy towarzyszyli mi na każdym etapie powstawania książki i udzielali mi przydatnych i często błyskotliwych rad.

Bez ich entuzjazmu Ciasteczkośladki u dna byłoby znacznie gorsze i mniej zabawne podczas wypieku.

Wszyscy ludzie wspierali mnie na każdym kroku.

Jakiegokolwiek więc błędy są wyłącznie moją winą.

Na końcu dziękuję z miłością mojej żonie, Shirley, która nalegała - ba, zmusiła mnie - abym uwolnił Flawię i ród de Luce'ów z luźnych zapisków, w jakich tkwiliło wiele za długo.

Wkrótce nakładem wydawnictwa Vesperi ukazażą się kolejne tomy przygód Flawiide Luce.

